

'The most imaginative novelist of his generation' *The Times*

I A I N
B A N K S

T H E B R I D G E



'Great artistry, great virtuosity . . . great exuberance'

New Statesman

BANKS IAIN M.

Most

IAIN M. BANKS

Tegoż autora polecamy FABRYKI OS

przełożył Marek Fedyszak

--...

PVószy^ski i S-ka

Warszawa 1998

Tytuł oryginału: „The Bridge”

Copyright © Iain Banks 1986

Projekt okładki:

Zombie Sputnik Corporation

^azm.DLiiaausuctt.

Redaktor techniczny: Elżbieta Babińska

Łamanie: Elżbieta Rosińska

Korekta: Micha! Załuska

ISBN 83-7180-945-X

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

Opolskie Zakłady Graficzne SA

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Jamesowi Hale'owi

Spis treści

Koma 7

Trias 97

Koda

Koma

Uwięziony w pułapce. Zmiażdżony. Ucisk ze wszystkich stron. Usidlony we wraku (trzeba się zjednoczyć z maszyną). Proszę, tylko bez ognia. Cholera. To boli. Cholerny most; z własnej winy (tak, cholerny most, w cholernie czerwonym kolorze; widzę most, widzę mężczyznę jadącego samochodem, widzę, że mężczyzna nie widzi drugiego samochodu, widzę wielką KRAKSE, widzę, jak mężczyzna z pogruchootanymi kośćmi krwawi; krew zabarwia most. Cóż, sam sobie winien. Kretyn). Proszę, tylko bez ognia. Krew czerwona. Czerwona krew. Widzę, że mężczyzna krwawi, widzę, jak coś wycieka z samochodu; chłodnica czerwona, krew czerwona, krew jak czerwony olej. Pompa wciąż pracuje – cholera, powiedziałem, cholera to boli – pompa nadal pracuje, a płyn wycieka na wszystkie strony. Prawdopodobnie teraz walną mnie od tyłu i dostanę za swoje, ale przynajmniej nie ma ognia, w każdym razie na razie nie ma; od jak dawna, ciekawe od jak dawna? Samochody; samochody policyjne (kanapki z dżemem) kanapka z dżemem; ja jestem dżem w kanapce samochód, jestem kanapka. Widzę, że mężczyzna krwawi. Moja wina. Módl się, by nikt poza nim (nie, nie módl się; ateisto, pamiętam, zawsze przeklinałeś [Matka: – Nie musisz się tak wyrażać], zawsze przysięgałeś, że będziesz ateistą w lisiej norze, no cóż, twój czas nadszedł, chłopcze, gdyż wyciekasz na szaroróżową jezdnię i mógłby wybuchnąć pożar, i mógłbyś i tak wykitować, i mógłby cię rąbnąć w tyłek następny samochód, jeżeli ktoś jeszcze gapi się na ten cholerny most, więc jeżeli masz zamiar zacząć się teraz modlić, wydaje się, że to dość stosowna pora, ale ocholera i coudiabła - CHRYSTE-TOBOLI! [OK; użyłem go tylko jako przekleństwo, drobiazg, mówię uczciwie; klnę się na Boga]. OK; do zobaczenia, Boże, kawał drania

z ciebie, kawał drania). To im wszystko wyjaśnia, dzieciaku. Co to były za litery? MG; VS; i ja, 233FS. Ale co z...? Gdzie...? Kto...? O CHOLERA. Zapomniałem, jak się nazywam. To się już raz zdarzyło na przyjęciu; byłem narąbany i za szybko wstałem, ale tym razem jest inaczej (i jak to możliwe, że pamiętam, że wtedy zapomniałem, a teraz nie potrafię sobie przypomnieć mojego nazwiska? To wygląda poważnie. Nie podoba mi się to. Wyciągnijcie mnie z tego).

Widzę rozpadlinę w tropikalnym lesie, most z lian i rzekę głęboko w dole; duży biały kot (to ja?) sady susami po torach, uderzając o most; jest biały (czy to ja?), jaguar albinos, pędzący po kołyszącym się moście (Co ja widzę? Gdzie to jest? Czy w rzeczywistości to właśnie się stało?), długie gwałtowne kroki, biała śmierć (powinna być czarna, ale mam do niej negatywny stosunek, ha, ha) mknąca przez most...

Zatrzymuje się. Scena bieleje, pojawiają się w niej dziury; przepalająca się klisza (OGIĘŃ!), uwięziony w bramie (jaguar w bramie?), zatrzymany, scena rozplywa się, oglądana scena rozpada się (oglądam, jak oglądana scena się rozpada); nic nie wytrzymuje zbyt dokładnego śledztwa. Został biały ekran.

Ból. Obręcz bólu na piersi. Niczym rozpalone żelazo, okrągłe piętno. Czy jestem postacią na ostemplowywanym znaczku? Kawałkiem pergaminu z wytłoczonym napisem „Z biblioteki...” (Proszę uzupełnić:

- a) W.P. Boga
- b) P. Natury
- c) K. Darwina i Synów
- d) K. Marx SA
- e) wszystkich wyżej wymienionych).

Ból. Biały szum, biały ból. Najpierw ucisk ze wszystkich stron, a teraz ból. Życie to wieczne urozmaicenie. Przenoszą mnie. Ruchomy człowiek; czy zostałem uwolniony? A może wybuchł pożar? Czy właśnie umieram, jestem odbielany, odcedzany? (Odsyłany z powrotem, spóźniony?) Teraz nic nie widzę. (Teraz widzę wszystko). Leżę na równinie, otoczony wysokimi górami (a może na łóżku, otoczony przez... maszyny. Ludzi? Jedne bądź drugich; jedno i drugich. (Człowieku, gdy spojrzeć na to ZNACZNIE szerzej, niczym się nie różnią. Dziwne). Kogo to obchodzi? Mnie? Cholera, może już jestem martwy. Może istnieje życie po życiu... Hmm. Może cała reszta była snem (tak, na pewno) i uświadamiam sobie (CIEMNASTACJA) – co to było?

Słyszałeś? Czy JA słyszałem?

CIEMNA STACJA. Znowu to samo. Hałas przypominający gwizd pociągu; coś, co zaraz odjedzie. Coś, co zaraz się zacznie lub skończy, albo jedno i drugie. Coś, co mnie ciemnostacjuje. Lub nie. (Ja nie wiedzieć. Ja tu być nowy. Nie pytać mnie).

Ciemna stacja.

No dobra...

Metaformoza:

Część pierwsza

Ciemna stacja, zamknięta i pusta, odbijała echem odległy, cichnący gwizd odjeżdżającego pociągu. W szarym wieczornym świetle brzmiał on wilgotnie i zimno, jak gdyby wywołujący go kłęb wypuszczanej pary przydawał mu część swoich charakterystycznych cech. Góry, pokryte ciasnym i ciemnym splotem drzew, pochłaniały dźwięk niczym gruba tkanina nasiąkająca mżawką; powracały tylko bardzo słabe echa, odbite tam, gdzie strome skały, urwiska i zbocza piargów naruszały jednolitość lasu.

Gdy gwizd ucichł, stałem przez chwilę twarzą do opuszczonej stacji, nie chcąc odwrócić się do milczącego powozu za moimi plecami. Nasłuchiwałem, usiłując uchwycić ostatni ślad odgłosu pracowitej lokomotywy, gdy zjeżdżała w stromą dolinę; chciałem usłyszeć jej zdyszany oddech, pracowity brzęk jej poruszanych tłokami serc, terkotanie zaworów i suwaków. Jednak, choć żaden inny dźwięk nie mącił nieruchomego powietrza doliny, nie słyszałem ani pociągu, ani lokomotywy; odjechały. Nade mną, na tle zachmurzonego nieba, rysowały się stromo opadające dachy i szerokie kominy stacji, czarne na szarym. Kilka smug pary bądź dymu, powoli rozwiewających się w wilgotnym i zimnym powietrzu doliny, wisiało nad czarnymi dachówkami i pociemniałymi od sadzy ceglami. Odór spalonego węgla i zatęchły zapach pary wydawały się Ignąć do mojego ubrania.

Odwróciłem się, by spojrzeć na powóz. Pomalowany na czarno, pogrzebowy; był zapieczętowany, zamknięty od zewnątrz na kłódkę i opasany grubymi skórzanymi rzemieniami. Zaprzężone doń dwie nerwowe klacze ciężko przestępowały z nogi na nogę na zasłanej liśćmi drodze

prowadzącej ze stacji, potrząsając ciemnymi łbami. Ich uprząże pobrzękiwały i dzwoniły, a z rozchylonych nozdrzy wydobywały się kłęby pary; końska imitacja pociągu, który przed chwilą odjechał.

Przyjrzałem się przesłoniętym żaluzjami oknom i zamkniętym na kłódkę drzwiom, sprawdzając napięte rzemienie i ciągnąc za metalowe klamki, a następnie wspiałem się na kozioł i chwyciłem lejce. Utkwiłem wzrok w wąskim trakcie prowadzącym do lasu. Sięgnąłem po bat, zawahałem się, po czym odłożyłem go, nie chcąc zakłócać ciszy panującej w dolinie. Chwyciłem za drewnianą dźwignię hamulca. W wyniku dziwnego odwrócenia procesów fizjologicznych moje ręce były wilgotne, a usta suche. Powóz trząsnął się, prawdopodobnie pod wpływem niespokojnych szarpnięć koni.

Niebo nad nami było matowe, szare i jednolite. Równa warstwa chmur zasłoniła tuż nad linią drzew otaczające mnie wyższe szczyty; ich poszarpane wierzchołki i ostre grzbiety zostały wyrównane przez delikatną, lgnącą do nich mgłę. Światło nie dawało cienia, było zupełnie mętne. Wyciągnąłem zegarek i zdałem sobie sprawę, że nawet gdyby wszystko dobrze poszło, nie zdołam zakończyć mojej podróży w biały dzień. Poklepałem się po kieszeni zawierającej krzesiwo i hubkę. Powóz znowu się zakołysał; konie tupały i ruszały się nerwowo, wykręcając szyje i łypiąc białkami oczu.

Nie mogłem dłużej zwlekać. Zwolniłem hamulec i ponagliłem parę klaczy, puszczając je kłusem. Powóz chwiał się, skrzypiał i turkotał ciężko na porytej koleinami drodze, oddalając się od mrocznej stacji ku jeszcze mroczniejszemu lasowi.

Droga pięła się między drzewami, obok małych polan, po mostach ze spróchniałego drewna. W ciemności i ciszy lasu strumienie pod ich przęsłami były rwącymi oazami bladego światła i chaotycznego hałasu.

W miarę jak pięliśmy się w górę, powietrze robiło się coraz zimniej-sze. Klacze otulały mnie kłębami swoich oddechów, gęstymi od woni końskiego potu. Pot na moim czole i rękach był lodowaty. Sięgnąłem do płaszcza po rękawiczki i ręką musnąłem grubą rękojeść rewolweru ukrytego w kaftanie. Założyłem rękawiczki, ciaśniej otuliłem się płaszczem, a gdy mocniej ściągałem jego pasek, mimo woli znowu spojrzałem na wiązania i zapięcia zabezpieczające powóz. W półmroku nie sposób było jednak ocenić, czy rzemienie wciąż trzymają solidnie.

Droga pięła się coraz bardziej stromo w rzedającym lesie; klacze z trudem stąpały po nierównym trakcie wiodącym ku dolnym war-

stwom ciemnoszarego nieba. Smugi ledwie widocznej chmury mieszały się i pochłaniały ich białe jak zjawy oddechy. Dolina poniżej stała się bezkształtną czarną jamą; ani jedno światło, żaden ogień, ruch czy dźwięk, który mógłbym wykryć, nie wydobywały się z jej czeluści. Gdy spowiły nas chmury, wydało mi się, że usłyszałem jęk; powóz przechylił się jak koło przetaczające się przez kamień na trakcie. Dotknąłem rewolweru; po chwili jednak uznałem, że jęk, który słyszałem, był po prostu odgłosem wyginających się drewnianych łączników powozu.

Chmura zgęstniała. Niskie drzewa, ledwie widoczne po bokach wyboistego traktu, wyglądały niczym karłowaci wartownicy jakiejś widmowej twierdzy.

Zatrzymałem się we mgłę na płaskim odcinku drogi. Z lamp powozu, gdy znieruchomiały ich płomienie, padały dwa stożki światła, w znikomym stopniu rozświetlające ciemności. Syk lamp był jednak pełen treści i podnosił na duchu. W ich blasku raz jeszcze sprawdziłem rzemienie na powozie. Część się obluzowała, zapewne z powodu wybojów. Po zakończeniu kontroli obróciłem lampy w tulejach,

kierując je z powrotem do przodu. Snopy światła natrafiły na wilgotną mgłę niczym na przekorne cienie i więcej skrywały, niż ukazywały.

Powóz wspinał się przez kolejne warstwy chmur po coraz bardziej spękanej nawierzchni, w miarę jak trakt spłaszczał się i prostował. Wydawało mi się, że lampy syczą teraz ciszej, a ich światło stało się ostrzejsze. Zbliżyliśmy się do przełęczy i małego płaskowyżu tuż za nią.

Ostatnie smugi mgły, niczym zwiewne palce nie chcące nas wypuścić, muskały lśniące boki koni i ściany powozu. Nad nami świeciły gwiazdy.

Szare szczyty wzbijały się w czerń po obu stronach, poszarpane i obce. W jasnym świetle gwiazd zamknięty górami płaskowyż był stalowo-szary; mroczne cienie rozciągały się od skał po obu stronach drogi w miejscach, gdzie padały na nie smugi światła lamp. Chmury za nami tworzyły zamglony ocean, który pluskał u brzegów wyrastających zeń kanciastych wysp odległych wierzchołków. Obejrzałem się na szczyty po drugiej stronie doliny, a gdy odwróciłem się z powrotem, ujrzałem światła nadjeżdżającego powozu.

Moje nerwowe wzdrygnięcie się spłoszyło klacze i sprawiło, że zboczyły z drogi. Powstrzymałem je i natychmiast przynagliłem, uspokajając moje głupie serce, najlepiej jak tylko mogłem, i ganiąc siebie za taką nerwowość. Nadjeżdżający powóz, dwulampowy jak mój, był jeszcze

dość daleko, na przeciwnym końcu spłaszczonej kotlinki na grzbiecie przełęczy. Wsunąłem rewolwer głębiej do wewnętrznej kieszeni i trzasnąłem lejcam, pobudzając klacze do kłusu, który nawet na tej płaskiej powierzchni z trudem utrzymywały. Światła naprzeciw, dwie migoczące żółte gwiazdy zesłane na ziemię, drżały, zbliżając się w coraz szybszym tempie.

Mniej więcej w środku płaskowyżu, pośród kamienistego pola, nasze powozy zwolniły. Droga przez przełęcz była wąska; jedynie większe skały i kamienie usunięto na pobocza, by zapewnić przejazd jednemu zaprzęgowi przez spękany teren. Miejsce do mijania, niewielka owalna powierzchnia, z której uprzątnięto tłuczeń, znajdowało się w połowie odległości między moim powozem a tym, który się do mnie zbliżał. Mogłem teraz dostrzec dwa białe konie ciągnące ów pojazd i, mimo blasku migoczących lamp, wyłowić z mroku niewyraźną postać na koźle. Ściągnąłem cugle klaczom, pozwalając im biec wolnym kłusem naprzód, tak żeby nasze powozy spotkały się na mijance. Wyglądało na to, że mój odpowiednik spodziewał się tego spotkania i również zwolnił.

I właśnie w tamtej chwili poczułem dziwny, trudny do określenia strach; przeszył mnie nagły i niepohamowany spazmatyczny dreszcz, jak gdyby moje ciało poraził prąd, jakiś piorun, niewidzialny i bezgłośny, spadający z nieruchomego nieba. Nasze

powozy dotarły do przeciwnych krańców małego placu. Skręciłem w prawo; powóz naprzeciw mnie zjechał jednak w swoją lewą stronę, tak że nasze konie znalazły się oko w oko, wzajemnie blokując sobie przejazd. Zatrzymały się, zanim ja i drugi woźnica ściągnęliśmy cugle. Szarpnąłem do tyłu, cmokając językiem, przekonując klacze, żeby się wycofały. Drugi powóz również się cofnął. Pomachałem do niewyraźnej postaci na koźle, próbując pokazać, że tym razem pojedę lewą stroną i pozwolę im minąć mnie z prawej. Pomachała do mnie w tej samej chwili. Nasze powozy zatrzymały się. Nie potrafiłem stwierdzić, czy gest tamtego woźnicy oznaczał, że zgodził się jechać dalej, czy nie. Ściągnąłem ciężko dyszące klacze w lewo. Drugi powóz znowu ruszył, jak gdyby chciał zajechać mi drogę, lecz zrobił to tak błyskawicznie, że wydawało się, iż znowu ruszyliśmy równocześnie.

Pokonany po raz kolejny, zatrzymałem moje klacze; stały naprzeciw swoich upiornych odpowiedników, oddzielone pustą przestrzenią, którą wypełniały ich zmieszane oddechy. Postanowiłem, że tym razem, zamiast się wycofać, pozostawię swój powóz nieruchomo i poczekam, aż tamten się wycofa, pozwalając mi przejechać obok.

Drugi powóz został na miejscu, w zupełnym bezruchu. Zesztywniałem. Poczuję się zmuszony wstać, osłaniając oczy przed blaskiem trzaskających lamp i usiłując dostrzec zwróconego do mnie twarzą woźnicę z tej niewielkiej, lecz denerwująco trudnej do przebycia odległości. Zobaczyłem, że tamten mężczyzna również się podnosi, zupełnie jakby był moim lustrzanym odbiciem; przysięgłbym, że on także podniósł rękę do oczu, tak samo jak ja.

Pozostałem bez ruchu. Serce biło mi szybko w piersi, wróciła też dziwna lepkość dłoni, której doświadczyłem wcześniej, nawet w skórzanych rękawiczkach. Odchrząknąłem i zawołałem do mężczyzny w powozie naprzeciwko:

–Panie! Proszę, niech pan...

Przerwałem. Drugi woźnica przemówił – i umilkł – dokładnie w chwili, gdy ja zacząłem, a potem przestałem mówić. Jego głos nie był echem, nie wypowiadał słów, które ja wypowiedziałem, i nawet nie byłem pewien, czy mówił tym samym językiem, ale ton był podobny do mojego. Ogarnęła mnie nagła furia; gwałtownie machnąłem ręką w prawo, on w tym samym momencie wykonał gest w swoją lewą stronę.

–Właśnie! – krzyknąłem, gdy on również krzyknął.

Stałem jeszcze przez chwilę, niezdolny udawać przed sobą, że dreszcz, który mnie przeszył, był reakcją na zimno; dygotałem wręcz, nie drżałem, i szybko usiadłem, by ulżyć swoim chwiejnym teraz nogom oraz by dalej kierować się obraną właśnie taktyką. Nie patrząc wprost na mojego przeciwnika – gdyż teraz tak właśnie myślałem o tym człowieku, najwyraźniej zdecydowanym mnie zatrzymać –

podniosłem bat i strzeliłem z niego nad klaczami, kierując je w lewo. Nie usłyszałem drugiego trzaśnięcia batem, lecz para białych koni naprzeciwko stanęła dęba podobnie jak para moich, a potem skręciła w swoją prawą stronę, tak że cztery bestie zmierzały przez chwilę ku sobie, nim jeszcze raz stanęły dęba, podrywając przednie nogi, dzwoniąc uprzężą, dotykając się niemal łbami i wierzgającymi kopytami. Krzycząc i strzelając z bata, szarpnąłem je do tyłu i spróbowałem minąć drugi powóz z przeciwnej strony. I znowu doznałem niepowodzenia; zwrócony ku mnie pojazd wydawał się odzwierciedlać każde moje działanie.

W końcu cofnąłem nerwowe, potrząsające łbami klacze, mając naprzeciwko równie zaniepokojoną parę po drugiej stronie owalnego placu. Ręce mi się trzęsły, na czoło wystąpił zimny pot. Zmrużyłem oczy, rozpaczliwie próbując zobaczyć, kim jest mój przeciwnik, lecz nad bla-

skiem lamp tamtego powozu wznosił się jedynie bardzo niewyraźny zarys jakiejś postaci, a jej twarz była zupełnie niewidoczna.

Byłem pewien, że nie ma tu żadnego lustra (nawet ta absurdalna ewentualność wydawała się w tym momencie bardziej możliwa do przyjęcia niż cokolwiek innego), a poza tym konie, które stały naprzeciw mnie, były białe, nie gniade -jak para zaprzężona do mojego powozu. Zastanawiałem się, co teraz zrobić. Nie zauważyłem żadnej innej drogi przez przełęcz; głązy i skały, które usunięto, żeby utworzyć trakt, zostały ułożone w sterty tworzące po obu stronach prowizoryczny mur sięgający do pasa. Nawet gdybym zdołał znaleźć jakąś lukę, teren za murem był nie do przebycia.

Odłożyłem bat i zszedłem na kamienne podłoże. Tamten postąpił tak samo. Gdy to zobaczyłem, zawahałem się, znowu zawładnął mną głęboki niepokój. Odwróciłem się niemal mimowolnie i spojrzałem za zapieczętowany powóz, na drogę prowadzącą ze skraju płaskowyzu. Powrót, równoznaczny z poniechaniem moich zamiarów, był nie do pomyślenia. Nawet gdyby mój cel był doczesny, gdybym był jakimś zwykłym podróżnym, zmierzającym po prostu do gospody na odludziu lub odległego miasta po drugiej stronie przełęczy, za nic bym nie zawrócił; nie widziałem żadnych innych dróg odchodzących od traktu, którym jechałem ze stacji położonej daleko w dolinie, nie słyszałem też o żadnej innej przełęczy prowadzącej przez te góry w zasięgu jednodniowej jazdy. Z uwagi na rodzaj ładunku i pilność mojej misji nie miałem innego wyjścia jak dalej jechać wybraną drogą. Udawszy, że ciaśniej ściągam kołnierz wokół szyi, przycisnąłem ukryty rewolwer do piersi. Skradając się, próbując jednocześnie sięgnąć w głąb swej istoty, dotrzeć do wszelkich rezerw rozsądku i odwagi, jakie mogłem znaleźć, dopiero w ostatniej chwili zorientowałem się, że postać naprzeciwko naśladuje moje ruchy i zanim zrobiła krok do przodu, również ściągnęła klapy kołnierza.

Mężczyzna był ubrany podobnie jak ja; prawdę mówiąc, każdy inny strój przy tej pogodzie groziłby szybkim końcem. Płaszcz miał chyba trochę dłuższy, a ciało

bardziej krępe od mojego. Doszliśmy do linii trzęsących się łbów naszych wierzchowców. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek doświadczył równie szybkiego i gwałtownego bicia serca jak teraz; jakiś nieokreślony wstręt przyciągał mnie, sprawiał, że szedłem ku tej wciąż niezupełnie widocznej postaci. Tak jakby jakieś magnetyczne siły, które przedtem przeszkadzały minąć się naszym powozom, zostały odwrócone i teraz wsysały mnie nieubłaganie, ciągnąc ku czemuś,

czego, jak wyraźnie dało do zrozumienia moje serce, się bałem – lub powinienem się bać – bezgranicznie, w sposób, w jaki niektórych ludzi nęci przepaść, gdy stoją nad samym jej brzegiem.

Zatrzymał się. Ja również. Z poczuciem nagłej ulgi, z krótkotrwałą bezgraniczną i niczym nie zmaconą radością ujrzałem, że ten mężczyzna nie ma mojej twarzy. Jego była bardziej kanciasta, oczy bliżej i głębiej osadzone, a nad ustami miał ciemne wąsy. Patrzył na mnie, stojąc w świetle lamp mojego powozu, tak jak ja stałem w świetle jego, i badał wzrokiem moją twarz z, jak przypuszczałem, równie ożywioną i odprężoną miną jak moja. Zacząłem mówić, ale przerwałem, zanim powiedziałem coś więcej niż: – Mój drogi... – Mężczyzna przemówił w tym samym momencie; wypowiedział jakieś krótkie słowo lub zwrot, najwidoczniej zwracając się do mnie tak, jak miałem się zwrócić do niego. Teraz byłem pewien, że posługiwał się obcym językiem, ale nie potrafiłem go rozpoznać. Czekałem, aż znowu się odezwie, ale on stał bez słowa, najwyraźniej przypatrując się mojej twarzy.

Pokręciliśmy głowami w tym samym momencie.

– To sen – powiedziałem cicho, podczas gdy on cicho przemówił w swoim języku. – To nie może się dzieć – ciągnąłem. – To niemożliwe. Ja śnię, a ty jesteś czymś z mojego wnętrza.

Obaj umilkliśmy równocześnie.

Popatrzyłem na jego powóz, gdy on popatrzył na mój. Oba wydawały się identyczne. Nie potrafiłem ocenić, czyjego był zapieczętowany, zamknięty na kłódkę i opasany rzemieniami jak mój, czy jego zawartość była równie cenna i straszna jak ta zamknięta w moim.

Raptem zrobiłem krok w bok; mężczyzna poruszył się w tej samej chwili, jakby chciał zastąpić mi drogę. Cofnęliśmy się. Czułem teraz jego zapach – dziwną piżmową woń jakichś perfum zmieszaną ze śladami stęchłego aromatu nieznanego korzenia bądź bulwy. Jego twarz zmarszczyła się nieco, tak jakby poczuł coś ode mnie – coś, co uznał za nie wiedzieć czemu niepokojące lub odrażające. W chwili gdy przypomniałem sobie o rewolwerze, dziwnie zadrżała mu jedna brew. Przez myśli przemknęło mi absurdałne wyobrażenie nas obu wyciągających rewolwery i strzelających do siebie oraz ołowianych pocisków zderzających się w powietrzu,

splaszczających się w idealnie okrągłe monety. Mój niedoskonały sobowtór uśmiechnął się tak jak ja. Pokręciliśmy głowami; miałem wrażenie, że ten ruch przynajmniej nie wymaga tłumaczenia, choć przyszło mi do głowy, że do tej sytuacji równie dobrze pa-

sowałoby podobnie powolne i rozważne skinienie głową. Każdy z nas cofnął się i potoczył wzrokiem po cichej, zimnej i nagiej panoramie tego nocnego miejsca, jakbyśmy w samej jego pustce mogli znaleźć coś, co zainspirowałoby jednego z nas bądź obu.

Nie potrafiłem o niczym myśleć.

Odwróciliśmy się, poszliśmy z powrotem do naszych powozów i wspięliśmy się na kozły. Mężczyzna, na powrót mająca w mroku za drżącym światłem lamp swego powozu postać (jaką bez wątpienia byłem również dla niego), usiadł, znieruchomił na pewien czas, po czym wzruszywszy z rezygnacją ramionami i pochyliwszy się niczym starzec, chwycił lejce – jak ja – jedną ręką (a ja odzwierciedliłem jego ruchy i doświadczyłem uczucia starczej jak gdyby goryczy, ociążałości okrywającej mnie warstwą kruchą jak lód, uczucia bardziej zabójczego i dotkliwego niż wszelki chłód niesiony przez powietrze).

Delikatnie szarpnął za łby swoich koni; dałem znak moim w ten sam sposób. Zaczęliśmy zawracać powozami, wykorzystując ograniczone powierzchnie małego placu, przesuwając się drobnymi ruchami w przód i w tył i pogwizdując na konie.

Gdy się zrównamy, postanowiłem, gotowi niczym okręty liniowe, wyciągnę broń i strzelę. Nie mogę wrócić; bez względu na to, czy on ustąpi, niezależnie od jego determinacji, muszę jechać dalej. Nie mam wyboru.

Powoli manewrowaliśmy swoimi niezdarnymi wehikułami, aż w końcu ustawiły się równolegle. Jego, podobnie jak mój, był zamknięty na kłódkę, z opuszczonymi żaluzjami, ciasno opasany. Mężczyzna spojrział na mnie i powoli, niemalże z samozadowoleniem, sięgnął ręką pod połę płaszcza. Zrobiłem to samo, wsuwając dłoń do wewnętrznej kieszeni kaftana i ostrożnie wyciągając rewolwer. Czy zdejmie rękawiczkę? Każdy z nas się zawahał, a potem on identycznie jak ja rozpiął guziki swojej na przegubie. Położył rękawiczkę na kozle u swego boku, po czym uniósł rewolwer, by we mnie wycelować.

Pociągnął za spust tak samo jak ja. Rozległy się tylko dwa ciche trzaski i nic poza tym.

Obaj otworzyliśmy komorę naboju; w świetle lampy zobaczyłem, że iglica w moim rewolwerze uderzyła w spłonkę; na metalu w kolorze miedzi widać było maleńkie wklęsnięcie. Ładunek w moim naboju, podobnie jak w jego, był najwyraźniej wilgotny

lub źle wykonany. To się czasami zdarza.

Mężczyzna znowu na mnie spojrzął i uśmiechnęliśmy się smutno. Włożyliśmy rewolwery z powrotem do kieszeni kaftanów, zawróciliśmy powozami i odjechaliśmy z powrotem ku dolinom i chmurom – ja z moim przerażającym ładunkiem, on ze swoim.

–...a potem obaj strzelamy w tym samym momencie, a przynajmniej obaj pociągamy za spust w tym samym momencie, ale nic się nie dzieje. Oba naboje to niewypały. Więc po prostu uśmiechamy się do siebie z czymś w rodzaju rezygnacji, jak przypuszczam, zawracamy powozami i ruszamy tam, skąd przyjechaliśmy.

Milknę. Doktor Joyce patrzy na mnie znad szkieł okularów w złotych oprawkach.

–To wszystko? – pyta. Potwierdzam skinieniem głowy.

–Potem się budzę.

–Tak po prostu? – Doktor Joyce wydaje się zmartwiony. – Nic więcej?

–Koniec snu – odpowiadam szorstko.

Doktor Joyce sprawia wrażenie zupełnie nie przekonanego (nie winię go za to wcale, to wszystko stek kłamstw) i kręci głową w geście, który chyba wyraża poirytowanie.

Stoimy na środku sali z sześcioma czarnymi ścianami i bez mebli; to kort do *rackets*, zbliżamy się do końca meczu. Doktor Joyce – pięć-dziesięciolatek, dość sprawny, lecz trochę otyły – wierzy w sensowność udziału w zajęciach swoich pacjentów ilekroć to możliwe; obaj gramy w *rackets*, więc zamiast siedzieć w jego gabinecie, przyszliśmy tutaj na mecz. Opowiadałem mu mój sen na raty, między kolejnymi piłkami.

Doktor Joyce cały jest różowy i szary: siwe kędzierzawe włosy, różowa twarz, cętkowane szaroróżowe ramiona i nogi sterczące z szarych szortów. Jego oczy za zabezpieczonymi łańcuszkiem okularami w złotych oprawkach są jednak niebieskie: bystre, ciemnoniebieskie i osadzone w jego różowej twarzy jak kawałki szkła wetknięte w talerz z surowym mięsem. Ciężko dyszy (ja nie), pot się z niego leje (ja spociałem się dopiero przy ostatniej piłce) i patrzy bardzo podejrzliwie (jak już powiedziałem, nie bez powodu).

–Budzi się pan? – pyta.

Staram się jak mogę, żeby w moim głosie zabrzmiało rozdrażnienie:

–Nie mogę, do cholery, kontrolować tego, co mi się śni. – (Kłamstwo).

Doktor wydaje z siebie profesjonalne westchnienie i używa swojej rakiety wyłapującej do zgarnięcia piłki, do której nie zdążył podczas ostatniej wymiany. Wlepia wzrok w ścianę serwisową.

–Pana serw, Orr – mówi szorstko.

Serwuję, po mnie robi to doktor. *Rackets* to gra dla dwóch osób, każdej z dwiema raketami – wychwytną i uderzającą. Gra się dwiema różowymi piłkami na sześciokątnym, pomalowanym na czarno korcie. To ostatnie, poddane obróbce niewyszukanego humoru, doprowadziło do tego, że *rackets* uznaje się za męską grę. Doktor Joyce zna się na niej lepiej ode mnie, ale jest niższy, cięższy, starszy i ma gorszą koordynację ruchów. Gram dopiero od sześciu miesięcy (zalecił mi to mój fizjoterapeuta), ale wygrywam wymianę – i cały mecz – dość łatwo, wyłapując jedną piłkę; tymczasem doktor psuje drugą. Stoi, dysząc i patrząc na mnie z furią; uosobienie różowej urazy.

–Jest pan pewien, że nie było nic poza tym? – pyta.

–Absolutnie – odpowiadam.

Doktor Joyce jest moim lekarzem od snów. Specjalizuje się w analizie snów i wierzy, że analizując moje, zdoła odkryć o mnie więcej, niż mógłbym mu powiedzieć w efekcie świadomych wysiłków (cierpię na amnezję). Ma nadzieję, że wykorzystując to, co stwierdzi tą metodą, jakoś pobudzi moją występłą pamięć do działania: ciach! Uwolnię się jednym potężnym skokiem wyobraźni. Przez ponad pół roku starałem się ze wszystkich sił współpracować z nim w tym szlachetnym przedsięwzięciu, lecz moje sny zawsze były albo zbyt niewyraźne, by je dokładnie przytoczyć, albo zbyt banalne, by warto je było analizować. W końcu, nie chcąc rozczarować coraz bardziej zniechęconego doktora, uciekłem się do wymyślenia snu. Miałem nadzieję, że mój sen o zapieczętowanych powozach da doktorowi Joyce'owi coś, co mógłby naprawdę zacząć rozgryzać swymi żółtoszarymi zębami, lecz widząc jego rozdrażnione spojrzenie i wojowniczą postawę, odniosłem wrażenie, że tak się nie stało.

–Dzięki za grę – mówi.

–Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiadam z uśmiechem.

Pod prysznicami doktor Joyce uderza poniżej pasa.

–A pana libido, Orr? W normie?

Namydlą swój wydatny brzuch, a ja rozcieram pianiste kręgi na mojej piersi.

–Owszem, doktorze. A pana?

Poczciwy doktor odwraca wzrok.

–Pytałem jako lekarz – wyjaśnia. – Myśleliśmy po prostu, że mogą być z tym jakieś problemy. Ale skoro jest pan pewien... – Jego głos uła tuje, a on wchodzi pod strumień wody, żeby się oplukać.

Czego pocziwy doktor oczekuje? Referencji?

Wykąpani, przebrani i po wizycie w klubowym barze jedziemy windą na poziom, na którym znajdują się pomieszczenia ordynacyjne doktora Joyce'a. Doktor wygląda normalnie w swoim szarym garniturze i różowym krawacie, ale wciąż się poci. W spodniach, jedwabnej koszuli, kamizelce i surducie (niesionym na razie na ramieniu) czuję się odświeżony i spokojny. Winda – skórzane fotele, rośliny w doniczkach - delikatnie szumi, gdy pnie się do góry. Doktor Joyce idzie usiąść sobie na ławce przy jednej ze ścian, koło windziarza, który czyta gazetę. Wyjmuje lekko zszarzałą białą chusteczkę, ociera czoło i pyta:

–Więc co pana zdaniem znaczy ten sen, Orr?

Spoglądam na czytającego gazetę windziarza. Poza nami nie ma nikogo w kabinie, ale wydawało mi się, że nawet obecność obsługującego windę chłopca stanowi dostateczną przeszkodę w czymś, co jak myślałem, miało być poufną wymianą zdań. Właśnie dlatego zmierzaliśmy do gabinetu pocziwego doktora. Wlepiał wzrok w boazerię windy, obite skórą meble i raczej banalne ryciny marynistyczne (i dochodzę do wniosku, że wolę windy z widokiem na okolicę).

–Nie mam pojęcia – odpowiadam. Kiedyś (wydaje się, że sobie to przypominam) myślałem, iż moje sny znaczą dokładnie to, co ma mi powiedzieć doktor Joyce, ale pocziwy doktor wyprowadził mnie z tego błędu jakiś czas temu, gdy jeszcze usiłowałem mieć sny wystarczająco znaczące dla niego, by zaczął nad nimi pracować.

–Ale właśnie o to chodzi – ze znużeniem mówi doktor Joyce – że prawdopodobnie pan wie.

–Tylko nie chcę panu powiedzieć? – podpowiadam. Doktor Joyce kręci głową.

–Nie, przypuszczalnie nie potrafi pan.

–Po co więc pan pyta?

Winda zwalnia i się zatrzymuje. Poradnia doktora znajduje się mniej więcej w połowie górnej części mostu, w równej odległości od wiecznie zasnutego parą peronu i jednego z często zatopionych w chmurach wierzchołków wielkiej budowli. To człowiek o niemałych wpływach, skoro jego poradnia mieści się na zewnątrz głównej konstrukcji i zapewnia jeden z tych bardzo poszukiwanych widoków na morze. Czekamy, aż otworzą się drzwi.

–Musi pan sobie postawić pytanie – oświadcza doktor – co tego rodzaju sen oznacza w odniesieniu do mostu.

–Mostu?

–Tak – potwierdza skinieniem głowy.

–Nie zdołał mnie pan wyleczyć – wyjaśniam mu. – Nie rozumiem, jaki może istnieć związek między mostem a moim snem.

Kolejne lekarskie wzruszenie ramion.

–Być może sen jest mostem – zastanawia się na głos, gdy rozsuwa

ją się wewnętrzne drzwi. Wyjmuje przepustkę, by pokazać ją windziar

zowi. – Być może to most jest snem.

(No cóż, ogromnie mi pomógł). Pokazuję windziarzowi moją szpitalną bransoletkę identyfikacyjną, po czym idę za poczciwym doktorem szerokim, pokrytym wykładziną dywanową korytarzem do jego przychodni.

Bransoletka identyfikacyjna na przegubie mojej prawej ręki to pasek z tworzywa, zawierający jakieś urządzenie elektroniczne wyszczególniające moje nazwisko i miejsce zamieszkania. Określa ona charakter mojego schorzenia, terapię, którą przechodzę i nazwisko mojego lekarza. Na plastikowym pasku wydrukowano moje imię i nazwisko: John Orr. Tak naprawdę to nie są moje personalia; to imię i nazwisko, które otrzymałem od dyrekcji mostowego szpitala, gdy tu przybyłem. John, ponieważ jest często spotykanym, nieszkodliwym imieniem, Orr dlatego, że gdy zostałem wyłowiony z wód falujących wokół jednego z wielkich granitowych filarów mostu, na piersi miałem duże sine stłuczenie, niemal idealnie równe koło odcisnięte na moim ciele (miałem sześć połamanych żeber). Wyglądało jak litera O. Orr było pierwszym nazwiskiem rozpoczynających się na O, które przyszło na myśl pielęgniarkom obarczonym obowiązkiem opieki nade mną; to im zgodnie z tradycją pozwala się nadawać nazwiska znajdom, a ponieważ odkryto mnie bez jakichkolwiek świadectw tożsamości, zakres terminu rozszerzono także na mnie.

Mógłbym dodać, że moja pierś nadal pobolewa od czasu do czasu, jak gdyby ów

dziwny, niewiadomego pochodzenia znak pozostał tam w całej swej barwnej okazałości. Nie muszę chyba dodawać, że doznałem także ran głowy, pierwotnie uważanych za przyczynę mojej amnezji. Doktor Joyce jest skłonny przypisać ból, który odczuwam w piersi, temu samemu urazowi, który wywołał u mnie zanik pamięci. Sądzi, że moja niezdolność przypomnienia sobie zdarzeń z dawnego życia została spowodowana nie tyle przez obrażenia głowy, ile przez jakiś – może

związany z nimi – wstrząs psychiczny, i że rozwiązania problemu mojej amnezji należy szukać w moich snach. Właśnie dlatego przyjął mnie na terapię: jestem ciekawym przypadkiem, wyzwaniem. Odkryje dla mnie moją przeszłość bez względu na to, jak długo to potrwa.

W poczekalni spotykamy Przeróżającego Młodego Człowieka, który jest recepcjonistą. To bystry i pełen animuszu człowiek, zawsze gotów opowiedzieć dowcip lub jakąś dykteryjkę, zawsze skłonny podać kawę lub herbatę i pomóc w nałożeniu lub zdjęciu płaszcza; nigdy nie jest ponury ani markotny, opryskliwy ani nieprzyjemny, i zawsze interesuje się tym, co pacjenci doktora Joyce'a mają do powiedzenia. Jest szczupły, schludnie ubrany, ze starannie wypielęgnowanymi rękami; stosuje wodę kolońską o dyskretnym zapachu, dawkowaną oszczędnie, lecz z dobrym skutkiem, jego fryzura zaś jest staranna i gustowna, a zarazem naturalna. Czy muszę dodawać, że każdy z pacjentów doktora Joyce'a, z jakim kiedykolwiek rozmawiałem, serdecznie nim gardzi?

–Doktorze, jak to miło znów pana widzieć! – mówi. – Dobrze się panu grało?

–O tak – bez entuzjazmu odpowiada doktor, rozglądając się po poczekalni. W pokoju są jeszcze tylko dwie inne osoby: policjant oraz chudy, wyglądający na zmartwionego mężczyzna z obfitym łupieżem. Zafrasowany mężczyzna siedzi z zamkniętymi oczami na jednym z sześciu – chyba – krzesel poczekalni. Policjant siedzi na nim, popijając kawę z filiżanki. Doktor Joyce ogarnia tę dziwną konfigurację obojętnym spojrzeniem.

–Były jakieś telefony? – pyta Przeróżającego Młodego Człowieka, który stoi lekko pochylony, z rękami złączonymi czubkami palców.

–Żadnych pilnych, panie doktorze. Zostawiłem chronologiczny spis na pana biurku, z wstępnym uszeregowaniem według ważności odpowiedzi w porządku wznoszącym na lewym marginesie. Filiżankę herbaty, doktorze? A może kawę?

–Nie, dziękuję.

Doktor Joyce machnięciem ręki każe odsunąć się Przeróżającemu Młodemu Człowiekowi na bok i ucieka do swojego gabinetu. Wręczam PMC mój płaszcz, gdy ten mówi:

–Dzień dobry, panie Orr! Czy mogę wziąć pana... Och, dziękuję panu! Dobrze się panu grało, panie Orr?

–Nie.

Policjant dalej siedzi na chudzielcu z łupieżem. Odwraca wzrok z wyrazem zgryźliwości graniczącej z zażenowaniem.

–Boże mój – mówi młody recepcjonista, i wygląda na stroskanego.

–Przykro mi to słyszeć, panie Orr. Może filiżankę czegoś, co pana roz weseli?

–Nie, dziękuję.

Mijam go szybko, by dołączyć do doktora w jego gabinecie. Joyce przegląda listę leżącą pod przyciskiem do papieru na bibularzu imponująco wielkiego biurka.

–Doktorze Joyce, dlaczego w pana poczekalni jest policjant siedzący na jakimś mężczyźnie? – pytam.

Patrzy w stronę drzwi, które właśnie zamknąłem za sobą, i mówi:

–Och, to pan Berkeley. Ma typowe urojenia. Ciągle mu się wydaje, że jest meblem.

Marszczy czoło i stuka palcem w pozycję na liście. Siadam w wolnym fotelu.

–Naprawdę?

–Tak. Jego mniemanie o tym, kim jest, zmienia się z dnia na dzień. Każdemu, kto go pilnuje, mówimy, żeby mu ustępował, gdy to tylko możliwe.

–Rozumiem. Myślałem, że są jakąś minimalistyczną radykalną grupą teatralną. Rozumiem, że pan Berkeley sądzi teraz, że jest krzesłem.

Doktor Joyce marszczy brwi.

–Niech pan nie będzie idiotą, Orr. Przecież nie położyłby pan jednego krzesła na drugim, prawda? Pewnie myśli, że jest poduchą.

–Oczywiście – odpowiadam, kiwając głową. – Czemu strażnik policyjny?

–Och, te urojenia mogą się stać trochę niebezpieczne; co jakiś czas wydaje mi się, że jest bidetem w damskiej toalecie. Zazwyczaj nie jest gwałtowny, po prostu... – Doktor Joyce przez chwilę wpatruje się nieprzytomnie w pastelworóżowy sufit swojego gabinetu, szukając odpowiedniego słowa, po czym wyławia je z pamięci: -... bywa natarczywy.

–Powraca do studiowania listy.

Odchylam się do tyłu. Podłoga gabinetu doktora Joyce'a jest wyłożona tekowym drewnem i pokryta przypadkowymi dywanami w delikatnych odcieniach i w banalne abstrakcyjne wzory. Z imponującym biurkiem harmonizują dwie wypchane grubymi tomami biblioteczki i szafka na akta. Jest również niski stół z wygodnymi i gustownymi fotelami, w jednym z których teraz siedzę. Połowę jednej ściany gabinetu zajmuje okno, lecz widok zasłaniają story. Półprzezroczyste, iskrzą się w porannym słońcu, przepuszczając odpowiednią ilość światła.

Doktor zgniata w kulkę starannie zapisaną na maszynie kartkę i wrzucają do pojemnika na śmieci. Wyciąga fotel z za biurka i ustawia go tak, żebyśmy mogli siedzieć zwrócenymi twarzami do siebie. Ściąga notes z blatu i kładzie go na kolanach, po czym z kieszeni na piersi wyjmuje mały srebrny ołówek automatyczny.

–No dobra, Orr, na czym stanęliśmy?

–Wydaje mi się, że pana ostatnią przypuszczalnie konstruktywną hipotezą było, że most może być snem.

Doktorowi opadają kąciki ust.

–Skąd by pan wiedział, gdyby było inaczej?

–Skąd bym wiedział, gdyby most nie był snem?

Doktor odchyła się w fotelu z miną człowieka znającego się na rzeczy.

–Właśnie.

–No cóż, a skąd pan wie, że nie jest, doktorze? Uśmiecham się. Doktor wzrusza ramionami.

–Pytanie mnie o to nie ma sensu. Przecież byłbym częścią tego snu. – Pochyliła się do przodu w swoim fotelu; robię to samo, więc siedzimy niemal nos w nos. – Co oznacza zapieczętowany powóz? – pyta.

–Pewnie pokazuje, że czegoś się boję – rzucam opryskliwie.

–Tak, ale czego? – syczy doktor z bliska.

–Poddaję się. Niech pan mi to powie.

Przez dłuższą chwilę siedzimy oko w oko. Potem doktor przerywa tę próbę sił, odchylając się do tyłu i wzdychając tak głośno, jakby powietrze uchodziło z fotela ze sztucznej skóry. Zapisuje parę uwag.

–Jak idzie pana dochodzenie? – pyta rzeczowo. Wyczuwam pułapkę. Obserwuję go przez zmrużone oczy.

–Jakie dochodzenie?

–Zanim opuścił pan szpital i jeszcze niedawno mówił mi pan o do chodzeniu, które prowadzi. Powiedział pan, że stara się dowiedzieć wszystkiego o moście. Wtedy wydawało się to dość ważne dla pana.

Odchylam się w fotelu.

–Rzeczywiście próbowałem się dowiedzieć paru rzeczy. Ale...

–Ale zrezygnował pan – mówi pocziwy doktor; kiwa głową, notuje.

–Próbowałem. Napisałem listy do wszystkich urzędów, biur, departamentów, college'ów i gazet, jakich adresy zdołałem znaleźć. Ślęczałem do późna w nocy, pisząc listy, całe tygodnie przesiadywałem w przedpokojach, poczekalniach, recepcjach i na korytarzach. Skończyło się skurczem ręki, ostrym przeziębieniem i wezwaniem przed Ko-

misję ds. Nadużyć w Wykorzystywaniu Diet na Utrzymanie przez Pacjentów Zakwaterowanych Poza Szpitalem. Nie mogli uwierzyć, ile wydaję na opłaty pocztowe.

–I co pan odkrył?

Doktor Joyce jest rozbawiony.

–Że nie ma sensu próbować uzyskać jakiegokolwiek cenne informacje na temat mostu.

–Co pan nazywa cennymi informacjami?

–Gdzie się znajduje. Co łączy. Ile ma lat. Tego rodzaju rzeczy.

–Nie poszczyściło się?

–Nie sędę, by szczęście miało z tym wiele wspólnego. Nie sędę, by ktokolwiek znał odpowiedzi bądź się tym przejmował. Wszystkie moje listy ginęły lub wracały nie otworzone, albo z załączonymi odpowiedziami w językach, których ja nie rozumiałem, a żadna z osób, z którymi zdołałem się skontaktować, nie potrafiła pojąć.

–No cóż – doktor porusza ręką niczym wahadłem – pan rzeczywiście ma problem z językami, prawda?

Rzeczywiście mam. W każdej części mostu w użyciu jest do tuzina różnych języków; specjalistyczne żargony stworzone na przestrzeni lat przez przedstawicieli rozmaitych zawodów i wyspecjalizowanych grup, rozwinięte, wzbogacone i udoskonalone do granic zrozumiałości tak dawno temu, że nikt właściwie nie pamiętał, czy ten proces miał miejsce, ani nie mógł sobie przypomnieć czasów, zanim się rozpoczął. Ja – odkryto to, gdy wyszedłem ze stanu śpiączki – mówię językiem Sztabu i Administratorów: oficjalnym, ceremonialnym językiem mostu. O ile jednak prawie wszyscy pozostali posługują się co najmniej jednym innym językiem, zwykle związanym z ich pracą lub oficjalnym stanowiskiem, ja – nie. Gdy znajduję się wśród zaaferowanych tłumów zamieszkujących główne arterie komunikacyjne mostu, co najmniej połowa toczących się rozmów jest dla mnie zupełnie niezrozumiała. Mnie ta zbyteczna mnogość języków po prostu denerwuje, ale wyobrażam sobie, że bardziej paranoidalnym pacjentom doktora ów nadmiar języków niemal na pewno wydaje się efektem spisku.

–Ale to nie tylko o to chodzi. Szukałem zapisków dotyczących bu

dowy mostu i jego pierwotnego przeznaczenia. Szukałem starych ksią

żek, gazet, czasopism, nagrań, filmów – czegoś, co odnosiło się do jakie

goś miejsca opodal mostu lub przed nim bądź poza nim. Nie ma nicze

go. Wszystko zniknęło! Zostało zgubione, skradzione, zniszczone lub

po prostu trafiło do niewłaściwych teczek. Czy pan wie, że w samym

tylko tym segmencie mostu zdołano stracić całą bibliotekę? Bibliotekę! Jak u diabła gubi się bibliotekę? Doktor Joyce wzrusza ramionami.

–No cóż, czytelnicy gubią książki z bibliotek... – zaczyna wyjaśniać rzeczowym tonem.

–Na litość boską, człowieku! Całą bibliotekę? Były w niej dziesiątki tysięcy książek, sprawdziłem. Prawdziwe książki i oprawione dzienniki oraz dokumenty, mapy i... – Zdaję sobie sprawę, że zaczynam mówić podniesionym głosem. – Trzecie Archiwum Miejskie i Biblioteka Materiałów Historycznych zaginione i przypuszczalnie na zawsze stracone. Z inwentaryzacji wynika, że znajduje się w tym segmencie mostu, są niezliczone wzmianki o niej i odsyłacze do książek i dokumentów, które zawierała, a nawet wspomnienia uczonych, którzy chodzili tam je studiować. Ale nikt nie potrafi jej znaleźć, wiadano o niej tylko dzięki tym wzmiankom. Nawet nie zadają sobie specjalnego trudu, żeby ją odszukać. Mój Boże, ktoś by pomyślał, że wyślą jakąś grupę bibliotekarzy lub bibliofilów. Niech pan zapamięta jej nazwę, doktorze. Proszę do mnie zadzwonić, jeżeli pan na nią natrafi.

Prostuję się w fotelu, zakładam ręce. Doktor zapisuje parę następnych uwag.

–Myśli pan, że wszystkie te informacje, których pan szuka, są lub zostały rozmyślnie zatajone przed panem? – Unosi pytająco jedną brew.

–No cóż, to przynajmniej dałoby mi przeciwnika, z którym mógłbym walczyć. Nie, nie sędzę, by kryła się za tym czyjaś złośliwość. Powodem jest po prostu bałagan, niekompetencja, apatia i nieskuteczność. Z tym nie można walczyć, to jest niczym próba dzielenia pięścią mgły.

–Cóż więc pan odkrył? – Doktor uśmiecha się lodowato, z oczyma jak lód zblękitniały ze starości. – W którym miejscu pan zrezygnował?

–Odkryłem, że most jest bardzo duży, doktorze. Duży i dość długi. Znika na horyzoncie w obu kierunkach. Stałem na małej wieży radiowej na jednym z jego wierzchołków i naliczyłem dobre dwa tuziny innych pomalowanych na czerwono wierzchołków znikających w sianej mgle od strony Miasta i Królestwa (obu niewidocznych). Łądu nie widziałem, odkąd wyłowiono mnie tutaj, chyba że ktoś uzna za ład wysepki, na których wspiera się co trzeci segment mostu. Jest też dość wysoki: co najmniej pięćset metrów. W obrębie każdego segmentu mieszka sześć bądź siedem tysięcy ludzi, a prawdopodobnie jest miejsce -i zapas wytrzymałości w konstrukcji nośnej – na jeszcze większą gęstość zaludnienia.

Kształt: opiszę most literami. W przekroju poprzecznym, w najszerszym miejscu, przypomina literę A. Pomost kolejowy tworzy poprzeczkę tej litery. W rzucie

pionowym środkiem część każdego segmentu składa się z H nałożonego na X. Z tego środka w każdą stronę rozchodzi się sześć następných X, które stopniowo maleją, aż w końcu stykają się ze smukłymi przęsłami (mającymi dziewięć małych X każde). Połączenie końców każdego X daje wyraźny zarys ogólnego kształtu. I już! Oto most!

–Czy to wszystko? – pyta doktor Joyce, mrugając oczyma. – Jest bardzo duży, i nic poza tym?

–To wszystko, co musiałem wiedzieć.

–Ale jednak zrezygnował pan.

–Kontynuując poszukiwania, postąpiłbym jak natręt. Teraz zamierzam po prostu przyjemnie spędzać czas. Mam bardzo wygodne mieszkanie, godziwą dietę od szpitala, którą wydaję na rzeczy, które mnie bawią lub które uważam za piękne. Odwiedzam galerie, chodzę do teatru, na koncerty, do kina. Czytam. Znalazłem paru przyjaciół, głównie wśród inżynierów. Jak mógł pan zauważyć, uprawiam sporty. Mam nadzieję, że zostanę przyjęty do jachtklubu... Znajduję sobie zajęcie. Nie powiedziałbym, że cokolwiek odrzucam. Staram się, wspaniale się bawiąc.

Doktor Joyce zaskakująco szybko wstaje, rzuca notes na biurko i zaczyna chodzić za nim tam i z powrotem, między pełnymi książek szafkami a iskrzącymi się zasłonami. Z chrzęstem wyłamuje sobie palce u rąk. Przyglądam się moim paznokciom. Joyce kręci głową.

–Wydaje mi się, że nie traktuje pan tego wystarczająco poważnie,

Orr – mówi. Podchodzi do okna i rozsuwa zasłony, odsłaniając jasny

słoneczny dzień, błękitne niebo i białe obłoki. – Niech pan tu podejdzie.

Z westchnieniem i uśmiechem typu: no dobrze, jeśli to cię uszczęśliwi, dołączam do poczciwego doktora.

Na wprost przed nami – morze; szaroniebieskie i wzburzone. Upstrzone jachtami i łodziami rybackimi; krążące mewy. Doktor wskazuje jednak w bok (jedna ściana jego gabinetu wystaje poza elewację, może więc patrzeć wzdłuż krawędzi mostu).

Kompleks szpitalny, którego część stanowi przychodnia doktora, trochę dumnie, niczym gwałtownie rosnący guz, wystaje z głównej konstrukcji. Stąd, w widoku pod tak ostrym kątem, zaciera się elegancka harmonia mostu i wydaje się on po prostu zapchany i zbyt masywny.

Jego skośne ściany, rdzawoczerwone i żebrowane, wznoszą się od zwieńczonych granitowymi cokołami podstaw osadzonych w morzu prawie trzysta metrów niżej. Te kratowe powierzchnie boczne są podzielone i wypełnione skupiskami drugo- i trzeciorzędnych konstrukcji architektonicznych: chodnikami i szybami wind, kominami i pomostami na słupach, dźwignicami linomostowymi i rurami, antenami, transparentami i flagami wszelkich kształtów, rozmiarów i barw. Są tam małe i duże budynki, biura, szpitale, warsztaty, mieszkania i sklepy -wszystkie przyklejone niczym kanciaste pijawki z metalu, szkła i drewna do masywnych rur i splecionych dźwigarów samego mostu, pomieszane, ściśnięte i stłoczone pomiędzy pomalowanymi na czerwono elementami pierwotnej konstrukcji niczym łamliwe przepukliny wyskakujące spomiędzy ogromnych mięśni.

–Co pan widzi? – pyta doktor Joyce.

Spoglądam przed siebie, jak gdyby mnie poproszono, bym podziwiał misterną technikę malarską na jakimś słynnym obrazie.

–Widzę cholernie wielki most, doktorze.

Doktor Joyce mocno pociąga za sznur, zrywa go u góry i pozostawia zasłony rozsunięte. Wciąga powietrze po czym siada za biurkiem i pośpiesznie zapisuje coś w notesie.

–Pana problem, Orr, polega na tym – mówi, pisząc – że ma pan za mało wątpliwości.

–Naprawdę? – pytam niewinnie. Czy to opinia fachowca, czy po prostu osobista zniewaga?

Za oknem w pole widzenia powoli wjeżdża rusztowanie czyściciela okien. Doktor Joyce nie zauważa go. Mężczyzna na rusztowaniu puka w szybę.

–Chyba już pora zlecić mycie okien, doktorze – mówię.

Joyce na chwilę unosi wzrok; czyściciel okien puka na przemian w szybę i w swój zegarek. Doktor Joyce powraca do swojego notesu, kręcąc głową.

–Nie, to pan Johnson – wyjaśnia.

Mężczyzna na rusztowaniu przyciska nos do szyby.

–Pacjent? – Tak.

–Pozwoli pan, że zgadnę. On myśli, że jest czyścicielem okien.

–On jest czyścicielem okien, i to bardzo dobrym. Po prostu nie chce wrócić do środka, i to wszystko. Siedzi na tym rusztowaniu od pięciu lat. Władze zaczynają się niepokoić.

Przyglądam się panu Johnsonowi ze świeżo nabranym szacunkiem; jakże miło ujrzyć człowieka tak szczęśliwego w swojej pracy. Jego rusztowanie jest wytarte i zaśmiecone. Na jednym końcu leżą butelki, puszki, mała walizka, brezent i coś, co może być łóżkiem polowym; wszystko to równoważy sprzęt do mycia na drugim. Johnson stuka w szybę wycieraczką w kształcie T.

–On wchodzi do pana, czy pan wychodzi do niego? – pytam pocziwego doktora, zbliżając się do okien.

–Ani jedno, ani drugie. Rozmawiamy przez otwarte okno – wyjaśnia doktor Joyce. Słyszę, jak odkłada notes do szuflady. Gdy się odwracam, stoi i patrzy na zegarek. – Tak czy owak, zjawił się za wcześnie. Muszę teraz iść na zebranie komitetu.

Przekazuje informację tej treści mimiką panu Johnsonowi, który potrząsa ręką i podnosi zegarek do ucha.

–A co z biednym panem Berkeleyem, wspierającym właśnie wymiar sprawiedliwości?

–On też będzie musiał poczekać.

Doktor wyciąga jakieś papiery z innej szuflady i upycha je w cienkiej teczce.

–Jaka szkoda, że panu Berkeleyowi nie wydaje się, iż jest hamakiem

–mówię, gdy pan Johnson winduje się do góry i znika z pola widzenia.

–Wtedy mógłby pan trzymać ich obu przy sobie.

Pocziwy doktor patrzy na mnie wilkiem.

–Niech pan stąd wyjdzie, Orr.

–Oczywiście, doktorze. Ruszam ku drzwiom.

–Niech pan wróci jutro, jeżeli coś się panu przyśni.

–Zgoda. Otwieram drzwi.

–Wie pan co, Orr? Zbyt łatwo pan rezygnuje – mówi poważnie dok

tor Joyce, wsuwając swój srebrny ołówek automatyczny z powrotem do kieszeni na piersi.

Myślę o tym przez chwilę, po czym potwierdzam skinieniem głowy i mówię:

–Tak. Zgadza się, doktorze, ma pan rację.

W poczekalni okropny recepcjonista przychodzi mi włożyć płaszcz (oczyścił go szczotką w czasie, gdy przebywałem z doktorem).

–No cóż, panie Orr, i jak dziś poszło? Mam nadzieję, że dobrze. Czy tak?

–Bardzo dobrze. Znaczna poprawa. Wielkie postępy. Znacząca dyskusja.

–Och, to brzmi naprawdę zachęcająco!

–Wprost niewiarygodne.

Jedną z ogromnych głównych wind zjeżdżam z kompleksu szpitalnego na poziom ulicy nad pomostem kolejowym. W windzie, wśród grubych dywanów, dzwoniących żyrandoli i wypolerowanego mahoni w mosiężnych ramach biorę z baru szklankę cappuccino i siadam, by obejrzeć kwartet skrzypcowy, stałe występujący pod oknami tego wielkiego, powoli opadającego pokoju.

Za mną, stojąc wokół owalnego stołu w odgrodzonym kordonem prostokącie, około dwudziestu biurokratów i ich asystentów omawia skomplikowaną kwestię, która pojawiła się w porządku ich zebrania, dotyczącego – zgodnie z informacją na afiszu na małym stoisku tuż za liną – normalizacji wymagań dokumentacyjnych w zaproszeniach do składania ofert na szybkobieżne kanały do ładowania paliwa do lokomotyw (rodzaj pyłu węglowego, zabezpieczenie przeciwpożarowe).

Z windy wychodzę na ulicę nad głównym pomostem kolejowym; ta aleja chodników i ścieżek rowerowych ma metalową nawierzchnię i wytycza stosunkowo prostą drogę zarówno przez konstrukcję własną mostu, jak i chaotycznie rozmieszczone dobudówki w postaci sklepów, kawiarni i kiosków zaśmiecających ten ruchliwy poziom.

Ulica – dumnie nazwana Bulwarem Królowej Małgorzaty – leży blisko krawędzi mostu; budynki po jej wewnętrznej stronie tworzą część dolnej warstwy zikkuratu drugorzędnych budowli ułożonych wewnątrz pierwotnego szkieletu mostu. Budynki od jej zewnętrznej strony stykają się z samymi dźwigarami głównymi, a z nielicznych luk między nimi roztacza się widok na morze i niebo.

Długa i wąska ulica przywodzi mi na myśl starożytne miasta, w których

porozrzucane bez planu budynki chyliły się ku sobie, zamykając zarówno nad samymi ulicami, jak i nad tłoczącymi się na nich tłumami. Tutejsza sceneria niewiele się od nich różni; ludzie potrącający się, chodzący, jeżdżący na rowerach, pchający wózki dziecięce, ciągnący wozy, noszący lektyki, z wysiłkiem kierujący trzykołowymi furgonami, gawędzący w rozmaitych językach, ubrani w cywilne ubrania lub mundury

i tworzący gęstą masę, w której ludzie płyną w dwóch kierunkach równocześnie oraz w poprzek głównego nurtu niczym oszalałe krwinki w tętnicy.

Stoję na podniesionym peronie przed przystankiem windy.

Na tle gwaru drepczących ludzi ciągle syki i brzęki, zgrzyty, klaksony i gwizdy pociągów na pomoście poniżej brzmią niczym odgłosy z jakichś mechanistycznych zaświatów, a co pewien czas basowe dudnienie i jeszcze niższe drżenie i grzechotanie oznajmia przejazd ciężkiego pociągu gdzieś u dołu; wielkie pulsujące kłęby białej pary przewalają się po ulicy i ulatują ku górze.

Wyżej, tam gdzie powinno być niebo, znajdują się odległe, ledwie widoczne dźwigary wysokiego mostu; przesłonięte wznoszącymi się wyziewami i oparami, zalsnione światłem przechwyconym przez pancierz skażonych ludźmi pomieszczeń i biur, wyrastają do góry i spoglądają na ordynarną bezbożność tych dobudowanych poniewczasie konstrukcji z majestatem i okazałością dachu wielkiej katedry.

Oszalały chór dzwoniących grubych ryb z jednej strony; czarna riksha ciągnięta przez młodego chłopca pędzi przez tłum, który się przed nią rozstępuje. To taksówka jakiegoś inżyniera. Tylko ważni oficjele i kurierzy głównych gildii mogą korzystać z riksz; pozwolenie na korzystanie z lektyk mają jedynie ludzie zamożni, choć i tak używają ich nieliczni, gdyż windy i tramwaje są szybsze. Jedyną alternatywą jest jeżdżenie rowerem, ponieważ jednak na moście podatek płaci się od liczby kół, dla większości ludzi jedynym pojazdem, na którego używanie ich stać, jest monocykl. Wypadki są na porządku dziennym.

Seria trąbień, która poprzedza taksówkę, wydobywa się spod stóp odzianego w uniform nastoletniego rikszarza; w obcasach jego butów znajdują się małe klaksony. Ludzie znają ten ostrzegawczy dźwięk.

Idę do kawiarni, by się zastanawiać, co zrobię po lunchu. Mógłbym popływać – parę poziomów poniżej mojego mieszkania jest bardzo przyjemny, nie zatłoczony basen – lub zadzwonić do mojego przyjaciela Brooke'a, inżyniera. Popołudniami zazwyczaj grywa w karty ze swoimi przyjaciółmi, gdy nie potrafią wymyślić nic lepszego do roboty. Mógłbym też wsiąść do tramwaju i wyruszyć na poszukiwanie nowych galerii: od mniej więcej tygodnia nie kupiłem żadnego obrazu. Gdy rozważam te miłe sposoby spędzenia czasu, przenika mnie przyjemny dreszcz oczekiwania. Po wypiciu kawy i likieru wychodzę z kawiarni i ponownie dołączam do ludzkiego ścisku.

Wyrzucam monetę z tramwaju, którym wracam do mojego segmentu, gdy przejeżdżamy po wąskim prześle. Rzucanie rzeczy z mostu – na szczęście -jest już tradycją.

Noc. Za mną przyjemny wieczór spędzony na pływaniu, kolacji w klubie *rackets*, a potem spacerze do portu. Jestem trochę zmęczony, ale obserwacja jachtów kołyszących się cicho w mrocznym basenie podsunęła mi pewien pomysł.

Rozciągam się na szezlongu w salonie i zastanawiam nad formą mojego następnego snu dla pocziwego doktora.

Zdecydowawszy się, przygotowuję biurko, po czym podchodzę do ekranu telewizyjnego wbudowanego w ścianę za moim krzesłem; lepiej mi się pracuje przy włączonym telewizorze, gdy cicho mówię do siebie. Większość programów to śmieci, przeznaczone dla nie myślących – teleturnieje, opery mydlane itd. – ale oglądam je od czasu do czasu w nadziei zobaczenia czegoś, co nie jest mostem. Okazuje się, że stacja nadaje sztukę najwyraźniej rozgrywającą się w górniczej społeczności na jednej z wysepek. Ściszam dialogi do szmeru wystarczająco głośnego, by je słyszeć, ale nie dość, by rozumieć. Zajmuję miejsce przy biurku i podnoszę pióro.

Telewizor zaczyna syczeć. Odwracam się. Szara mgiełka wypełnia ekran, z głośnika wydobywa się szum. Odbiornik jest chyba zepsuty. Idę, żeby go wyłączyć, ale wtedy na ekranie pojawia się obraz. Nie słychać żadnego dźwięku; szum ucichł.

Kamera pokazuje mężczyznę leżącego w szpitalnym łóżku, otoczonego aparaturą. Obraz nie jest kolorowy, lecz czarno-biały i ziarnisty. Podkręcam dźwięk, ale nawet przy maksymalnym poziomie z telewizora wydobywa się jedynie bardzo delikatne syczenie. Z nosa, ust i ramienia mężczyzny w łóżku wychodzą przewody i rurki; oczy ma zamknięte. Nie widzę, by oddychał, ale musi jeszcze żyć. Na każdym kanale obraz jest identyczny: wciąż ten człowiek, łóżko, otaczająca je aparatura.

Kamera filmuje z góry i z boku łóżka; ukazuje fragment ściany i małe puste krzesło po jednej stronie łóżka. Facet spogląda na drzwi do śmierci; nawet na monochromatycznym obrazie jego twarz jest strasznie blada, a chude ręce, leżące nieruchomo na białym prześcieradle -jedną z przewodem podłączonym w przegubie – są niemal przezroczyście. Twarz ma chudą i poobijaną, jak po okropnej bójce. Jego włosy przypominają mysią sierść; na czubku głowy widnieje mała łysina. W sumie nijaki, szary, zwyczajnie wyglądający człowiek.

Biedaczysko. Znowu próbuję zmienić kanały, ale obraz nie znika. Chyba mam połączenie z jedną ze szpitalnych kamer wykorzystywanych do kontroli pacjentów w bardzo ciężkim stanie. Rano zadzwonię do ludzi z warsztatu naprawczego. Jeszcze przez chwilę patrzę na nieruchomy bezgłośny obraz, a potem wyłączam telewizor.

Z powrotem przy biurku. Przecież muszę przygotować mój następny sen dla pocziwego doktora. Piszę przez pewien czas, lecz brak dźwięków w tle jest dokuczliwy i siedząc plecami do głuchego telewizora, mam dziwne uczucie. Zabieram pióro i kartki do łóżka i przed zaśnięciem kończę mój sen tam, gdzie -jeśli rzeczywiście śnię – nie przypominam sobie tego.

W każdym razie oto, co piszę:

Część druga

Walczyliśmy przez cały dzień pod topazowym niebem, które powoli chmurzyło się, jak gdyby przesłaniał je dym z naszych dział i rozprzestrzeniających się pożarów. O zachodzie słońca chmury przybrały ciemnoczerwony kolor; pokład pod naszymi stopami był śliski od krwi. Walczyliśmy nadal, teraz rozpaczliwie, choć ciemniało i liczebność naszych szeregów zmniejszyła się czterokrotnie; ciała zabitych i konających leżały porozrzucane jak drzazgi, farba i złocenia naszego dumnego okrętu szerniały od ognia, maszty zostały powalone, a żagle – niegdyś dumnie wypięte i udekorowane niczym pierś żołnierza – zwisały jak na wpół spalone łachmany lub zaścielały zawalony zgliszczami pokład, na którym płonął ogień i jęczeli umierający marynarze. Nasi oficerowie nie żyli, szalupy spłonęły lub zostały roztrzaskane.

Nasz okręt tonął i palił się; rodzaj jego nieuchronnego końca zależał tylko od tego, czy podnoszące się wody dotrą do magazynów z prochem przed niepohamowanymi płomieniami. Statek przeciwnika, z trudem manewrujący na usianym wrakami oceanie, nie wydawał się być w wiele lepszym stanie; dziurawy i okopcony żagiel zwisał z jego przechylonego masztu. Próbowaliśmy zestrzelić tę resztkę takielunku, ale nie został nam żaden pocisk łańcuchowy. Zginęli też wszyscy ogiomistrze. Zapasy prochu na pokładzie były na wyczerpaniu.

Wrogi okręt zrobił zwrot i zbliżał się do nas. Wystrzeliliśmy ostatni pocisk, po czym wyciągnęliśmy szable i pistolety stosowane przy abordażu. Zostawiliśmy rannych samym sobie. Nie mając rei, z których można by rozwiesić liny do abordażu, przygotowaliśmy się do skoku na pokład zbliżającego się okrętu w momencie, gdy dobije do naszej

burty. Jego działa także umilkły, ostatnie ciemne kłęby dymu z ich luf rozwiewały się powoli nad matowymi, czerwonymi falami oceanu.

Dwa rozdarte kadłuby zetknęły się; zeskoczyliśmy z burty naszego okrętu.

Kolizja powaliła ostatni naprędcę sklecony maszt na pokładzie naszych wrogów i dwa statki znowu się rozdzieliły; oni również nie używali bosaków ani chwytałów. Chwiejnym krokiem przemierzaliśmy pokład wrogiego galeonu, krzycząc i

przeklinając, ale nie znaleźliśmy nikogo, z kim można byłoby walczyć -jedynie trupy i jęczących rannych. Nie znaleźliśmy prochu ani pocisków, a tylko podnoszącą się wodę i rozprzestrzeniające się płomienie. Nie znaleźliśmy szalup -jedynie ich szczątki i zwęglone drewno.

Zrezygnowani i wyczerpani, zebraliśmy się na przechylonym, rozłupanym pokładzie rufówki. W przydymionym migotliwym świetle płomieni spoglądaliśmy na nasz okręt ponad powoli powiększającą się wyrwą zaśmieconego krwawego oceanu.

Maszty zmieniły się w płomienie, a żagle w dym. Odbity obraz okrętu płonął na dzielących nas wodach, jak śmiertelnie blade, odwrócone do góry dnem widmo.

Nasi przeciwnicy gapili się na nas przez dym.

Moje mieszkanie znajduje się wysoko w tym segmencie mostu blisko szczytu i niedaleko jednego z wierzchołków zgniecionego sześciokąta, który przypomina swoim kształtem. Wygląda na to, że zasługuję na tę wysoką pozycję, ponieważ jestem jednym z czołowych pacjentów doktora Joyce'a. Pokoje są szerokie i wysokie, a ich ściany od strony morza to przeszklone dźwigary samego mostu. Mogę spoglądać – z około czterystu metrów lub więcej – w kierunku, który nazywamy śródrzeczem. To znaczy mogę wtedy, gdy widoku nie przesłaniają szare chmury, często zatapiające most od góry.

Gdy przybyłem tutaj ze szpitala, pokoje mojego mieszkania były zupełnie puste – poprawiłem ich wygląd, dodając kilka użytecznych i ozdobnych mebli oraz skromną, lecz starannie dobraną kolekcję małych obrazów, statuetek i rzeźb. Obrazy w większości pokazują detale mostu lub morze. Mam też kilka pięknych płócien przedstawiających jachty i kutry rybackie. Rzeźby to głównie postacie robotników mostowych zastygłych w brązie.

Jest ranek i właśnie się ubieram. Robię to powoli, przemyślanymi etapami. Mam bogatą garderobę; wydaje mi się, że grzeczność wymaga, by otrzymawszy tyle dobrze uszytych rzeczy, zastanowić się trochę nad

ich wykorzystaniem. Ostatecznie, stanowią pewien język; nie tyle mówią o nas wszystko, ile są tym, co decyduje, co się mówi.

Pracownicy służb mostu mają oczywiście uniformy i nie muszą się każdego rana martwić o to, co na siebie włożyć. Jednak moja zazdrość o ich sposób życia od tego się zaczyna i na tym kończy; akceptują swój los i swoją pozycję w społeczeństwie z potulnością, która mnie zadziwia i rozczarowuje zarazem. Ja nie zgodziłbym się być kanalarzem lub górnikiem przez całe życie, lecz ci ludzie wpasowują się w konstrukcję niczym szczęśliwe małe nity, przywierają i lgną do swojego miejsca jak warstwy farby.

Czeszę włosy (kruczoczarne w przyjemny dla oka sposób i na tyle kręcone, by sprawiały wrażenie gęstych) i wybieram fular oraz pasujący doń emaliowany zegarek kieszonkowy. Przez chwilę podziwiam moje wysokie, arystokratyczne odbicie i sprawdzam, czy mankiety są równe, kamizelka dobrze leży, kołnierz jest prosty i tym podobne rzeczy.

Jestem gotowy do śniadania. Należałoby pościelić łóżko i schować bądź wyczyścić wczorajsze ubranie, ale na szczęście szpital bardzo taktownie przysyła ludzi zajmujących się tego rodzaju sprawami. Idę wybrać kapelusz i nagle przystaję.

Telewizor sam się włączył z cichym trzaskiem. Zaczyna syczeć. Początkowo, przechodząc do salonu, myślę, że mi się zdawało, że to rura – wodna lub gazowa – wydaje ten dźwięk, ale nie, ekran wbudowany w ścianę się świeci. Pokazuje ten sam obraz co przedtem: milczący i nieruchomy mężczyzna w łóżku. Wyłączam odbiornik. Obraz znika. Znowu go włączam; chory mężczyzna znów się pojawia, a wciskanie przełącznika kanałów nic nie daje. Światło jest inne. Wydaje się, że w ścianie po przeciwległej stronie łóżka, za otaczającą je aparaturą, osadzono okno. Uważnie szukam jakichś dodatkowych wskazówek. Obraz jest dla mnie zbyt ziarnisty, bym mógł odczytać któryś z napisów na aparatach; nie potrafię nawet ocenić, w jakim są języku. Jak to możliwe, by telewizor sam się włączał? Gaszę go i słyszę brzęczenie na zewnątrz.

Przez okno pokoju wyglądam na błękitny, pogodny dzień. Obok mostu, od strony Królestwa, przelatują samoloty w szyku – trzy identyczne, dość ciężkie z wyglądu jednopłatowce, lecące jeden nad drugim. Znajdujący się najniżej samolot leci mniej więcej na moim poziomie, środkowy jest piętnaście metrów nad nim, a lecący najwyżej – następnych piętnaście nad środkowym. Mijają mnie z warkotem silników, lśniąć śmigłami; z ogona każdego samolotu strzelają, na pozór przypadkowo, ciemne kłęby dymu. Czarne chmurki wiszą w powietrzu, roz-

ciągnięte niczym jakiś dziwny szyfr. Długi ślad dymnych sygnałów znaczy drogę samolotów, znikając na wysokości odległego Miasta, jak dziwny powietrzny płot.

Intryguje mnie to, a jednocześnie podnieca. Odkąd jestem na moście, nie słyszałem o żadnych samolotach, nawet o latających łodziach, które mostowi inżynierowie i naukowcy najwyraźniej potrafią budować i obsługiwać.

Te samoloty nie miały widocznego podwozia – z pewnością nie miały pływaków – i w ogóle wyglądało na to, że nie mogą startować z wody; przypuszczalnie mają chowane koła i przylatują z lotniska na lądzie. Dodało mi to odwagi.

Kłęby czarnego dymu odpływają z lekkim wiatrem, zmierzając ku Miastu. Po drodze rozmywają się w błękitnym niebie. Dźwięk silników samolotów również zanika. Rzednące czarne chmury tworzą niewyraźny wzór; grupują się w dokładnie

oddzielone siatki o dziewięciu oczkach. Obserwuję sunące grupy chmur i czekam, aż łączące się dymki utworzą litery lub liczby albo jakieś inne rozpoznawalne kształty, lecz po paru minutach zostaje jedynie niewyraźna zasłona, powoli pchana ku Miastu podmuchami wiatru, niczym gigantyczny szal z pobrudzonej gazy.

Kręcę głową.

Przy drzwiach przypominam sobie o wadliwie działającym telewizorze. Kiedy jednak próbuję dodzwonić się do zakładu naprawczego, okazuje się, że telefon nie działa: linia przesyła do mnie serię wolnych, nieregularnych sygnałów. Pora iść. Świat – a w każdym razie most – może wariować, ale człowiek musi jednak zjeść jakieś śniadanie.

Na korytarzu przy windzie rozpoznaję mojego sąsiada. Obserwuje mosiężną wskazówkę na przypominającej zegar tarczy wskaźnika pięter nad zamkniętymi drzwiami, niecierpliwie stukając stopą w podłogę. Ma na sobie uniform starszego referenta ds. rozkładu jazdy. Wzdrygnął się nieco; wykładzina stłumiła pewnie moje kroki.

–Dzień dobry – mówię, gdy wskaźnik pięter powoli wędruje w gó

rę. Facet mruczy coś pod nosem. Wyciąga kieszonkowy zegarek i spo

gląda nań; jego stopa porusza się szybciej. – Pewnie nie widział pan tych

samolotów, prawda? – pytam.

Patrzy na mnie dziwnie.

–Słucham?

–Samoloty. Te, które przeleciały obok... niecałe dziesięć minut te-

mu.

Mężczyzna wlepia we mnie wzrok. Mruga oczyma, gdy spogląda na przegub mojej ręki; dostrzega plastikową szpitalną bransoletkę. Rozlega się dzwonek windy.

–A tak – mówi urzędnik. – Owszem. Samoloty. Oczywiście.

Drzwi rozsuwają się gładko. Sąsiad rozgląda się po wyłożonym boazerią i ozdobionym mosiądzem wnętrzu oczekującej windy, gdy gestem pokazuję mu, żeby wszedł pierwszy. Znowu badawczo spogląda na zegarek, mamrocze: – Pan wybaczy – i pośpiesznie odchodzi korytarzem.

Zjeżdżam na dół sam. Gdy winda, turkocząc, przesuwa się w dół szybu, z okrągłej, obitej skórą ławki przyglądam się falującej powierzchni wody w akwarium stojącym w

kącie. Przy drzwiach znajduje się telefon.

Mosiężny aparat jest ciężki. Przez moment nie słyszę nic, a potem parę brzęczących sygnałów, które z początku przypominają brzmieniem dziwne dźwięki, które słyszałem w telefonie w moim mieszkaniu. Niebawem zastępuje je głos zarozumiałej telefonistki z centrali:

–Tak, słucham? Z kim pan chce rozmawiać? W pewnym sensie czuję ulgę.

–Poproszę z Działem Napraw i Konserwacji.

–Teraz?

Winda zwalnia, zbliżając się do piętra, na którym chcę wysiąść.

–Nie, nieważne – mówię i odkładam słuchawkę.

Wychodzę z windy na jednym z górnych arkadowych pomostów, skąd żwawym krokiem idę – obok sklepików oferujących świeże produkty, przywiezione właśnie porannymi pociągami towarowymi – do baru śniadaniowego Wysepki. Przystaję przy małym straganie z kwiatami i wybieram goździk, który będzie ładnie kontrastował z zegarkiem i fularem.

Na wyłożonych boazerią i pozbawionych okien ścianach baru śniadaniowego namalowano fachowo, lecz nieprzekonująco zielone pastwiska. Bar jest spokojnym, wyciszonym lokalem o wysokich sufitach i nisko wiszących lampach, z grubymi dywanami i cienką porcelaną. Zaprowadzono mnie do stolika w głębi sali. Leży na nim złożona gazeta, niemal w całości poświęcona drobnym zmianom przepisów i ustaw określających zasady eksploatacji i konserwacji mostu, awansom i zgonom zarządców mostu, niezwykle nudnym spotkaniom towarzyskim urządzanym przez wciąż te same grupy oraz niektórym ze skomplikowanych, tajemniczych i rzadko uprawianych sportów i gier popularnych wśród tych mandarynów.

Zamawiam wędzone filety rybne, ostro przyprawione nereczki jagnięce, grzankę i kawę. Odkładając gazetę, spoglądam na obraz na ścianie naprzeciwko. Przedstawia olśniewająco zieloną łąkę na stoku, okoloną drzewkami iglastymi i usianą jasnymi

kwiatami. Po drugiej stronie płytkiej doliny rozciąga się porośnięte drzewami wzgórze o wyostrzonym w świetle słońca konturze.

Czy te sceny namalowano z natury, czy też przedstawione miejsca istniały tylko w wyobraźni artysty?

Przyniesiono kawę. Nigdy nie widziałem krzewu kawowca na moście. Moje nerczki jagnięce też muszą skądś się brać; tylko skąd? Na moście mówimy o śródrzeczcu i górze rzeki oraz o drogach do Miasta i do Królestwa, musi więc istnieć jakiś ład – czy jakkolwiek most mógłby istnieć bez niego? – lecz jak daleko stąd?

Przeprowadziłem wszelkie badania, jakie mogłem przeprowadzić, zważywszy nieznamość języków i ograniczenia w dostępie do dokumentów, narzucane badaczowi-amatorowi przez organizację instytucji publicznych mostu, lecz mimo wielomiesięcznej pracy nie zbliżyłem się do odkrycia prawdy ani o charakterze, ani o położeniu Miasta i Królestwa. Nadal są czymś zagadkowym, geograficznie nieokreślonym.

Moje prośby o informacje zapewne nadal toną w miazmatycznych warstwach biurokratycznego szlamu, które symbolizują strukturę organizacyjną władz mostu; odnoszę wrażenie, że wszystkie moje początkowe pytania dotyczące wielkości mostu, tego co łączy, i tak dalej, będą przekazywane, formułowane na nowo, precyzowane, porządkowane, komentowane, parafrazowane i ponownie przesyłane tak często i pomiędzy tyloma różnymi departamentami i gabinetami, że zanim rozpatrzy je ktoś zdolny – i pragnący – na nie odpowiedzieć, będą praktycznie bez znaczenia... i że gdyby jakimś cudem przetrwały ten proces na tyle nieskażone, by można je było zrozumieć, każda odpowiedź, jakkolwiek rozważnie pożyteczna i paradygmatycznie jasna, tym pewniej stanie się całkowicie niezrozumiała, nim w końcu dotrze do mnie.

Cały ten proces badawczy stał się wkrótce dla mnie tak zniechęcający, że w pewnym momencie poważnie rozważałem ukrycie się w pociągu ekspresowym i po prostu wyjazd w poszukiwaniu tego cholernego Miasta bądź Królestwa. Formalnie moja opaska na przegubie, która podaje moją tożsamość i informuje konduktorów w tramwajach o tym, od którego oddziału szpitala pobrać opłatę za mój bilet, ogranicza moje podróże jedynie do obszaru między dwiema zajezdniami linii tramwajowej, obejmującego tuzin segmentów i mniej więcej tę samą liczbę

mil w każdym kierunku. Nie jest to skąpy przydział, ale mimo wszystko ograniczenie.

Postanowiłem, że nie będę pasażerem na gapę. Myślę, że ważniejsze jest odzyskanie utraconych terytoriów w moim mózgu niż poszukiwanie zaginionych ładów tutaj. Zostanę na miejscu; mógłbym pojechać, gdy już mnie wyleczą.

–Dzień dobry, Orr.

Dołącza do mnie pan Brooke, inżynier, którego poznałem w szpitalu. Mężczyzna drobny, ciemnowłosy, wyglądający na przytłoczonego; siada ciężko naprzeciw mnie i patrzy spode łba.

–Dzień dobry, Brooke.

–Widziałeś te przeklęte...

Jego spojrzenie staje się jeszcze groźniejsze.

–Samoloty? Tak. A ty?

–Nie, tylko dym. Cholerny tupet.

–Nie pochwalasz tego.

–Nie pochwalam? – Brooke wygląda na wstrząśniętego. – Nie do mnie należy pochwalanie lub nie, ale zadzwoniłem do mojego kumpla w Wydziale Transportu Morskiego i Ustalania Rozkładów Jazdy, i tam nic nie wiedzieli o tych... samolotach. Cała ta eskapada była zupełnie bezprawna. Głowy polecą, zapamiętaj to sobie.

–Czy są ustawy zakazujące tego, co zrobili ich piloci?

–Rzecz w tym, że nie ma ustawy zezwalającej na to, Orr. Mój Boże, nie można pozwolić, by ludzie wyjeżdżali i robili co im się żywnie spodoba tylko dlatego, że coś sobie wykombinują! Trzeba mieć jakieś... ramy. – Kręci głową. – Boże święty, czasami masz dziwne pomysły.

–Wcale temu nie przeczę.

Brooke zamawia *kedgeree*. * W szpitalu leżeliśmy w tej samej sali, on także był pacjentem doktora Joyce'a. Brooke jest starszym inżynierem specjalizującym się w badaniu wpływu nacisku mostu na dno morskie; został ranny w wypadku w jednym z kesonów, na których wspiera się część obłożonych granitem stóp mostu. Fizycznie doszedł do siebie, ale wciąż cierpi na bezsenność. Brooke ma w sobie coś, co sprawia, że zawsze wydaje mi się źle oświetlony – nawet w świetle słońca sprawia wrażenie stojącego w cieniu.

–Dziś rano przydarzyło mi się kolejna dziwna rzecz – mówię.

*** Indyjska potrawa; risotto z fasolą, soczewicą, jajami na twardo i zazwyczaj rozdrobnioną na płatki gotowaną rybą w śmietanie na gorąco (przyp. tłum.)**

Brooke robi się czujny.

–Naprawdę?

Opowiadam mu o mężczyźnie w szpitalnym łóżku, telewizorze, który sam się włącza, i nie działającym telefonie. Sprawia wrażenie odprężonego.

–Och, tego rodzaju rzeczy zdarzają się przez cały czas. Idę o zakład, że to przez skrzyżowane linie. Skontaktuj się z Działem Napraw i Konserwacji i naprzykrzaj się im tak długo, aż w końcu to załatwią.

–Tak zrobię.

–Jak się miewa ten szarlatan Joyce?

–Jeszcze ze mną wytrzyma. Zacząłem mieć sny, ale wydaje mi się, że są zbyt... rozbudowane jak na poczciwego doktora. Pierwszy praktycznie zignorował. Skrytykował mnie za rezygnację z moich badań.

Brooke cmoka z dezaprobatą.

–No cóż, on jest lekarzem i w ogóle, ale na twoim miejscu nie marnowałbym dłużej czasu na wszystkie te... – milknie, szukając odpowiednio poważnego epitetu -... pytania. Prawdopodobnie zaprowadzi cię to donikąd. A już w ogóle nie rozumiem, jak miałyby przywrócić ci pamięć. Gapienie się na tego rodzaju obrazki też w tym nie pomoże. – Pogardliwym ruchem ręki wskazuje jedną z sielankowych scen na ścianie, marszcząc przy tym brwi, jak gdyby zwracał uwagę na jakąś paskudną skazę na polakierowanych płytach boazerii.

–Ale Brooke, czy nigdy nie masz ochoty zobaczyć coś innego niż ten most? Góry, lasy, pustynię?

–Mój przyjacielu – odpowiada ociężale, obserwując, jak kelner dolewa mu kawy – czy wiesz, na ilu różnych rodzajach skał spoczywają jego fundamenty?

Mówiąc to, sprawia wrażenie cierpliwego, niemal zmęczonego. Szykuje się wykład, ale przynajmniej da mi to szansę zjedzenia ostro przyprawionych nereczek, które pojawiły się już na stole i stygną.

–Nie – przyznaję się.

–To ci powiem. Nie mniej niż siedem głównych rodzajów, nie licząc śladów dziesiątków innych. Reprezentowane są wszystkie typy warstw: osadowe, metamorficzne oraz wulkaniczne głębinowe i wylewne. Występują spore złoża bazaltu, dolerytu, piaskowca wapniowego i węglowego, aglomeratu bazaltowo-trachitowego, lawy bazaltowej, trzeciorzędowego i starego czerwonego piaskowca oraz znaczne ilości łupków ilastych, a wszystkie w skomplikowanych pofałdowanych

układach, których dzieje jeszcze...

Nie mogę już dłużej strawić tego gadania o skalach.

–Chcesz przez to powiedzieć – wtrącam, gdy na stół wjeżdża jego *kedgeree* (pokrywa je śnieżycą soli i nakłada warstwę pieprzu przypominającą pierzynę wulkanicznego popiołu) – że most oferuje dociekliwemu umysłowi wystarczająco dużo, by nie trzeba się było uciekać do czegokolwiek poza nim?

–Dokładnie to.

Powiedziałbym, że raczej w przybliżeniu niż dokładnie, ale mniejsza o to. Tak czy owak poza mostem jest jeszcze coś, coś, co prawie pamiętam. Wydaje mi się, że mam abstrakcyjne wyobrażenia, ogólne idee rzeczy, których nigdy nie zdołałem znaleźć na moście; lodowce, katedry, samochody... niemal nie kończąca się lista. Nie mogę jednak przypomnieć sobie niczego konkretnego, żadne szczególne obrazy nie przychodzą mi na myśl. Potrafię sobie poradzić z jednym językiem oraz miejscowymi zwyczajami (zapewne w wyniku przeszkolenia w którymś momencie), ale nie przypominam sobie niczego z czasów mojej nauki i wychowania. Mam wszystko z wyjątkiem wspomnień. Tam, gdzie inni ludzie mają odpowiedniki encyklopedii i dzienników, ja mam słownik kieszonkowy.

–No cóż, nic na to nie poradzę, Brooke. Po prostu mam wrażenie,

że tyle jest rzeczy, o których nie można tutaj rozmawiać: po pierwsze seks, religia i polityka.

Brooke nieruchomieje z widelcem z kopką *kedgeree* w pół drogi do ust.

–No cóż – mówi niepewnie – nie ma nic złego w... pierwszym

z nich, jeżeli ktoś jest żonaty lub gdy dziewczyna ma uprawnienia albo

coś takiego... ale, psia krew, Orr – odkłada widelec – stale mówisz o re

ligii i polityce. Co dokładnie masz na myśli?

Wygląda na to, że mówi poważnie. W co ja się wpakowałem? Najpierw to, a potem sesja z doktorem Joyce'em. Mimo wszystko przez następnych dziesięć minut próbuję wytłumaczyć znaczenie tych pojęć Brooke'owi. Wygląda na coraz bardziej oszołomionego. W końcu, gdy już skończyłem, mówi:

–Hmm. Nie wiem, dlaczego potrzeba ci na to dwóch słów. Mam

wrażenie, że to jedno i to samo.

Odchylam się z podziwem w krześle.

–Brooke, ty powinieneś być filozofem!

–Filo... czym?

–Mniejsza o to. Jedz swoje *kedgeree*.

Tramwaj wiezie mnie do segmentu, w którym pracuje doktor Joyce. Trzeszczące górne piętro jest pełne robotników; siedzą w brudnych fotelach i czytają gazety z wielkim drukiem i fotografiami. Niemal w całości są one poświęcone sportowi i wynikom loterii. Mężczyźni to hutnicy bądź spawacze; ich grube kurtki robocze nie mają kieszeni i na wierzchu upstrzone są gęsto wypalonymi dziurkami... Rozmawiają ze sobą, ignorując mnie. Z rzadka wydaje mi się, że rozpoznaję jakieś słowo (czyżby posługiwali się prymitywnym dialektem mojego języka?), ale im dłużej słucham, tym mniej rozumiem. Tak naprawdę to powinienem poczekać na wygodniejszy tramwaj, ale mógłbym wtedy spóźnić się na wizytę u doktora Joyce'a, a przecież jestem zwolennikiem punktualności.

Wjeżdżam windą pośpieszną na poziom, na którym poczciwy doktor ma swoją przychodnię. Słysząc muzykę graną na dudach, lecz tradycyjnie brzmi ona jak przypadkowy zbiór nut i pomieszanych, źle dobranych akordów, jak gdyby wszelka muzyka na moście została zaszyfrowana. Przestałem już liczyć na to, że usłyszę coś, co zdołam zapamiętać lub zagwizdać.

Przez większą część podróży dzielę windę z jakąś młodą kobietą. Jest ciemnowłosa i szczupła i skromnie wpatruje się w podłogę. Ma długie, czarne rzęsy, a jej policzek zakrzywia się rozkosznym łukiem. Ubrana jest we wspaniale skrojony kostium z długą spódnicą i krótkim żakietem. Stwierdzam nagle, że przyglądam się, jak jej piersi wznoszą się i opadają pod białą jedwabną bluzką. Kobieta nie obdarza mnie nawet przelotnym spojrzeniem, gdy wychodzi z windy; pozostawia jedynie delikatny ślad zapachu perfum.

Skupiam uwagę na fotografii wiszącej przy drzwiach na jednej z pły-cin boazerii. Zdjęcie jest stare, w odcieniu sepia, i przedstawia montaż trzech segmentów mostu. Leżą osobno, nie połączone niczym prócz podobieństwa swoich ząbkowanych, nie wykończonych konstrukcji. Rury i dźwigary sterczą wśród girland rusztowań, a ciężkie dźwignice parowe porozrzucane są wokół brązowych żelaznych lin; trzy niepełne segmenty wydają się niemal sześciokątne. Na zdjęciu nie ma daty.

Przychodnię doktora wypełnia zapach farby. Dwaj robotnicy w białych kombinezonach wnoszą biurko. Poczekalnia jest pusta, jeśli nie liczyć białych

prześcieradeł zakrywających podłogę, i biurka, które robotnicy właśnie stawiają na środku pomieszczenia. Zaglądam do gabinetu; on

także jest pusty, następne białe prześcieradła zakrywają podłogę. Nazwisko doktora zostało usunięte z szyby w drzwiach.

–Co się stało? – pytam robotników. Patrzą na mnie obojętnie.

Znowu winda. Trzęsą mi się ręce.

Na szczęście szpitalna recepcja pozostała na swoim miejscu. Muszę czekać, gdy recepcjonistka kieruje młode małżeństwo z małym dzieckiem w głąb długiego korytarza, ale potem przychodzi moja kolej.

–Szukam gabinetu doktora Joyce'a – wyjaśniam srogiej kobiecie za pulpitem. – Przyjmował w pokoju 3422. Byłem u niego jeszcze wczoraj, ale wygląda na to, że został przeniesiony.

–Jest pan pacjentem?

–Nazywam się John Orr – mówię i pozwalam, by odczytała informacje na pasku na moim przegubie.

–Chwileczkę.

Podnosi słuchawkę telefonu. Siadam na miękkiej ławce pośrodku sali przyjęć; rozchodzą się od niej niczym szprychy od piasty korytarze. Krótsze prowadzą ku zewnętrznej ścianie mostu; miękkie białe zasłony wydymają się na lekkiej bryzie. Kobietę przy pulpicie łączą z kolejnymi osobami. W końcu odkłada słuchawkę.

–Panie Orr, doktor Joyce został przeniesiony do pokoju 3704.

Rysuje drogę do nowego gabinetu doktora. Przez chwilę czuję tępy

ucisk w piersiach, koliste echo bólu.

–Pan Brooke przesyła wyrazy szacunku.

Doktor Joyce unosi wzrok znad swoich notatek, mrugając szaroró-żowymi powiekami. Opowiedziałem mu sen o galeonach, na których w wyniku abordażu następuje wymiana załóg. Słuchał bez komentarza, kiwając z rzadka głową, czasami marszcząc brew i zapisując uwagi. Milczenie przeciągało się.

–Pan...? – mówi, zakłopotany. Jego cienki srebrny ołówek zawisa nad notesem niczym maleńki sztylet.

–Pan Brooke – przypominam mu. – Przybył z chirurgii mniej więcej w tym samym czasie co ja. Inżynier. Cierpi na bezsenność. Leczył go pan.

–Och, tak. Jego – odpowiada po chwili i pochyla się z powrotem nad swoimi zapiskami.

Nowa przychodnia doktora Joyce'a jest jeszcze okazalsza niż poprzednia. Trzy poziomy wyżej, większa – wygląda na to, że doktor

awansuje. Teraz ma własną sekretarkę oraz recepcjonistę. Niestety, awans doktora nie pociągnął za sobą wymiany PMC. „Nie do wiary, pan Orr, świetnie pan wygląda! Jak miło pana ujrzeć. Proszę usiąść. Pozwoli pan, że wezmę pana płaszcz. Może filiżankę kawy? Herbaty?” Mały srebrny ołówek wraca do kieszeni na piersi doktora.

–No więc – mówi, klaszcząc w dłonie – jak pan rozumie ten sen,

hmm?

Znowu to samo.

–Doktoru – mówię, wierząc, że to go z miejsca zdenerwuje – nie mam pojęcia. To nie moja działka. A pan?

Doktor Joyce przez chwilę patrzy na mnie spokojnie. Potem wstaje z krzesła i rzuca notes na blat biurka. Podchodzi do okna i stoi tam, wyglądając na zewnątrz i kręcąc głową.

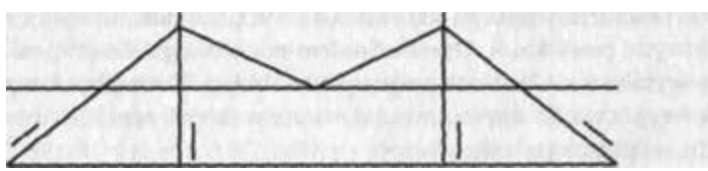
–Powiem panu, co myślę, Orr. – Odwraca się i obrzuca mnie surowym spojrzeniem. – Myślę, że obydwa te sny, ten i ten wczorajszy, nic nam nie mówią.

–Rozumiem – odpowiadam. Po tylu trudach. Chrząkam, zupełnie nie zirytowany. – No cóż, co teraz zrobimy?

Niebieskie oczy doktora Joyce'a lśnią. Wysuwa szufladę w biurku i wyjmuje flamaster i dużą książkę z plastikowymi stronami, które można wytrzeć do czysta. Podaje mi je. Książka zawiera głównie na wpół ukończone rysunki i testy graficzne.

–Ostatnia strona – mówi poczciwy doktor.

Odwracam posłusznie na ostatnią stronę. Zawiera dwa rysunki.



–Co mam robić? – pytam. Wygląda mi to na jakąś dziecinadę.

–Widzi pan te krótkie kreski, cztery na górnym rysunku, a pięć na dolnym?

–Owszem.

–Proszę je uzupełnić zmieniając w strzałki, tak aby wskazywały kierunki sił, jakie konstrukcje wywierają w tych punktach. – Podnosi rękę, gdy otwieram usta, aby zadać pytanie. – To wszystko, co mogę powiedzieć. Nie wolno mi dawać panu żadnych wskazówek ani odpowiadać na żadne pytania.

Biorę do ręki mazak, uzupełniam kreski zgodnie z życzeniem i wręczam książkę z powrotem doktorowi. Patrzy, kiwa głową.

–Więc? – pytam.

–Więc co?

Wyciąga szmatkę z szuflady i wyciera książkę, gdy kładę pióro na jego biurku.

–Czy zrobiłem to prawidłowo?

Wzrusza ramionami.

–Co to znaczy „prawidłowo”? – pyta burkliwie, wkładając wszystko z powrotem do szuflady. – Gdyby to było pytanie egzaminacyjne, to tak, ale to nie było pytanie egzaminacyjne. Odpowiedź miała nam coś powiedzieć o panu – dodaje i zapisuje w notesie uwagę małym srebrnym ołówkiem automatycznym.

–I na co wskazuje?

Znowu wzrusza ramionami i patrzy w swoje notatki.

–Nie wiem – odpowiada, kręcąc głową. – Musi na coś wskazywać,

ale nie bardzo wiem na co. Na razie.

Chętnie walnąłbym doktora Joyce'a prosto w jego szaroróżowy nos.

–Rozumiem. No cóż, mam nadzieję, że przyczyniłem się do postępu nauk medycznych.

–Ja też – stwierdza doktor Joyce, spoglądając na zegarek. – No cóż, to chyba na

razie wszystko. Niech pan się umówi na wizytę na jutro, na wszelki wypadek, ale jeśli nie będzie pan miał żadnych snów, niech pan zadzwoni i ją odwoła, dobrze?

–Ojej, ale szybko pan to załatwił, panie Orr. Jak poszło? Ma pan ochotę na filiżankę herbaty? – Nieskazitelnie ubrany recepcjonista pomaga mi wdziać płaszcz. – Wszedł pan tam i wyszedł w okamgnieniu. Może trochę kawy?

–Nie, dzięki – mówię, patrząc na pana Berkeleya i jego policjanta,

którzy czekają w recepcji. Pan Berkeley leży – zwinięty ciasno w pozycji embrionalnej – na boku, na podłodze przed siedzącym policjantem, który opiera na nim stopy.

–Dzisiaj pan Berkeley jest podnóżkiem – dumnie wyjaśnia Przerożający Młody Człowiek.

W wysokich, przewiewnych przestrzeniach górnej konstrukcji sufity są wysokie, a szeroka, puszysta wykładzina dywanowa w pustych korytarzach intensywnie pachnie wilgocią. Ściany pokrywa boazeria z drewna lekowego i mahoni, a szyby rozciągnięte w mosiężnych ramach okien wychodzących na mroczne kominy świetlne lub na zasnute teraz mgłą morze mają błękitny odcień, niczym szkło ołowiowe. W niszach wzdłuż ciemnych drewnianych ścian majaczą, jak niewidome zjawy, stare posągi zapomnianych biurokratów, a wysoko nade mną wiszą wielkie płachty ciemnych flag niczym ciężkie, rozwieszane do suszenia sieci; kołyszą się lekko, gdy mroźny przeciąg roznosi przedwieczny kurz po długich, mrocznych korytarzach.

Po mniej więcej półgodzinnym spacerze od przychodni doktora, naprzeciwko olbrzymiego okrągłego okna, które wychodzi na zatokę jak przezroczysta tarcza zegara ogołocona ze wskazówek, odkrywam starą windę. Jej drzwi są otwarte, w środku na wysokim stołku śpi jakiś stary mężczyzna. Ma na sobie długi płaszcz w kolorze burgunda, z lśniącymi guzikami, chude ręce skrzyżował na brzuchu; jego obrośnięty imponującą brodą podbródek spoczywa na piersi ozdobionej dwoma rzędami guzików, a siwa głowa porusza się powoli w górę i w dół w rytmie dychawicznego oddechu.

Chrząkam. Staruszek śpi dalej. Pukam w krawędź jednego skrzydła drzwi.

–Halo!?

Budzi się, wykonując nagły ruch ciałem, rozplata ramiona i opiera się o dźwignie sterujące; rozlega się trzask i drzwi zaczynają się zamykać z jękiem i zgrzytem. W końcu, wymachując rękami, znowu uderza w mosiężne dźwignie, po czym drzwi się cofają.

–Niech to! Ależ mnie pan szanowny wystraszył! Właśnie uciałem

sobie krótką drzemkę, ot co. Proszę wejść. Na które piętro?

W windzie wielkości pokoju pełno jest źle dobranych foteli, łuszczących się luster i pokrytych kurzem gobelinów. Jeżeli nie jest to wynikiem sztuczki z lustrami, winda ma ponadto kształt litery L, z jakim jeszcze nigdy dotąd się nie zetknąłem.

–Proszę na pomost kolejowy – odpowiadam.

–Tak jest, proszę szanownego pana!

Sędziwy windziarz zawiesza pomarszczone dłonie na dźwigniach sterujących; drzwi zamykają się ze szczękiem i zgrzytem i po paru trące-niach łokciem i dokładnie wymierzonych uderzeniach w mosiężną płytę z dźwigniami starcowi w końcu udaje się nakłonić windę do jazdy; nasz pojazd przesuwają się – majestatycznie i z łoskotem – w dół; lustro drżą, wyposażenie klekocze, lżejsze krzesła i fotele chwieją się na nierównej, pokrytej wykładziną podłodze. Starzec kołysze się niepewnie na wysokim stołku i mocno trzyma mosiężnej poręczy pod tablicą rozdzielczą. Słyszę, jak szczęka zębami. Kurczowo trzymam się wypolerowanej do połysku i brzęczącej na poluzowanych wkrętach poręczy. Gdzieś na górze rozbrzmiewa hałas przypominający cięcie metalu.

Udając obojętność, studiuje treść pożółkłej wywieszki przy moim ramieniu. Zawiera ona wykaz różnych pięter, które obsługuje winda, oraz departamentów, sektorów mieszkalnych i innych placówek znajdujących się na tych poziomach. Mój wzrok przyciąga jedna informacja blisko szczytu wykazu. Mój Boże! Znalazłem ją!

–Przepraszam! – mówię do staruszka. Odwraca głowę, trzęsącą się

jak po porażeniu, by na mnie spojrzeć. Stukam w wykaz na ścianie. –

Rozmyśliłem się. Chciałbym pojechać na to piętro: pięćdziesiąte dru

gie. Do Trzeciej Biblioteki Miejskiej.

Starzec przez chwilę patrzy na mnie z rozpaczą, po czym kładzie drżącą rękę na klekoczącej tablicy rozdzielczej i przerzuca jedną z dźwigni w dół, po czym znowu rozpaczliwie chwyta się poręczy i zamyka oczy.

Winda wyje, piszczy, podskakuje i łomocząc, trzęsie się na boki. Omal nie zwała mnie z nóg; stary człowiek rozstaje się ze swoim wysokim stołkiem. Fotele przewracają się. Pęka lustro. Oprawa lampy odpada od sufitu, a potem drga niczym wisielec i kołysze się w kaskadzie tynku, pyłu i wiszących przewodów.

Zatrzymujemy się. Starzec strzepuje pył z ramion, poprawia marynarkę i czapkę, podnosi stółek i naciska parę następnych dźwigni; wznosimy się stosunkowo łagodnie.

–Przepraszam! – krzyczę do windziarza. Ten obrzuca mnie dzikim spojrzeniem i rozgląda się po windzie, jak gdyby próbował odkryć, jaką straszną zbrodnię popełniłem. – Nie zdawałem sobie sprawy, że za trzymanie windy i jazda z powrotem będą tak... wstrząsające – krzyczę do niego. Wygląda na zupełnie oszołomionego i wciąż rozgląda się po

grzechoczącym, skrzypiącym i zasnutym mgłą kurzu wnętrzu swojego małego królestwa, jakby nie potrafił zrozumieć o co tyle hałasu.

Zatrzymujemy się. Winda nie wygrywa kurantów po przybyciu na miejsce; zamiast nich powietrzem w jej wnętrzu wstrząsa huk dzwonu, którego mocą i tonem nie pogardziłby duży kościół. Starzec patrzy lękliwie do góry.

–Jesteśmy na miejscu, proszę pana! – krzyczy.

Otwiera drzwi na scenę kompletnego chaosu i odskakuje. Przyglądam się, zdumiony, przez długą chwilę powoli podchodzę do drzwi. Stary windziarz zerka nerwowo zza ich skrzydła.

Wygląda na to, że przyjechaliśmy na miejsce okropnej katastrofy; w wielkiej, zawalonej gruzem sali przed nami ogień liże leżące wiązary, splątane rury i belki, zawalone mury i zwisające kable; ludzie w uniformach biegną z węzami strażackimi, noszami i trudnymi do zidentyfikowania elementami sprzętu do gaszenia. Nad wszystkim wisi wielki całun dymu. Zgiełk brzęczących alarmów i klaksonów, eksplozji i wykrzykiwanych przez tuby rozkazów jest przerażający nawet dla uszu lekko ogłuszonych przez dzwon, który oznajmił nasz przyjazd. Co się tu stało?

–Odnoszę wrażenie, proszę pana – wykrztusza z siebie stary windziarz – że z tej strony niezbyt przypomina to bibliotekę, prawda?

–Prawda – przyznaję, obserwując, jak tuzin mężczyzn toczy jakąś wielką pompę po usianej gruzem podłodze.

–Jest pan całkowicie pewien, że to właściwe piętro?

Windziarz sprawdza wskaźnik pięter, uderzając w tarczę artretyczną pięścią.

–Bardziej być nie mogę, proszę pana.

Wygrzebuje z kieszeni okulary i znowu zerka na wskaźnik. Eksplozja wśród szczątków rur i wiązarów wzbija w górę kłęb czarnego dymu i iskier; strażacy znajdujący się nieopodal rzucają się na posadzkę. Jakiś mężczyzna w wysokim kasku i jasnożółtym uniformie spostrzega nas i macha tubą. Przechodzi nad ciałami na noszach i zbliża się do nas.

–Hej, wy tam! – krzyczy. – Co u licha tutaj robicie? Szabrownicy? Wampiry? Co? Wynoście się stąd natychmiast!

–Szukam Trzeciego Archiwum Miejskiego i Biblioteki Dokumentów Historycznych – wyjaśniam spokojnie.

Strażak macha tubą w stronę rozgardiaszu za swoimi plecami.

–My też, idioto! A teraz wypierdalaj!

Dźga tubą w kierunku mojej piersi i odchodzi jak burza, potykając się o jedno z ciał na noszach, a potem podbiega do mężczyzn manewru-

jących olbrzymią pompą, by nimi kierować. Patrzymy na siebie ze starym windziarzem. Zamyka drzwi.

–Ordynarny dupek, co?

–Rzeczywiście sprawiał wrażenie trochę zdenerwowanego.

–Na pomost kolejowy, proszę pana?

–Hm? Och, tak, proszę.

Gdy zjeżdżamy, znowu kurczowo trzymam się stukoczącej mosiężnej poręczy.

–Ciekawe, co się stało z biblioteką?

Staruszek wzrusza ramionami.

–Bóg jeden wie, proszę pana. Na tych wyższych poziomach wydarzają się różne dziwne rzeczy. Część z tych, które widziałem... – Kręci głową, gwizdże przez zęby. – Zdziwiłby się szanowny pan.

–Tak – przyznaję ponuro – pewnie tak.

Po południu w klubie *rackets* wygrywam jeden mecz, przegrywam drugi. Samoloty i ich dziwne sygnały są jedynym tematem rozmów; większość ludzi w klubie – wszyscy bez wyjątku będący przedstawicielami wolnych zawodów i urzędnikami – uważają ów przelot za niczym nie usprawiedliwioną zniewagę, z którą Coś Trzeba Zrobić. Pytam dziennikarza prasowego, czy słyszał o strasznym pożarze na poziomie, na którym powinna się znajdować Trzecia Biblioteka Miejska, ale on nie słyszał nawet o samej bibliotece. Sprawdzi to.

Potem dzwonię do Działu Napraw i Konserwacji i mówię im o telewizorze oraz telefonie. Jem w klubie, a wieczorem idę do teatru; banalny spektakl o córce sygnalisty zakochanej w turyście, który – jak się okazuje – jest synem dyrektora kolei, jest zaręczony i chce się po raz ostatni zabawić. Wychodzę po drugim akcie.

W domu, gdy się rozbieram, z kieszeni płaszcza wypada zgnieciony kawałek kartki. To poplamiony schemat, który narysowała dla mnie recepcjonistka, żeby mi pokazać drogę do biura doktora Joyce'a. Wygląda następująco:

Wpatruję się weń, czując nieokreślony niepokój. W głowie mi się kręci, mam wrażenie, że pokój się przewraca, jak gdybym nadal przebywał w rozpadającej się windzie w kształcie L ze starym windziarzem wykonującym kolejny nieprzewidziany i niebezpieczny manewr w szybie. Przez moment czuję, że moje myśli telepią się, mieszają jak sygnały dymne ciągnące się za eskadrą samolotów tego rana (i przez chwilę, oszołomiony, chwiejąc się, mam wrażenie, że sam jestem mętny i bezpostaciowy, niczym coś chaotycznego i amorficznego, jak mgły, które snują się wśród sękatej gmatwaniny elementów wysokiego mostu, niczym pot pokrywając warstwy starej farby na jego dźwigarach i belkach).

Dzwoni telefon, wyrывая mnie z tej dziwnej chwili zadumy; podnoszę słuchawkę, by usłyszeć te same niezwykle sygnały po drugiej stronie linii.

–Halo? Halo? – mówię. Żadnej reakcji.

Odkładam słuchawkę. Telefon znowu dzwoni i znowu dzieje się to samo. Tym razem nie kładę słuchawki na widełki; zakrywam ją poduszką. Nawet nie próbuję włączyć telewizora – wiem, co zobaczę.

Gdy ruszam ku łóżku, uświadamiam sobie, że wciąż trzymam w dłoni kawałek papieru. Wrzucam go do pojemnika na śmieci.

Część trzecia

Za mną leży pustynia, przede mną morze. Żłocista i niebieskie – spotykają się jak konkurencyjne tryby czasu. Jedno poruszało się gwałtownie, iskrząc się w dolinach i na grzbietach, buchając bielą i opadając, uderzając w piaszczysty szelf, i ten pływ niczym oddech... Druga przemieszczała się wolniej, lecz równie pewnie; wysokie, nacierające fale piasku nanoszone na nieużytki czeszącą ręką niewidocznego wiatru.

Między tą dwójką, na wpół zatopioną przez siebie, zrujnowane miasto.

Wytarte zarówno przez piasek, jak i wodę, złapane niczym coś miękkiego między dwa zazębiające się żelazne koła, kamienne miasto poddane siłom wiatru.

Byłem sam. Szedłem w skwarze południa – biała zjawa przepływająca przez poprzewracane resztki roztrzaskanych budowli. Mój cień znajdował się u moich stóp, pode mną; niewidzialny.

Różowoczerwone płyty były nierówne i poprzekrzywiane. Większość ulic znikła, dawno temu przysypana miękkimi pełzającymi piaskami. Rozbite łuki, zwalone nadproża i ściany zaścielały piaskowe zbocza; na żłobkowanym jak muszla brzegu morza kolejne kamienne bloki, omiatane przez fale, łamały ich nadchodzące linie. Trochę dalej w głąb morza z wody wyrastały przechylone wieże oraz fragment łuku, oblizywane przez fale, niczym kości topielca.

Na wygładzonych kamieniach nad pustymi drzwiami i wypełnionymi piaskiem oknami zobaczyłem fryzy z postaciami i symbolami. Przyjrzałem się uważnie tym na wpół czytelnym obrazom, próbując je odszyfrować. Nawiewany przez wiatr piasek ścierał części ścian i belek, aż w końcu grubość kamienia stała się mniejsza od głębokości wy-

;

rytych symboli; niebieskie niebo przeświecało przez krwistoczerwoną skałę.

–Znam to miejsce – powiedziałem do siebie. – Znam was – dodałem do milczących szczątków.

W pewnym oddaleniu od ruin miasta stał wielki posąg. Mężczyzna, którego przedstawiał, o krępy tułowiu i z głową chyba trzy lub nawet cztery razy większą od naturalnej, stał ukośnie do linii łączącej obmywaną falami plażę z centrum milczących ruin. Ramiona posągu odpadły lub zostały odłupane dawno temu, a ich kikuty zagłaskane przez wiatr i piasek. Wygląd jednej strony potężnego ciała i głowy wskazywał na długotrwałe działanie oczyszczającego wiatru, ale z przodu i z drugiej strony szczegóły postaci były nadal widoczne; nagi tors, duży brzuch, pierś obwieszona łańcuchami, klejnotami i grubymi jak lina naszyjnikami, wielka głowa – łysa, lecz zwieńczona koroną, ucho rozciągnięte przez kolczyki, nos nabity ozdobnymi ćwiekami. Na tej zniszczonej przez czas twarzy malował się wyraz, którego – podobnie jak wyrytych symboli – nie potrafiłem określić; może okrucieństwo, może gorycz, a może bezlitosne lekceważenie wszystkiego z wyjątkiem piasku i wiatru.

–Mock? Mocca?

Patrząc na wylupiaste kamienne oczy, uświadomiłem sobie, że szeptem zadaję sobie te pytania. Olbrzym nie pośpieszył z pomocą. Imiona również giną, aczkolwiek powoli; najpierw zmieniane, potem skracane, wreszcie zapominane.

Na plaży przed miastem, w pewnej odległości od rzucającego kamienne spojrzenia posągu, znalazłem mężczyznę. Był drobny, ułomny i zgarbiony. Stał zanurzony po kolana w płytkiej wodzie, fale obmywały ciemne łachmany, które miał na sobie; okładał powierzchnię wody ciężkim biczem z łańcuchów, przeklinając przez cały czas.

Głowa pochyliła mu się pod naporem zdeformowanego karku; długie i brudne włosy sięgały ciasnymi splotami pluskających fal; od czasu do czasu długie pasmo plwociny niczym szaro-biały pęk wylatujący ze środka tej ciemnej bryły spadało ku wodzie i odpływało.

Prawe ramię mężczyzny nieustannie podnosiło się i opadało, smagając morze krótkim i ciężkim biczem z lśniąca drewnianą rączką oraz tuzinem żelaznych łańcuchów o na przemian błyszczących i zardzewiałych ogniach. Woda pieniała się wokół i bulgotała pod tym nieustającym atakiem i zasnuwała się kłębam ziaren piasku poderwanego z pochyłego dna.

Garbus przerwał na chwilę chłostę, przesunął się niczym krab o krok w bok, otarł usta mankietem, po czym powrócił do swego zajęcia, mam-

rocząc przez cały czas, gdy ciężkie łańcuchy wzbijały się w górę, spadały i rozbryzgiwały wodę. Stałem za nim na brzegu i długo się przyglądałem. Znowu przerwał, jeszcze raz otarł twarz, a potem zrobił następny krok w bok. Wiatr rozwiewał jego postrzępione ubranie, na krótko podnosił tłuste, splątane włosy. Mój luźny strój załopotał w tym samym gwałtownym podmuchu wiatru i biczownik chyba usłyszał ten odgłos wśród szumu opadającej fali, gdyż nie od razu podjął na nowo swój trud. Poruszył lekko głowę, jak gdyby chcąc wyłowić jakiś słaby dźwięk. Wydawało się, że próbuje wyprostować swój wykrzywiony grzbiet, ale zrezygnował. Obracał się powoli drobnymi posuwistymi krokami, nie podnosząc stóp – jakby miał je spętane krótkim łańcuchem – dopóki nie znalazł się twarzą do mnie. Jednocześnie wolno unosił głowę. Gdy już mógł na mnie spojrzeć, stanął; fale wciąż załamywały się wokół jego kolan, bicz dyndał w wykrzywionej ręce.

Splątana masa włosów opadających niczym następny bicz ku morzu niemal całkowicie skrywała jego twarz. Czekałem, aż się odezwie, ale on tylko stał, milczący i cierpliwy, dopóki w końcu nie powiedziałem:

–Przepraszam. Proszę sobie nie przeszkadzać.

Przez chwilę nic nie mówił, niczym nie zdradził, że mnie usłyszał, jak gdyby dzieliło nas coś przenoszącego dźwięk wolniej niż powietrze, po czym odpowiedział zaskakująco łagodnym głosem:

–To moja praca. Zatrudniono mnie do niej.

Kiwnąłem głową.

–Och, rozumiem – powiedziałem i czekałem na dalsze wyjaśnienia.

Odniosłem wrażenie, że i tym razem usłyszał moje słowa z opóźnieniem. Dopiero po chwili zareagował koślawym wzruszeniem ramion.

–Widzi pan, kiedyś wielki władca... – zaczął i umilkł.

Czekałem. Po chwili pokręcił głową i powłócząc nogami, obrócił się

twarzą do zakrzywionego niebieskiego horyzontu. Krzyknąłem, ale nie dał po sobie poznać, że usłyszał mój krzyk.

Znowu zaczął okładać fale, cicho i monotonicznie mamrocąc i przeklinając.

Jeszcze przez pewien czas obserwowałem, jak chłoczce morze, po czym odwróciłem się i odszedłem. Żelazna bransoleta, jakby pozostałość zerwanych kajdanów – nie zauważyłem jej wcześniej – wydawała słaby rytmiczny brzęk na moim nadgarstku, gdy wracałem do ruin.

Czy naprawdę mi się to śniło? Zrujnowane nadmorskie miasto, mężczyzna z biczem zrobionym z łańcuchów? Przez chwilę jestem skołowany; czy zeszłej nocy leżałem i próbowałem wyśnić coś, co mógłbym opowiedzieć doktorowi?

W mroku mojego dużego, ogrzanego łóżka czuję jakby ulgę. Śmieję się cicho, nad wyraz zadowolony z siebie i faktu, że w końcu miałem sen, który mogę z czystym sumieniem opowiedzieć pocziwemu doktorowi. Wstaję i naciągam szlafrok. W mieszkaniu jest zimno, szary świt jarzy się łagodnie w wysokich oknach; maleńkie, pulsujące światło świeci daleko w morzu, pod długim niskim wałem ciemnej chmury, jak gdyby ta chmura była lądem, a z rzadka rozbłyskująca boja sygnałem z portu.

Gdzieś daleko rozlega się bicie dzwonu, po którym słychać cichsze kuranty, oznajmiające godzinę piątą. W oddali u dołu rozbrzmiewa gwizd jakiegoś pociągu, a ledwie słyszalny i po części wyczuwalny łoskot świadczy o przejeździe składu towarowego.

W salonie oglądam szary, nieruchomy obraz mężczyzny w szpitalnym łóżku. Rzeźby robotników mostowych, poustawiane w różnych miejscach pokoju, lśnią bladą, odbitą poświatą na nierównościach powierzchni. Nagle jakaś kobieta, pielęgniarka, pojawia się bezgłośnie na ekranie i podchodzi do łóżka. Nie widzę jej twarzy. Wydaje się, że mierzy choremu temperaturę.

Słychać jedynie odległy syk. Pielęgniarka obchodzi łóżko po lśniącej podłodze, by sprawdzić wskazania aparatury. Znika, wchodząc pod kamerę, po czym wraca z metalową tacką. Zdejmuje z niej strzykawkę, odciąga trochę płynu z małej butelki, unosi igłę ku górze, po czym wyciera ramię mężczyzny tamponem i robi mu zastrzyk. Wciągam powietrze przez zęby; nigdy (jestem tego pewien) nie lubiłem zastrzyków.

Obraz jest wciąż zbyt ziarnisty, bym widział, czy igła rzeczywiście przebija skórę mężczyzny, ale w mojej wyobraźni widzę skośne ostrze igły oraz bladą, miękką, poddającą się skórę... Krzywię się z współczującego bólu i wyłączam telewizor.

Podnoszę poduszkę z telefonu. W słuchawce nadal słychać przerywany sygnał; może tylko jest trochę częstszy niż przedtem. Odkładam słuchawkę na widełki. Aparat natychmiast dzwoni. Podnoszę słuchawkę, lecz zamiast monotonnego dzwonięcia słyszę:

–Ach, Orr. W końcu cię złapałem. To ty, prawda?

–Tak, Brooke, to ja.

–Gdzie się podziewałeś? Jego głos jest niewyraźny.

–Spałem.

–Gdzie? Przepraszam, ten hałas... W tle słyszę szmer ludzkich głosów.

–Nigdzie nie wyjeżdżałem. Spałem. A raczej byłem...

–Spałeś? – mówi głośno Brooke. – To nic nie da, Orr. Przykro mi, ale to po prostu nic nie da. Jesteśmy w barze U Dissy Pitton. Przyjdź natychmiast; zostawiliśmy ci butelkę.

–Brooke, jest środek nocy.

–Dobry Boże, naprawdę? To dobrze, że zadzwoniłem.

–Właśnie świta.

–Naprawdę? – Głos zdumionego Brooke'a oddala się od telefonu. Słyszę, jak coś krzyczy, a potem rozlegają się głośne, nieskładne okrzyki radości. – Więc się pośpiesz, Orr. Złap poranny pociąg albo co. Czekaemy na ciebie.

–Brooke... – zaczynam, ale słyszę, jak Brooke znowu mówi do kogoś, a potem jakieś krzyki w oddali.

–O, właśnie – mówi. – Przynieś kapelusz. Musisz przynieść... – Następne krzyki w tle. – Aha, to musi być kapelusz z szerokim rondem, nie przynoś innego. Masz taki?

–Ja...

Przerywają mi następne krzyki.

–Tak, musi być z szerokim rondem! – wrzeszczy Brooke. – Jeżeli nie masz takiego, innego nie przynoś. Masz taki?

–Chyba tak – mówię, podejrzewając, że potwierdzenie oznacza zobowiązanie się do przyjścia.

–W porządku – odpowiada Brooke. – Do zobaczenia. Tylko nie zapomnij kapelusza.

Rozłącza się. Odkładam słuchawkę, podnoszę ją i znowu słyszę regularne buczenie. Spoglądam na błyskające powoli światło pod wałem chmur, wzruszam ramionami i idę do swojej garderoby.

Bar U Dissy Pitton, rozrzucony na kilku dziwacznie rozmieszczonych piętrach, znajduje się w niemodnej strefie mostu, zaledwie parę poziomów powyżej pomostu kolejowego. Bezpośrednio pod najniższym z barów mieści się warsztat powroźniczy, gdzie w szeregu długich wąskich szop splata się liny i kable. W efekcie bar jest pomieszczeniem pełnym lin i kabli, w którym stoły i krzesła zwisają raczej z sufitów niż wspierają się na podłogach. Jak kiedyś zauważył Brooke w rzadkim u niego przyływie poczucia humoru, U Dissy Pitton nawet meble nie mają nóg. Odźwierny śpi na stojąco, opierając się o ścianę budynku, z założonymi rękami i spuszczoną głową; czapka z daszkiem osłania jego oczy przed błyskami neonowego szyldu nad drzwiami. Chrapie. Wchodzę do

środka i wspinam się przez dwa mroczne, opustoszałe piętra tam, gdzie _jak wskazuje hałas i światło – trwa zabawa.

–Orr! We własnej osobie!

Brooke przechodzi chwiejnie przez tłum ludzi i kołyszący się labirynt podwieszonych stołów, krzesel, kanap i zasłon. Po drodze przestę-puje jakieś chrapiące ciało.

Pijani klienci Dissy Pitton rzadko pozostają pod stołem przez dłuższy czas. Zwykle lądują na podłodze w jakiejś odległej części lokalu, zachęceni przez na pozór bezkresną płaszczyznę tekowej podłogi do pełzania na czworakach, powodowani jakimś głęboko zakorzenionym instynktem infantylnego wścibstwa lub może pragnieniem przeistoczenia się w ślimaka.

–Dobrze, że przyszedłeś, Orr – mówi Brooke, chwytając mnie za ramię. Spogląda na kapelusz z szerokim rondem, który ściskam w rękach, i dodaje: – Fajny kapelusz. – Prowadzi mnie w stronę odległego stolika.

–Owszem – odpowiadam, wręczając mu go. – Kto go potrzebował? Czemu ma

służyć?

–Słucham?

Brooke zatrzymuje się; obraca kapelusz w dłoniach. Zdezorientowany patrzy na denko, jak gdyby szukał tam wskazówki.

–Prosiłeś o kapelusz z szerokim rondem, pamiętasz? – wyjaśniam. – Chciałeś, bym go przyniósł.

–Hmm – mruczy Brooke i prowadzi mnie do grupki osób zebranych wokół stolika. Rozpoznaję Bakera i Fowlera, dwóch inżynierów, kolegów Brooke'a. Właśnie próbują wstać. Brooke nadal ma zakłopotaną minę. Uważnie ogląda kapelusz.

–Brooke – mówię, starając się nie okazywać rozdrażnienia. – Niecałe pół godziny temu prosiłeś, bym przyniósł ten cholerny kapelusz. To niemożliwe, byś o tym zapomniał.

–Jesteś pewien, że prosiłem dziś wieczorem? – pyta sceptycznie.

–Brooke, przecież zadzwoniłeś! Zaprosiłeś mnie tu, pro...

–Słuchaj, stary – przerywa mi, czkając, i sięga po butelkę. – Napij się wina, a my już o tym pomyślimy. – Wtyka mi kieliszek do rąk. –

Masz sporo do nadrobienia.

–Obawiam się, że twoje prowadzenie jest niezagrażone.

–Nie jesteś zły, prawda? – upewnia się, napełniając mi kieliszek.

–Tylko trzeźwy. Objawy są podobne.

–Więc jesteś zły.

–Nie jestem.

–Czemu jesteś zły?

Dlaczego odnoszę wrażenie, że Brooke tak naprawdę mnie nie słucha? To się czasem zdarza. Rozmawiam z ludźmi, ale powstaje w nich jakaś pustka, jak gdyby twarze w rzeczywistości były maskami, a za nimi skrywały się prawdziwe osoby – normalnie przyciśnięte do nich od środka, niczym dzieci z nosami rozplaszczonymi na szybie wystawy sklepu ze słodyczami; w chwili gdy do nich mówię, próbując trafić im do przekonania jakąś trudną bądź niemożliwą do zaakceptowania tezą, odrywają swą jaźń od maski i zwracają ją gdzieś w głąb siebie, jakby w zakamarkach świadomości zdejmowali buty i kładli nogi na sofie, pili herbatę i zażywali wypoczynku. Wracają dopiero wtedy, gdy są zvarci i gotowi, by niestosownie skinąć głową i uczynić jakąś zupełnie oderwaną od tematu uwagę, tracącą zleżałymi myślami. Być może to moja wina. Może tylko ja tak wpływam na ludzi, może nikomu innemu się to nie zdarza.

No cóż, chyba myślę jak paranoik. Niewątpliwie gdy tylko ktoś zdobędzie się na odwagę poruszenia tego tematu w rozmowie z innymi ludźmi, okaże się, że taki wpływ jest niezwykle częsty, jeśli nie wręcz powszechny. („O tak, też miałem takie uczucie. To się zdarza! A już myślałem, że tylko mnie”).

Tymczasem inżynierom Bakerowi i Fowlerowi udało się wstać i nałożyć płaszcze. Brooke z przejściem rozmawia z Fowlerem, który wygląda na zakłopotanego. Potem jego twarz rozjaśnia się. Mówi coś, na co Brooke reaguje skinieniem głowy, po czym wraca do mnie.

–To Bouch – mówi i podnosi swój płaszcz z oparcia kanapy.

–Słucham?

–Tommy Bouch – odpowiada, wkładając płaszcz. – To on chciał ten kapelusz.

–Po co?

–Nie wiem – przyznaje.

–No cóż, a gdzie on jest? – pytam, rozglądając się po barze.

–Wyszedł przed chwilą – wyjaśnia i zapina płaszcz. Fowler i Baker stoją za nim, chwiejąc się niepewnie.

–Wychodzicie? – pytam raczej niepotrzebnie.

–Musimy – odpowiada Brooke, a potem chwyta mnie za ramię i pochyla się bliżej. – Pilne spotkanie u pani Hanover.

–Pani... – zaczynam i nie kończę. U Pani Hanover to licencjonowany dom publiczny. Wiem, że Brooke odwiedza go od czasu do czasu z kumplami, i podejrzewam, że bywają w nim głównie inżynierowie. Za-

praszano mnie już wcześniej, ale dałem wyraźnie do zrozumienia, że chodzenie tam mnie nie interesuje. Jak zapewniłem Brooke'a, moja powściągliwość bierze się nie ze skrupułów moralnych, lecz z próżności, ale przypuszczam, że nadal sądzi, iż jestem – pod maską rozmów o seksie, polityce i religii – świętoszkiem.

–Nie sądzę, byś chciał iść z nami, prawda? – mówi.

–Nie, dziękuję.

–Hmm, tak właśnie myślałem – stwierdza, kiwając głową. Znowu chwyta mnie za ramię i zbliża usta do mojego ucha. – Rzecz w tym, Orr, że sytuacja jest trochę niezręczna...

–Co?

Przyglądam się, jak inżynier Fowler rozmawia z młodym długowłosym mężczyzną, który siedzi za nim, w ciemnościach. Następny młodzieniec leży na stoliku za nim.

–To córka Arrola – tłumaczy Brooke, spoglądając przez ramię.

–Kto?

–Córka Głównego Inżyniera Arrola – szepcze. – Bo widzisz, ona tak jakby przyłączyła się do nas, a jej brat zalał robaka i zasnął, więc jeżeli teraz wyjdziemy, nie będzie nikogo, kto... Słuchaj, nie miałbyś chyba nic przeciwko... rozmowie z nią, prawda?

–Brooke, najpierw dzwonicz do mnie o piątej nad ranem, potem... – mówię oziębło i

na tym poprzestaję.

Baker, wspierany przez niespokojnego Fowlera, wpada na Brooke[^] i mówi:

–Chyba powinniśmy już iść. Nie czuję się zbyt... – Inżynier Baker milknie, wygląda na to, że czka. Wydymają mu się policzki. Przetyka ślinę, krzywi się i kiwa głową w stronę schodów prowadzących na niższe piętro.

–Musimy iść, Orr – pośpiesznie stwierdza Brooke, łapiąc Bakera za ramię, podczas gdy Fowler chwyta go za drugie. – Do zobaczenia. Dzięki za zaopiekowanie się dziewczyną. Przykro mi, ale sam musisz się przedstawić. – Cała trójka przeciska się obok mnie; Brooke wpycha mi do rąk kapelusz. Fowler ciągnie Bakera ku schodom, z Brookiem na holu, drugiej ręce Bakera. – Jeśli spotkam Tommy'ego Boucha, powiem mu o kapeluszu.

Idą chwiejnym krokiem przez tłum w stronę schodów. Gdy się odwracam, moją uwagę przyciąga młody mężczyzna, z którym wcześniej rozmawiał Fowler; unosi spojrzenie dość podpuchniętych oczu i uśmiecha się do mnie.

Pomyłka. To nie młody mężczyzna, a młoda kobieta. Ma na sobie ciemny, dobrze skrojony garnitur z szerokimi spodniami, brokatową kamizelkę z zawieszonym na niej ostentacyjnym złotym łańcuchem i białą bawełnianą koszulę. Kołnierzyk koszuli jest rozpięty, zwisa zeń czarna, rozwiązana muszka. Do tego czarne buty. Jej włosy są ciemne, sięgają ramion. Siedzi na krześle bokiem, z jedną nogą założoną pod siebie. Unosi ciemną zakrzywioną brew; podążam oczyma za jej spojrzeniem w miejsce,

gdzie tercet podpierających się inżynierów, którzy właśnie odeszli od stolika, próbuje przepłynąć w ścisku na szczycie schodów.

–Myśli pan, że im się uda? – pyta. Przechyliła głowę, podpierając ją od tyłu zaciśniętą pięścią.

–Chyba musiałbym dostać duże fory, żeby się o to założyć – odpowiadam. Dziewczyna kiwa w zadumie głową i pociąga łyk z wysokiego kieliszka.

–Ja też – mówi. – Przepraszam. Nie wiem, jak się pan nazywa.

–John Orr.

–Abberlaine Arrol.

–Jak się pani miewa?

Abberlaine Arrol uśmiecha się, rozbawiona.

–Tak jak lubię, panie Orr. A pan?

Jedna odpowiedź ni w pięć, ni w dziewięć za drugą.

–Pewnie jest pani córką Głównego Inżyniera Arrola – mówię, kładąc kapelusz na skraju kanapy (skąd, przy odrobinie szczęścia, podniesie go ktoś inny).

–Zgadza się. Jest pan inżynierem, panie Orr? – pyta i machnięciem smukłej, pozbawionej obrączki ręki wskazuje krzesło obok siebie.

Zdejmuję płaszcz i siadam.

–Nie, jestem pacjentem doktora Joyce'a.

–Rozumiem – mówi, kiwając głową. Spogląda na mnie z niezwykłą na moście otwartością, jak gdybym był jakimś skomplikowanym mechanizmem, w którym odpadła jedna mała część. Skóra jej twarzy jest młoda, lecz choć bez zmarszczek, wygląda miękko, jak u starszej kobiety. Abberlaine ma małe oczy, pod gładkim czołem i policzkiem wyraźnie rysują się kości. Jej usta są dość szerokie i uśmiechnięte, ale mój wzrok przyciągają drobne zmarszczki pod szarymi oczami, drobne fałdy, nadające jej spojrzeniu chytry, ironiczny wyraz.

–Co ich zdaniem panu dolega?

Rzuca spojrzenie w kierunku przegubu mojej ręki, ale pasek z opisem choroby jest ukryty pod mankietem.

–Amnezja.

–Doprawdy? Od kiedy?

–Od mniej więcej ośmiu miesięcy. Zostałem... wyłowiony przez rybaków.

–Och, chyba o tym czytałam. Wyłowili pana z morza.

–Tak mi mówią. To jedna z wielu rzeczy, których nie pamiętam.

–Jeszcze nie odkryli, kim pan jest?

–Nie. W każdym razie nikt się o mnie nie upomniał. Nie pasuję do opisu żadnej zaginionej osoby.

–Hm, to musi być dziwne. – Jej palec wędruje do ust. – Wydawało mi się, że utrata pamięci mogłaby być dość interesująca i – wzruszenie ramion – romantyczna, ale chyba po prostu jest zniechęcająca?

Ma dość ładne, bardzo ciemne brwi.

–Głównie zniechęcająca, ale też interesująca. Podobnie jak kuracja. Mój lekarz wierzy w analizę snów.

–A pan?

–Jak dotąd nie.

–Uwierzy pan, jeżeli poskutkuje – mówi i kiwa głową.

–Prawdopodobnie. Dziewczyna podnosi palec i pyta:

–A jeśli będzie pan musiał uwierzyć, zanim zdoła poskutkować?

–Nie jestem pewien, czy to byłoby zgodne z naukowymi zasadami poczciwego doktora.

–Czy to nie wszystko jedno, skoro poskutkuje?

–Jeśli jednak ktoś uwierzy bez powodu w sam proces leczenia, może w końcu bez powodu uwierzyć w jego rezultat.

Ta uwaga sprawia, że Abberlaine milknie, ale tylko na chwilę.

–Mógłby więc pan sądzić, że jest wyleczony w sytuacji, gdy nadal będzie pan chory. Ale przecież byłby wyraźny skutek: albo wróciłaby panu pamięć, albo nie.

–Mogłoby też stać się inaczej. Mógłbym to wymyślić.

–Wymyślić swoje dotychczasowe życie? – zapytała sceptycznie.

–Niektórzy robią to stale.

Myślę, że się z nią przekomarzam, ale nawet w chwili wypowiedania tych słów wcale nie jestem tego taki pewny.

–Tylko po to, by oszukać innych ludzi. Muszą wiedzieć, że kłamią.

–Nie jestem przekonany, czy to takie proste. Wydaje mi się, że najłatwiej jest oszukać samego siebie. Oszukiwanie samego siebie może nawet być niezbędnym warunkiem wstępnym oszukiwania innych.

–O nie – odpowiada stanowczo. – Żeby umiejętnie kłamać, trzeba mieć dobrą pamięć. Żeby oszukać innych, zwykle trzeba być sprytniejszym od nich.

–Myśli pani, że nikt nie wierzy we własne opowieści?

–Och, może parę osób w szpitalach psychiatrycznych, ale nikt więcej. Sądzę, że większość pacjentów, którzy twierdzą, że są kimś innym, po prostu toczy swego rodzaju grę z personelem.

Taka pewność! Wydaje mi się, że przypominam sobie czasy, gdy byłem tak pewnym różnych rzeczy, choć nie pamiętam, o jakie rzeczy chodziło.

–Pewnie pani uważa, że lekarzy bardzo łatwo oszukać.

Uśmiecha się. Jej zęby są bez zarzutu. Zdaję sobie sprawę, że taksuję tę młodą kobietę. Jest zajmująca, nie będąc zachwycającą; pasjonująca, nie będąc uroczą. Może i dobrze. Abberlaine potwierdza skinieniem głowy.

–Uważam, że można ich dość łatwo oszukać, gdy traktują umysł jak mięsień. Przypuszczalnie nie przychodzi im do głowy, że ich pacjenci mogą rozmyślnie próbować ich okpić.

Z tym bym się nie zgodził: jeśli chodzi o doktora Joyce'a, to wydaje się, że duma zawodowa nie pozwala mu w pełni wierzyć w cokolwiek z tego, co mówią mu jego pacjenci.

–No cóż – stwierdzam – poczciwy doktor zwykle chyba rozpozna je pacjentów-szarlatanów. Większości ludzi brak wyobraźni, by wystarczająco dobrze wcielić się w rolę.

Panna Arrol marszczy czoło.

–Być może – odpowiada, z przejęciem wpatrując się w przestrzeń obok mnie. – Myślę po prostu o dzieciństwie, gdy...

W tym momencie młody mężczyzna siedzący po jej drugiej stronie, z rękami na stoliku i z głową w ramionach, zaczyna się ruszać, prostuje się na krześle i ziewa, tocząc wokół kaprawym wzrokiem.

–Ach, znowu przytomny – mówi dziewczyna do brata. – W końcu zebraliśmy neurony do kupy, co?

–Nie bądź świnia, Abby – odpowiada on, posławszy mi pogardliwe spojrzenie. – Lepiej przynieś mi trochę wody.

–Możesz sobie być zwierzęciem, drogi braciszku – zauważa Abberlaine – ale ja nie jestem twoją opiekunką.

Mężczyzna rozgląda się za czymś po stole, niemal w całości przykrytym brudnymi talerzami i pustymi kieliszkami. Abberlaine Arrol patrzy na mnie.

–Pewnie pan nie wie, czy ma jakichś braci, prawda?

–Nic mi o tym nie wiadomo.

–Hmm.

Dziewczyna wstaje i rusza do baru. Jej brat zamyka oczy i odchyła się do tyłu, powodując, że krzesło chwieje się nieco. Bar pustoszeje, pod odległymi stolikami widać tylko kilka par sterczących nóg, wskazujących miejsca, gdzie dobiegły kresu wędrówki ich otępiełych właścicieli do dawno minionych czasów czworonożnej lokomocji. Abber-laine Arrol wraca z dzbankiem wody. Pali długie, cienkie cygaro. Staje przed bratem i zaciągając się cygarem, wylewa mu trochę wody na głowę.

Ten przewraca się na podłogę, przeklinając, i staje na drżących nogach. Siostra wręcza mu dzbanek. Gdy młody Arrol pije, przygląda mu się z czymś w rodzaju pogardliwego rozbawienia.

–Widział pan dziś rano te słynne samoloty? – pyta panna Arrol, obserwując brata i nie patrząc na mnie.

–Owszem. A pani?

Kręci głową.

–Nie. Opowiedziano mi o nich, ale początkowo myślałam, że to jakiś żart.

–Mnie wydawały się prawdziwe.

Jej brat opróżnia dzbanek i teatralnym gestem rzuca go za siebie; roztrzaskuje się na stoliku w ciemnościach. Abberlaine Arrol kręci głową. Młodzieniec ziewa i mówi:

–Jestem zmęczony. Chodźmy. Gdzie tata?

–Pojechał do klubu. Ale sporo czasu temu. Może jest już w domu.

–Dobra. Chodź.

Idzie w kierunku schodów. Panna Arrol wzrusza ramionami.

–Muszę już iść, panie Orr.

–Rozumiem.

–Przyjemnie mi się z panem rozmawiało.

–A zatem przyjemność była obopólna.

Abberlaine patrzy tam, gdzie na szczycie schodów, z rękami na biodrach, czeka młody Arrol.

–Może będziemy jeszcze mieli okazję kontynuować naszą rozmowę.

–Mam taką nadzieję.

Stoi tam przez chwilę, paląc cygaro – szczupła, z lekko rozwichrzonymi włosami – po czym dla zabawy robi głęboki ukłon ozdobiony za-

maszystym ruchem ręki i wetknąwszy cygaro do ust, odchodzi tyłem. Smuga szarego dymu wije się za nią.

Birbanci już sobie poszli. Większość osób pozostałych w barze U Dissy Pitton to jego pracownicy; gaszą światła, wycierają stoliki, zmiatają podłogę, podnoszą z pomostu pijanych. Siadam i dopijam wino; jest ciepłe i gorzkie, ale nie znoszę zostawiać nie opróżnionych kieliszków.

W końcu podnoszę się i idę do schodów wąskim korytarzem palących się jeszcze lamp.

–Proszę pana!

Odwracam się; dzierżący w jednej ręce miotłę barman trzyma w drugiej kapelusz z szerokim rondem.

~ Pana kapelusz – mówi, potrząsając nim na wypadek, gdybym pomyślał, że chodzi mu o miotłę. Biorę przekłete nakrycie głowy, utwierdzony w przekonaniu, że niechybnie przepadłoby na zawsze, gdyby było dla mnie czymś cennym, gdybym o nie dbał i starał się go pilnować.

Przy drzwiach nie drzemiący już odźwierny trzyma Tommy'ego Boucha pod ścianą i wypytuje o tożsamość i adres. Inżynier Bouch wydaje się niezdolny do wydania z siebie jakichkolwiek logicznych dźwięków, jego twarz przybrała wyraźnie zielony odcień, a odźwierny ma problemy z utrzymaniem go na nogach.

–Zna pan tego dżentelmena? – pyta.

Kręcę głową.

–Widzę go po raz pierwszy w życiu – odpowiadam, po czym wciskam mu kapelusz między ręce. – Ale zostawił w barze ten kapelusz.

–Dziękuję panu – mówi odzwierny. Trzyma kapelusz przed oczyma inżyniera, tak żeby ten mógł go (lub obydwu, zależnie od okoliczności) zobaczyć. – Proszę popatrzeć, pański kapelusz.

–Dździękuuuuję – udaje się wykrztusić inżynierowi Bouchowi przed przerwaniem zawartości żołądka do środka nakrycia głowy. Oczywiście dzięki szerokiemu rondowi tylko niezwykle drobna jej część rozpryskuje się na zewnątrz.

Odchodzę w poczuciu osobliwego triumfu. Chyba właśnie do tego był mu przez cały czas potrzebny.

–Nie ma go tutaj?

–Ojej, jest mi naprawdę przykro, panie Orr, ale nie, nie ma.

–Ale ja przecież mam...

»

–Umówioną wizytę. Tak, wiem, panie Orr. Mam to tutaj zapisane, widzi pan?

–O co więc chodzi?

–Niestety, odbywa się pilne zebranie Komitetu Weryfikacyjnego Podkomisji Rady Administracyjnej. Bardzo ważne zebranie. Doktor jest obecnie szalenie zajęty człowiekiem, proszę pana. Ma po prostu tyle obowiązków. Nie wolno panu brać tego do siebie, panie Orr.

–Nie biorę.

–Po prostu tak wygląda sytuacja. Nikt nie lubi całej tej pracy administracyjnej, ale to po prostu brudna robota, którą trzeba wykonać.

–Tak...

–To mogło się przydarzyć każdemu pacjentowi. Zwyczajnie miał pan pecha.

–Doceniam...

–Nie wolno panu brać tego do siebie. To po prostu jedna z tych nieprzewidzianych sytuacji.

–Tak, oczywiście...

–I, rzecz jasna, nie ma to absolutnie żadnego związku z tym, że parę dni temu zapomnieliśmy pana poinformować o przeniesieniu przychodni. To był czysty zbieg

okoliczności. Mogło się przytrafić każdemu. Miał pan po prostu pecha. Tu naprawdę nie chodzi o pana.

–Ja...

–Nie wolno panu traktować tego w ten sposób.

–Nie traktuję!

–Och, panie Orr. Nie dajemy się ponieść nerwom, prawda?

Na zewnątrz, pamiętając wczorajszą pełną przygodę podróż, ruszam w tym samym kierunku co poprzednio; szukam olbrzymiego okrągłego okna i wejścia do zniszczonej windy w kształcie L naprzeciwko.

Coraz bardziej zniechęcony i zirytowany błąkam się przez godzinę w mroku wysokiej kondygnacji górnej części mostu, mijam te same nisze ze ślepymi posągami starożytnych biurokratów uwiecznionych w jasnym kamieniu i te same ciężko wiszące flagi zwinięte niczym grube żagle na jakimś wielkim, mrocznym statku, ale nie odnajduję okrągłego okna, starego brodacza ani windy. Starszy kancelista, którego baretki świadczą o tym, że jest weteranem z co najmniej trzydziestoletnim stażem, wygląda na zakłopotanego i kręci głową, gdy opisuję windę i jej posiwiąłego operatora.

W końcu (doktor nie byłby ze mnie zadowolony) daję za wygraną.

Następnych parę godzin spędzam włóczęc się po małych galeriach w segmencie mostu dość odległym od miejsc, które zwykle odwiedzam. Galerie są ciemne i czuć w nich stęchliznę, a obsługujący sprawiają wrażenie zdziwionych, że ktoś przyszedł oglądać eksponaty. Żaden z nich mnie nie zadowala; wszystkie dzieła sprawiają wrażenie zmęczonych i zużytych; obrazy wydają się wypłukane, rzeźby sflaczałe. Jednak od słabego wykonania gorsze jest niezdrowe wręcz zaabsorbowanie deformacjami ludzkiej postaci, wspólne chyba wszystkim autorom. Rzeźbiarze wykrzywili ją w dziwaczną podobiznę konstrukcji samego mostu; uda stają się kesonami, torsy albo kesonami, albo rurami konstrukcji nośnej, a ręce i nogi obciążonymi dźwigarami; części ciał konstruowane są z nitowanych blach w kolorze mostowej czerwieni; dźwigary z rur stają się kończynami, łącząc się w groteskowe skupiska metalu i ciała niczym guzowate erupcje komórek i krystalitu. Obrazy świadczą o bardzo podobnych zainteresowaniach; jeden ukazuje most w postaci szeregu zniekształconych karłów stojących pod rękę w ściekach lub krwi, inny przedstawia pojedynczą formację z rur, tyle że z wijącymi się niebieskimi żyłami uwydatnionymi pod ochrową powierzchnią oraz strużkami krwi spływającymi z każdego otworu na nit.

Pod tą częścią mostu znajduje się jedna z wysepek, na których wspiera się co trzeci jego segment.

Wysepki te upodobniają do siebie jedynie ich przybliżone wymiary i regularne odstępy; poza tym różnią się one kształtem i sposobem wykorzystania. Część podziurawiona jest wyrobiskami starych kopalń i podziemnymi grotami, inne są niemal całkowicie pokryte rozpadającymi się betonowymi płytami oraz okrągłymi szybami, wyglądającymi jak dawne stanowiska artyleryjskie. Na niektórych wspierają się zrujnowane budynki – stare wejścia do kopalnianych szybów lub rozsypujące się fabryki. Na większości na jednym końcu mieści się mały port lub basen jachtowy, a na paru w ogóle nie ma śladów ludzkich siedzib i budowli – jedynie zielone grudy, porośnięte trawą, krzakami i morskimi wodorostami.

Mają one jednak wspólną tajemnicę i jest nią odpowiedź na pytanie, skąd się tutaj wzięły. Wyglądają naturalnie, ale razem, widziane w całej swej linearnej regularności, zdradzają pewien wzór, nienaturalny porządek, czyniący je jeszcze dziwniejszymi niż most, który się na nich wspiera.

Ciskam monetę z okna tramwaju wiozącego mnie do domu; błyskając, wylatuje w kierunku morza, nie wyspy. Paru pozostałych pasażerów

rów także wyrzuca monety i mam krótkotrwałą, absurdalną wizję wód pod mostem wypełniających się w końcu wyrzuconymi miedziakami, całej zatoki zamulonej piętężnymi gruzami wyczerpanych życzeń, otaczającej wydrążone metalowe kości mostu litą pustynią bilonu.

W mieszkaniu przed snem przez pewien czas obserwuję mężczyznę w szpitalnym łóżku, wpatrując się w jego szary i ziarnisty wizerunek tak intensywnie i długo, że ów pusty i nieruchomy obraz niemal mnie hipnotyzuje. Mam wrażenie, że – zatopiony w wieczornych ciemnościach, z oczyma utkwionymi w telewizorze – patrzę nie na fosforyzujący ekran ze szkła, lecz na jaskrawą metalową płytę, na sztych wyryty i odbity na lśniącej, gruboziarnistej płycie ze stali.

Czekam, aż zadzwoni telefon.

Czekam, aż powróci eskadra samolotów.

I wtedy pojawia się pielęgniarka; ta sama, z metalową tacą. Czar pryska, złudzenie, że ekran jest stalową płytą, rozwiewa się.

Pielęgniarka przygotowuje strzykawki, przemywa ramię mężczyzny tamponem. Drzę, jak gdyby ten alkohol, ten spirytus mnie zmroził, zmroził całe moje ciało.

Pośpiesznie wyłączam telewizor.

Część czwarta

To wuaśnie ten czarodziej rozdaje te stwozenia nazwau go zausznikiem wienc go wziouem i siedzi teras na moim ramieniu i kurde szwargoce szwargoce cauy holerny dzień. Nie mogę znieś tego holerstfa, ale hyba na dobro sprawę jestem nanie skazany a ono na mnie. Czarodziej po-wiedziau, rzemi to pomorze. Powiedziau, rze będzie mi wszystko muwić noi zgoda mówi ale ja myślauem, że jemó hodziuo o jakieś mondre że-czy, a nieo masę bzdór pszes cauy dzień. Prubowau mnie pszekópić, bo myślau rze mam zamiar go ókatrópić, bo i miauem i powiedziau rze jeśli tego nie zrobię, da nam tego naprawdę ciekawego i urzytecznego zausznika rzeby czówau nad nami nocom i dawau nam wszystkie te rady i wogle. No wienc powiedziauem w požontku koleś zobaczmy coto potrafi robić wienc on podchodzi do tej puki i bieżę te maleńkie pódeuko i wkuada do niego jakieś żeczy i muwi parę suf i wogle. (Obserwowaem go, rozómicie, na wypadek gdyby prubowau jakiegoś nómeru, tszymauem mu miecz pszy gardle na wypadek gdyby prubowau mnie zmienić w coś mauego i okropnego ale nie zmieniu). Zamiast tego wyjmóje to zabawne stwożonko podobne do kota albo maupy caue pokryte czarnym fótrem z parom czarnyh skszydeuek na gźbiecie i zezowate i pszylepia mi je na ramienic i muwi: Proszę, muj huopcze. – Byuem trochę hytry, rozómicie, bo to byu paskódny gnojek i siedziau tusz przy mojej guowie, ale nadal tszymauem miecz na gardle czarodzieja, wienc popatszyuem na te bystrookie stwozenie i zapytauem: – Wienc gdzie jest zuoto tego staróha? A ono powiedziauo: – W starej skszyni za przegrodom, ale to magiczna skszynia. Wyglonda na pustom ale morzna wyczóć zuoto i stanie sie widoczne, gdy je wyciongniesz. – Cza-

rodziej omal nie dostau atakó wienc usuhauem. Kazauem mó iść po zu-oto i to co powiedziau zausznik byuo prawdom, wienc zapytauem go co powinienem teraz zrobić a on powiedziau: – Najpierw ukatróp tego starego gnoja bo to podstempny gość. – Wienc zabiuem czarodzieja, ale te piepszone stwozenie nie powiedziauo od tamtej pory nic mondrego tylko plecie bzdury pszes cauy dzień.

–...oczywiście zgodnie z obowiązującymi zasadami Nowej Symboliki, sformułowanymi w *Grandę Cabale*, wieża oznacza ustronie, ograniczenie kontaktów z rzeczywistym światem, filozoficzną ekstraspektywę. Mówiąc w skrócie, nie ma nic wspólnego z dziecinnym wręcz zaabsorbowaniem symbolizmem fallicznym, o którym wspomniałem wcześniej. Co więcej, jeśli nie liczyć najbardziej leniwych duchowo społeczeństw, gdy ludzie chcą śnić o seksie, robią to. Kombinację kart *La Minę* i *La Tour* w drugorzędnej grze uważa się za szczególnie istotną, a konfiguracja wieży nad kopalnią rzeczywiście ma wpływ seksualny na skutki proroctw, którego prosta kombinacja ustronia i obawy przed niepowodzeniem nie wydaje się bezpośrednio implikować, lecz...

Rozmiesz co mam na myśli? Dostaubys od tego fioua. Nie mogę zdjnąć mauego z ramienia bo wbiu szpony prosto w moje ciauo. Nie boli dopuki nie prubóje zdjnąć tej besti, ale wtedy boli jak diabli. Nie mogę nawet phnoć go norzem ani walnoć kamieniem bo taki jes zwinny i tak dze pysk rze nieboszczyk by wstau z grobó, i podska-kóje a ja prubóje go walnoć lup poderżnoć mó garduo ale bez rezól-tatu.

Tak czy owak dobrze zrobiuem bo zapszyjaźniu sie ze mnom wienc morze jednak przynosi szczęście. Opiekóje sie tym disnejowym dzieu-em bez pomocy czarodzieja ale uatfo nie jes. Jestem pszecierz szermie-żem a nie jakimś piepszonym góślazem. Tak czy siak jak muwie dobrze zrobiuem bo zapszyjaźniu się ze mnom i nauczyu mnie masy nowyh su-uf, wienc teraz jestem trohe bardziej wyksztaucony, rozómicie? Ej, za-pomniauem wspomnieć, rze jertzeli sprubóje zdjnąć go z ramienia albo go nie nakarmię, będzie guośno gadau cauom noc i nie dawau mi spać wienc widzonc rze nie rzre durzo i rze przynius mi szczęście po prostu zostawiam mó teras jedzenie i wspanurzyjemy tak dobrze jak morzna sie spodziewać. Rzaújoje tylko, że srami na plecy.

–To faktycznie interesująca teza. Chodzi mi o to, że z pewnością tego nie zauważysz, będąc taki nieugięty – nieużyty niemal, jeśli mam być szczery – ale na lądach poniżej sytuacja jest zupełnie odwrotna niż na tej wysokości (zauważyłeś, że brak ci tchu? Nie, prawdopodobnie

nie). Tam, na łąkach asfodelowych tej kwintesencjonalnie zielonej areny wydarzeń, rządzą kobiety, a mężczyźni przez całe życie pozostają mali i drobni jak dzieci.

Znowó to szfargotanie a oto ja turz pszy wieźhu tej piepszanej wielkiej wierzy z mieczem pokrytym krwiom, ramieniem boloncym w miejscu gdzie jeden z wartownikuf ciou mnie wcześniej pszy bramie. Gubię się w tym labiryncie z tymi wszystkimi pokoikami i martwię się o ten po-rzar co go wznieciuem nirzej, bo czuje dym a wolaubym nie opiec się rzywcem o nie dziękuje a te holerne stwożenia jak zwykle plotom gup-stfa. W tym tempie nigdy nie zuapie tej starej krulowej z jej magicznymi zdolnościami i wogle. Nastempny z wartownikuf naciera na mnie, ale

zabijam go bez kuopotó i przeskakuje nad nim wcionrz szókajonc drogi na gure i wachajonc kturendy iść.

**–Boże, jakie te trutnie są nudne. Ta pszczela mentalność to praw
dziwa droga do zguby u wyższych kręgowców (zawsze uważałem, że to
określenie stosuje się do ciebie jedynie w sensie wzrostu ciała). Nadal
jesteś zagubiony. Tak myślałem. Martwisz się dymem? Oczywiście. In
teligentniejszy facet rozwiązałby obydwie problemy za jednym zama
chem, obserwując, w jaki sposób wędruje dym. Będzie próbował wzbic
się w górę, a na tym piętrze nie ma okien. Nie znaczy to, żebyś miał
dużą szansę takiego skojarzenia. Twój rozum jest równie bystry jak le
niwiec na walium. Szkoda, że strumień twojej świadomości nie dotarł jesz
cze do epoki między lodowcowej, ale przecież nie wszyscy mogą być gi
gantami intelektu. To wszystko wynika chyba z jakiegoś zatrważające
go błędu w kodzie genetycznym. Prawdopodobnie coś zaszwankowało
w macicy. Cała dostarczana krew poszła na budowę mięśni, a twój
mózg musiał się rozwijać zasilany porcją normalnie przeznaczoną dla
dużego palca u nogi lub podobnie małej części ciała.**

**Pszes hwile myślaum rze dostane tam mduości, ale po prostu pszy-glondnouem
sie dokond leci dym i znalazuem te durze dźwi zapadowe, wienc myślę rze nic mi nie
jes, ale prubować wykombinować co sie dzieje z tym bystrookim gnojkiem
skszeczoncym mido óha cały czas to nie som rzarty.**

**–Skoro znowu mowa o dzieciach, to -jak już zauważyłem... Och,
dobra robota, znaleźliśmy drogę na następne piętro, prawda? Moje gra
tulacje. Czy aby nie zapomnimy zamknąć zapadni? Świetnie. Idziemy
dalej. Swoje sznurowadła zawiążesz potem... pewnie jedno do drugiego,
ale wszystko ma swój początek. O czym to ja mówiłem? O dzieciach.**

Tak, na łąkach poniżej szefuje raczej pleć piękna niż brzydka. Mężczyź-

ni rodzą się na pozór normalni, ale rosną tylko przez krótki czas i zatrzymują się w rozwoju mniej więcej na etapie berbecia. Płciowo rzeczywiście dojrzewają, obrastając obficie włosami, a nawet tyjąc trochę, a ich genitalia są w pełni rozwinięte, ale przez całe życie zachowują rozmiary przyjemnych małych pieszczołów i nigdy nie wyrastają na tyle, by stanowić zagrożenie. Nigdy nie osiągają pełnego rozwoju umysłowego, *lecz plus ca change - spytajcie którąkolwiek kobietę. Te włochate figlarne kłębuszki uciechy wykorzystuje się, rzecz jasna, do płodzenia nowego potomstwa i naturalnie są wspaniałymi pieszczołami, lecz kobiety zwykle tworzą poważne związki tylko między sobą, co jest zupełnie słuszne i właściwe, jeśli już chcesz znać moje zdanie. Poza wszystkim innym, do uzyskania „namacalnego” kworum potrzebnego do kochania się potrzebnych jest – inaczej niż przy zwykłym zapłodnieniu -trzech lub czterech mężczyzn...**

Widzicie, ten ostatni kszyk mody szwargocze. Maury drań upiek by sie jórz gdybym nie znalaz drogi na to pietro. Piździ tutaj strasznie dmóha szybciej niż pierdzom smoki, jak to muwiom, i wszystkie te ko-lómny i zasuony i żeczy latajonce na wszystkie strony. Ściany wyglonda-jom mi na zuote, ale to tylko zuota folia i nie pszyda sie ani czuowieko-wi, ani zwieżenciu. Szókam pszejścia na nastempne pietro gdy ci dwaj wartownicy jak niedźwiedzie z ludzkimi guowami warczonc natarli na mnie z wielkimi toporami ale ih teraz zabiuem. Jeden z nih wypada pszes porencz balkonu i patsze jak leci w du dopuki nie stajesie maleńkom plamkom ale to nadal nie doprowadza mnie do tej starej soki krulowej.

–Idę o zakład, że teraz żałuje, że nie uczył się latać. Spójrz tylko na to, dobrze? Granie i wzgórze, i wszystkie te lasy... strumienie niczym żyły żywego srebra. Dech zapiera. Chyba nawet z respiratorem. Nie, ty pewnie byś go nie potrzebował – mało prawdopodobne, byś cierpiał na głód tlenowy. Przypuszczam, że w razie potrzeby mógłbyś przeżyć na paru cząsteczkach dziennie. Boże, spójrz tylko na siebie. Zmiana w warzywo byłaby dla ciebie awansem. Gwoli sprawiedliwości muszę jednak przyznać, że z zimną krwią wyprawieś tych wrzaskliwych i agresywnych drapieźników na tamten świat. Omal mnie nie wystraszyli, ale na szczęście po prostu natarłeś na nich, prawda? Tak, masz charakter, mój chłopcze. Szkoda, że zamiast mózgu, ale nie można mieć wszystkiego. Z rozwiązaniem zagadki włącznie, jak się wydaje. Osobiście nie sądzę,

*** *Plus ca change, plus c'est la meme chose* – fr.; Im bardziej rzeczy się zmieniają, tym bardziej pozostają takie, jak były.**

by tron wygląda! zupełnie normalnie. Wygląda na to, że z tego piętra nie ma żadnego przejścia na następne, ale przecież musi być i będąc monarchą, też bym potrzebował szybkiej i dogodnej drogi ewakuacji na wypadek, gdyby sytuacja w sali tronowej zrobiła się kłopotliwa. Zabawne, że normalnie nie widać linii łączenia tronu z podium. Jednak nie liczę na to, że dostrzeżesz taki szczegół, tępaku.

Te piepszone stworzenia doprowadzom mnie kiedyś do szau tak samo jak caua ta dórna paplanina w moim óhu. Gdybym mug tobym sie pozbyu tego mauego drania ale jak? Oto jes pytanie. Sionde sobie tro-he na tym wielkim foteló rzeby zwienkszyć moje szanse. Na trenie czy jak go tam zwom i zacznę przyciskać i sztórhać jego czeńści a nuż widelec, rozómicie? Gdy tracę jósz nadzieje, wszystko wylatóje w powietsze ot tak, zemnom w środkó i piepszonym zausznikiem wcionrz glendzon-cym mi do óha.

I muwie ci, bardzo dziwny kawauek wierzy to uom.

–Cóż za niespodzianka! Nietypowa winda, co? Siedemdziesiąte dziewiąte piętro: damska bielizna, skórzane stroje, łóżka i szaty.

Nie uwieżyubysz co za holernie dziwne miejsce. Holernie durzą sala z tymi wszystkimi maleńkimi urzkami, kanapami i wogle, i te kobiety na nih, tylko że niecaue. Wszystkim brakowauo kawaukuf ciaua.

Wszystkie lertzom tam na tych maleńkih urzkach i czóc piekielny za-pah perfóm. No i pszybiega ten wielki gnuj, prawie gouy, cauy buysz-czoncy od olejó i z cienkim

guosem jak u kobiety. Kuaniau sie, drapau i zacieraui rence i szczebiotau do mnie tym sfoim idiotycznym babskim guosem i puakau jak panienka a uzy ciekuy mó po tważy wienc posie-dziauem tam trochę, uapionc oddeh a potem poszuem rozejżeć sie po tym dziwnym miejscó z tym wielkim gróbym draniem szwargoczonym za moimi plecami i wcionż puaczonym.

Wszystkie te kobiety były caukiem rzywe ale zostauy posiekane. Rządna z nih nie miaua ronk ani nug tylko tuowia i guowy. Wyglon-dauy tak jakby stoczyuy jakomś wielkom bitfe czy coś, tylko rze nie miauy rzadnyh blizn na tważach i ciauah. Jakiś kótas zauatfiu je na cacy. Wszystkie terz byuy orodziwe: durze cycki i wspaniaue ksztauty i bardzo pieńkne tważe. Byuy przywionzane pasami i wogle a czeńść z nih miaua na sobie te skużane żeczy albo nendzne jótowe wdzianka i te koronkowom bieliznę, rozómiecie. Niekture takrze puakauly.

Nieh mnie szlak, pomyślauem, niekture gnojki majom bardzo dziwny góst. Zwuaszca jertzeli to wszystko byuo dla krulowej, ale z drogiej strony czuowiek suyszy, że czeńść tyh czarownic i czarownikuf jest nie-

źle zboczona. Pomyślauem, rzeto na pewno nie ten wielki grubas cho-dzocy za mnou piepszy te panienki. Tak czy siak stara ciota zaczeua mnie menczyć wienc go ókatrópiuem i wtedy znalazuem za tom wiel-kom kórtynom wszystkich tyh facetuf, piepszonych dziadkuf wystrojonyh w te idiotyczne togi.

Szkoda rze ih nie widziaueś. Jak mnie zobaczyli, skoczyli pod sófit i zaczęli sie kuaniać, dotykać migotliwego światua pszede mnou i wyć. Zapytauem ih gdzie jes krulowa i jej zuoto, ale znowó ósuyszauem tylko holerne szwargotanie. Nie moguem zrozómieć ani słowa ale zgadnij kto zrozómiau?

–Ach, ci kochani mężczyźni. Widzę, że spokojnie podchodzą do po rażki. Wasz gruby przyjaciel – no wiecie, ten zbawiennie pozbawiony swoich walorów – zderzy! się przed chwilą z mieczem mojego muskularnego przyjaciela. Wygląda to jeszcze paskudniej niż jego pierwotne obrażenia. Myślę, że cierpliwość tego zucha jest na wyczerpaniu i w najlepszym razie zostało jej parę kropel, więc jeśli nie chcecie skończyć jak tamten tłuścioch – w stanie, w jakim był za życia lub w jakim jest teraz –przyjdę wam z pomocą. Więc którędy mamy iść, żeby zobaczyć królową? Ach, Molochius. Ty zawsze byleś rozmowny, prawda? Oczywiście

ście, że puścimy cię wolno. Masz moje słowo. Mm-hmm. Rozumiem.

Lustro. Pewnie z plastiku. Mało oryginalne, niemniej jednak...

Rozwaliuem łóstro za staróhami. Po drogiej stronie byuy shody pro-wadzonce w gure. Wspaniale pomyślauem.

–W porządku, kapuściany łbie. Zrób to, co przychodzi ci tak ła two, i w drogę.

Ukatrópiem staróhuf. Sama skura i kości. Prawie wogle sobie miecza nie pobródziuem. Morze i dobrze. Zaczouem tracić siuy i bolauo mnie ramie. Byuo jak z waty. Krulowom znalazuem na samym szczycie wierzy, w tej maleńkiej poczekalni nieosuonientej pszed wiatrem. Byua holernie maua no i te wszystkie kafelki opadajonce na pszejściu dokoła. Zrobione tak, rzeby postraszyć wysokościom, zapewniam cie. Tak czy owak byua tam w czarnej sókni ślóbnej siedzonc jak jakieś codo trzy-majonc maleńkom kole w rence i patszonc na mnie jak na kupę guw-na. Niezbyt uadne dziewczę ale nie takie stare jak myślauem. W ciemno noc morzna sie z niom zabawić. Mósze jednak pszyznać, rze nie by-uem pewny co teraz zrobić. W jej oczach byuo coś dziwnego. Nie moguem oderwać od niej wzrokó. Wiedziauem, że mnie czaróje, ale nie moguem sie rószyć ani otwożyć óst. Nawet stary bystrooki siedziau Pszes hwile ciho a potem muwi:

–Biedne dziewczę. Spodziewałem się ciekawszej walki. Chwileczkę, szepnę tylko słówko mojemu przyjacielowi. Słyszałeś ten dowcip o face cie wchodzącym do baru ze świnią obwiązaną czerwoną wstążką na rę kach? Barman pyta: „Skąd to masz?”, a świnią odpowiada...

„Nie pszejmuj sie nim” – muwi krulowa. Rozmawia z piepszonym zauszniem! A ja, kurde, nie mogę nawet ruszyć jednym mienśniem! Spadaj kuro, pomyślauem. Jak sie tylko rósze, zrobię z ciebie sieczkę. „Jak sie wydostaues?” – pyta.

–Stary Xeronisus był głupcem. Wynajął tego brutala, a potem pró bował mu nie płacić. Możesz to zrozumieć? Dać się przechytryć temu durniowi. Zawsze mówiłem, że stary oszust był przeceniany. Pewnie za pomniał, do którego pudełka mnie schował. Przylepił mnie do ramienia tego szaleńca, myśląc, że jestem jednym z jego tandetnych zauszniów

z dwudniową gwarancją i bystrością kurzajki.

„Idiota – muwi krulowa – Nie wiem czemu mó ciebie wogle powie-żyuam”.

–To tylko jeden z wielu twoich błędów, moja droga.

**Jurz ja pokarze buond tej mauej guwniaże, gdy tylko urzyje renki z moim mieczem!
Te dwie kreatory szwargocou jakby mnie tó wogle nie byuo! Holerna zniewaga, co?**

„Wienc pszybyueś odzyskać swoje prawnie nalerzne miejsce, prawda?” – pyta krulowa.

–Owszem. I wydaje się, że w samą porę. Wygląda na to, że za twą fachową złą radą sytuacja wymknęła się tu spod kontroli.

„No curz, nauczyueś mnie wszyskiego, co wiem”.

–Zgadza się, moja kochana, ale na szczęście nie wszyskiego, co ja wiem.

(A ja myślę, dość tego, to zópeunie wbrew pszepisom. Porószmy czymś, do kórwy nendzy).

„Co masz zamiar zrobić?” – pyta krulowa, zópeunie jakby... jakby miaua zaraz sie rospuakać.

–Najpierw pozbyć się tej małej menażerii na dole. Należy do ciebie?

„To dla kapuanuf. Wiesz jak zdobywam śrotki ekzystencji. Panienki podniecajom ih, a wtedy ja... ih wykożystóje”.

–Mogłaś wybrać młodszy inwentarz.

„Wyobraś sobie, rze rzaden z nich nie przekroczyu dwódziesiątki. To bardzo wyczerpójncy proces”.

–Myślę, że miecz mojego przyjaciela wyczerpał ich jeszcze bardziej.

„No curz, nie morzesz ich wszyskih pokonać” – muwi krulowa i wy-glonda jakoś smótno. Wzdyha i ociera uze z policzka a ja stoję tam jak skończony buazen pszygworzdżony do poduogi i myślę, biedna kobitka i co sie tu kórwa wyprawia? gdy nagle podrywa sie z fotela prosto na mnie jak jakiś piepszony wielki nietopeż czy co,

trzymajonc maień-kom kole pszed sobom i wpychajonc jom prosto w zauszniaka.

Jurz sie miauem zesrać w gacie, ale zauszniak nie dau sie trafić. Sko-czyu z mojego ramienia na tważ krulowej. Trafiu jom jak kola armatnia i odżucił z powrotem na fotel. Krulowa upuściua kole i ta potoczyua sie po poduodze. Prubowaua zdjońc zauszniaka z tważy, piszczonc, wrzeszczonc, drapionc go i bijonc.

Nie moguem ówieżyć w swoje szczęście. W końcu pozbyuem sie mauego drania. Przes hwile obserwowauem jak obydwuje walczom, a potem pomyślauem piepsz ich, to zabawa nie dla rzounieży. Spadam. Próbowauem podnieś kole którom opóściła krulowa ale ona byua roz-gżana do czerwoności! Wienc zeszuem z powrotem po shodah. I w samym porę, bo holernie wielki wybóh z gury zwala mnie znug i zrzóca cauy ten pyu i dórze kawauy dżewa z tszaskiem w duu. Dosyć tego, pomyślauem, ale nic sie nie stauo bo nic we mnie nie trafiuo, wienc zerk-nouem w gure tam gdzie byuy shody ale teraz byuo tylko niebo. I ani śladó tyh dwuh takih i owakih. Kreatury.

Nigdzie nie znalazuem tego piepszzonego zuota. Wydópczyuem tylko kobiety i poszeduem. Zópeuna strata czasó ale pszynajmniej pozbyuem sie tego mauego zauszniaka. Zaówarz, rze potem nie miauem jurz tyle szczęścia i czasem brakóje mi mauego darmozjada ale mniejsza o to. Szermierka to wystarczajonco magiczny fah.

Nie, nie, nie, nie, było jeszcze gorzej (później, teraz, pobudka przy wod-nistoszarym świetle z za zasłon, powieki pozlepiane, a w klejących się ustach wstrętny posmak, boląca głowa). Byłem tam, to byłem ja, pożądałem tych okaleczonych kobiet, a one mnie podniecały. Gwałciłem je. Dla barbarzyńcy nie miało to żadnego znaczenia, znaczyło mniej niż kolejna strużka krwi na jego mieczu, aleja potrzebowałem tych kobiet. Stworzyłem je, były moje. Odraza przepęlnia mnie niczym ropa. Mój Boże, lepszy już brak wszelkich pragnień niż jedno wzbudzone przez okaleczenie, bezradność i gwałt.

Potykając się, wylażę z łóżka; głowa mi pęka, czuję mdłości, zimny pot niczym brudny olej pokrywa mą skórę i bolą mnie kości. Rozsuwam zasłony.

Chmury obniżyły się i most – przynajmniej na tym poziomie – spowiła szarość.

Włączam wszystkie światła w pokoju, kominek i telewizor. Mężczyzna w szpitalnym łóżku jest otoczony przez pielęgniarki; obracają go na brzuch. Jego biała twarz niczego nie wyraża, ale wiem, że cierpi. Słyszę mój własny jęk; wyłączam telewizor. Ból w mojej piersi pojawia się i znika w swoim własnym rytmie, natarczywy i nieznośny.

Chwiejnym krokiem, jak pijak, idę do łazienki. Tutaj wszystko jest białe i ostre, nie ma też okien ukazujących Ignącą do mostu mgłę. Mogę zamknąć drzwi, zapalić następne lampy i znaleźć się w otoczeniu wyraźnych odbitych obrazów i twardych

powierzchni. Pozwalam lecieć wodzie i długo wpatruję się w mój lustrzany wizerunek. Po pewnym czasie odnoszę wrażenie, jakby wszystko znowu ściemniało, jakby wszystko zniknęło z pola widzenia. Pamiętam, że oczy widzą tylko poprzez ruch; ich maleńkie drgania powodują, że oglądany obraz żyje; wystarczy sparaliżować mięśnie oczu lub w jakiś sposób przytwierdzić coś do rogówki, żeby poruszało się razem z okiem, a obraz zniknie... Dowiedziałem się tego gdzieś kiedyś, ale nie wiem gdzie ani kiedy. Moja pamięć to zatopiony pejzaż, a ja spoglądam z wąskiego urwiska na krajobraz, w którym niegdyś znajdowały się żyzne równiny i faliste wydmy. Teraz jest tylko jednolita powierzchnia wody i parę wysp, które dawniej były górami; sfałdowania powstałe w wyniku niezgłębionych ruchów tektonicznych umysłu.

Otrząsam się z lekkiego transu, by odkryć, że mój obraz rzeczywiście znikł; woda do kąpieli jest gorąca, a kłębiąca się para skropliła się na zimnej powierzchni lustra, maskując je, zakrywając i wymazując mnie z kadru.

Starannie ubrany, wypielęgnowany i po dobrym śniadaniu, odkrywszy – niemal z zaskoczeniem – że przychodnia doktora wciąż znajduje się tam, gdzie była wczoraj, a moja wizyta nie została ani odwołana, ani przełożona („...dobry, panie Orr! Jak miło pana widzieć! Tak, doktor jest oczywiście u siebie. Życzyłby pan sobie filiżankę herbaty?”), siedzę w powiększonym gabinecie, gotów odpowiadać na pytania mojego mentora.

Przy śniadaniu postanowiłem, że skłamię. Ostatecznie, skoro potrafiłem wymyślić pierwsze dwa sny, mogę ukryć pozostałe. Powiem doktorowi, że zeszłej nocy nie miałem żadnych snów i wymyślę ten, który powinienem mieć noc wcześniej. Nie ma sensu mówić mu rzeczy, o których naprawdę śniłem – psychoanaliza to jedno, a wstyd to zupełnie co innego.

Doktor, jak zwykle cały w szarym kolorze, z oczyma lśniącoymi jak odłamki prehistorycznego lodu, patrzy na mnie wyczekująco.

–No cóż – mówię pokornie – miałem trzy sny albo jeden sen w trzech częściach.

Doktor Joyce kiwa głową i coś zapisuje.

–Mm-hmm. Niech pan mówi dalej.

–Pierwszy jest bardzo krótki. Jestem w wielkim, wspaniałym domu i patrzę na czarną ścianę po drugiej stronie ciemnego korytarza. Wszystko jest monochromatyczne. Z jednej strony ukazuje się jakiś mężczyzna. Idzie powolnym, ciężkim krokiem. Jest łysy i wydaje się, że ma wydęte policzki. Nie słyszę żadnego odgłosu. Przechodzi z lewej strony na prawą, ale gdy mija miejsce, na które spoglądam, uświadamiam sobie, że ściana za nim w rzeczywistości jest wielkim lustrem, a obraz mężczyzny powtarza się w nim dzięki następnemu lustru, które musi

być gdzieś obok mnie. Tak więc widzę tych wszystkich grubych, ociężałych ludzi w długim rzędzie, maszerujących krokiem równiejszym niż jakikolwiek szereg żołnierzy...

Spoglądam doktorowi w oczy. Głęboki oddech.

–Najzabawniejsze, że odbity obraz najbliższej mężczyzny, ten pierwszy, nie naśladuje jego ruchów. Na chwilę, tylko na moment, odwraca się, patrzy na niego, ale nie przerywa marszu, poruszają się jedynie głowa i ramiona, i przykłada obie ręce do skroni, rozłożone w ten sposób –pokazuję doktorowi – i macha nimi, po czym natychmiast nagłym ruchem wraca do poprzedniej pozycji. Odbity w zwierciadle szereg znika z pola widzenia. Prawdziwy mężczyzna, oryginał, nie zauważa, co się stało. I... No cóż, to wszystko.

Doktor splata różowe, serdelkowate palce.

–Czy w którymś momencie utożsamiał się pan również z mężczyzną stojącym w morzu? Czy oprócz tego, że był pan mężczyzną w białych szatach, który przyglądał się z brzegu, czuł pan chwilami, że jest pan tym drugim? Kto, ostatecznie, był prawdziwszy? Wydaje się, że człowiek na brzegu w pewnym momencie zniknął, mężczyzna z biczem z łańcuchów przestał go widzieć. No cóż, proszę nie odpowiadać teraz na to pytanie. Niech pan pomyśli o tym. Oraz o tym, że mężczyzna, którym pan był, nie rzucał cienia. Proszę kontynuować. Jaka jest treść następnego snu?

Siedzę i gapię się na Joyce'a. Mam rozdziawione usta.

Co on właśnie powiedział? Czy ja to słyszałem? A co ja mówiłem? Mój Boże, jest gorzej niż zeszłej nocy. Śnię, a ty jesteś czymś z mego wnętrza.

–Co... Siu... słucham? Co? Co... Jak pan...? Doktor Joyce sprawia wrażenie zakłopotanego.

–Słucham?

–To, co pan przed chwilą powiedział... – odpowiadam, a mój język potyka się o słowa.

–Przykro mi – stwierdza doktor Joyce i zdejmuje okulary. – Nie wiem, o co panu chodzi, Orr. Powiedziałem tylko: Proszę kontynuować.

Boże, czy ja nadal śpię? Nie, nie, na pewno nie, nie ma sensu próbować udawać, że to jest sen. Pośpiesz się, nie przerywaj. Może to po prostu chwilowe potknięcie. Wciąż czuję się dziwnie rozgorączkowany. To wszystko, to nie może być nic innego. Zaćmienie umysłu. Nie pozwól, by to ci przeszkodziło. Trzymaj się, przedstawienie musi trwać.

–Tak... Proszę o wybaczenie. Mam dziś kłopoty z koncentracją. Zeszłej nocy źle spałem. Prawdopodobnie dlatego nic mi się nie śniło. – Uśmiecham się mężnie.

–Oczywiście – mówi poczciwy doktor, zakładając z powrotem okulary. – Czy czuje się pan na tyle dobrze, by kontynuować?

–O tak.

–Dobrze. – Doktor uśmiecha się nawet, trochę sztucznie co prawda, jak człowiek, który przymierza krzykliwy krawat, wiedząc, że tak naprawdę nie jest mu w nim do twarzy. – Proszę kontynuować, gdy będzie pan gotowy.

Nie mam wyboru. Powiedziałem mu już, że były trzy sny.

–W następnym śnie, znowu monochromatycznym, obserwuję parę w ogrodzie, chyba w labiryncie. Siedzą na ławce i się całują. Za nimi wi dać żywopłot i posąg... No cóż, po prostu posąg, postać na piedestale opodal. Kobieta jest młoda i atrakcyjna, mężczyzna ubrany w wyjście wy garnitur ma już swoje lata. Wygląda dystyngowanie. Obejmują się dość namiętnie. – Uniknąłem spojrzenia doktora; uniesienie głowy i stawienie mu znowu czoła wymaga znacznej siły woli. – I wtedy pojawia się służący; kamerdyner lub lokaj. Gdy mężczyzna i kobieta oglądają się za siebie, mówi coś w rodzaju „Telefon do ambasadora”. Kobieta pod

nosi się z ławki, wygładza suknię i mówi: „Niech to diabli. Obowiązki wzywają. Przykro mi, kochanie”, i odchodzi za służącym. Mężczyzna, zniechęcony, podchodzi do posągu, patrzy na jedną z jego stóp, po czym wyjmuje duży młotek i opuszcza go na duży marmurowy palec.

Doktor Joyce kiwa głową, zapisuje parę uwag i stwierdza:

–Interesowałoby mnie, co pana zdaniem oznacza ten dialekt. Ale niech pan mówi dalej.

Unosi wzrok.

Przełykam ślinę. W uszach słyszę dziwny piskliwy skowyt.

–Ostatni sen lub raczej ostatnia część jednego snu ma miejsce podczas dnia, na urwiskach nad rzeką w pięknej dolinie. Jakiś chłopiec siedzi razem z kilkorgiem innych dzieci oraz piękną młodą nauczycielką i je chleb... Chyba jedzą lunch. Za nimi znajduje się wejście do jaski ni... W każdym razie chłopak trzyma w ręce kanapkę. Ja też patrzę na nią z bardzo bliska. Nagle na chlebie pojawia się wielka plama, potem następna i chłopiec, zakłopotany, unosi wzrok i spogląda na urwisko powyżej. Z krawędzi urwiska zwisa ręka trzymająca butelkę z sosem pomidorowym, który kapie na jego kanapkę. To wszystko.

Co teraz?

–Mm-hmm – mruczy doktor. – Czy w trakcie snu doszło do polucji?

Wytrzeszczam na niego oczy. Pytanie jest sensowne, a to, co tutaj mówimy, jest oczywiście całkowicie poufne. Odchrząkam i odpowiadam:

–Nie, nie doszło.

–Rozumiem – stwierdza doktor i spędza trochę czasu zapisując sta

rannym maczkiem pół kolejnej strony. Pocę się i drżą mi ręce. – No cóż

–dodaje – moim zdaniem doszliśmy do... punktu zwrotnego w pana przypadku chorobowym, nie sądzi pan?

Punkt zwrotny? Co poczciwy doktor przez to rozumie?

–Nie wiem, o czym pan mówi – odpowiadam.

–Musimy przejść do następnej fazy leczenia – wyjaśnia doktor Joyce. To brzmi podejrzanie.

Doktor wydaje z siebie dokładnie wyważone westchnienie profesjonalisty.

–Chociaż myślę, że można by zebrać z tego... no cóż, całkiem sporo materiału – przegląda kilka stron notatek – nie sądzę, byśmy zbliżyli się do sedna problemu. Tylko krążymy wokół niego. Bo widzi pan – patrzy w sufit -jeżeli uznamy, że ludzki umysł to... powiedzmy... za mek...

Oho, mój doktor wierzy w metafory.

–...wtedy to wszystko, co pan robi przez ostatnich parę sesji, sprwadza się do pokazywania mi obwarowań. Nie twierdzą, że rozmyślnie próbuje pan mnie wprowadzić w błąd. Jestem pewien, że chce pan sobie pomóc tak bardzo jak ja panu i prawdopodobnie myśli pan, że zmierzamy do wnętrza, ku wieży, lecz... Znam się na tym, John, i potrafię się zorientować, gdy zmierzam donikąd.

–Och. – Obawiam się, że nie zniosę następnych zamkowych porównań. – Więc co teraz? Przykro mi, jeżeli nie...

–Och, John, nie musisz się usprawiedliwiać – zapewnia mnie doktor Joyce. – Jednak naprawdę wydaje mi się, że ten przypadek wymaga nowej techniki.

–Jakiej nowej techniki?

–Hipnozy – dobrodusznie odpowiada, uśmiechając się do mnie. – To jedyna droga przez następną linię murów, czyli, być może, do wieży. – Widzi, że marszczę czoło. – To nie byłoby trudne. Myślę, że byłbyś dobrym przedmiotem badań.

–Naprawdę? No cóż...

–To może być jedyna droga naprzód – stwierdza, kiwając głową. Jedyna droga naprzód? Sądziłem, że próbujemy się cofnąć.

–Jest pan pewien?

Muszę to przemyśleć. Jak dużo chce doktor Joyce? Jak dużo mnie?

–Całkowicie – odpowiada doktor. – Mam absolutną pewność.

Cóż za emfaza! Bezmyślnie bawię się opaską na nadgarstku. Będę musiał poprosić o czas do namysłu.

–Pewnie chciałbyś to jednak przemyśleć – mówi doktor Joyce.

Nie okazuję po sobie ulgi.

–A poza tym – dodaje, patrząc na kieszonkowy zegarek – za pół godziny mam zebranie. Ponieważ chciałbym oprzeć twoją terapię na otwartych zasadach, więc to chyba nie jest najlepsza pora.

Zaczyna się pakować; kładzie notes na biurku i sprawdza, czy mały srebrny ołówek tkwi bezpiecznie w pochwie kieszeni na jego piersi. Zdejmuje okulary, chucha na szkła i wyciera je chusteczką.

–Masz wyjątkowo żywe i spójne sny – stwierdza. – Zadziwiająca płodność umysłu.

Czy zamrugał oczami, czy tylko mu błysnęły?

–Jest pan nad wyraz uprzejmy, doktorze.

Joyce potrzebuje paru chwil, by przełknąć moją uwagę, ale potem uśmiecha się. Zegnam go, zgodziwszy się z poczciwym doktorem, że mgła jest dokuczliwa. W poczekalni przebiegam przez szpaler propozycji wypicia kawy lub herbaty, idiotycznych uwag i niewymownie starannego ubrania recepcjonisty bez złych skutków dla mojej psychiki.

Gdy wychodzę, policjant wprowadza pana Berkeleya. Panu Berkeleyowi pachnie z ust naftaliną. Mogę tylko przypuszczać, że wydaje mu się, iż jest teraz komodą.

Idę Keithing Road przez kłębiącą się chmurę, w której pogrążył się most. Ulice i przejście stały się tunelami we mgle; światła sklepów i kawiarni rzucają zamazaną poświatę na ludzi wyłaniających się z mgieł niczym zjawy.

Podę mną słychać pociągi; co pewien czas gęsty kłęb ich dymu wylatuje z pomostu kolejowego jak kłęb zakrzepłej mgły: Lokomotywy wyją jak zabłąkane dusze przeciągłym, udręczonym głosem, który nie sposób interpretować inaczej niż w kategoriach ludzkiego umysłu; być może gwizdki zostały tak skonstruowane, by poruszać zwierzęcą strunę. Z niewidocznej rzeki płynącej paręset metrów niżej, w jeszcze bardziej przeciągłych i basowych chórach żalosnego ostrzeżenia dolatuje buczenie rogów mgłowych, jak gdyby każde miejsce, z którego rozbrzmiewają, stało się już sceną morskiej katastrofy, a rogi umieszczono w nim po to, by oplakiwały dawno potopionych marynarzy.

Z mgły wypada w szaleńczym pędzie jakaś riksza, zapowiadana przez piszczące klaksony w pneumatycznych obcasach rikszarza; dziewczynka z zapalkami usuwa się z drogi. Odwracam się i dostrzegam w ciemnym wnętrzu kabiny z wikliny i sukna

białą twarz w oprawie ciemnych włosów. Przemyka obok mnie (mógłbym przysiąc, że pasażer odwzajemnił moje spojrzenie), rozświetlając mgłę przyćmionym światłem czerwonej lampy z tyłu. Rozlega się krzyk, a następnie od przodu – gdy słabe światło okrywa się mgiełką i znika – piskliwy dźwięk zwalnających i zatrzymujących się klaksonów w obcasach. Idę dalej i doganiam nieruchomą riksę. Biała twarz, na pozór jarząca się we mgle, wygląda spod baldachimu.

–Panie Orr!

–Panna Arrol.

–Cóż za niespodzianka. Chyba jadę w tym samym kierunku.

–Na złamanie karku.

Stoję obok dwukołowego pojazdu; chłopak stojący między uchwytami przypatruje mi się, ciężko dysząc. Jego spocone czoło lśni w rozproszonym świetle ulicznej latarni. Abberlaine Arrol wydaje się zarumieniona, z bliska jej biała twarz jest niemal różowa. Widząc, że wyraźne zmarszczki pod jej oczyma nie zniknęły, czuję dziwną radość; może są trwałe. A może spędziła następną noc wesoło się bawiąc i teraz po prostu wraca do domu... Ale nie; ludzie mają poranny wygląd i samopoczucie oraz wieczorny, a córka Głównego Inżyniera Arrola bez wątpienia emanuje świeżością.

–Mogę pana podrzucić?

–Samo pani pojawienie się podniosło mnie już na duchu – odpowiadam i wykonuję skróconą wersję jednego z jej przesadnych ukłonów. Abberlaine wybucha gardłowym śmiechem, jakim zazwyczaj śmieją się mężczyźni. Rikszarz przygląda się nam z wyrazem poirytowania na twarzy. Wyjmuje z pasa liczydło i z hałaśliwą ostentacją zaczyna klekotać jego koralikami.

–Galant z pana, panie Orr – mówi panna Arrol, kiwając głową. – Moja propozycja jest aktualna. Może jednak wolałby pan siedzieć?

Rozbroiła mnie.

–Z rozkoszą.

Wchodzę do lekkiego pojazdu. Panna Arrol, w wysokich butach, spódnicy do jazdy na rowerze i ciemnym, grubym żakiecie, przesuwa się na siedzeniu, robiąc mi miejsce. Rikszarz głośno cmoka i zaczyna z podnieceniem mówić i gestykulować. Abberlaine Arrol odpowiada w tym samym potoczystym języku i podobną gestykulacją. Chłopak z następnym głośnym cmoknięciem puszcza uchwyty rikszy i wkracza do kawiarni po drugiej stronie pokrytej drewnem drogi.

–Poszedł po drugiego chłopaka – wyjaśnia panna Arrol. – Utrzymanie prędkości warte jest dodatkowego rikszarza.

–Czy w tej mgle to bezpieczne?

Czuję ciepło przenikające przez mój płaszcz z małej wyściełanej ławki pode mną.

–Jasne, że nie – odpowiada, prychnając wyzywająco. Mruży oczy,

w tym świetle bardziej zielone niż szare, i krzywi usta. – To połowa za

bawy.

Chłopiec wraca z jeszcze jednym rikszarzem, każdy łapie za jeden uchwyt i z nagłym szarpnięciem zostajemy uniesieni we mgłę.

–Spacer dla zdrowia, panie Orr?

–Nie, wracam z wizyty u mojego lekarza.

–Jak postępuje terapia?

–Nierówno. Mój lekarz chce mnie teraz poddawać hipnozie. Zaczynam się zastanawiać, czy jest jakiś pożytek z mojego leczenia, o ile w ogóle można to nazwać leczeniem.

Gdy mówię, panna Arrol patrzy mi na usta – to przyjemne, ale dziwnie niepokojące przeżycie. Teraz uśmiecha się szeroko i patrzy przed siebie, na biegnących z wysiłkiem chłopców, przedzierających się przez nękaną światłami mgłę, rozpraszających ludzi na obie strony.

–Musi pan wierzyć – mówi panna Arrol.

–Hmm – odpowiadam, także obserwując przez chwilę naszą kar-

kołomną jazdę przez szarą chmurę. – Już raczej byłbym skłonny przeprowadzić własne badania.

–Własne?

–Tak. Zapewne nie słyszała pani nigdy o Trzecim Archiwum Miejskim i Bibliotece Materiałów Historycznych, prawda?

Kręci głową.

–Niestety nie.

Rozlega się krzyk riksarzy; o centymetry omijamy jakiegoś staruszka na środku jezdni. Gdy riksza przechyla się, na moment zostaję przyciśnięty do panny Arrol.

–Większość ludzi chyba nie słyszała o bibliotece, a ci, którzy słyszeli, nie potrafią jej znaleźć.

Panna Arrol wzrusza ramionami, wpatrując się zmrużonymi oczyma we mgłę.

–Takie rzeczy się zdarzają – stwierdza rzeczowo. Przenosi spojrzenie z powrotem na mnie i pyta: – Czy to jest granica pana badań?

–Nie, chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o Królestwie i Mieście, o tym, co znajduje się za mostem... – Urywam i szukam śladu reakcji na jej twarzy, ale Abberlaine wydaje się koncentrować na mgle i drodze przed nami, mówię więc dalej: –...ale to prawdopodobnie wymagałoby ode mnie podróżowania, a moje możliwości w tym względzie są dość ograniczone.

Panna Arrol odwraca się do mnie i mówi:

–No cóż, ja trochę podróżowałam. Może...

–Z drogi! – wrzeszczy nasz pierwszy riksarz; oboje spoglądamy przed siebie. Na wprost nas widać lektykę zaparkowaną w poprzek drewnianej jezdni wąskiej ulicy. Dwaj mężczyźni trzymają jedną z jej złamanych żerdzi; gdy nasi chłopcy próbują hamować, zapierając się obcasami, tamci rzucają się w bok, ale jesteśmy za blisko: riksarze skręcają gwałtownie i nasz pojazd niebezpiecznie się przechyla. Panna Arrol zarzuca mi rękę na pierś -ja gapię się kretyńsko przed siebie – gdy riksza wpada w poślizg i trzeszcząc i piszcząc gwałtownie, uderza w bok lektyki. Wstrząs rzuca Abberlaine na mnie, uderzam głową w ściankę wspierającą dach rikszy. Coś rozżarza się na chwilę we mgle, a potem gaśnie.

–Panie Orr, panie Orr? Panie Orr?

Otwieram oczy. Leżę na ziemi. Jest bardzo szaro i dziwnie, wokół tłoczą się patrzący na mnie ludzie. Młoda kobieta ze zmarszczkami wokół oczu i długimi ciemnymi włosami stoi obok.

–Panie Orr.

Słyszę dźwięk silników samolotowych. Słyszę ich wzmagający się warkot, gdy przelatują przez mgłę sunącą ku morzu. Leżę i słucham, zastanawiając się (zniechęcony, nie będąc w stanie tego określić), w którą stronę lecą (to wydaje mi się ważne).

–Panie Orr?

Hałaśliwy odgłos silników cichnie. Czekam, aż z ledwie przesuwającej się mgły wyłonią się ciemne plamy ich bezcelowych sygnałów.

–Panie Orr?

–Tak?

Kręci mi się w głowie, a moje uszy wydają swój własny odgłos przypominający szum wodospadu.

Jest mglisto, światła płoną niczym rozmazane ślady kredki na szarym papierze. Pogruchošana lektyka i rozbita riksza leżą na środku drogi; młodzi rikszarze kłócą się z dwójką tragarzy. Młoda kobieta klęcząca przy mnie jest piękna, ale z nosa cieknie jej krew; czerwone krople gromadzą się nad górną wargą, widać też czerwoną smugę na lewym policzku, w miejscu, gdzie już je otarła. Gorące uczucie, niczym ciepłe światło we mgle, przepelnia mnie, gdy uświadamiam sobie, że znam tę młodą kobietę.

–Och, panie Orr, przepraszam, nic panu nie jest?

Pociąga nosem, ociera następne krople krwi; jej oczy błyszczą w rozproszonym świetle, ale wydaje mi się, że nie od łez. Nazywa się Abber-laine Arrol, teraz sobie przypominam. Myślałem, że wokół mnie tłoczą się jeszcze inni, ale nie ma nikogo, jedynie ona. Ludzie wyłaniają się z mgły, żeby gapić się na rozbite pojazdy.

–Jestem cały i zdrowy – mówię i siadam. Panna Arrol kuca u mego boku.

–Jest pan pewien?

Potwierdzam skinieniem głowy i dotykam czaszki; jedna skroń trochę boli, ale nie ma śladów krwi.

–Całkowicie – odpowiadam. W rzeczywistości wszystko wydaje się nieco oddalone, nie jest mi jednak słabo. Mam dość przytomności umysłu, by sięgnąć do kieszeni i podać pannie Arrol chusteczkę. Bierze ją i przykładą do nosa.

–Dziękuję panu.

Rikszarze i tragarze wrzeszczą i obrzucają się przekleństwami. Pojawiają się następni ludzie. Chwiejnie, wspierając się na dziewczynie, stają na nogi.

–Naprawdę nic mi nie jest – mówię. Huczenie w uszach powraca na pewien czas, po czym powoli zanika.

Podchodzimy do rozbitych pojazdów. Abberlaine patrzy na mnie i pyta przez chusteczkę:

–Przypuszczam, że uderzenie w głowę nie przywróciło panu pamięci? – Jej głos brzmi tak, jakby była przeziębiona, a oczy lśnią figlarnie. Potrząsam ostrożnie głową. Panna Arrol zagląda do wnętrza rikszy; po chwili wyciąga z niej cienką skórzaną aktówkę i otrzepuje ją z kurzu.

–Nie – odpowiadam po namyśle (nie byłbym wcale zaskoczony, stwierdziwszy, że zapomniałem jeszcze więcej). – A pani? Dobrze się pani czuje? Pani nos...

–Łatwo krwawi – wtrąca, kręcąc głową. – Nie jest złamany. Poza tym mam tylko parę siniaków. – Kaszle i wydaje mi się, że zaczyna się zginać w pasie. Po chwili uświadamiam sobie, że w rzeczywistości się śmieje. Gwałtownie potrząsa głową. – Przepraszam pana, to wszystko moja wina. Mam bzika na punkcie szybkości. – Podnosi skórzaną aktówkę. – Mój ojciec potrzebuje tych rysunków w następnym segmencie i wydawało mi się, że to wystarczające usprawiedliwienie. Pociągiem prawdopodobnie byłoby szybciej, ale... Proszę posłuchać, naprawdę muszę już lecieć. Jeżeli jest pan zupełnie pewien, że nic panu nie dolega, pojedę stąd windą i dalej pociągiem. Niech pan lepiej usiądzie. Tam jest bar. Postawię panu kawę.

Protestuję, ale teraz akurat jestem osłabiony. Odprowadzają mnie do baru. Na zewnątrz panna Arrol przez mniej więcej minutę kłóci się wrzaskliwie z rikszarzami, po czym odwraca się, gdy za nią z piskiem wyłania się z mgły następna riksha. Podbiega do chłopca, mówi coś pośpiesznie, a potem wraca do baru, gdzie popijam swoją kawę.

–Niech się pan nie przejmuje, złapałam następną taksówkę – wyjaśnia zadyszana. – Muszę jechać. – Odsuwa zakrwawioną chusteczkę od nosa, spogląda na nią, pociąga na próbę nosem, po czym wtykają do głębokiej kieszeni spodnicy. – Zwróć. Na pewno nic panu nie jest?

–Na pewno.

–No cóż, do widzenia. Jeszcze raz przepraszam. Proszę uważać na siebie.

Cofa się, macha ręką, po czym pośpiesznie wychodzi, strzelając palcami na rikszarza; ostatnie machnięcie i już zanika we mgle. Barman podchodzi, by dolać mi

kawy.

–Ach ci młodzi – mówi, uśmiechając się i kręcąc głową. Wygląda

na to, że zostałem uznany za honorowego mieszkańca w starszym wie-

ku (patrzac w lustro wiszacego na drugim koncu baru, potrafię zrozumieć dlaczego). Już mam odpowiedzieć, gdy obłędne dzwonięcie obcasów jakiegoś riksarza dobiegające z za okien baru sprawia, że obaj odwracamy się do okna. Świeżo wynajęty przez pannę Arrol pojazd pojawia się ponownie, hamuje i zawraca tuż przed otwartymi drzwiami baru. Abberlaine wystawia głowę z kabiny i woła:

–Panie Orr!

Macham do niej ręką. Jej nowy riksarz już sprawia wrażenie poirytowanego. Dwaj poprzedni oraz tragarze patrzą z lekkim niedowierzaniem.

–Te moje podróże. Będę w kontakcie, dobrze?

Kiwam głową. Wydaje się usatysfakcjonowana, chowa się z powrotem do kabiny i strzela palcami. Taksówka jeszcze raz daje susa. Patrzymy na siebie z barmanem.

–Bóg musiał kichnąć, gdy tchnął w nią życie – zauważa.

Potwierdzam skinieniem głowy i wypijam mały łyk kawy, nie mając

ochoty na rozmowę. Barman idzie umyć kieliszki.

Uważnie przyglądam się bladej twarzy w lustrze naprzeciw, nad stojącymi w zwartym szeregu szklankami, pod butelkami. Czy zostanę zahipnotyzowany? Wydaje mi się, że już jestem.

Zostaję trochę dłużej, dochodząc do siebie. Ludzie wynoszą lektykę i riksze. Mgła, o ile w ogóle się zmienia, to na gęstsza. Opuszczam bar i windą, pociągiem i znowu windą jadę do domu. Czeka tam na mnie jakaś paczka.

Inżynier Bouch zwrócił mi mój kapelusz wraz z listem pełnym starannie dobranych przeprosin, równie wylewnych co nieoryginalnych i niegramatycznych; moje nazwisko napisał jako „Or”.

Kapelusz został fachowo wyczyszczony i odnowiony; pachnie bardziej świeżo i wygląda na nowszy niż wtedy, gdy wyciągnąłem go z garderoby, żeby zabrać do baru. Wynoszę go na zewnątrz i wyrzucam z balkonu. Znika w szarej mgle opadającym łukiem, bezgłośnie i szybki, niczym w jakiejś bardzo ważnej misji do niewidocznych szarych fal w dole.

Prias

Wiesz że nie muszę tu być mógłbym być w dowolnym przeklętym miejscu w jakim chcę być.

Tutaj w moim umyśle w moim mózgu w mojej czaszce (a to wszystko wydaje się teraz tak oczy...)

nie (nie ponieważ „to wszystko wydaje się teraz tak oczywiste” jest takim wyświechtanym frazesem a ja mam wrodzoną, zakorzenioną i zakodowaną niechęć do komunałów (oraz banałów i morałów) Wwassi-wie ten punkt o moralach był naciągany (matematyczny nonsens bo jeżeli naciągniemy punkt, otrzymamy linię a w takim wypadku to już nie jest żaden cholerny punkt, prawda?) No bo o co do cholery chodzi? Na czym to ja skończyłem? (Niech szlag trafi te światła, i rury, i bycie obracany i kłutym. Człowiek może stracić wątek, nieprafdasz?

Nawinąć ponownie, przewinąć; z powrotem do punktu wyjścia to był problem tożsamości umysłowej/mózgowej. AHA! Nie ma problemu (phi! cieszę się, że to załatwione) nie ma problemu one są oczywiście identyczne i całkowicie odmienne. Chodzi mi o to że jeśli twój umysł nie-jes w twojej piepszanej czaszce to gdziejes, kurwa, no gdzie? A może jesteś jednym z tych wierzących idiotów?

(Po cichu:) – Nie, proszę pana.

Pewnie, że nie, proszę pana. Widzisz tę lisią norę?

Ta uwaga o naciągany punkcie była w stu procentach uzasadniona i do rzeczy i jestem z tego cholernie dumny. Przepraszam że tyle klnę ale obecnie jestem pod wielką presją (jestem dżem w kanapce / drzemię sobie na kanapie). Nie jestem zdrowym człowiekiem. Mogę tego dowieść. Pozwól mi tylko przewinąć tu... Przewieziony w pośpiechu do

szpitala; światła nad głową. Duże białe lśniące światła na niebie; operacja nagłego przypadku; sytuacja krytyczna głupie gadanie (pierdol to kolego, ja zawsze byłem krytyczny), stan stabilny (rozumiem, dopiero niedawno to wszystko zaczęło do mnie docierać), dobre samopoczucie (nie wcale nie czuję się dobrze; a ty byś się czuł?).

Znowu przewinąć do przodu kropka kropka kropka.

...do diabła, panowie, posłuchajcie. Nie musicie wysłuchiwać opowieści o moich problemach (a ja na pewno nie chcę wysłuchiwać o waszych), może wienc przedstawię tu mojego pszyjaciela; mój stary kumpel, pszyjaciel, szyjaciel z dalekiej podróży niechcecie dać mu

Stolica widmo... spokojny chłopak. Jak już mówiłem, razem z tym facetem wracamy z dalekiej podróży i chcę mu dać prawdziwe

Stolica widmo. Prawdziwe miasto...

OK OK mów dalej do kurwy nendzy

...sukinsynu.

Stolica widmo. Prawdziwe miasto z rozmaitych rodzajów kamienia, wielkie, szare miejsce pełne uliczek i kapliczek, na przemian stare, nowe i uroczyście, pomiędzy rzeką a wzgórzami z własną kamienną mównicą, ten zamrożony przepływ, ten spękany czop antycznej materii, który go tak fascynował. Ostatecznie zamieszkał przy Sciennes Road, nie znając tego miejsca – po prostu spodobała mu się nazwa. Mieszkanie miało dogodne położenie zarówno względem Uniwersytetu, jak i względem Instytutu; gdyby przycisnął twarz do okna swojego zimnego, wysokiego pokoju, nad krytymi łupkiem dachami i dymami miasta mógłby zobaczyć skraj Craggs, szarobrazowych sfałdowań terenu.

Nigdy nie zapomniał atmosfery tego pierwszego roku, poczucia wolności, jakie dawała mu samodzielność. Po raz pierwszy miał swój własny pokój, pieniądze na swoje wydatki, swoje jedyne i miejsca, w które mógł chodzić, oraz decyzje, które mógł podejmować; było to fantastyczne, wspaniałe.

Jego dom rodzinny znajdował się na zachodzie kraju, w jego przemysłowym sercu, które już niedomagało, pokrywało się tanim tłuszczem, spragnione energii, zatykające się, napelniające tężejącą krwią, zagrożone. Tam właśnie mieszkali – on, mama i tato oraz bracia i siostry, w obrzuconym żwirem domu, na osiedlu u stóp niskich wzgórz, z kominami zwieńczonymi sztandarami dymu i pary widocznymi nad warsztatami kolejowymi, w których pracował jego ojciec.

Ojciec hodował gołębie w gołębniku na odłogach. Na kawałku nieużytków znajdował się ponad tuzin gołębników – wszystkie wysokie, bezkształtne i zbudowane bez ładu i składu z blachy falistej pomalowa-

nej na czarno matową farbą. Latem, gdy chodził tam pomagać ojcu lub patrzeć na łagodnie gruchające ptaki, gołębnik był bardzo nagrany, a jego wypełnione pierzem i upstrzone odchodami klatki wyglądały jak mroczne zaświaty o intensywnej woni.

W szkole dobrze sobie radził, choć mówiono oczywiście, że mógłby spisywać się lepiej. Został prymusem z historii, gdyż tak postanowił; to mu wystarczało. Wyższy bieg wrzucał, jeżeli musiał. Tymczasem bawił się, czytał i oglądał telewizję.

Ojciec odniósł obrażenia w pracy i po wypadku leżał w łóżku przez półtora roku; matka zatrudniła się w fabryce papierosów (jego siostry i bracia byli wystarczająco dorośli, by zatroszczyć się o siebie). Ojciec powrócił do zdrowia, znowu stając się tym samym człowiekiem – może tylko trochę bardziej skorym do gniewu – a matka pracowała na pół etatu, dopóki wiele lat później nie pozbyto się jej w ramach redukcji.

Lubił swojego tatę, dopóki nie zaczął się go trochę wstydzić, jako że zaczął się wstydzić całej swojej rodziny. Ojciec żył od meczu do meczu i od wypłaty do wypłaty; miał stare płyty Harry'ego Laudera i kilku szkockich orkiestr dętych, potrafił też wyrecytować z pamięci około pięćdziesięciu najbardziej znanych wierszy Burnsa. Był oczywiście la-burzystą, wiernym do grobowej deski, nie uznającym zdrady, partactwa i kłamstw. Twierdził, że nigdy świadomie nie wypił więcej niż ćwierć kwarty w towarzystwie torysa, może z wyjątkiem paru oberżystów, których dla dobra sprawy socjalizmu uznawał raczej za konserwatystów (bądź za liberałów, którzy jego zdaniem byli uczciwi; sprowadzeni na manowce, lecz stosunkowo nieszkodliwi). Przeciwiństwo kobieciarza; człowiek, który nigdy nie unikał bójek ani nie zostawiał kolegi w potrzebie, człowiek, który zawsze nagradzał gola owacją, a faul gwizdem, i zawsze opróżniał kufel do dna.

W porównaniu z ojcem mama zawsze wyglądała jak cień. Była przy nim, gdy jej potrzebował, by prać mu ubrania, czesać włosy, kupować wszystko i tulić, gdy otarł sobie skórę na kolanie, nigdy jednak nie dowiedział się, jakim jest człowiekiem.

Z siostrami i braćmi żył w zgodzie, ale wszyscy oni byli od niego znacznie starsi (dopiero po latach odkrył, że przyszedł na świat „przez pomyłkę”) i gdy osiągnął wiek, w którym zaczęli go naprawdę interesować, sprawiali już wrażenie dorosłych. Tolerowali go, psuli i pastwili się nad nim na przemian, w zależności od swego widzimisię; uważał się za ciężko pokrzywdzonego i zazdrościł chłopcom z mniej licznych rodzin, ale z czasem zrozumiał, że częściej go psuto i mu pobażano, niż

nękano i czyniono kozłem ofiarnym. Był dzieckiem także dla nich, a zarazem kimś szczególnym. Zawsze wpadali w zachwyty, gdy odpowiadał na pytania zadawane w teleturniejach przed ich uczestnikami, i byli dumni – a także trochę zdziwieni – z faktu, że każdego tygodnia czytał dwie lub trzy książki z biblioteki. Oni także – podobnie jak rodzice -uśmiechali się przez chwilę, a potem długo marszczyli czoło, gdy widzieli jego stopnie, ignorując dost. i bdb. i uderzając palcami w ndst. z R – Religii (Boże, jaki miał mętlik w głowie przez lata, ponieważ ojciec aprobował ateizm, ale nie aprobował złych stopni z jakiegokolwiek przedmiotu) oraz WF (nienawidził – z wzajemnością – nauczyciela gimnastyki).

Ich drogi się rozeszły; dziewczyny powychodziły za mąż, Sammy trafił do wojska, Jimmy wyemigrował... Chyba najlepiej powiodło się Morąg, która wyszła za kierownika sprzedaży sprzętu biurowego z Bears-den. Z biegiem lat coraz bardziej tracił z nimi wszystkimi kontakt, lecz nigdy nie zapomniał uczucia spokojnej, pełnej szacunku niemal dumy przenikającej ich gratulacje – przesyłane pocztą, telefonicznie lub przekazywane osobiście – gdy został przyjęty na uniwersytet, choć wszystkich zaskoczył fakt, że wolał studiować geologię niż anglistykę bądź historię.

Jednak tamtego roku to wielkie miasto było dla niego wszystkim. Centrum zachodnie, Glasgow i jego najistotniejsze obszary, zawsze zbyt bliskie mu, wzbudzające zbyt wiele wspomnień, wymieszanych od czasów dzieciństwa i odwiedzin u cioć i babć; było jego częścią, częścią jego przeszłości. Stara stolica, miasto starego Edwina,* Edynburg; dla niego był to inny kraj, nowe cudowne miejsce; Eden w rozkwicie, Eden przed upadkiem, Eden przed od dawna upragnioną ucieczką od skomplikowanych ograniczeń dziewiczości.

Powietrze było tu inne, mimo że od domu dzieliło go zaledwie pięćdziesiąt mil; dni wydawały się lśnić – przynajmniej owej pierwszej jesieni – i nawet wiatry i mgły były czymś, na co zawsze czekał, obnażaniem i okrywaniem na przemian, którym poddawał się z radosną próżnością, jak gdyby wszystko to stworzono właśnie dla niego.

Ilekcję mógł, odkrywał tajemnice tego miasta – spacerując, jeżdżąc autobusami, wspinając się na wzgórza i schodząc po schodach, bez przerwy obserwując i patrząc, oglądając jego bruki, poznając rozplanowanie i architekturę z całą radością nowego właściciela dokonujące-

*** Pierwszy chrześcijański król Nortumbrii (617-633); żył w latach 585-633 (przyp. tłum.)**

go inspekcji swych ziem. Mrużąc oczy przed wiatrem od Morza Północnego, stawał na wulkanicznych skalach i spoglądał na wymiecione przestrzenie miasta; torował sobie drogę przez zasłony zacinającego deszczu, przemierzając pieszo stare doki i nadbrzeżną esplanadę, błąkał się wśród gładkich narzutowych Starego Miasta, kroczył po będących wytworem czystej geometrii ulicach Nowego, błądził w milczącej mgle pod Dean Bridge i odkrywał wieś w obrębie miasta w wówczas jeszcze nieosobliwym stanie zniszczenia, a w rozświetlone słońcem soboty przeznaczone na robienie zakupów przechadzał się słynną, pełną zaaferowanych ludzi główną ulicą, szczerząc zęby w uśmiechu do zakorzenionego w skale zamku i królewskiego orszaku kolegów i urzędów, inkrustowanych blanków budynków wzdłuż bazaltowego grzbietu wzgórza.

Pisał wiersze i teksty piosenek, a na uniwersytecie przemierzał korytarze z gwizdem na ustach.

Poznał Stewarta Mackiego, drobnego aberdyńczyka o cichym głosie i ziemistej twarzy, a jednocześnie kolegę ze studiów na wydziale geologii; z grupką przyjaciół doszli do wniosku, że są geologami alternatywnymi i nazwali się Rockerami.* Pili piwo w Związku oraz pubach przy Rosę Street i Royal Mile, palili maryskę i zażywali LSD. Z aparatury stereo grzmiały „White Rabbit” i „Astronomy Domine”, a pewnej nocy w Trinity z młodą pielęgniarką z Western General, której imię zapomniał następnego dnia, utracił ów techniczny cień niewinności.

Jednego wieczora, gdy był w Związku ze Stewartem Maćkiem i paroma Rockerami, poznał Andreę Cramond. Stewart i pozostali poszli bez uprzedzenia na Danube Street, do znanego burdelu. Później okazało się, że zrobili to tylko dlatego, że zauważyli, jak ta panienka o gra-nitoworudych włosach puszcza do niego oko.

Andrea Cramond miała mieszkanie na Conely Bank, nieopodal Queensferry Road. Była edynburką; jej rodzice mieszkali zaledwie milę dalej, w jednym z wielkich domów okalających Moray Place. Nosila psychodeliczne stroje, miała zielone oczy, niezwykle kości policzkowe, lotusa elana, czteropokojowe mieszkanie, dwieście płyt i najwyraźniej niewyczerpane zasoby pieniędzy, wdzięku i energii seksualnej. Zakochał się w niej niemal natychmiast.

Gdy po raz pierwszy spotkali się w Związku, rozmawiali o rzeczywistości, chorobie umysłowej (czytała Lainga), znaczeniu geologii (to on),

* Rock znaczy skała (przyp. tłum.)

współczesnym kinie francuskim (ona), poezji T.S. Eliota (ona), literaturze w ogóle (głównie ona) i o Wietnamie (oboje). Tamtej nocy Andrea musiała wrócić do domu rodziców; nazajutrz były urodziny jej ojca, a rodzinna tradycja wymagała rozpoczęcia uroczystości śniadaniem z szampanem.

Tydzień później dosłownie wpadli na siebie na szczycie Waverley Steps; on szedł na dworzec, by pojechać na weekend do domu, ona -by spotkać się z przyjaciółmi po zrobieniu świątecznych zakupów. Poszli się czegoś napić, wypili parę kolejek, a potem Andrea zaprosiła go do swojego mieszkania na skręta. Zadzwoił do sąsiada, żeby poszedł powiedzieć jego rodzicom, że się spóźni.

Miała w domu trochę whisky. Słuchali Stonesów i Dylana. Gdy ściemniło się za oknem, zasiedli na podłodze przed syczącym gazowym kominkiem i po pewnym czasie gładził ją po długich rudych włosach, a potem całował. Później znowu zatelefonował do sąsiadów i powiedział, że musi skończyć esej i nie może przyjechać do domu w ten weekend, a ona zadzwoniła do ludzi, którzy spodziewali się jej na przyjęciu, że nie zdoła przyjść; resztę weekendu spędzili w łóżku lub przed syczącym kominkiem.

Dopiero po upływie dwóch lat wyznał jej, że tamtego dnia dostrzegł ją wśród tłumów ludzi na North Bridge, obładowaną zakupami, i przeszedł obok niej dwa razy, zanim celowo wpadł na nią przy schodach. Rozmyślała o czymś, nie patrząc na otaczających ją ludzi, a on był zbyt nieśmiały, by po prostu zatrzymać ją bez żadnego pretekstu. Gdy to usłyszała, wybuchnęła śmiechem.

Pili, palili i pieprzyli się, odbyli też parę wspólnych wypraw; Andrea oprowadzała go po muzeach i galeriach i zabrała do domu rodziców. Jej ojciec, adwokat, był wysokim, siwym, imponującym mężczyzną o potężnym dźwięcznym głosie; nosił okulary konferencyjne. Matka Andrei była młodsza od swego męża; siwiejąca, elegancka i równie wysoka jak córka. Był jeszcze starszy brat Andrei, bardzo bezpośredni, również prawnik, oraz cały krąg jej szkolnych przyjaciół. Właśnie przy nich stopniowo zaczął się wstydzic swojej rodziny, swojego pochodzenia, akcentu z zachodniego wybrzeża, a nawet niektórych słów, których używał. Sprawili, że poczuł się gorszy – nie intelektualnie, lecz pod względem wykształcenia, sposobu, w jaki został wychowany – i powoli zaczął się zmieniać, próbując pogodzić różne cele, które chciał osiągnąć; wierny swojemu wychowaniu, swej klasie i przekonaniom, ale również nowemu duchowi miłości, alternatywom i realnej możliwości

stworzenia pokoju i lepszego, mniej chciwego, mniej popieprzonego świata, a także wierny swojemu fundamentalnemu przekonaniu o po-znawalności i możliwości kształtowania Ziemi, środowiska, a w efekcie wszystkiego.

To przekonanie nie pozwalało mu bez reszty zaakceptować czegokolwiek innego. Poglądy jego ojca – tak wówczas sądził – były zbyt ograniczone geograficznie, klasowo i historycznie; przyjaciele Andrei byli zbyt pretensjonalni, jej rodzice za bardzo zadowoleni z siebie, a Pokolenie Miłości (czuł to już, aczkolwiek niechętnie to przyznawał) zbyt naiwne.

On wierzył w naukę, w matematykę i fizykę, w rozsądek i zrozumienie, w przyczynę i skutek. Kochał elegancję oraz czysto przedmiotową logikę myśli naukowej, która brała się co prawda ze stwierdzenia „Przypuśćcie...”, lecz która z tego bezstronnego, nie ograniczonego niczym punktu wyjścia potrafiła wyprowadzić pewność, niezbite fakty. Wydawało się, że u podstaw wszystkich religii legło bezwarunkowe stwierdzenie „Uwierzcie”, i z tej przerażającej stanowczości mogły powstać jedynie obrazy strachu i dominacji, coś nadrzędnego, lecz zbudowanego z nonsensów, duchów i starożytnych chimer.

W tym pierwszym roku przeżył parę trudnych chwil; z przerażeniem odczuwał zazdrość, gdy Andrea sypiała z kimś innym, i przeklinał wychowanie, które mówiło mu raz po raz, że mężczyzna powinien być zazdrosny, a kobieta, w przeciwieństwie do niego, nie ma prawa pieprzyć się na lewo i prawo. Zastanawiał się, czy powinien zaproponować, by zamieszkali razem (rozmawiali o tym).

Tamto lato musiał spędzić na zachodzie, pracując dla Corporation Cleansing Department i zamiatając pokryte liśćmi i upstrzone psimi kupami ulice west-endu. Andrea była za granicą, najpierw z rodziną w willi na Krecie, a potem w odwiedzinach u krewnych swojej przyjaciółki w Paryżu, ale na początku następnego roku znowu – ku jego zaskoczeniu – byli razem, właściwie nie zmienieni.

Postanowił zrezygnować z geologii; wprawdzie wszyscy inni studiowali literaturę angielską lub socjologię (tak mu się przynajmniej wydawało), on jednak chciał robić coś użytecznego. Rozpoczął studia dyplomowe w dziedzinie projektowania technicznego. Część przyjaciół Andrei próbowała przekonać go do studiów anglistycznych, ponieważ sprawiał wrażenie, że coś wie o literaturze (nauczył się o niej rozmawiać, a nie po prostu się nią cieszyć) i pisał wiersze. Dowiedziano się o tym za sprawą Andrei; on sam nie chciał ich publikować. Kiedyś zo-

baczyła niektóre z nich porozkładane w jego pokoju i wysłała do swojego przyjaciela, a ten wydrukował je w „Radical Road”. Gdy zaskoczyła go numerem magazynu, wymachując mu nim – prezentem dla niego – triumfalnie przed nosem, poczuł się tyleż zażenowany, co i dumny. Nie, był zdecydowany robić coś, co przyniosłoby światu prawdziwy pożytek. Przyjaciele Andrei mogli sobie nazywać go hydraulikiem, jeśli chcieli; on powziął decyzję. Nadal przyjaźnił się ze Stewartem Maćkiem, stracił jednak kontakt z pozostałymi Rockerami.

W niektóre piątki wyjeżdżał z Andreą do drugiego domu jej rodziców w Gullane, położonego nad wydmowym brzegiem zatoki na wschód od miasta. Dom był duży, jasny i przewiewny i stał w pobliżu pola golfowego z widokiem na odległy brzeg hrabstwa Fife po drugiej stronie szaroniebieskiej wody. Zostawali tam na weekend i spacerowali po plaży i wydmach; od czasu do czasu kochali się w ich zaciszu.

Czasem, w naprawdę pogodne dni, szli do samego końca plaży i wspinali się na najwyższą wydmę; był przekonany, że zdołają zobaczyć trzy długie czerwone wierzchołki Forth Bridge, który w dzieciństwie robił na nim straszne wrażenie i który – stale jej to powtarzał - miał kolor jej włosów.

Nigdy go jednak stamtąd nie zobaczyli.

Po kąpieli siedziała po turecku na podłodze, przeciągając szczotką po długich, gęstych, rudych włosach. Jej niebieskie kimono odbijało światło kominka, a twarz, nogi i ramiona lśniły, świeżo wyszorowane, w pomarańczowej poświacie.

Stał przy oknie, spoglądając w wypełnioną mgłą noc, z rękami przytkniętymi niczym końskie okulary z obu stron twarzy, gdy przyciskał nos do zimnego szkła.

–I jak myślisz? – zapytała.

Milczał przez chwilę, a potem odsunął się od okna i zasunął zasłony z brązowego

aksamitu. Odwrócił się do niej i wzruszył ramionami.

–Dość gęsta. Mogłoby nam się udać, ale jazda nie byłaby zbyt przyjemna. Zostaniemy?

Powoli czesała włosy, zwieszane z jednej strony przechylonej głowy, ostrożnie i cierpliwie przeciągając po nich szczotką. Słyszał niemal jej myśli. Był niedzielny wieczór; powinni opuścić dom na wybrzeżu i wracać do miasta. Gdy zbudzili się tego rana, była mgła i przez cały dzień czekali, aż się podniesie, ale tylko coraz bardziej gęstniała. Andrea zadzwoniła do rodziców; mgła zasnęła również miasto i, według informa-

cji centrum meteorologii, całe wschodnie wybrzeże, więc nie uciekliby przed nią po wyjeździe z Gullane. Od Edynburga dzieliło ich jedynie około dwunastu mil, ale przy takiej pogodzie była to znaczna odległość. Andrea nie znosiła jazdy we mgle i uważała, że on jeździ zbyt szybko niezależnie od warunków (dopiero co, przed sześcioma miesiącami, zdał egzamin – w jej samochodzie – i uwielbiał szybką jazdę). Dwaj jej znajomi mieli tego roku kraksy samochodowe. Niegroźne, ale jednak... Wiedział, że Andrea jest przesądna i wierzy, że nieszczęścia chodzą trójkami. Nie chciała wracać, mimo iż następnego rana miała seminarium.

Płomienie migotały na kłodach drewna na rozległym ruszcie kominka.

Andrea skinęła głową.

–OK, ale nie wiem, czy mamy wystarczająco dużo jedzenia.

–Chrzanić jedzenie. Mamy jakieś prochy? – odparł, siadając obok niej. Skręcił w palcach pasmo jej włosów i uśmiechnął się do niej szeroko. Stuknęła go szczotką w głowę.

–Nałogowiec.

Zakwilił i przetoczył się po podłodze, trąc skronie. Po czym, widząc, że to nie poskutkowało – Andrea nadal spokojnie szczotkowała włosy – znowu usiadł w fotelu. Spojrzał na stary odbiornik radiowy z adapterem.

–Chcesz, żebym znowu nastawił „Wheels of Fire”?

Pokręciła głową.

–Nie...

–Może „Electric Ladyland”?

–Nastaw coś... starego – odparła, marszcząc brwi w świetle kominka i patrząc na brązowe fałdy aksamitnych zasłon.

–Starego? – zapytał ze zdziwieniem i udawaną odrazą.

–Taak. Mamy „Bringing It All Back Home”?

–Och, Dylan – mruknął, przeciągając się i przeczesując długie włosy palcami. – Chyba nie. Sprawdź. – Przywieźli ze sobą skrzynkę pełną płyt. – Hmm. Nie... nie ma jej tu. Zaproponuj coś innego.

–Sam wybierz. Coś starego. Jestem w nostalgicznym nastroju. Coś z dawnych dobrych czasów. – Roześmiała się, gdy to powiedziała.

–To są dawne dobre czasy – zaprotestował.

–Gdy płonęła Praga, a w Paryżu panował spokój, mówiłeś coś innego – przypomniała.

Westchnął, patrząc na stare płyty długogrające.

–Taak, wiem.

–Prawdę mówiąc – ciągnęła – gdy ten przyjemniaczek Nixon został wybrany, też mówiłeś coś innego. Albo gdy May Dały...

–OK, OK. Więc czego chcesz posłuchać?

–Dobra, nastaw jeszcze raz „Ladyland” – odparła, wzdychając. Podeszedł z płytą do adapteru.

–Chcesz coś zjeść na mieście? – zapytała.

Nie był pewien. Nie chciał opuszczać przytulnego domu; przyjemnie było z nią sam na sam. Poza tym nie mógł sobie pozwolić na ciągłe wizyty w restauracjach; to Andrea płaciła za większość posiłków.

–Mógłbym, mógłbym – odparł, zdmuchując kurz z igły pod ciężkim bakelitowym ramieniem. Zaprzestał już żartów z wiekowego radio-adapteru.

–Zobaczę, co jest w lodówce – powiedziała, prostując się. Wstała z podłogi i wygładziła kimono. – Działka jest chyba w mojej torebce.

–Wspaniale – mruknął. – Zrobię nam niesamowitego skręta.

Potem, gdy już zatelefonowała do swoich rodziców, żeby powiedzieć, że wrócą

jutro, grali w karty. Następnie Andrea wyjęła karty do tarota i wróżyła mu. Interesowała się tarotem, astrologią, znakami słonecznymi oraz przepowiedniami Nostradamusa; nie wierzyła w nie specjalnie, po prostu ją ciekawiły. On uważał, że było to gorsze niż bezgraniczna wiara w ich prawdziwość.

Podczas czytania z kart rozzłościła się na niego; był sarkastyczny. Zdenerwowana, złożyła karty.

–Chcę tylko wiedzieć, jak to działa – próbował wyjaśnić.

–Dlaczego?

Andrea rozciągnęła się za nim na kanapie, sięgnęła ręką w dół i podniosła okładkę płyty, której używali do przygotowywania skrętów.

–Dlaczego? – powtórzył ze śmiechem, kręcąc głową. – Dlatego, że to jedyny sposób zrozumienia czegokolwiek. Najpierw, czy to działa? Potem, jak?

–Być może, najdroższy – stwierdziła, śliniąc papierową bibułkę -nie wszystko musi być zrozumiane. Być może nie wszystko może być zrozumiane, w odróżnieniu od równań i wzorów.

Stale do tego wracali. Emocje kontra logika. On wyznawał coś w rodzaju jednolitej teorii pola świadomości; emocje, uczucia i logiczna myśl istniały po to, by je zrozumieć łącznie jako całość, byt niewspółmierny co prawda w swoich hipotezach i wynikach, jednak funkcjonujący na tych samych fundamentalnych zasadach. Wszystko w końcu zostanie

zrozumiane; było to tylko kwestią czasu i dociekań. Wydawało mu się to tak oczywiste, że miał ogromne i prawdziwe kłopoty ze zrozumieniem punktu widzenia innych ludzi.

–Gdybym o tym decydował, nie pozwoliłbym nikomu, kto wierzy

w znaki zodiaku, Biblię lub uzdrawianie przez wiarę czy coś takiego, ko

rzystać z energii elektrycznej i jeździć samochodami, autobusami oraz

pociągami i latać samolotami ani używać niczego, co wykonano z two

rych sztucznych. Chcą wierzyć, że świat działa według ich zwariowanych

regulek? W porządku, niech żyją w ten sposób, ale dlaczego u diabła mielibyśmy im pozwalać korzystać z owoców ludzkiego geniuszu i ciężkiej pracy, z rzeczy produkowanych tylko dlatego, że ludzie lepsi od nich mieli kiedyś rozsądek i nadzieję, by... Przystaniesz się ze mnie śmiać?

Rzucił jej piorunujące spojrzenie. Andrea trzęsała się z bezgłośnego śmiechu, z różowym drżącym językiem wysuniętym, by polizać następną bibułkę. Zwróciła się do niego z błyszczącymi oczyma, wyciągnęła rękę i powiedziała:

–Czasami jesteś taki zabawny.

Chwycił jej dłoń i pocałował ją ceremonialnie.

–Tak się cieszę, że cię bawię, moja droga.

Nie uważał, że powiedział coś zabawnego. Czemu się z niego śmiała? Ostatecznie musiał jednak przyznać, że tak naprawdę jej nie rozumiał. Nie rozumiał kobiet. Nie rozumiał mężczyzn. Nawet dzieci trudno było mu zrozumieć. Naprawdę rozumiał tylko siebie i resztę wszechświata. Nie do końca rzecz jasna, ale na tyle dobrze, by wiedzieć, że to, co zostało do odkrycia, miało sens; pasowałyby, można by to stopniowo i cierpliwie dobierać po kawałku, niczym elementy bezkresnej układanki, bez prostych brzegów i bez końca w polu widzenia, ale takiej, w której zawsze będzie miejsce na dopasowanie absolutnie każdego kawałka.

Kiedyś, gdy był całkiem mały, tato zabrał go do zajezdni kolejowej, gdzie pracował. Przeprowadzano tam kapitalne remonty lokomotyw i tato pokazał mu wielkie, wysokie silniki parowe, rozbierane i na powrót składane, czyszczone i naprawiane. Pamiętał, że stał i przyglądał się masywnej lokomotywie podczas próby spoczynkowej, z wysiłkiem rozpędzającej się do maksymalnej prędkości na ukrytych w podłodze wyjących rolkach ze stali, z rozmazanymi tarczami wirujących kół wielkości człowieka, drżącym powietrzem rozgrzanym od jej blach, parą kłębiącą się wokół lśniących szprych; dźwignie i łączniki, pręty i tłoczy-ska błyskały w światłach rozbrzmiewającej echem, trzęsącej się zajezdni, a dym z komina lokomotywy pulsował i uderzał jak młot w wielkiej

murze z nitowanej blachy, która odprowadzała go na dach zajezdni. Było to przerażająco hałaśliwe, uderzająco potężne, nieopisanie żywe przeżycie; był przerażony, a zarazem pogrążony w ekstazie, przepełniony grozą, zachwytem i podziwem dla czystej, oszałamiającej, ujarzmionej potęgi maszyny.

Ta moc, ta kontrolowana energia użytkowa, ten metalowy symbol wszystkiego, czego można było dokonać pracą, rozsądkiem i przy użyciu materii, pobrzmiwały w

nim echem wspomnień przez lata. Budził się ze swych snów dyszący, spocony, z łomocącym sercem, niepewny, czy czuje strach, czy podniecenie, czy też jedno i drugie. Wiedział jedynie, że po zobaczeniu tego łomocącego, nieruchomego silnika wszystko jest możliwe. Nigdy nie zdołał w zadowalający dla siebie sposób opisać tego pierwotnego przeżycia, nigdy też nie próbował wytłumaczyć tego uczucia Andrei, gdyż nigdy nie potrafił w pełni wytłumaczyć go sobie.

–Proszę – powiedziała, podając mu skręta i zapalniczkę. – Sprawdź, czy potrafisz wykrzesać z niej ogień.

Zapalił skręta i wydmuchnął kółko dymu w jej stronę. Andrea roześmiała się i machnięciem dłoni odegnała zwiewny szary naszyjnik od swoich świeżo umytych włosów.

Wypalili resztki jego doprawionego opium skręta. Wyjęli chrupki, a Andrea przyrządziła wspaniałą jajecznicę, której smak zapamiętał na zawsze i którego później już nigdy nie zdołała odtworzyć. Poszli chichocząc do najbliższego hotelu na szybkiego drinka przed zamknięciem, po czym chichocząc wrócili tą samą drogą do domu; zaczęli się podszczypywać, potem obmacywać, później całować i w końcu pieprzyli się na trawie przy poboczu drogi, niewidoczni (i bardzo zziębnięci i zapalczywi) we mgle, podczas gdy sześć metrów dalej raz po raz rozbrzmiewały głosy ludzi i powoli prześlizgiwały się reflektory samochodów.

Wróciwszy do domu, wysuszyli się i ogrzali; Andrea zrobiła następnego skręta, a on przeczytał gazetę sprzed sześciu miesięcy, którą znalazł na półce z czasopismami, naśmiewając się z rzeczy, które ludzie uznawali wtedy za ważne.

Poszli do łóżka, wypili resztki laphroaig przywiozionej przez An-dreę i siedzieli, śpiewając takie piosenki jak „Wichita Lineman” i „Ode to Billy Joe” ze zmienionymi słowami – niezależnie od tego, czy zachowywały rytm wiersza czy nie – by nadać im szkockie brzmienie („Jestem monterem pracującym na linii Radcy Hrabstwa”... „...i wrzucić je do błotnistej wody z Forth Road Bridge”...).

W poniedziałek w porze lunchu jechał lotusem z powrotem, wolniej niż chciał i szybciej niż jej się podobało. W piątek zaczął pisać wiersz i teraz, jadąc, próbował go dokończyć, ale reszta słów po prostu nie przychodziła mu do głowy. Był to swego rodzaju antyrymowany, antymiłosny wiersz, po części efekt jego śmiertelnej odrazy do piosenek rymujących „broń” i „skroń” i plotących bzdury o miłości trwającej dłużej niż góry i morza (morze/przestworze/Boże, szanse/niuanse/kwadransy)...

Wersy, które już ułożył, lecz których nie potrafił uzupełnić we mgle, brzmiały tak:

Pani, ta miękka skóra, Twoje i moje kości Obróca się w proch, nim zniknie następna góra. Ani oceany, ani rzeka, nawet strumień nie wyschnie, Nim wyschną

nasze oczy i serca zmieniają się w kamień.

Metamorfeusz:

Część pierwsza

Niektóre rzeczy odbijają głos bardziej niż inne. Czasami słyszę ostatni dźwięk, który nigdy nie odbija się echem, ponieważ nie ma od czego się odbić; to dźwięk ostatecznej nicości dociera z hukiem przez wielkie rury, tworzące pozbawiony szpiku kościec mostu, niczym huragan, niczym pierdnięcie Boga, niczym wszystkie krzyki bólu zebrane i odtworzone. Słyszę go zatem – hałas rozrywający bębunki, rozłupujący czaszki, rozwalający ściany i niszczący dusze. Te organowe piszczałki są ciemnymi tunelami z żelaza na niebie – ogromnymi i mocnymi; jaką inną melodię potrafią zagrać?

Melodię pasującą do końca świata, do kresu wszelkiego życia, do kresu wszystkich rzeczy.

A reszta?

Jedynie mgliste obrazy. Wzory stworzone przez cień. Ekran nie jest srebrny, lecz ciemny. Zatrzymaj sztuczne i liche rzeczy w bramie, jeżeli chcesz zobaczyć, z czego to wszystko zostało zrobione. Proszę. Obserwuj piękne barwy, gdy to – statyczne dotąd – znowu się porusza; gotujące się, płonące, bulgoczące, rozpadające się i obłazące tajemniczo niczym rozchylające się posiniaczone wargi, obraz wyparty przez to czyste białe światło (widzisz, co dla ciebie robię, chłopcze?).

Nie, nie jestem nim. Tylko go obserwuję. To po prostu człowiek, którego spotkałem, ktoś, kogo znałem dawniej.

Później chyba spotkałem go znowu. To przychodzi później. Wszystko we właściwym czasie.

Teraz śpię, ale... No cóż, teraz śpię. Dość tego.

Nie, nie wiem, gdzie się znajduję.

Nie, nie wiem, kim jestem.

Tak, oczywiście, wiem, że to sen.

Bo czyż nie jest nim wszystko, co nas otacza?



Wczesnym ranem nadchodzi wiatr i rozwiewa mgłę. Ubieram się w oszołomieniu, próbując sobie przypomnieć moje sny. Nie jestem nawet pewien, czy rzeczywiście śniłem ostatniej nocy.

Na niebie nad rzeką podnosząca się mgła powoli odsłania nabrzmiałe szare kształty: duże, nadęte balony przypominające ogromne dmuchane bomby. Balony zaporowe na całej długości mostu.

Muszą być ich setki, unoszące się w powietrzu mniej więcej na wysokości

wierzchołka, może wyżej, i przeczepione do wysepek lub trawlerów i innych łodzi.

Resztki mgły podnoszą się i zostają rozproszone przez wiatr. Znosi się na piękny dzień. Balony obracają się na niebie, przypominając nie tyle ptaki, ile stado wielkich wali szarych, powoli obracających bulwiaste paszcze w stronę łagodnego strumienia powietrza. Przyciskam twarz do zimnej szyby, spoglądając wzdłuż zamglonego mostu pod jak najostrzejszym kątem; balony są wszędzie, rozrzucone po niebie, niektóre zaledwie o trzydzieści metrów od mostu, inne oddalone o kilka mil.

Przypuszczalnie mają zapobiec następnym „defiladom” lotniczym. Wydaje mi się, że to reakcja trochę na wyrost.

Rozlega się trzepotanie klapy skrzynki na listy; jakaś koperta spada na wykładzinę. To wiadomość od Abberlaine Arrol – tego rana będzie wykreślała rysunek na pewnej stacji rozrządowej odległej o parę segmentów i pyta, czy nie zechciałbym do niej dołączyć.

Dzisiejszy dzień zapowiada się coraz pogodniej.

Przypominam sobie o zabraniu listu do doktora Joyce'a. Napisałem go zeszłej nocy, pozbywszy się zwróconego kapelusza. Poinformowałem w nim pocziwego doktora, że chcę odroczyć hipnozę. Proszę go (grzecznie) o wyrozumiałość; zapewniam, że z największą radością spotkam się z nim i porozmawiam o moich snach – ostatnio stały się głębsze i skutkiem tego przypuszczalnie bardziej przydatne w analizie, której pierwotnie pragnął dokonać.

Wkładam list panny Arrol i mój własny do kieszeni i jeszcze przez chwilę stoję i przyglądam się balonom. Kołyszą się powoli w porannym świetle, niczym wielkie beczki cumownicze unoszące się na jakiejś niewidocznej powierzchni nad nami.

Ktoś puka do drzwi. Przy odrobinie szczęścia będzie to specjalista od napraw telewizorów lub telefonów bądź jednych i drugich. Przekręcam klucz w zamku i próbuję otworzyć drzwi, ale nie mogę. Znowu rozlega się pukanie.

–Kto tam? – wołam, pociągając za klamkę. Jakiś mężczyzna odpo

wiada zza drzwi:

–Przychodzę sprawdzić pana telewizor. Pan Orr, prawda? Mocuję się z drzwiami; klamka obraca się, ale nic się nie dzieje.

–Czy tak? Pan John Orr? – krzyczy mężczyzna.

–Tak, tak, to ja. Proszę chwilę poczekać. Nie potrafię otworzyć tych cholernych drzwi.

–Właśnie widzę.

Szarpię i ciągnę za klamkę, kręcąc nią na wszystkie strony. Dotąd nigdy się nie zacinała; nie stwarzała nawet cienia kłopotu. Być może wszystko w tym mieszkaniu ma działać przez mniej więcej sześć miesięcy. Zaczynam wpadać w złość.

–Jest pan pewien, że otworzył pan zamek?

–Jestem – odpowiadam, usiłując zachować spokój.

–To na pewno właściwy klucz?

–Na pewno! – krzyczę.

–Pomyślałem po prostu, że na wszelki wypadek zapytam. – Mężczyzna sprawia wrażenie rozbawionego. – Są tu u pana jakieś inne drzwi?

–Nie, nie ma.

–Niech pan wypchnie klucz przez skrzynkę na listy. Spróbuję otworzyć je z tej strony.

Usiłuje to zrobić. Nic z tego nie wychodzi. Na chwilę wracam do okien, oddycham głęboko i spoglądam na potężne balony. Za drzwiami słyszę stłumioną rozmowę.

–Jestem z serwisu telefonicznego, panie Orr! – woła następny głos. – Coś się stało z pana drzwiami?

–Nie może ich otworzyć – wyjaśnia pierwszy głos.

–Na pewno przekręcił pan klucz? – upewnia się człowiek od telefonów. Rozlega się kołatanie do drzwi. Nie odpowiadam.

–Są tu jakieś inne drzwi, przez które moglibyśmy wejść? – krzyczy.

–Już go o to pytałem – mówi pierwszy mężczyzna. Znowu rozlega się pukanie.

–O co chodzi? – pytam.

–Ma pan telefon? - pyta spec od naprawy telewizorów.

–Jasne, że ma – odpowiada z oburzeniem w głosie serwisant z telekomunikacji.

–Może pan zadzwonić do Wydziału Budynków i Korytarzy? Tam będą wiedzieli, gdzie...

–Jak niby ma to zrobić? – Głos serwisanta robi się piskliwy z niedowierzania. – Przecież przyszedłem tu po to, żeby naprawić jego cholerny telefon!

Wracam do mojego gabinetu, zanim zasugeruje, bym dla zabicia czasu pooglądał telewizję.

Zajmuje im to następną godzinę. Dozorca korytarza zrywa całą drewnianą ościeżnicę. W końcu drzwi po prostu ni stąd, ni zowąd otwierają się z cichym trzaskiem, a on, zaintrygowany i podejrzliwy, stoi wśród połamanego drewna i zakurzonego tynku. Obaj specjaliści od napraw poszli wykonać inne zlecenia. Wychodzę za próg, przekraczając drewniane listwy, przebite wygiętymi gwoździemi.

–Dziękuję – mówię.

Dozorca drapie się młotkiem po głowie.

Wysyłam list do doktora Joyce'a i kupuję owoce, by przerwać mój post. Po „uwolnieniu” zostało mi w sam raz czasu, by odbyć rendez-vous z panną Arrol.

W tramwaju, którym jadę, pełno jest ludzi dyskutujących o balonach zaporowych; większość nie ma pojęcia, do czego one służą. Z chwilą gdy tramwaj opuszcza segment właściwy i wjeżdża na stosunkowo luźno zabudowane przęsło łączące, wszyscy odwracamy się, by na nie popatrzeć. Jestem zdumiony.

Są tylko po jednej stronie. W dole rzeki tyle, że nie sposób byłoby je zliczyć. W górze rzeki ani jednego. Wszyscy w tramwaju pokazują palcami i wytrzeszczają oczy na nagromadzone balony. Wydaje się, że tylko ja gapię się jak rażony piorunem w

drugą stroną, na niezmacone niebo w górze rzeki, za ukształtowanymi w iksy dźwigarami przęsa.

Ani jednego balonu.

–Dzień dobry.

–Prawda, że dobry? Wzajemnie. Jak pana głowa?

–W porządku. A pani nos?

–Nadal okropnie spuchnięty, ale już nie krwawi. Aha, pana chus

teczka.

Abberlaine Arrol wsadza dłoń do kieszeni żakietu i wyciąga moją chusteczkę, świeżo wypraną i wykrochmaloną. Właśnie przyjechała tramwajem wiozącym kolejarzy.

Znajdujemy się na stacji rozrządowej, najszerszym miejscu na moście, jakie dotąd widziałem; część bocznic wystaje daleko poza obrys głównej konstrukcji mostu na szerokich, wspornikowych platformach. Wielkie lokomotywy, długie składy różnorodnych wagonów, krzepcy ustawiacze i liche, skomplikowane pojazdy do konserwacji i naprawy torów ze szczękiem przesuwają się po zagmatwanej siatce linii, punktów i bocznic niczym niezgrabne pionki w jakiejś wielkiej, powolnej grze. Para unosi się w porannym świetle, dym faluje na tle ostrych punktów nieruchomych lamp łukowych w dźwigarach; umundurowani mężczyźni biegają tam i z powrotem, krzycząc i wymachując różnokolorowymi chorągiewkami, dmuchając w gwizdki i pośpiesznie mówiąc coś do słuchawek telefonów przy torach.

Abberlaine Arrol – ubrana w długą szarą spódnicę i krótki szary żakiet, z włosami ściągniętymi pod służbową czapkę -jest tutaj po to, by narysować tę chaotyczną scenę. Jej odręczne szkice i akwarele kolejowych motywów ozdabiają już kilka sal konferencyjnych i biurowych foyer; uważa się ją za obiecującą malarkę.

Wręcza mi moją chusteczkę. W jej oczach i postawie jest coś osobliwego; spoglądam na wypraną chusteczkę i wtykam ją do wolnej kieszeni. Panna Arrol uśmiecha się – do siebie, nie do mnie. Mam niepokojące wrażenie, że czegoś nie dostrzegam.

–Może mi pan ponosić sztalugi. Zostawiłam je tutaj w zeszłym ty
godniu.

Przechodzimy przez kilka torów do małej zajezdni w pobliżu środka szerokiej, pokrytej płataniną szyn platformy stacji rozrządowej. Wokół nas połączone wagony i

odłączone lokomotywy przesuwać się powoli tam i z powrotem; w innych miejscach całe lokomotywy znikają pod pomostem na platformach opuszczanych na masywnych krążkach, przenoszących je do warsztatów pod torami.

–Co pan powie o naszych dziwnych balonach, panie Orr? – pyta mnie, gdy idziemy.

–Przypuszczam, że mają zatrzymać samoloty, choć nie wiem, dlaczego znajdują się tylko z jednej strony.

–Wygląda na to, że nikt tego nie wie – stwierdza w zadumie panna Arrol. – Pewnie kolejna pomyłka administracyjna. – Wzdycha. – Nawet mój ojciec nic o nich nie słyszał, a zwykle jest dość dobrze poinformowany.

W małej zajezdni Abberlaine odzyskuje swoje sztalugi; przenoszę przyrząd w kształcie litery A we wskazane przez nią miejsce. Wydaje się, że postanowiła wybrać jako temat jedną z wind lokomotywowych o dużej ładowności. Prostuje sztalugi, rozstawia swój mały składany stół, otwiera tornister, ukazując buteleczki z farbami, zestaw ołówków, pałeczek węgla drzewnego i kredek. Lustruje scenę krytycznym okiem i wybiera czarny kawałek węgla.

–Nie odczuwa pan dodatkowych złych skutków naszej małej kraksy sprzed dwóch dni? – pyta i kreśli linię na papierze.

–Pewną odruchową nerwowość na dźwięk klaksonów w obcasach pędzących rikszarzy i nic poza tym.

–Jestem pewna, że to chwilowy objaw. – Posyła mi oszałamiająco czarujący uśmiech, po czym powraca do sztalug. – Zanim nam tak brutalnie przerwano, rozmawialiśmy o podróżowaniu, prawda?

–Tak, miałem... miałem zamiar panią zapytać, jak daleko pani podróżowała.

Abberlaine Arrol dodaje do swego szkicu parę małych kółek i łuków.

–Chyba do uniwersytetu – odpowiada, szybko nanosząc parę krzyżujących się linii na papier. – Około... – wzrusza ramionami – stu pięćdziesięciu... dwustu segmentów stąd. W kierunku Miasta.

–Ale... ładu pani stamtąd nie widziała, prawda?

–Łąd, panie Orr – odpowiada, rzucając mi spojrzenie. – Ależ jest pan ambitny. Nie, nie widziałam ładu, jeśli nie liczyć zwykłych wysepek.

–Sądzi więc pani, że nie ma żadnego Królestwa ani żadnego Miasta?

–Och, mam wrażenie, że gdzieś tam istnieją. Następne linie.

–Nigdy nie chciała ich pani zobaczyć?

–Nie mogę powiedzieć, że chciałam, przynajmniej odkąd przeszła mi ochota, by zostać maszynistą pociągu.

Cieniuje fragmenty szkicu. Widzę ciąg tworzących sklepienie iksów, sugerujących obecność osłoniętych chmurami szczytów. Abberlaine rysuje szybko. Parę pasm włosów, które wymknęły się spod czapki, skręca się na śmietankowej powierzchni jej bladego i szczupłego karku niczym zawile litery jakiegoś nieznanego pisma.

–Kiedyś znałam pewnego dość sędziwego inżyniera, który uważał, że w rzeczywistości wcale nie żyjemy na moście, lecz na wielkiej skale pośrodku pustyni nie do przebycia.

–Hmm – waham się, niepewny, jak potraktować jej słowa. – Być może most jest czymś innym dla każdego z nas. A co pani widzi?

–To samo co pan – odpowiada, odwracając się na chwilę do mnie. – Cholernie duży most. Co pana zdaniem tu rysuję?

Odwraca się z powrotem. Uśmiecham się i mówię:

–Och, tak na oko odrobinę mniej niż sążeń. Słyszę, jak się śmieje.

–A pan, panie Orr?

–Moje wnioski.

Tą uwagą zdobywam jeden z jej olśniewających uśmiechów. Panna Arrol powraca na chwilę do rysowania, po czym na moment z roztargnieniem unosi wzrok.

–Wie pan, czego mi najbardziej brakuje, odkąd opuściłam uniwersytet?

–Czego?

–Możliwości dokładnego oglądania gwiazd. – Kiwa głową, sprawiając wrażenie pogrążonej w zadumie. – Tutaj jest zbyt dużo światła, by dokładnie zobaczyć gwiazdy, chyba że wypłynie się w morze. Uniwersytet tkwił wśród farm i nocą było tam zupełnie ciemno.

–Farm?

–No wie pan, miejsc, gdzie uprawia się rośliny i hoduje zwierzęta -wyjaśnia i cofa się z założonymi rękami od swojego dzieła.

–Rozumiem.

Nie przyszło mi do głowy, że inne części mostu mogły zostać oddane pod uprawę; przypuszczalnie nie było to trudne. Prowadzenie gospodarstw rolnych na różnych poziomach mogło wymagać wiatrochro-nów, a lepszym środowiskiem uprawnym byłaby raczej woda niż gleba, ale istniała taka możliwość.

A zatem most mógł być całkowicie samowystarczalny żywnościowo. Moje wyobrażenie, że jego długość jest ograniczona czasem, którego pośpieszny pociąg towarowy potrzebowałby na dostarczenie każdego dnia świeżych produktów, okazało się błędne. Most może mieć dowolną długość.

Abberlaine Arrol zapala cienkie cygaro. Obutą stopą stuka w metalowy pomost. Odwraca się do mnie, znowu zakładając ręce pod zarysem osłoniętych bluzką i żakiem piersi; jej spódnica z grubego kosztownego sukna kołysze się i z powrotem nieruchomieje. Przez aromatyczny dym cygara przebija cień zapachu delikatnych perfum.

–No i jak, panie Orr?

Oglądam skończony rysunek.

Naszkiowała na nim, a potem zmieniła rozległą platformę stacji rozrządowej; linie i tory wyglądają niczym pnącza w dżungli, opadłe na jej podłoże. Pociągi to groteskowe, zdeformowane stworzenia przypominające olbrzymie larwy lub butwiejące pnie drzew; dźwigary i rury nad nimi stają się gałęziami i konarami i znikają w dymie wznoszącym się z poszycia dżungli; ogromny, piekielny las. Jedna lokomotywa przeistoczyła się w stojące dęba monstrum, warcząca ognistą jaszczurkę. Mały, przerażony mężczyzna ucieka przed nią, jego ledwie widoczną twarz wykrzywia okrzyk przerażenia.

–Obrazowy – mówię po chwili namysłu. Abberlaine śmieje się niefrasobliwie.

–Nie podoba się panu.

–Mam chyba zbyt przyziemne upodobania. Ale perfekcja wykonania robi wrażenie.

–Wiem o tym – odpowiada panna Arrol. Jej głos jest piskliwy, a mina trochę smutna. Żałuję, że szkic nie podoba mi się bardziej.

Jakąż jednak zdolność wyrażania uczuć posiadają szarozielone oczy Abberlaine Arrol! Spoglądają na mnie teraz niemal ze współczuciem. Wydaje mi się, że bardzo

lubię tę młodą damę.

–Narysowałam to dla pana – wyjaśnia. Sięga do swojego tornistra, wyjmuje szmatkę i zaczyna czyścić dłonie.

–Naprawdę? – Jestem bardzo zadowolony. – Dziękuję.

Panna Arrol zdejmuje rysunek ze sztalug i zwija go w rulon.

–Pozwalam panu uczynić z nim, co się panu podoba – oświadcza z wymuszonym uśmiechem. – Niech pan zrobi z niego papierowy samolot.

–Nie ma mowy – odpowiadam, gdy mi go wręcza. Czuję się tak, jakbym właśnie otrzymał dyplom. Każę go oprawić i powieszę w moim mieszkaniu. Odkąd wiem, że został narysowany dla mnie, podoba mi się o wiele bardziej.

Odjazdy Abberlaine Arrol wywołują moje rozbawienie. Tym razem zabiera ją wagon techniczny: oryginalny, elegancko przeszklony i wyłożony boazerią wagon pełen skomplikowanych, lecz archaicznych przyrządów, wszystko z jasnego mosiądzu, brzęczących regulatorów balansowych oraz rolek papieru przesuwającego się pod pisakami. Staje z sykiem i grzechotaniem, otwierają się harmonijkowe drzwi i młody strażnik salutuje pannie Arrol, która wybiera się na lunch ze swoim ojcem. Ja dzierżę sztalugi, otrzymawszy polecenie odniesienia ich z po-

wrotem do zajezdni. Tornister Abberlaine pęcznieje od zwiniętych w rulony rysunków kreskowych – zlecanej pracy, którą w rzeczywistości przyjechała tu wykonać i którą się zajmowała, nie przerywając rozmowy ze mną, od chwili ukończenia mojego szkicu. Stawia stopę na wysokim stopniu wagonu i wyciąga do mnie dłoń.

–Dziękuję panu za pomoc.

–A ja dziękuję za rysunek.

Chwytam jej rękę. Między cholewką buta panny Arrol a rąbkiem spódnicy po raz pierwszy ukazuje się pończocha; z drobnej, lecz niewątpliwie rybackiej sieci.

Skupiam uwagę na jej oczach. Dostrzegam w nich rozbawienie.

–Mam nadzieję, że znowu panią zobaczę.

Patrzę na te śliczne worki pod szarzielonymi oczami. To faktycznie sieć rybacka; znowu zostałem złowiony. Panna Arrol ściska moją rękę. Robi mi się słabo od absurdalnej euforii.

–No cóż, panie Orr, jeśli potrafię zdobyć się na odwagę, być może pozwolę się zaprosić na kolację.

–Zrobiłbym to... z największą przyjemnością. Mam wielką nadzieję, że w najbliższej przyszłości odkryje pani w sobie niewyczerpane zasoby odwagi. – Kłaniam się lekko i w nagrodę znowu dostrzegam w przelocie tę oszałamiająco piękną nogę.

–A zatem do widzenia, panie Orr. Proszę być w kontakcie.

–Będę. Do widzenia.

Drzwi się zamykają, wagon brzęczy i oddala się z sykiem; para, którą za sobą zostawił, snuje się wokół mnie jak mgła, wywołując łzawienie oczu. Wyciągam chusteczkę.

Wyszyto na niej monogram. Panna Arrol kazała delikatną, błękitną jedwabną nicią wyhaftować w jednym rogu literę O.

Taki wdzięczny gest; jestem urzeczony. I do tego jeszcze tych parę centymetrów rozkosznej nogi w pończosze!

Po lunchu siedzę razem z Brookiem, popijając grzane wino, w sali klubowej baru U Dissy Patton, z widokiem na morze. Siedzimy rozwaleni na wiszących kanapach i przyglądamy się uszczuplonej flotyli kutrów rybackich, wyruszającej w morze głęboko pod nami. Wypływające trawlerzy dają sygnały rogami mgłowymi, mijając nieruchome bliźniacze statki służące do zakotwiczenia balonów zaporowych.

–Trudno powiedzieć, bym cię winił – mówi burkliwym głosem

Brooke. – Zawsze uważałem, że ten facet niewiele ci pomaga.

Powiedziałem mu, że postanowiłem nie pozwolić, by doktor Joyce mnie hipnotyzował. Obaj spoglądamy na morze.

–Przeklęte balony.

Mój przyjaciel rzuca piorunujące spojrzenia na rażące swoim widokiem sterówce. W świetle słońca mieniają się srebrnym niemal blaskiem, niebieskie wody zatoki są upstrzone cętkami ich cieni; kolejny wzór.

–Myślałem, że zaaprobujesz... – zaczynam i milknę, marszcząc czo

ło i nasłuchując.

Brooke patrzy na mnie.

–Nie mnie apróbować lub... Orr?

–Ciii – uciszam go. Słucham hałasu w oddali, a potem otwieram jedno z okien sali klubowej. Brooke wstaje. Warkot silników nadlatujących samolotów jest teraz zupełnie wyraźny.

–Tylko mi nie mów, że te cholerne samoloty wracają! – woła za moimi plecami.

–Faktycznie wracają.

Samoloty pojawiają się w polu widzenia. Lecą niżej niż poprzednio, środkowy prawie na poziomie baru. Lecą w kierunku Królestwa w tym samym pionowym szyku jak przedtem. I znowu każdy wlecze za sobą przerywaną smugę oleistego dymu, pozostawiając na niebie gigantyczną wstęgę ciemnych plam. Srebrzystoszare kadłuby samolotów nie mają żadnych oznaczeń. W świetle słońca błyskają posrebrzane daszki kokpitów. Połączone liny balonów wydają się stanowić jedynie symboliczną przeszkodę na drodze samolotów; lecą one w odległości około ćwierci mili od mostu, gdzie liny są prawdopodobnie rozmieszczone najgęściej, a mimo to w czasie gdy je obserwujemy, muszą wykonać tylko jeden krótki skręt, żeby uniknąć zderzenia. Eskadra oddala się z warkotem, pozostawiając za sobą dym.

Brooke uderza pięścią w dłoń i mówi:

–Tupeciarze!

Wisząca ściana dymiących plam powoli płynie w stronę mostu, pchana przez stały wiatr.

Po paru wyczerpujących meczach w klubie wstępuję do ramiarza. W ciągu popołudnia rysunek panny Arrol został przymocowany do drewnianej płyty i pokryty szkłem przeciwodblaskowym.

Wieszam go tam, gdzie wychwyci poranne światło, nad biblioteczką stojącą przy naprawionych drzwiach wejściowych. Gdy prostuję rysunek na ścianie, włącza się telewizor.

Mężczyzna nadal leży, otoczony przez aparaturę. Twarz ma bez wyrazu. Oświetlenie zmieniło się trochę; pokój wydaje się teraz ciemniejszy. Niedługo trzeba będzie wymienić mu kroplówkę. Obserwuję jego bladą, obwisłą twarz. Mam ochotę postukać w szklany ekran, żeby obudzić gościa... Zamiast to zrobić, wyłączam odbiornik. Czy sprawdzanie telefonu ma jakiś sens? Podnoszę słuchawkę; słychać te same spokojne sygnały.

Postanawiam zjeść obiad w klubowym barze.

Zgodnie z telewizyjną relacją obejrzaną w barze klubu, swawolne samoloty to kosztowny figiel kogoś z innej części mostu. Po dzisiejszym, najświeższym naruszeniu przestrzeni powietrznej, balonowe „fortyfikacje” mają być wzmocnione (nie wspomniano, dlaczego balony chronią tylko jedną stronę mostu). Poszukuje się osób odpowiedzialnych za te bezprawne loty. Administracja prosi wszystkich o czujność. Odnajduję dziennikarza, z którymi rozmawiałem poprzednio.

–Naprawdę nie mogę nic do tego dodać – wyznaje.

–A Trzecia Biblioteka Miejska?

–Nie udało mi się znaleźć informacji o niej w naszym archiwum. Na tych poziomach rzeczywiście był jakiś pożar bądź eksplozja, tyle że jakiś czas temu. Jest pan pewien, że to się wydarzyło zaledwie przed paroma dniami?

–Całkowicie.

–No cóż, prawdopodobnie nadal usiłują to opanować. – Strzela palcami. – Aha, powiem panu coś, o czym nie wspomniano w audycjach.

–Co takiego?

–Odkryli, w jakim języku piszą samoloty. – No i?

–Brajlem.

–Słucham?

–Brajlem. Językiem niewidomych; brzmi to zupełnie bezsensownie, nawet po rozszyfrowaniu, ale tak właśnie jest.

Odchylam się do tyłu na krześle, zupełnie oniemiały już po raz drugi tego dnia.

Część druga

Stoję na torfowisku, pochyłej płaszczyźnie prowadzącej ku grani i szaremu, monotonnemu niebu. Jest tu zimno i hula porywisty wiatr, targający mi ubranie i kładący na ziemię szorstką, skarłowaciałą trawę i wrzosy.

Torfowisko ciągnie się w dół wzgórza, znikając w szarej dali, w miejscu, gdzie zbocze staje się strome. Monotonię tego zmatowiałego trawiastego pustkowia zakłóca jedynie cienka i prosta wstęga wody marszczony przez zimny wiatr, przypominająca kanał.

Z grani na szczycie wzgórza dochodzi cienki dźwięk syreny.

Wzdłuż gór na tle nieba przesuwa się szary dym, szarpany przez gwałtowny wiatr. Na odległej grani pojawia się pociąg. Gdy podjeżdża bliżej, znowu rozlega się odgłos syreny – ostry, gniewny hałas. Czarna lokomotywa i parę ciemnych wagonów tworzą zmatowiałą linię wskazującą prosto na mnie.

Spoglądam pod nogi; stoję między szynami toru. Dwie cienkie metalowe linie biegną ode mnie ku zbliżającemu się pociągowi. Robię krok w bok i znowu patrzę pod nogi. Nadal stoję między szynami. Ponownie robię krok w bok. Szyny podążają za mną.

Płyną niczym żywe srebro, poruszając się, gdy ja się poruszam. Wciąż jestem między nimi. Znowu rozlega się pisk syreny.

Robię kolejny krok w bok – szyny znowu się przesuwają; mam wrażenie, że ślizgają się po powierzchni torfowiska bez oporu i bez przyczyny. Pociąg jest coraz bliżej.

Zaczynam biec, lecz szyny dotrzymują mi kroku, jedna tuż przede mną, druga tuż przy moim obcasie. Próbuję się zatrzymać, upadam i to-

czę się, nadal między szynami. Wstaję i biegnę w przeciwnym kierunku, pod wiatr, z oddechem palącym jak ogień. Szyny suną przede mną i za mną. Pociąg, teraz już bardzo bliski, znowu przeraźliwie gwizdże. Z łatwością pokonuje załamania i zakręty powstałe w wyniku moich potknięć i nagłych zwrotów. Biegnę dalej, pocąc się, odczuwając paniczny strach, nie dowierzając, ale szyny płyną gładko wraz ze mną; zachowują stały rozstaw z przodu i z tyłu, idealnie dostrojone do mojego rozpaczliwego, ciężkiego biegu. Pociąg zbliża się do mnie z rykiem syreny.

Ziemia drży. Szyny skowyczą. Krzyczę i natrafiam na kanał u swego boku. Na moment przedtem, zanim lokomotywa dociera do miejsca, w którym się znajduję, rzucam się do lekko wzburzonej wody.

Pod jej powierzchnią jest powietrze. Opadam w jego gęstym cieple, obracając się powoli i widząc od spodu wodę, lśniąca niczym oleiste lustro. Ląduję miękko na omszałym dnie kanału. Jest cicho i bardzo ciepło. Nade mną nic nie przepływa.

Ściany kanału są z szarego gładkiego kamienia i biegną blisko siebie. Wyciągając ręce, mógłbym ich prawie dotknąć. Zakrzywiają się lekko, niknąc w obu kierunkach w przyćmionym, padającym z góry świetle. Przykładam rękę do jednej z nich i potykam się o coś twardego pod mchem, w pobliżu ściany.

Po usunięciu mchu ukazuje się listwa lśniącego metalu. Odgarniam następne kawałki mchu z obydwu stron; listwa jest długa niczym rura i przymocowana do dna kanału. W przekroju poprzecznym ma kształt rozmytego I. Dokładniejsze badanie wykazuje, że biegnie pod mchem w obie strony, tworząc na zielono-brązowej powierzchni ciągły, ledwie dostrzegalny grzbiet. Po drugiej stronie tunelu w pobliżu ściany widać podobną podniesioną linię mchu.

Podrywam się, pośpiesznie zgarniając mech z powrotem na kawałek szyny, którą odkryłem.

Gdy to robię, gęste ciepłe powietrze zaczyna powoli przemieszczać się wokół mnie i zza ciasnego łuku tunelu dociera słaby, piskliwy dźwięk zbliżającej się syreny.

Na lekkim kacu, czekając na porcję wędzonych śledzi w barze śniadaniowym Wysepki, zastanawiam się, czy nie powinienem zdjąć rysunku panny Arrol ze ściany.

Ten sen zaniepokoił mnie; obudziłem się zlany potem i leżałem, przewracając się z boku na bok w łóżku, wciąż mokry od potu, aż w końcu musiałem wstać. Zrobiłem sobie kąpiel i zasnąłem w ciepłej wodzie. Obudziłem się przemarznięty, przerażony, trzęsący się jak gala-

reta, nagle pewny w zamęcie świadomości, że zostałem schwytany w pułapkę kurczącego się tunelu: kąpiel była tunelem-kanalem, a zimna woda kanału moim potem.

Czytam poranną gazetę i popijam kawę. Administracja jest krytykowana za niezapobieżenie wczorajszej „defiladzie” lotniczej. Ocenie poddaje się nowe środki, mające zapobiec dalszym naruszeniom przestrzeni powietrznej mostu.

Pojawiają się wreszcie moje śledzie; usunięte ości pozostawiły wzór na bladobrazowym mięsie. Przypominam sobie swoje opinie o ogólnej topografii mostu. Staram się nie zwracać uwagi na kaca.

Są trzy możliwości:

- 1. Most jest po prostu zwykłym mostem, łącznikiem pomiędzy dwoma obszarami lądu. Dzieli je bardzo duży dystans i most istnieje niezależnie od nich, lecz odbywa się na nim ruch z jednego na drugi.**
- 2. Most to w rzeczywistości molo; ląd znajduje się tylko na jednym jego końcu.**
- 3. Most nie ma żadnego połączenia z lądem, z wyjątkiem małych wysp pod co trzecim segmentem.**

W przypadku nr 2 i 3 most mógłby być jeszcze w budowie. Może być tylko molem, gdyż nie sięgnął jeszcze odleglejszego obszaru lądu, lub -jeżeli jeszcze nie ma połączenia z lądem – mógłby być nadal budowany nie na jednym, ale na obu końcach.

Istnieje jedna interesująca ewentualność w przypadku nr 3. Most wydaje się prosty, ale przecież jest horyzont, a słońce wschodzi, zakreśla łuk i opada. Tak więc most mógłby w końcu zetknąć się z samym sobą, utworzyć zamknięty obwód, krąg

opasujący kulę ziemską; mógłby być konstrukcją topograficznie zamkniętą.

Wizyta w bibliotece, którą złożyłem w drodze tutaj, żeby obejrzeć książkę napisaną alfabetem Braille'a, przypomniła mi o wciąż nie odnalezionej Bibliotece Miejskiej. Po śniadaniu czuję się zupełnie uleczony i postanawiam pójść do segmentu, w którym mieści się zarówno gabinet doktora Joyce'a, jak i legendarny księgozbiór. Przeprowadzę kolejną próbę odnalezienia tej przeklętej biblioteki.

Jest następny wspaniały dzień; łagodny, ciepły wiatr wieje w górę rzeki, pochylając liny balonów zaporowych, gdy szare sterowce usiłują dryfować w stronę mostu. Na niebo wypuszczane są dodatkowe balony; na wpeł nadmuchane powłoki następnych wspierają się na dużych barkach, a niektóre trawlerzy wyposażone zostały już w dwa balony.

tworzące na niebie gigantyczne V ze swych lin. Część balonów pomalowano na czarno.

Pogwizdując i wymachując laską, przechodzę po prześle łączącym z jednego segmentu na następny. Obita pluszem, lecz konwencjonalna winda wynosi mnie na najwyższą dostępną kondygnację, usytuowaną jednak parę poziomów niżej od prawdziwego wierzchołka segmentu. Ciemne, wysokie i pachnące stęchlizną korytarze wydają się znajome, przynajmniej w swoim ogólnym charakterze; ich dokładny rozkład pozostaje tajemnicą.

Idę pod wiekowymi, brudnymi ze starości flagami, między niszami zajmowanymi przez uwiecznionych w kamieniu urzędników, obok pomieszczeń pełnych porozumiewających się szeptem kancelistów w eleganckich uniformach. Przechodzę przez ciemne, wyłożone białymi kafelkami szyby świetlne na zniszczonych korytarzach poprzecznych, zerkam przez dziurki od klucza w zamknięte, mroczne, opustoszałe przejścia, których podłogi toną pod parocentymetrową warstwą kurzu i śmieci. Próbuję otworzyć drzwi, ale ich zawiasy zardzewiały.

W końcu docieram do znajomego korytarza. Duża okrągła plama światła jarzy się na wykładzinie przede mną, w miejscu gdzie korytarz się rozszerza. W powietrzu umosi się woń wilgoci; przysięgłbym, że gruba ciemna wykładzina chlupocze przy każdym stąpieniu. Teraz dostrzegam wysokie rośliny doniczkowe oraz odcinek ściany, w której powinno się mieścić wejście do windy w kształcie litery L. Plama światła na podłodze ma na środku cień, którego sobie nie przypominam. Cień się porusza.

Docieram w obręb światła. Wielkie okrągłe okno jest na swoim miejscu, nadal zwrócone w dół rzeki niczym olbrzymia, pozbawiona wskazówek tarcza zegara. Cień rzuca pan Johnson, pacjent doktora Joyce'a, który od lat nie chce zejść z pomostu wiszącego rusztowania. Czyści okno, z wyrazem wytężonego skupienia na twarzy polerując szmatą szybę na środku.

Z tyłu, nieco niżej, ale dobrze ponad trzysta metrów nad poziomem morza unosi się mały trawler.

Wisi na trzech linach, jest czarno-brązowy, pokryty smugami rdzy nad skorupą pąkli poniżej wodnicy. Powoli szybuje w kierunku mostu, wznosząc się coraz wyżej.

Podchodzę do okna. Wysoko nad dryfującym trawlerem znajdują się trzy czarne balony zaporowe. Spoglądam na wciąż polerującego szkło pana Johnsona. Pukam w szybę. Nie zwraca na to uwagi.

Trawler, nadal wędrujący do góry, zmierza prosto w wielkie okrągłe okno. Stukam w szybę, najwyżej jak tylko potrafię sięgnąć; wymachuję laską i kapeluszem i krzyczę na cały głos:

–Panie Johnson! Niech pan uważa! Za panem!

Przestaje pucować, ale tylko po to, żeby pochylić się z niezmiennie błogim uśmiechem, chuchnąć na szkło i wrócić do polerowania.

Walę w szybę na wysokości jego kolan, najwyżej jak jestem w stanie sięgnąć, nawet laską. Trawler znajduje się sześć metrów od okna. Pan Johnson radośnie pucuje dalej. Uderzam w grube szkło mosiężną gałką na końcu laski. Szyba kruszy się, pęka. Cztery metry; trawler zrównuje się z poziomem rusztowania.

–Panie Johnson!

Okładam laską pękającą taflę szkła; w końcu rozpryskuje się na kawałki. Cofam się chwiejnie przed ich gradem. Pan Johnson patrzy na mnie wilkiem. Trzy metry.

–Za panem! – krzyczę, wyrzucając laskę, by wskazać trawler, po czym biorę nogi za pas.

Pan Johnson przygląda się, jak uciekam i odwraca się. Od trawlera dzieli go jeden sążen. W chwili gdy łódź wbija się z chrzęstem w środek wielkiego okna, Johnson rzuca się na pomost swojego rusztowania. Stępka trawlera ociera się o jego poręcz i obsypuje go deszczem pąkli. Szyby rozlatują się w kawałki, które opadają na szeroki podest; dźwięk tłuczonego szkła konkuruje ze zgrzytem rozdieranego metalu. Dziob-nica trawlera wsuwa się ze zgrzytem przez okno, metalowa rama gnie się niczym wielka pajęczyna, wydając okropny jęk. Otaczająca mnie konstrukcja drży cała.

Po chwili drżenie ustaje. Mam wrażenie, że trawler odbija się nieco, po czym ze zgrzytem wdiera się przez górną część wielkiej mandali i przy okazji tłucze następne szyby; pąkle i odłamki rozbitego szkła spadają na wykładzinę, uderzając w szerokie

liście roślin doniczkowych niczym gwałtowny rzęśisty deszcz.

Po chwili – rzecz nie do wiary – wszystko mija. Trawler znika z pola widzenia. Szkło przestaje opadać. Dźwięki zgrzytliwej wędrówki łodzi po elewacji pozostałych pięter górnej części mostu rozchodzą się w drgającym powietrzu.

Pomost pana Johnsona kołysze się tam i z powrotem, coraz wolniej. Johnson rusza się, rozgląda i powoli wstaje. Harpuny ze szkła spadają mu z pleców jak połyskująca skóra węża. Zlizuje krew na grzbietach rąk z paru skaleczeń, których doznał, starannie zgarnia z ramion żaku-

rzne kryształki szkła, po czym przechodzi po swej kołyszącej się jeszcze platformie i podnosi miotłę z krótką rączką. Zaczyna zmiatać kawałki szyby z rusztowania, pogwizdując pod nosem.

Od czasu do czasu spogląda z wyrazem troski na wgniecioną i pogruchotaną ramę wielkiego okrągłego okna.

Stoję i obserwuję. Johnson kończy porządkowanie pomostu, sprawdza podtrzymujące go liny, następnie bandażuje krwawiące wciąż ręce. W końcu dokładnie ogląda zniszczone okno i znajduje w nim parę szyb, które nie są stłuczone, a zarazem nie zostały jeszcze umyte; zaczyna je czyścić.

Od kolizji z trawlerem minęło dziesięć minut; nadal jestem tu sam. Nikt nie przyszedł sprawdzić, co się stało, nie słyszałem żadnych alarmów ani sygnałów ostrzegawczych. Pan Johnson dalej myje i poleruje. Przez rozbite okno wieje ciepła bryza, mierzwiąc rozdarte liście roślin doniczkowych. W miejscu gdzie były drzwi do windy, teraz jest ściana z niszami na posągi.

Wychodzę, po raz kolejny rezygnując z poszukiwań III Biblioteki Miejskiej.

Wracam do mojego mieszkania i jeszcze większej katastrofy.

Mężczyźni w kombinezonach noszą moje ubrania i ładują na wózek. Na moich oczach pojawia się kolejny mężczyzna, uginający się pod stertą obrazów i rysunków; układa je na drugim wózku i wraca do środka.

–Hej! Wolnego! Co wy wyprawiacie?

Mężczyźni zatrzymują się i patrzą na mnie, zmieszani. Usiłuję wyrwać moje koszule z rąk jednego dryblas, ale jest zbyt silny – po prostu stoi, mrugając ze zdziwienia oczami i mocno trzymając ubrania, które zabrał z mojego pokoju. Jego kolega wzrusza ramionami i wraca do mieszkania.

–Stój! – krzyczę. – Wylaź stamtąd!

Zostawiam głupka z moimi koszulami i wbiegam do mieszkania; panuje w nim zamęt, mężczyźni w szarych kombinezonach chodzą po wszystkich pomieszczeniach, zakładają białe pokrowce na meble, wynoszą na zewnątrz inne części wyposażenia, wyciągają książki z biblioteczek i pakują je do pudeł, zdejmują obrazy ze ścian i ozdoby ze stołów. Rozglądam się, oszołomiony i przerażony.

–Przestańcie! Co wy u diabła wyprawiacie! Dość tego!

Paru odwraca się i patrzy na mnie, ale pozostali robią swoje.

Jeden kieruje się do drzwi, niosąc moje trzy parasole.

–Odstaw je na miejsce! – wrzeszczę, blokując przejście. Grożę mu laską. Bierze ją ode mnie, dodaje do kolekcji parasoli i znika za drzwiami.

–Ach, pan zapewne nazywa się Orr. – Wielki łysy mężczyzna w czarnej, założonej na szary kombinezon kurtce, trzymający czarny kapelusz w jednej ręce i clipboard w drugiej, wyłania się z mojej sypialni.

–Bez wątpienia. Co się tu u diabła dzieje?

–Wyprowadza się pan, panie Orr – odpowiada z uśmiechem.

–Co takiego? Dlaczego? Dokąd? – krzyczę. Nogi mi się trzęsą, w żołądku czuję niezdrowy ucisk.

–Hmm... – Łysy mężczyzna przegląda dokumenty przypięte do clip-boardu. – Aha, proszę: poziom U7, pokój 306.

–Co takiego? Gdzie to jest?

Nie wierzę własnym uszom. U7? To z pewnością oznacza poziom pod pomostem kolejowym! Ale przecież tam mieszkają robotnicy, zwykli ludzie. Co się dzieje? Czemu mi to robią? Na pewno zaszła jakaś pomyłka.

–Dokładnie nie wiem, proszę pana – odpowiada pogodnie – ale jestem pewien, że jeżeli pan dobrze poszuka, zdoła pan go znaleźć.

–Ale dlaczego mnie przeprowadzacie?

–Nie mam bladego pojęcia, proszę pana – pada radosna, śpiewna odpowiedź. – Długo pan tu mieszkał?

–Sześć miesięcy.

Z ubieralni wyciągane są następne ubrania. Znowu zwracam się do łysego

mężczyzny.

–Niech pan posłucha, to moje ubrania. Co z nimi robicie?

–Zwracamy je, proszę pana – zapewnia, kiwając głową i uśmiechając się.

–Zwracacie? Dokąd? – wrzeszczę. To wszystko uchybia mojej godności, ale cóż innego mogę zrobić?

–Nie wiem, proszę pana. Przypuszczam, że tam, skąd je pan otrzymał. To nie moja specjalność, proszę pana.

–Ale to przecież moje rzeczy!

Marszczy czoło i patrzy na swój clipboard, pośpiesznie przewracając kartki. Kręci głową i uśmiecha się z pewnością siebie.

–Myli się pan.

–Ale one są moje, do cholery!

–Przykro mi, proszę pana, ale nie. Należą do dyrekcji szpitala. Tak tu jest napisane... Proszę spojrzeć. – Pokazuje mi clipboard; na kartce papieru widnieje szczegółowy wykaz ubrań zakupionych przeze mnie

w sklepach na szpitalny kredyt. – Widzi pan? – rechocze. – Przestraszył mnie pan przez chwilę. Zabieranie czegokolwiek z pana rzeczy byłoby bezprawne, po prostu bezprawne. Mógłby pan wezwać policję, mógłby pan, bez dwóch zdań, gdybyśmy tknęli którąś z pana rzeczy. Nie powinien pan...

–Ale powiedziano mi, że mogę kupować, co tylko zechcę! Mam dietę! Ja...

–Proszę pana – odpowiada, przyglądając się, jak mija go następny ładunek płaszczy i kapeluszy, i odfajkowując coś w swoich papierach – nie jestem prawnikiem ani nikim takim, ale zajmuję się tego typu sprawami tak długo, że wolę o tym nie myśleć, i moim zdaniem przekona się pan, że... pozwoli pan, że się tak wyrażę... wszystkie te rzeczy faktycznie są własnością szpitala, a pan tylko ich używał. Myślę, że o tym właśnie się pan przekona.

–Ale...

–Nie wiem, czy wyjaśniono to panu, ale jestem pewien, że to właśnie by pan odkrył, gdyby miał pan zbadać tę sprawę.

–Ja... – Kręci mi się w głowie. – Niech pan posłucha. Nie możecie przerwać, tylko na chwilę? Pozwoli pan, że zadzwonię do mojego doktora. Do doktora Joyce'a...

Prawdopodobnie słyszał pan o nim. On to wyjaśni. Musiała zająć...

–Jakaś pomyłka? - Łysy mężczyzna przez chwilę śmieje się dycha-wicznie. – Niemożliwe, proszę pana. Przepraszam, że przerwałem panu w ten sposób, ale nie mogłem się powstrzymać. Wszyscy tak mówią. Szkoda, że nie dostaję szylinga za każdym razem, gdy to słyszę! – Kręci głową i ociera policzek. – No cóż, skoro naprawdę pan tak uważa, niech się pan lepiej skontaktuje z odpowiednimi władzami. – Rozgląda się. – Gdzieś tutaj jest... powinien być telefon.

–Nie działa.

–Na pewno działa, proszę pana. Korzystałem z niego niespełna pół godziny temu, aby zawiadomić wydział, że tu jesteśmy.

Znajduję telefon na podłodze. Jest głuchy. Gdy próbuję wykręcić numer, rozlega się jeden trzask. Łysy mężczyzna podchodzi do mnie.

–Wyłączony? – Spogląda na zegarek. – Trochę za wcześnie. – Robi kolejną adnotację. – Ci chłopcy z centrali są bardzo gorliwi, proszę pana. Bardzo, bardzo gorliwi. – Cmoka cicho i znowu kręci głową, wyraźnie pod wrażeniem.

–Proszę, niech pan chwilę poczeka. Niech pan mi pozwoli skontaktować się z moim lekarzem. On to wyjaśni. Nazywa się Joyce.

–Nie ma potrzeby, proszę pana – odpowiada radośnie, po czym znowu przegląda kartki. Przesuwa palcem po jednym z dokumentów na spodzie pliku. – Mam. Proszę tu spojrzeć.

To podpis poczcivego doktora.

–Widzi pan, on już o tym wie. To on podpisał upoważnienie.

–Tak.

Siadam i gapię się na pustą ścianę naprzeciwko.

–Teraz jest pan zadowolony?

Mam wrażenie, że łysy mężczyzna nie stara się być ani dowcipny, ani ironiczny.

–Tak – słyszę swój głos. Czuję się odrętwiały, martwy, owinięty watą, wszystkie zmysły stępione, nerwy stargane.

–Niestety, te rzeczy, które ma pan na sobie, będą nam potrzebne -mówi, patrząc na

moje ubranie.

–Nie mówi pan tego poważnie – stwierdzam znużonym głosem.

–Przykro mi, proszę pana. Mamy dla pana ładny i... mógłbym dodać... nowy kombinezon. Chce się pan przebrać?

–To jakiś absurd.

–Wiem, proszę pana. Mimo to przepisy pozostają przepisami, prawda? Jestem pewien, że spodoba się panu. Jest zupełnie nowy.

–Kombinezon?

–Jest jasnozielony. Tworzy komplet z butami, szortami, koszulą i szorstką bielizną.

Przebieram się w mojej przebieralni. W głowie mam pustkę jak na jej ścianach.

Moje ciało wydaje się poruszać samorzutnie, wykonując ruchy, których od niego oczekuję – automatycznie, mechanicznie – a potem zatrzymując się i czekając na nowy rozkaz. Starannie składam moje ubranie; gdy składam marynarkę, spostrzegam chusteczkę, którą dała mi Abberlaine Arrol. Wyjmuję ją z kieszeni na piersi.

Gdy wracam do salonu ze stertą moich rzeczy, łysy mężczyzna ogląda telewizję. Pokazują teleturniej. Na mój widok wyłącza odbiornik i wkłada swój czarny kapelusz.

–Ta chusteczka – mówię, wskazując na wierzchołek sterty – ma na szyty monogram. Mogę ją zatrzymać?

Łysy mężczyzna ruchem ręki nakazuje jednemu ze swoich ludzi wziąć moje rzeczy. Bierze chusteczkę do ręki i spogląda na listę w swoim clipboardzie. Stuka zaostrozonym ołówkiem w pozycję w wykazie.

–Owszem, mam tutaj chusteczkę, ale bez wzmianki o tym, by był na niej ten monogram. – Potrząsa chusteczką, przypatrując się dokładnie niebieskiemu wyhaftowanemu O. Jestem ciekaw, czy każe spruć ścięgi i wręczy mi nitkę. – W porządku, niech pan ją weźmie – mówi z goryczą. Biorę chusteczkę. – Ale będzie pan musiał zapłacić jej równowartość ze swojej nowej diety.

–Dziękuję.

Grzeczność przychodzi mi dziwnie łatwo.

–No cóż, to wszystko – stwierdza ze znajomością rzeczy i odkłada

óówek. Przypomina mi poczciwego doktora. Wskazuje na drzwi. – Pan

pierwszy.

Wkładam chusteczkę do kieszeni w jaskrawozielonym kombinezonie i wychodzę przed nim z mieszkania. Wszyscy pozostali mężczyźni oprócz jednego już sobie poszli; ostatni trzyma duży arkusz zwiniętego w rolkę papieru i pustą ramę. Czekam, aż jego zwierzchnik zamknie drzwi na klucz i łańcuch, a potem szepcze mi coś do ucha. Brygadzysta wyciąga zrolowany arkusz; uświadamiam sobie, że to rysunek Abberlaine Arrol.

–Czy to pana?

–Tak. Prezent, od przy...

–Proszę.

Wpycha mi go do rąk i odwraca się. Obaj odchodzą korytarzem. Ruszam do windy, ściskając w dłoniach rysunek. Uszedłem parę kroków, gdy rozlega się wołanie. Łysy brygadzysta biegnie ku mnie, przywołując ruchem ręki.

Wymachuje mi przed oczami clipboardem.

–Nie tak szybko, kolego – mówi. – Jest jeszcze drobny problem ka pelusza z szerokim rondem.

–Dzień dobry, tu gabinet doktora Joyce'a.

–Mówi Orr. Chcę rozmawiać z doktorem Joyce'em. To bardzo pilne.

–Pan Orr! Jak miło słyszeć pana głos! Jak się pan miewa tego pięknego dnia?

–Ja... Prawdę powiedziawszy, w tej chwili czuję się okropnie. Właśnie wyrzucono mnie z mojego mieszkania. Czy mogę rozmawiać z doktorem Joy...

–Ależ to okropne, wprost okropne.

–Zgadza się. Chciałbym o tym porozmawiać z doktorem Joy-ce'em.

H7

–Och, potrzebna jest panu policja, panie Orr, a nie doktor... Chyba że, no cóż, chodzi mi o to, że najwyraźniej nie wyrzucono pana z balkonu, bo inaczej nie byłby pan w stanie...

–Proszę posłuchać, jestem wdzięczny za troskę, ale nie mam zbyt dużo pieniędzy na ten telefon i...

–Co, chyba nie obrabowali pana na dodatek, prawda? Prawda?!

–Nie. Czy teraz mogę rozmawiać z doktorem Joyce'em?

–Niestety nie, panie Orr. Doktor jest w tej chwili zajęty... Zaraz... Zobaczmy... Aha, chyba na posiedzeniu Komitetu Wyborczego Nowych Członków Podkomisji Komisji ds. Procedur Zakupów.

–No cóż, nie może pan...

–Nie! Ależ ze mnie głupiec. Wprowadziłem pana w błąd. To było wczoraj. Chodzi o... tamta nazwa od razu wydała mi się podejrzana... posiedzenie Stałej Podkomisji ds. Planowania i Integracji Nowych Budyń...

–Na litość boską, człowieku! Nie interesuje mnie, o jaką przeklętą komisję chodzi! Kiedy mogę z nim porozmawiać?

–No cóż, panie Orr. Powinno to pana interesować. One istnieją także dla pana dobra.

–Kiedy mogę z nim pomówić?!

–No cóż, nie wiem, panie Orr. Czy może do pana oddzwonić?

–Kiedy? Nie mogę pętać się przy tej budce telefonicznej przez cały dzień.

–Może więc zadzwonię do domu?

–Przecież właśnie o tym mówiłem! Zostałem wyrzucony!

–No cóż, a nie może pan dostać się z powrotem? Jestem pewien, że jeżeli sprowadzi pan policję...

–Drzwi zostały zamknięte na łańcuch. A wszystko to zrobiono z oficjalnego upoważnienia doktora Joyce'a. Właśnie dlatego chcę mó...

–Oooo, został pan przeniesiony, panie Orr. Rozumiem. Myślą...

–Co to był za hałas?

–Och, to tylko sygnały z centrali. Musi pan wrzucić więcej monet.

–Skończyły mi się pieniądze.

–Ajajaj. No cóż, miło się z panem rozmawiało, panie Orr. Na razie. Życzę przyjemnego...

–Halo? Halo?!

Poziom U7 znajduje się siedem poziomów poniżej pomostu kolejowego; wystarczająco blisko, by można było odróżnić pociąg miejscowy od

1 "JO

przelotowego ekspresu i pośpiesznego towarowego po samych wibracjach, nawet bez potwierdzenia w postaci towarzyszącego im dudnienia/pisku/huku. Poziom ten jest rozległy, ciemny, przepastny i zatłoczony. Piętro niżej mieści się zakład naprawy maszyn i blacharnia; nad nim – sześć następnych poziomów mieszkalnych. Woń potu i starego dymu przenika zagęszczone powietrze. Pokój 306 należy do mnie. Mieści jedynie wąskie łóżko, rozklekotane plastikowe krzesło, stół i płytką komodę, a mimo to jest w nim ciasno. W drodze tutaj poczułem woń wspólnej toalety na końcu korytarza. Okno wychodzi na szyb świetlny niegodny właściwie tej nazwy.

Zamykam drzwi i jak automat idę do przychodni doktora Joyce'a: ślepy, głuchy, bezmyślny. Gdy docieram tam, jest już za późno, przychodnia jest nieczynna; doktor, a nawet recepcjonista poszli do domu. Strażnik kondygnacji spogląda na mnie podejrzliwie i proponuje, bym wrócił na swój poziom.

Siedzę na moim wąskim łóżku, z głową w dłoniach, i patrzę w podłogę, słuchając pisku metalu ciętego w warsztacie poniżej. Czuję ból w klatce piersiowej.

Rozlega się pukanie do drzwi.

–Proszę.

Mały, niechlujny mężczyzna w lśniącym ciemnoniebieskim płaszczu wchodzi bokiem przez próg, szurając nogami; wodzi rozbieganymi oczyma po pokoju i zatrzymuje je tylko przez chwilę na zwiniętym rysunku, leżącym na komodzie. W końcu zatrzymuje wzrok na mnie, unika jednak mojego spojrzenia.

–Praszam, kolego. Pan tu nowy, co nie?

Stoi przy otwartych drzwiach, jakby w każdej chwili był gotów przez nie wybiec. Wpycha ręce do głębokich kieszeni płaszcza.

–Owszem – odpowiadam, wstając. – Nazywam się John Orr. – Podaję mu rękę; chwytają na krótko, po czym jego ręka umyka z powrotem do swej nory. Starcza mi tylko czasu, by powiedzieć: – Bardzo mi przyjemnie.

–Lynch – mówi, zwracając się do mojej piersi. – Niech pan mi mówi Lynchy.

–Co mogę dla pana zrobić, Lynchy?

Wzrusza ramionami.

–Nic. Wpadłem jak dobry sąsiad. Byłem ciekaw, czy pan czegoś nie

potrzebuje.

–To bardzo miłe z pana strony. Byłbym wdzięczny za drobną radę w kwestii diety, którą mam ponoć otrzymać.

Pan Lynch, rzecz nie do wiary, spogląda mi w oczy, jego od dawna nie myta twarz wydaje się promienieć, aczkolwiek niezbyt intensywnie.

–O tak, mogę panu w tym pomóc. Nie ma sprawy.

Uśmiecham się. Przez cały czas pobytu na wyższych i bardziej wytwornych poziomach mostu żaden z moich sąsiadów nie życzył mi dobrego dnia, a tym bardziej nie zaproponował jakiegokolwiek pomocy.

Pan Lynch zabiera mnie do stołówki, w której kupuje mi kielbasę z mączki rybnej i talerz tartych wodorostów. Jedno i drugie jest okropne, ale bardzo chce mi się jeść. Herbatę pijemy z kubków. Lynch -jak wyjaśnia – sprząta wagony i zajmuje pokój 308. Odnoszę wrażenie, że moja plastikowa bransoletka, którą mu pokazuję, i informacja, że jestem pacjentem, robi na nim przesadne wrażenie. Tłumaczy mi, jak zgłosić się rano po dietę. Jestem mu wdzięczny. Proponuje mi nawet małą pożyczkę do tego czasu, ale już jestem zbyt zobowiązany temu człowiekowi i – dziękując – odmawiam.

W stołówce panuje hałas, jest parno, tłoczno i nie ma okien; wszystko grzechocze, a zapachy nie sprzyjają trawieniu.

–Wymeldowali pana, tak po prostu, co?

–Tak. Mój lekarz się na to zgodził. Nie chciałem poddać się terapii, którą dla mnie zaplanował. W każdym razie przypuszczalnie właśnie dlatego mnie przenieśli. Ale mogę się mylić.

–Ale drań. – Pan Lynch kręci głową i patrzy srogo. – Ci lekarze.

–To rzeczywiście wydaje się dość mściwe i małostkowe, ale chyba mogę winić tylko siebie.

–Skończone dranie – stwierdza pan Lynch i pije herbatę ze swojego kubka. Siorbie; działa to na mnie w taki sam sposób jak drapanie gwoździem po tablicy do pisania; zaciskam zęby. Spoglądam na zegar nad okienkiem, w którym serwują posiłki. Spróbuję się skontaktować z Brookiem; prawdopodobnie niebawem będzie w barze U Dissy Pitton.

Pan Lynch wyciąga tytoń oraz bibułki i robi sobie skręta. Pociąga potężnie nosem i wydobywa z siebie gardłowe chrząkanie, wskazujące na niezbyt dróg oddechowych.

Urywany kaszel, brzęący tak jakby w jego piersi energicznie potrząsano worem z kamieniami, wieńczy papierosowe przygotowania pana Lyncha.

–Musi pan gdzieś iść, przyjacielu? – pyta, widząc, że spoglądam na zegarek. Zapala papierosa, wydobywając zeń chmurę gryzącego dymu.

–Tak. Właściwie najlepiej będzie, jak już pójdę. Mam się spotkać ze starym znajomym. – Wstaję. – Bardzo panu dziękuję. Przepraszam za ten pośpiech. Mam nadzieję, że gdy znowu będę miał jakąś gotówkę, pozwoli mi pan zrewanżować się za swoją szczodrość.

–Nie ma sprawy, przyjacielu. Jeżeli będzie pan jutro potrzebował pomocy, proszę zapukać do nas. Mam wolne.

–Dziękuję. Uprzejmy z pana człowiek. Przyjemnego dnia.

–Czołem.

Docieram do baru później, niż planowałem, z obolałymi nogami. Powinienem był przyjąć proponowane przez Lyncha pieniądze na pociąg. Zdumiewa mnie, o ileż mniej przyjemne staje się chodzenie, gdy wynika z konieczności niż ze swobodnego wyboru. Zdaję sobie również sprawę, że ludzie sądzą mnie po moim uniformie; moja twarz wydawała się w istocie niewidzialna. Mimo to kroczę z podniesioną głową, ramionami podanymi do tyłu, jak gdybym wciąż miał na sobie najlepszy płaszcz i garnitur. Sądzę, że moja laska jest teraz bardziej widoczna niż wtedy, gdy faktycznie ją trzymałem i nią wymachiwałem.

Na odźwiernym U Dissy Pitton nie robi to jednak żadnego wrażenia.

–Nie poznajesz mnie? Bywam tu prawie co wieczór. Nazywam się Orr. Popatrz. – Unoszę plastikową bransoletę identyfikacyjną, żeby zobaczył. Nie zwraca na to uwagi. Chyba jest zakłopotany faktem, że musi zajmować się mną, a jednocześnie uchylać czapki i otwierać drzwi klientom.

–Zmiataj stąd, słyszysz?

–Nie poznajesz mnie? Patrz na moją twarz, człowieku, a nie na ten przeklęty kombinezon. A przynajmniej zanieś wiadomość panu Broo-ke'owi... Jest tu jeszcze? Brooke, inżynier. Drobny, ciemnowłosy facet, lekko przygarbiony...

Niestety, odźwierny jest ode mnie wyższy i cięższy – w przeciwnym razie mógłbym spóbować wejść siłą.

–Zmiataj stąd, bo znajdziesz się w kłopotach – ostrzega, spoglądając na szeroki

korytarz przed barem, jak gdyby kogoś szukał.

–Byłem tu parę dni temu. To ja oddałem Bouchowi kapelusz. Na pewno to pamiętasz. Trzymałeś go przed nim, a on do niego narzygał.

Odźwierny uśmiecha się, dotyka ręką czapki i wpuszcza do baru parę, której nie rozpoznaję.

–Posłuchaj, przyjacielu. Ostatnie dwa tygodnie miałem wolne. A te raz spierdalaj, bo pożałujesz.

–Och... Rozumiem. Przepraszam. Ale proszę. Jeżeli napiszę wiadomość, czy mógłbyś...

Nie kończę mojej prośby. Odźwierny jeszcze raz się rozgląda, stwierdza, że korytarz opustoszał, i wali mnie w brzuch ciężką ręką w rękawiczce. Cios jest oszałamiająco bolesny; gdy zginam się w pół, na moim podbródku ląduje drugie uderzenie, wstrząsając całą moją głową. Zataczam się do tyłu, jęcząc z bólu; bije mnie w oko. I chyba po tym ciosie doznaję szoku.

W oszołomieniu padam na deski podłogi. Odźwierny chwytą mnie za tył spodni i kołnierz kombinezonu i wlecze po pomoście za próg na zimne powietrze. Rzuca mnie na otwarty metalowy pomost. Dwa następne potężne ciosy spadają na mój bok; wydaje mi się, że to kopniaki.

Trzaskają drzwi. Wieje wiatr.

Leżę przez pewien czas tak, jak zostałem rzucony, niezdolny się poruszyć. Tętniący ból w moim brzuchu narasta, przyprawiając mnie o mdłości; nie widząc, gdzie jestem (chyba krew zalała mi oczy), wymiotuję kielbasą z mączki rybnej i wodorostami.

Leżę w moim ciasnym łóżku. Mężczyzna i kobieta w pokoju nade mną sprzeczą się ze sobą. Ból rozdziera moje ciało; czuję mdłości a zarazem głód. Boli mnie głowa, zęby i szczęki, prawe oko i skroń, brzuch, wnętrzności i bok; istna symfonia bólu. Nieznośny szept będący echem moich dawnych obrażeń, głęboki kolisty ból w klatce piersiowej, do którego tak przywykłem, zupełnie zanikł w tym wszystkim.

Jestem czysty. Przemyłem usta najlepiej jak tylko mogłem i położyłem chusteczkę na rozciętej brwi. Nie jestem całkowicie pewien, jak to zrobiłem, ale się tutaj dowlokłem, oszołomiony bólem jak alkoholem.

W łóżku nie znajduję ukojenia, a jedynie nowe miejsce, gdzie mogę oceniać fale bólu, które zalewają mnie, uderzając o brzeg mojego ciała.

W końcu, w środku nocy, odpływam w sen. Lecz zostaję rzucony na łaskę oceanu płonącej ropy, a nie na spokojne morze. Przechodzę od męczarni na jawie, które racjonalizujący umysł może przynajmniej spróbować umieścić w kontekście – oczekiwania na moment, gdy ból ustanie – do na wpół świadomego transu udręki, w którym mniejsze, pierwotniejsze i głębsze sploty mózgu wiedzą jedynie, że nerwy przeraźliwie krzyczą, ciało odczuwa ból i nie ma nikogo, do kogo można by się zwrócić z wołaniem o ukojenie.

część trzecia

Nie wiem, jak długo tu jestem. Od dawna. Nie wiem, gdzie to miejsce się znajduje. Gdzieś daleko. Nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem. Dlatego, że zrobiłem coś niewłaściwego. Nie wiem, jak długo będę musiał tu zostać. Dłuższy czas.

To nie jest długi most, tyle że nigdy się nie kończy. Jestem niedaleko brzegu, ale nigdy tam nie dotrę. Idę, ale się nie posuwam do przodu. Szybko czy wolno, biegnąc, skręcając, zwracając, skacząc, miotając się lub zatrzymując – wszystko jedno.

Most jest wykonany z żelaza. To grube, ciężkie, rdzewiejące żelazo, dziobate i łuszczące się, pod moimi stopami wydaje głuchy, głęboki odgłos; odgłos tak stłumiony i głęboki, że ledwie go słyhać, po prostu wstrząs każdego stąpania wędrujący przez moje kości do głowy. Most wydaje się jednolity. Być może kiedyś nie był taki, być może kiedyś został znitowany, ale teraz jest jednym kawałkiem zardzewiałego żelastwa, zmieniającym się w jedną gnijącą masę. Mógł też, co prawda, zostać ze-spawany. Co mnie to obchodzi.

Nie jest duży. Przechodzi nad rzeczką, którą widzę przez grube żelazne pręty, wyrastające z balustrady. Rzeka wypływa prosto i powoli z mgieł, przepływa pod mostem, a potem równie prosto i powoli odpływa w taką samą przekłętą mgłę z drugiej strony.

Potrafiłbym przepłynąć tę rzekę w ciągu paru minut (gdyby nie mięsożerne ryby), a most mógłbym przejść jeszcze szybciej, nawet wolnym krokiem.

Most jest częścią okręgu, mniej więcej jego górną ćwiartką. Całość konstrukcji tworzy wielkie wydrążone koło, okrążające rzekę.

Na brzegu za moimi plecami znajduje się brukowana droga prowadząca przez moczary. Na brzegu przede mną są moje damy, odpoczywające lub bawiące się w szeregu małych pawilonów bądź w otwartych wagonach, stojących na małej łące otoczonej – widzę to, gdy mgła nieco rzednie – przez wysokie szerokolistne drzewa. Mój marsz ku nim nie ma końca. Czasem idę wolno, czasem szybko; zdarzało się, że nawet biegłem. Przywołują mnie gestami rąk, machają i powitalnie wyciągają do mnie ramiona. Ich głosy przyzywają mnie w językach, których nie potrafię zrozumieć, ale

które wydają mi się dźwięczne i piękne, serdeczne i błagalne i które przepelniają mnie dziką żądzą.

Przechadzają się tam i z powrotem lub leżą wśród atlasowych poduszek w swoich małych pawilonach i szerokich wagonach. Noszą wszystkie rodzaje sukien: niektóre pozbawione ozdób i oficjalne, zakrywające je od stóp po szyję, niektóre luźne i zwiewne niczym jedwabne fale, niektóre cienkie i przezroczyste bądź pełne starannie rozmieszczonych rozcięć i dziur, żeby przeświecały przez nie ich młode ciała – białe jak alabaster, czarne jak smoła, złociste jak samo złoto – jak gdyby młodość i uświadomiona dojrzałość tych kobiet były czymś, co w nich płonie, ciepłem, które dostrzegają moje oczy.

Czasem rozbierają się dla mnie powoli, obserwując moją reakcję; ich wielkie, smutne oczy są pełne tęsknoty, ich smukłe, delikatne ręce unoszą się miękkim ruchem do ramion, rozpinając, zrzucając, zsuwając ramię i warstwy materiału, jakby były kroplami wody pozostałymi po kąpielu. Wyję, przyśpieszam biegu, krzyczę.

Czasem podchodzą na sam brzeg, na sam przyczółek mostu i zdierają z siebie ubrania, krzycząc do mnie, zaciskając małe pięści i poruszając biodrami; padają na kolana z rozłożonymi nogami, wołają do mego i wyciągają ku mnie ramiona. Wtedy ja również krzyczę i rzucam się naprzód, biegnę z całych sił, sztywny z pożądania, trzymam mojego kutasa niczym skarłowaciałe drzewce flagi, brandzlując się i wyciem wyrażając niespełnione pożądanie. Często tryskam spermą i wyczerpany padam na twarde zakrzywiony pomost i leżę tam – dysząc, szlochając, krzycząc i okładając jego żelazną powierzchnię rękami, aż w końcu zaczynają krwawić.

Od czasu do czasu kobiety kochają się na moich oczach; zawodzę wówczas i rwę włosy z głowy. Czasami zajmuje im to długie godziny delikatnego całowania i głaskania, pieszczot i lizania się; krzyczą w chwili orgazmu, ich ciała miotają się, Igną do siebie kurczowo, drga-

ją w zgodnym rytmie. Czasem obserwują mnie, gdy to robią, i nigdy nie potrafię ocenić, czy ich wilgotne oczy nadal wyrażają smutek i tęsknotę, czy już tylko nasycenie i drwinę. Zatrzymuję się, wygrażam im pięścią i wrzeszczę:

–Suki jedne! Niewdzięcznice! Przeklęte dręczycielki! Diablice! A ja?! Chodźcie tu! Przyjdźcie. Tutaj! No dalej, wejdźcie na most! Nie?! Więc rzućcie mi linę, do kurwy nędzy!

Nie robią tego. Paradują, rozbierają się, pieprzą, śpią i czytają stare księgi, przyrządzają posiłki i pozostawiają na skraju mostu tacki z papieru ryżowego zjedzeniem, żebym mógł się posilić (czasem buntuję się jednak: wrzucam tacki do rzeki i mięsożerne ryby zjadają je razem ze strawą), lecz na most wejść nie chcą. Przypominam sobie, że czarownice nie mogą przekraczać wody.

Idę; most obraca się powoli, dudniąc i drżąc lekko, pręty wznoszące się z jego krawędzi poruszają się wolno, niczym tłoki, we mgle. Biegnę; most szybko zwiększa obroty, dostosowuje je do mojej prędkości, drżąc pod moimi stopami; słychać cichy dźwięk prętów prujących wypełnione mgłą powietrze. Zatrzymuję się; most nieruchomieje. Nadal znajduję się nad nurtem płynącej wolno rzeki. Siadam. Most pozostaje w bezruchu. Podrywam się i rzucam w stronę brzegu, na którym znajdują się kobiety; przewracam się, pełzam na czworakach, podskakuję na jednej nodze, na boki i do przodu; most przemieszcza się z turkotem w różne strony, nigdy nie tracąc do mnie dystansu na więcej niż parę kroków i zawsze, za każdym razem, sprowadza mnie z powrotem na swój wierzchołek, na środek przęsła przerzuconego nad ospałym strumieniem. Jestem kluczem jego sklepienia.

Sypiam – zazwyczaj nocą, czasami podczas dnia – nad środkiem rzeki. Kilka razy czekałem aż do północy, udając przez wiele godzin, że śpię, a potem w górę! Na równe nogi! Ruszając jednym potężnym skokiem! Jednym susem!

Ale most szybko rusza za mną, nie dając się oszukać, i po paru chwilach – bez względu na to, czy biegnę, skaczę, czy się tarzam – jestem z powrotem nad nurtem rzeki.

Usiłuję wykorzystać przeciwko mostowi jego bezwładność, jego pęd, jego potworną masę, więc najpierw biegnę w jedną stronę, a potem w drugą, próbując tymi raptowymi zwrotami zaskoczyć go, wystrych-nać na dudka, przechytryć, okpić drania, po prostu uciec mu (oczywi-ście zawsze staram się sprawdzać, czy jeżeli rzeczywiście ucieknę, to

znajdę się na brzegu z damami – nie zapominajcie o mięsożernych rybach!), ale bez powodzenia. Most, mimo swego ciężaru, mimo swej ma-sywności, które powinny czynić go nieruchawym i bezwładnym, zawsze porusza się zbyt szybko dla mnie i nigdy nie pozwala mi się zbliżyć do któregoś z brzegów bardziej niż na sześć kroków.

Czasami wieje bryza; nie dość silna, by przegnać mgłę, ale wystarczająco mocna - jeżeli wiatr dociera z odpowiedniego kierunku – by przynieść mi woń kobiecych ciał i zapach perfum. Chwytam się za nos; odrywam paski materiału z moich łachmanów i wtykam je sobie w nozdrza. Myślałem o tym, by wepchnąć je również do uszu, a nawet żeby zawiązać sobie oczy.

Co kilkadziesiąt dni z lasu za łąką wybiegają mali, smagli i krępi mężczyźni i rzucają się na kobiety, które po krótkim pokazie oporu i kokieterii z niekłamaną rozkoszą im ulegają. Te orgie trwają całymi dniami i nocami, bez chwili przerwy; praktykuje się perwersje seksualne w każdej postaci. W nocy scenę oświetlają czerwone lampy i ogniska, a przy okazji uczestnicy orgii konsumują ogromne ilości pieczonych mięs, egzotycznych owoców i aromatycznych przysmaków oraz opróżniają wiele bukłaków

wina i butelek wódki. W takich okolicznościach zazwyczaj zapomina się o mnie i nikt nie zostawia mi jedzenia na moście, więc głoduję, gdy oni sycą swą żarłoczność do granic możliwości. Siedzę wtedy i odwracam głowę, patrząc wilkiem na przejmująco wilgotne moczary i przecinającą je nieosiągalną drogę, trzęsąc się z gniewu i zazdrości, dręczony skowytami i piskami docierającymi z drugiego brzegu oraz soczystymi zapachami piekących się mięs.

Kiedyś zacząłem wrzeszczeć na nich ochryplym głosem, skręciłem sobie kostkę, podskakując, i przygryzłem język, gdy rzucałem przekleństwa pod ich adresem; odczekałem, aż zachciało mi się srać, a potem rzuciłem w nich własnym gównem. Te nieprzyzwoite małolaty wykorzystały je w jednej z plugawych gier seksualnych.

Gdy ciemnowłose ludki ubrane w stroje satyrów odejdą z powrotem do lasu, a damy odeślą skutki pofolgowania swym chuciom, znowu są takie jak przedtem, co najwyżej trochę skruszone, wręcz smutne. Przyrządzają mi specjalne dania i dają większe porcje niż zwykle, ale nadal często się denerwuję i ciskam w nie jedzeniem albo rzucam je rybom do wody. Spoglądają na mnie smutno i żałośnie i starym zwyczajem powracają do spania i czytania, spacerów, rozbierania się i kochania ze sobą.

Może most zardzewieje w końcu od moich łez i dzięki temu z niego ucieknę.

Dzisiaj podniosła się mgła. Nie na długo, ale na tyle, bym na moim moście bez końca dotarł do kresu.

Nie jestem sam.

Gdy mgła się podniosła, ujrzałem, że rzeka płynie prosto w przejrzystą dal i z przejrzystej dali przyplywa. Moczary ciągną się nieprzerwanie na jednym brzegu, łąka i las – na drugim. Około stu kroków w górę rzeki znajduje się następny most, identyczny jak mój – z żelaza, przypominający wycinek okręgu i zakończony na brzegach grubymi żelaznymi prętami. W środku stoi jakiś człowiek, zaciskający ręce na prętach i wpatrujący się we mnie. Za nim kolejny most i kolejny człowiek, i tak dalej i dalej; szereg odległych mostów staje się żelaznym tunelem znikającym w nicości. Każdy most ma swoją drogę przez moczary, każdy ma swoje damy w pawilonach i wagonach. W dole rzeki to samo. Mam wrażenie, że moje kobiety nie zwracają na to uwagi.

Mężczyzna na moście w dole rzeki gapił się na mnie przez chwilę, po czym zaczął biec (obserwowałem obracanie się mostu, zafascynowany jego niezawodnym funkcjonowaniem). Po chwili zatrzymał się i popatrzył najpierw na mnie, a potem na następny most w dole rzeki. Wspiął się na balustradę, przelazł po prętach na drugą stronę, po czym – po zaledwie chwili wahania – spadł. Woda pokryła się czerwoną pianą; mężczyzna krzyknął przeraźliwie i utonął.

Powróciła mgła. Krzyczałem przez pewien czas, ale nie dotarły do mnie żadne głosy ani z góry, ani z dołu rzeki.

Teraz biegnę. Jednostajnym tempem, szybko i z determinacją. Od kilku godzin. Robi się ciemno. Kobiety wydają się strapione – przebiegłem już nad trzema napełnionymi przez nie jedzeniem tackami.

Stoją i obserwują mnie, smutne i wielkookie, jakby zrezygnowane, jak gdyby to wszystko widziały już wcześniej, jak gdyby zawsze kończyło się to w ten sposób.

Biegnę i biegnę. Jesteśmy teraz z mostem jednością, częścią tego samego niezawodnego mechanizmu; uchem, przez które przesuwa się nić rzeki. Będę biegł, dopóki nie padnę, dopóki nie umrę; innymi słowy, do końca.

Moje damy płaczą teraz, aleja jestem szczęśliwy. One są usidłone, w potrzasku, sparaliżowane, stoją z pochylonymi głowami, a ja jestem wolny.

Budzę się z krzykiem, sądząc, że jestem zamknięty w lodzie zimniejszym niż powstały z wody – tak zimnym, że parzy jak stopiona skala.

To nie mój krzyk; ja milczę i tylko blacha wydaje przeraźliwe piski. Ubieram się, potykając się, idę do toalety, myję się. Ręce osuszam chu-

steczką. Moja twarz w lustrze jest opuchnięta i wyblakła. Parę zębów tkwi luźniej, niż tkwiły. Ciało mam posiniaczone, ale nie doznałem poważnych obrażeń.

W biurze, gdzie rejestruję się, by wystąpić o dietę, mówią mi, że przez następny miesiąc będę żył z połowy należnej sumy, żeby spłacić to, co jestem winny za chusteczkę i kapelusz. Dostaję trochę pieniędzy.

Kierują mnie do sklepu z używanymi towarami, w którym kupuję długi, znoszony płaszcz. Przynajmniej zakrywa zielony kombinezon. Tracę na to połowę moich zasobów. Ruszam pieszo do następnego segmentu, wciąż zdecydowany zobaczyć się z doktorem Joyce'em, ale niebawem robi mi się słabo i muszę pojechać tramwajem, płacąc za bilet gotówką.

–Przytułek znajduje się trzy piętra niżej, dwie przecznice w kierunku Królestwa – informuje mnie młody recepcjonista, gdy wchodzę do poczekalni gabinetu pocziwego doktora, i powraca do lektury gazety; tym razem nie proponuje mi kawy ani herbaty.

–Chciałbym się widzieć z doktorem Joyce'em. Nazywam się Orr.

Pewnie pan pamięta, że wczoraj rozmawialiśmy przez telefon.

Młody mężczyzna unosi idealnie przejrzyste oczy, by obrzucić mnie znudzonym spojrzeniem. Przykłada wypielęgnowany palec do gładkiego policzka i wciąga powietrze przez śnieżnobiałe, nieskazitelne zęby.

–Pan... Orr?

Odwraca się, by przeszukać kartotekę.

Znowu robi mi się słabo. Siadam na jednym z krzesel. Recepcjonista rzuca mi piorunujące spojrzenie.

–Czy powiedziałem, że może pan usiąść?

–Nie. A czyja prosiłem o pozwolenie?

–No cóż, mam nadzieję, że ten płaszcz jest czysty.

–Pozwoli mi pan widzieć się z doktorem czy nie?

–Szukam pana karty.

–Nie pamięta mnie pan? Przygląda mi się uważnie.

–Pamiętam, ale przecież został pan przeniesiony, prawda?

–Czy to naprawdę nie wszystko jedno?

Wydaje z siebie krótki śmiech niedowierzania i kręci głową, dalej przeszukując kartotekę.

–Tak właśnie myślałem. – Wyciąga czerwoną kartę i odczytuje jej

treść. – Został pan przeniesiony.

–Zdążyłem zauważyć. Mój nowy adres to...

–Nie. Chodzi mi o to, że ma pan nowego lekarza.

–Nie potrzebuję nowego lekarza. Potrzebuję doktora Joyce'a.

–Doprawdy? – Wybuchają śmiechem i uderza palcem w czerwoną kartę. – No cóż, niestety, to nie zależy od pana. Doktor Joyce polecił przekazać pana innemu lekarzowi, i to wszystko, a jeśli się to panu nie podoba, trudno. – Wkłada kartę z powrotem do kartoteki. – A teraz proszę wyjść.

Podchodzę do drzwi gabinetu doktora; są zamknięte na klucz. Młody człowiek nie

unoszą wzroku znad gazety. Próbuję zajrzeć do środka przez matową szybę w drzwiach, a potem grzecznie pukam.

–Doktorze Joyce? Doktorze Joyce?

Młody recepcjonista zaczyna chichotać; odwracam się, by na niego spojrzeć, i w tej samej chwili dzwoni telefon. Recepcjonista podnosi słuchawkę i mówi:

–Gabinet doktora Joyce'a. Nie, niestety, doktora nie ma. Jest na

dorocznej konferencji starszych administratorów. – Mówiąc to, odwraca się w krzesło i przygląda mi się z protekcjonalną i pogardliwą miną.

–Za dwa tygodnie. – Wyszczera do mnie zęby w uśmiechu. – Potrzebny panu numer kierunkowy? Ależ tak, dzień dobry, sierżancie. Tak, pan Berkeley, oczywiście. A pan jak się miewa?... Och, tak? Naprawdę?

Pralkę? Naprawdę? No cóż, muszę przyznać, że to coś nowego. Mm-

hmm. – Młody recepcjonista przybiera wyraz profesjonalnej powagi

i zaczyna notować. – A skarpet ile zjadł?... Rozumiem. Słusznie... Tak, zapisałem. Zaraz wyślę do pralni zastępcę. W porządku, sierżancie, moją panu życzyć udanego dnia? Żegnam.

Mój nowy lekarz nazywa się Anzano. Jego przychodnia jest dobre cztery razy mniejsza od przychodni doktora Joyce'a, znajduje się osiemnaście pięter niżej i nie ma okien z widokiem na zewnątrz. Anzano to starszy, pękaty mężczyzna o rzadkich żółtawych włosach i żółtawych zębach. Udaje mi się z nim zobaczyć po dwugodzinnym czekaniu.

–Nie – mówi. – Nie sądzę, bym mógł wiele zrobić w sprawie pana

przenosin. Niech pan zrozumie, nie po to tu jestem. Proszę dać mi trochę czasu, pozwolić przeczytać pana kartotekę i zachować cierpliwość.

Teraz jestem bardzo zajęty. Panem zajmę się, gdy tylko będę mógł.

I wtedy dopilnujemy, by znowu się pan dobrze poczuł, co pan na to?

Stara się wyglądać radośnie i zachęcająco.

–A teraz co? – pytam, czując zmęczenie. Pewnie przedstawiam so-

bą okropny widok; twarz mi drży i mam ograniczoną zdolność widzenia w lewym oku. Moje włosy są brudne i w dodatku tego rana nie mogłem się ogolić. Jak mogę skutecznie domagać się powrotu do poprzedniego sposobu życia, wyglądając tak, jak wyglądam – fatalnie ubrany i w każdym, jak przypuszczam, tego słowa znaczeniu pobity?

–Teraz? – Doktor Anzano wygląda na zmieszanego. Wzrusza ra

mionami. – Potrzebuje pan lekarstw? Ma pan wystarczająco dużo te

go, co panu... – pyta i sięga po bloczek z receptami.

Kręcę głową.

–Chodzi mi o to, jak zmieni się moja... sytuacja.

–Nie mogę wiele zrobić, panie Orr. Nie jestem doktorem Joyce'em. Nie mogę przydzielać wielkich mieszkań sobie, nie mówiąc już o moich pacjentach. – Mam wrażenie, że stary doktor jest trochę zgorzkniały i zły na mnie. – Niech pan po prostu czeka na ponowne rozpatrzenie swojej sprawy. Udzielę wszelkich rekomendacji, jakie uznam za stosowne. Coś jeszcze? Jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Ja nie mogę wyjeżdżać na konferencje.

–Nie, to już wszystko. – Wstaję. – Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.

–Proszę bardzo. Proszę bardzo. Moja sekretarka skontaktuje się z panem w sprawie wizyty. Jestem pewien, że już niedługo. A jeśli będzie pan czegoś potrzebował, niech pan po prostu do mnie zadzwoni.

Wracam do mojego mieszkania.

Pan Lynch znowu zjawia się u jego drzwi.

–Dzień dobry panu – mówię.

–O kurwa. Co się panu stało?

–Sprzeczką z wytrąconym z równowagi odźwiernym. Proszę wejść. Chciałby pan usiąść na tym krześle?

–Nie mogę zostać. Przyniosłem to – wsuwa mi do ręki złożony i opieczętowany kawałek papieru. Na kopercie zostają ślady jego palców. Otwieram ją. – Poczta

zostawiła go w drzwiach. Ktoś mógł go zwędzić.

–Dziękuję panu. Na pewno nie może pan zostać? Miałem nadzieję, że zrewanżuję się za wczorajszą uprzejmość, zapraszając pana dziś wieczorem na kolację.

–Przykro mi, przyjacielu, ale nie. Muszę zostać po godzinach.

–No cóż, może innym razem.

Rzucam okiem na krótki list. Jest od Abberlaine Arrol; przyznaje w nim, że dość bezczelnie wykorzystwała fikcyjną kolację-randkę ze mną dziś wieczorem, by wypłatać się z jakiegoś potencjalnie śmiertelnie nud-

nego spotkania. Czy zgodzę się być współsprawcą po fakcie? Załącza numer telefonu w mieszkaniu swoich rodziców; mam do niej zadzwonić. Sprawdzam adres; list został przesłany z mojego poprzedniego lokum.

–OK? – pyta pan Lynch z rękami wetkniętymi w kieszenie płaszcza (kropka w kropkę takiego jak mój), jak gdyby mankiety jego spodni były pełne kradzionego ołowiu, a on rozpaczliwie próbował je podciągnąć. – Żadnych złych wieści?

–Nie, panie Lynch; prawdę mówiąc, pewna młoda dama chce, żebym zabrał ją na kolację... Muszę zatelefonować. Proszę jednak nie zapomnieć, że jest pan następny w kolejności do zaproszenia na skromną kolację.

–Jak sobie życzysz, przyjacielu.

Szczęście mnie nie opuszcza. Panna Arrol jest u rodziców. Ktoś, kogo biorę za służącego, idzie jej poszukać. Wymaga to wrzucenia kilku następnych monet; muszę założyć, że mieszkanie Arrolów ma spore rozmiary.

–Orr! Witam pana! Sprawia wrażenie zadyszanej.

–Dzień dobry, panno Arrol. Właśnie otrzymałem pani list.

–To dobrze. Ma pan czas dziś wieczorem?

–Owszem, chciałbym się z panią spotkać, ale...

–Co się stało? Pana głos brzmi tak, jakby był pan przeziębiony.

–To nie przeziębienie. To moje usta... To... Panno Arrol, bardzo

bym chciał zobaczyć się z panią dziś wieczorem, ale niestety... dozna

łem pewnego niepowodzenia. Zostałem przeniesiony, faktycznie zde

gradowany. Doktor Joyce kazał mnie usadzić, niejako. Mówiąc ściślej,

na poziomie U7.

–Och.

Ton, jakim wymawia to proste słowo, mówi mi więcej niż całogo-dzinne grzeczne uwagi o przyzwoitości, miejscach w społeczeństwie, dyskrecji i takcie. Chyba oczekuje, że powiem coś więcej, ale nie potrafię. Jak długo czekam na następne słowo? Najwyżej dwie sekundy? Trzy? To nic w mostowej skali czasu, ale wystarczająco długo, by przejść od nagłej rozpaczy na plateau złości. Czy mam odwieść słuchawkę, odejść, skończyć z tym draństwem tak całkowicie i tak szybko jak to możliwe? Tak, teraz, by złagodzić moją gorycz... Tyle że nie ma jej we mnie. Może jednak za chwilę, żeby oszczędzić dziewczynie dalszego zakłopotania.

–W porządku, przepraszam, panie Orr. Właśnie zamykałam drzwi.

Mój brat się tu kręcił. Dokąd pana przenieśli? Mogę w czymś pomóc?

Chciałby pan, żebym teraz tam przyszła?

Głupiec z ciebie, Orr.

Ubieram się w rzeczy brata Abberlaine Arrol. Przyjechała tu na godzinę przed umówionym spotkaniem, z walizką pełną nie noszonych ubrań, głównie jej brata; sądzi, że jesteśmy prawie identycznej budowy. Kiedy się przebieram, Abberlaine czeka na zewnątrz. Z bólem serca ulokowałem ją w tak ordynarnym miejscu, ale nie bardzo mogła zostać w pokoju.

Opiera się plecami o ścianę korytarza, z nogą podciągniętą w górę, tak że opiera jeden pośladek na stopie, i z założonymi rękami, rozmawiając z panem Lynchem, który patrzy na nią z ostrożnym podziwem.

–Och, nie, szanowny panie – mówi – w przerwie zawsze zmieniamy strony. – Chichocze. Pan Lynch patrzy zszokowany, a potem parska śmiechem. Panna Arrol dostrzega mnie wychodzącego. – Ach, panie Orr!

–Ten sam. – Wykonuję lekki ukłon. – A raczej niezupełnie.

Abberlaine Arrol – olśniewająca w luźnych spodniach z czarnej jedwabnej surówki, pasującym do niej żakiecie, bawełnianej bluzce, na wysokich obcasach i w efektownym kapeluszu – stwierdza:

–Świetnie się pan prezentuje, panie Orr.

–Bardzo pani uprzejma.

Panna Arrol wręcza mi czarną laskę.

–Pana laska.

–Dziękuję – mówię.

Wyciąga rękę, więc podaję jej moją. Stoimy ramię w ramię, zwróceni twarzami do pana Lyncha. Czuję jej ciepło przez marynarkę od jej brata.

–Czyż nie wyglądamy pięknie, panie Lynch? – pyta, stojąc prosto,

z odchylną do tyłu głową.

Pan Lynch szura nogami.

–O taak, bardzo... bardzo... – Szuka odpowiedniego słowa. – Bar

dzo... bardzo przystojna z was para.

Chciałbym myśleć, że nią właśnie jesteście. Panna Arrol również sprawia wrażenie zadowolonej.

–Dziękuję, panie Lynch. – Odwraca się do mnie i dodaje: – No cóż,

nie wiem jak pan, ale ja konam z głodu.

–Więc jakie są teraz pana priorytety?

Abberlaine Arrol obraca w dłoniach szklankę z whisky, patrząc przez błękitne szkło ołowiowe i jasnobursztynowy płyn na światło płonącej świecy. Obserwuję, jak jej wilgotne usta lśnią w tym samym miękkim świetle.

Panna Arrol uparła się, że postawi mi kolację. Siedzimy pod oknem w restauracji Przy Wysokich Dźwigarach. Jedzenie było wyśmienite, obsługa dyskretna i sprawna, mamy przestrzeń, wspaniałe wino i doskonały widok. (Światła migoczą na całym morzu w miejscach, gdzie na trawlerach zaczepione są balony zaporowe; same sterówce są słabo widoczne, unoszą się niemal na naszym poziomie – przyćmione powierzchnie, odzwierciedlające zmasowane światła mostu niczym chmury. Widać także parę jaśniejszych gwiazd).

–Moje priorytety?

–Tak. Co jest dla pana ważniejsze: odzyskanie pozycji jednego z faworyzowanych pacjentów doktora Joyce'a czy ponowne odkrycie zaginionych wspomnień?

–No cóż – odpowiadam, dopiero teraz naprawdę o tym myśląc -z pewnością zejście na niższy poziom mostu było dość bolesne, ale przypuszczam, że w końcu mógłbym nauczyć się żyć na niższym szczeblu, jeżeli nie będzie innego wyjścia. – Wypijam mały łyk whisky. Twarz panny Arrol przybiera obojętny wyraz. – Jednakże moja niezdolność przypomnienia sobie, kim jestem, nie jest czymś... – śmieję się cicho – o czym mogę zapomnieć. Zawsze będę wiedział, że przedtem coś było w moim życiu, więc wydaje mi się, że zawsze będę tego szukał. To przypomina zapieczętowaną, zapomnianą komorę w mojej świadomości. Nie będę się czuł w pełni sobą, dopóki nie odkryję wejścia do niej.

–To brzmi jak opis grobowca. Nie boi się pan tego, co pan tam znajdzie?

–To biblioteka. Jedynie głupcy i nikczemnicy boją się bibliotek.

–Zatem wolałby pan znaleźć swoją bibliotekę niż odzyskać mieszkanie?

Abberlaine Arrol uśmiecha się. Potwierdzam skinieniem głowy, obserwując ją. Gdy weszła do restauracji, zdjęła kapelusz, ale włosy nadal ma upięte; jej głowa i szyja wyglądają przepięknie. Te przyciągające wzrok zmarszczki pod oczami wciąż mnie fascynują; są niczym maleńka osłona, którą postawiła; rząd worków z piaskiem pod tymi rozbawionymi, szarozielonymi oczyma; pewna, bezpieczna, niewzruszona.

Abberlaine Arrol wpatruje się w swoją szklankę. Już mam wypowiedzieć uwagę o malej bruździe, która właśnie utworzyła się na jej czole gdy gasną światła.

Zostajemy ze świecą na naszym stoliku; pozostałe stoliki jarzą się i migoczą własnymi płomykami. Zapalają się przyćmione światła awaryjne. W tle słychać stłumiony pomruk. Za oknami zaczynają znikać światła na trawlerach. Balony nie są już widoczne w odbitym świetle mostu; cała konstrukcja tonie zapewne w ciemnościach.

Samoloty. Nadlatują bez świateł, warcząc, od strony Miasta. Wstajemy oboje i patrzymy przez okno; inni biesiadnicy gromadzą się obok nas, spoglądając w mrok nocy, osłaniając rękami słabe światła awaryjne i świece, z nosami przyciśniętymi do chłodnego szkła jak uczniowie przed sklepem ze słodyczami. Ktoś otwiera okno.

Samoloty słychać niemal tuż obok nas.

–Widzi je pan? – pyta Abberlaine.

–Nie.

Warkot silników rozlega się bardzo blisko. Samoloty są zupełnie niewidoczne, lecą bez świateł pozycyjnych. Nie ma księżyca, a gwiazdy nie są wystarczająco jasne, by je ukazać.

Przelatują obok, najwyraźniej niewzruszone brakiem światła.

–Myśli pan, że się im udało? – pyta panna Arrol, wciąż spoglądająca w mrok nocy. Jej oddech zasnuwa szybę mgłą.

–Nie wiem – wyznaję. – Nie zdziwiłbym się.

Zagryza dolną wargę; pięści mocno przyciska do ciemnego okna, na jej twarzy maluje się wyraz niecierpliwego wyczekiwania. Wygląda teraz bardzo młodo.

Światła znowu się zapalają.

Samoloty zostawiły swoje niewyraźne przesłanie; kłęby dymu są ledwie widoczne, ciemność na tle ciemności. Panna Arrol siada i podnosi szklankę. Gdy sięgam po swoją, pochyla się jak spiskowiec nad stołem i cicho mówi:

–Za naszych nieustraszonych lotników, bez względu na to, skąd przybywają.

–I bez względu na to, kim są – odpowiadam i trącam jej szklankę moją.

Gdy wychodzimy, słaba woń oleistego dymu jest ledwie wyczuwalna w mieszaninie przyjemniejszych zapachów samej restauracji; dwuznaczny sygnał samolotów przenika konstrukcję mostu niczym krytyk dzieło.

Czekamy na pociąg. Panna Arrol pali cygaro. W komfortowej poczekalni gra muzyka. Abberlaine przeciąga się w swoim fotelu i tłumi lekkie ziewnięcie.

–Przepraszam – mówi, po czym dodaje: – Panie... Posłuchaj; jeśli pozwolisz mi mówić do siebie John, będziesz nazywał mnie Abberlaine, a nigdy Abby?

–Oczywiście, Abberlaine.

–Więc dobrze... John. Rozumiem, że nie jesteś w pełni zachwycony swoim nowym lokum.

–Lepsze to niż nic.

–Oczywiście, ale...

–Jednak nie aż tak. A bez Lyncha byłbym jeszcze bardziej zagubiony, niż jestem.

–Hmm. Tak też myślałam.

Wygląda na zatroskaną. Z natężeniem wpatruje się w jeden ze swoich lśniących czarnych butów na wysokim obcasie. Pociera wargi palcem, poważnie spogląda na swoje cygaro. Palec pieszczący jej usta unosi się w powietrze.

–Mam pomysł – mówi Abberlaine, teraz jej uśmiech jest figlarny.

–Kazał je zbudować mój pradziadek ze strony ojca. Chwileczkę, znajdę kontakt. Chyba... – Rozlega się głuchy stłumiony odgłos. – ...Psia-kość!

Panna Arrol chichocze. Słyszę pośpieszne ocieranie – podejrzewam, że szorstkiego jedwabiu o gładką skórę.

–Dobrze się czujesz?

–Świetnie. Po prostu uderzyłam się w goleń. A zatem ten kontakt. Chyba jest... Nie. Psiakrew, nic nie widzę. Ty pewnie nie masz zapalek, prawda? Ostatnią zużyłam do zapalenia cygara.

–Przykro mi, ale nie mam.

–Wiem. Mógłbyś mi podać swoją laskę?

–Oczywiście. Proszę. Czy to?... Chwyciłaś?...

–Tak, dziękuję. Mam ją.

Słyszę, jak stukając laską i szurając stopami, posuwa się w ciemnościach. Stawiam walizkę na podłodze i wytężam wzrok. Widzę tylko niewyraźne błyski światła w jednym kącie. Głos Abberlaine Arrol powraca z oddali.

–Miało być w pobliżu przystani. Dlatego właśnie kazał je zbudo

wać. Potem dobudowali na jego szczycie centrum sportowe. Był zbyt

dumny, by zgodzić się na wykup i odszkodowanie, więc pozostało w rodzinie. Ojciec stale mówi o sprzedaniu go, ale dostalibyśmy za nie niewiele. Używamy go po prostu jako magazynu. Na suficie zbierała się wilgoć, ale już usunięto uszkodzenie.

–Rozumiem.

Słucham słów dziewczyny, ale słyszę jedynie odgłosy morza; fale muskają skały lub pobliskie mola. Czuję je również – powietrze przenika odrobina jego świeżej wilgoci.

–Nareszcie, do cholery – mówi stłumionym głosem Abberlaine.

Pstryknięcie i wszystko zostaje odkryte. Stoję w pobliżu drzwi dużego dwupoziomowego mieszkania, pozbawionego właściwie ścian działowych i pełnego starych mebli i skrzyń. Z wysokiego sufitu z plamami po zaciekach zwisają pęki lamp o skomplikowanej konstrukcji; ze starych, wyłożonych boazerią ścian łuszczy się lakier. Wszędzie porozkładane są białe prześcieradła, na wpół zakrywające masywne

kredensy, szafy, kanapy, fotele, stoły i komody. Mniejsze meble są całkowicie zakryte, owinięte i związane niczym wielkie, zakurzone, białe prezenty. Tam, gdzie poprzednio znajdowały się nieuchwytnie strefy światła, teraz jest jeden długi ekran czerni nocy zaglądnącej przez nie zasłonięte okiennicami szyby. Abberlaine Arrol – nadal w płaskim szerokim kapeluszu – pojawia się, klaszcząc w dłonie, by pozbyć się z nich kurzu z pokoju obok.

–No, tak jest trochę lepiej. – Rozgląda się dokoła. – Nieco zaku

rzone i zapuszczone, ale jest ciche i zapewnia większą intymność niż

twój pokój na U7 lub gdziekolwiek indziej.

Oddaje mi laskę, po czym zaczyna chodzić wśród nagromadzonych mebli, unosząc gwałtownie prześcieradła i pokrowce, zaglądnąjąc pod spód i wzniecając tumany kurzu w trakcie sprawdzania zawartości wielkiego pokoju. Kicha i mówi:

–Gdzieś tu powinno być łóżko. – Ruchem głowy wskazuje okna. –

Może warto zamknąć okiennice. Tutaj nigdy nie robi się bardzo jasno,

ale rano słońce mogłoby cię obudzić.

Przedostaję się do wysokiego okna, obsydianowej tafli oprawionej w spękaną białą farbę. Ciężkie okiennice skrzypią; w dole widzę przerywaną linię białych przybrzeżnych fal i parę światła w oddali -w większości to pławy nawigacyjne i stawy portowe. U góry, tam gdzie spodziewałem się zobaczyć most, jest tylko ciemność – bezgwiezdna i nieprzenikniona. Fale błyskają niczym milion stępionych noży.

Abberlaine znalazła łóżko.

–Może być trochę wilgotne, ale poszukam więcej prześcieradeł.

Parę powinno leżeć w tych skrzyniach.

Łóżko jest olbrzymie, z rzeźbionym wezłowiem z dębowego drewna, przypominającym parę ogromnych, rozpostartych skrzydeł. Abberlaine odchodzi przez tumany kurzu, by przeszukać komody i skrzynie. W tym czasie ja wypróbuję łóżko.

–Abberlaine, to naprawdę bardzo uprzejme z twojej strony, ale czy jesteś pewna, że nie wpakujesz się przez to w kłopoty? – pytam. Od odległej skrzyni dolatuje potężne kichnięcie. – Na zdrowie – mówię.

–Dziękuję. Nie, nie jestem pewna – odpowiada, wyciągając z komody koce i pliki

gazet – ale gdyby nawet, co jest nieprawdopodobne, mój ojciec dowiedział się o tym i rozgniewał, z pewnością potrafiłabym go przekabacić. Nie martw się. Tutaj nikt nigdy nie przychodzi. No. – Odkrywa dużą pikowaną kołdrę oraz parę prześcieradeł i poduszek. Chowa twarz w kołdrze, oddychając głęboko. – Tak, wydaje się wystarczająco sucha.

Przynosi zwiniętą w kłęb pościel i zaczyna ścielić wielkie łóżko. Proponuję pomoc, ale zostaję przegoniony.

Zdejmuję płaszcz i idę poszukać łazienki. Jest ze sześć razy większa od pokoju 306 na poziomie U7. Sama wanna wygląda tak, że mógłby w niej pływać pokaźnej wielkości jacht. Spłuczka w muszli klozetowej spłukuje, umywalka również nie jest zatkana, prysznic i bidet sprawnie rozpylają wodę. Przystaję przed lustrem, odgarniam włosy do tyłu, wyglądam koszulę i sprawdzam, czy w zębach nie utkwiły mi kawałki jedzenia.

Gdy wracam do głównego pokoju, łóżko jest już pościelone. Olbrzymie dębowe skrzydła unoszą się nad białą puchową kołdrą. Abberlaine zniknęła. Drzwi wejściowe do mieszkania delikatnie kołyszą się tam i z powrotem.

Zamykam je i gaszę większość świateł. Znajduję starą lampę i stawiam ją na skrzyni obok mojego olbrzymiego, zimnego łóżka. Zanim zgaszę światło, leżę przez pewien czas, wpatrzony w wielkie puste kręgi, które dawno wyschnięta woda pozostawiła na tynku nad moją głową.

Wyblakłe i zmatowiałe resztki dawnej bolączki patrzą na mnie niczym antyczne malowane wyobrażenia stygmatu na mojej piersi.

Sięgam ręką ku starej lampie i włączam mrok.

Część czwarta

Spaua u ómaruyh, muwi do mnie ten stary sókinsyn, gdy prubowauem wydósić z niego jakieś informacje. Ty pierdolony stary zboczeńcó, mu-wie, i tak majone jurz trohe dość i podcinam mó kapkę garduo. Pytau-em cie gdzie jes ta piepszona Spionca Krulewna a nie o to, jak sie lóbi dópczyć. Nie, nie, muwi pryskajonc ślinom i zalewajonc krfiom cały panceż, nie, muwi, powiedziauem Wyspa Ómaruych. Na niej wuaśnie znajdziesz Śpioncom Krulewne, ale uwarzaj i stszerz sie... i wtedy ten sókinsyn wziau i wykorkowau. Tszeba mieć tópet, co? Byuem bardzo zuy, ale taki jes los, a tego rodzajó sytóacje majom być dla nas prubom. Nie pamientam gdzie ósuyszauem o tej Spioncej Krulewnie, ale gdzieś mósiauem suyszeć. Ostatnio miauem sporo przygót z cauom tom magiom i wogle. Na świecie jes dziś peuno magikuf czarodziejuf i czarownic. Nie morzna wejść do niekturych miast nie potykajonc sie o jakiegoś sókinsyna odprawiajoncego swoje czary lób zócajoncego

zaklencia albo zmieniajonego kogoś w rzabe, brudnom szmatę, spłowaczke czy coś takiego. Ciane gnojki, ale myszle, że czuowiek może mieć magi wyrzej ószu. Niekture dópki mószom rozżócać gnuj, bódować domy, sadzić nasiona i robić tego typu żeczy, co nie? Żeczy, na kturze magia nie dziaua za dobrze. Świetnie nadaje sie do okrywania zuota i zmieniania lodzi w pszedmioty, w kturze woleliby sie nie zmieniać i do zmószania lodzi, rzeby zapominali o wszystkim i do tego typu żeczy, ale nie do naprawy telepioncego sie koua abo wyplókana buota z twojej nory po tym, jak żeka rozsadziła wauy. Nie pytajcie się mnie jak dziaua magia, morze nie jest jej tyle rzeby starczyuo dla wszystkich lub lodzie, kturzy mogom to robić, wyczarowójom żeczy, kturze likwidójom to, co zrobili

inni, ale tak czy siak magia nie morze być taka wspaniaua jak sie jom zahwala, bo pszypószczam że wtedy świat byuby códowny i szczenśliwy i wogle, a lodzie rzyliby w pokójó i zgodzie i tak dalej. Prendzej mi tu kaktós wyrośnie. W karzdym razie wcale tak nie jes i moim zdaniem dobrze sie stauo, bo inaczej lodzie tacy jak ja nie byliby potrzebni (i by-uoby kórefsko nudno).

Obecnie caukiem nieźle sobie radze. Jak to muwiom, na ósógi jest durze zapotszebowanie, glownie dlatego, że wszyscy ci czarodzieje som tak kórefsko chytry, że zapominajom, że som żeczy, kturze miecz potrafi zauatfić a zaklencie nie, zwuaszczu gdy tfuj pszeciwnik spodziewa sie zaklencia a nie miecza! Mam magicznom zbroje i zaczarowany nurz, ktury myszli, że jest sztyletem, oraz podobne żeczy, ale nie lobie ich urzywać za czensto. Moim zdaniem lepiej polegać na wuasnym ramieniu i ostrym bżeszczocie.

Pierwszy zjawia się za dnia, nocą się nie przyda,

Drugi tylko w ciemności – w świetle go nie widać;

Środkowy bliźniakiem jest córki, nie syna,

Piąty - nigdy podwójny, trójca to postać jedyna;

Ostatni jest na początku, nie w środku ani na ostatku,

A wszystkie w pochwie spoczywają. Masz ty plaster, gagatku?

Nie przejmójcie się, to tylko ten piepszony sztylet beukocze. Nawiasem muwionc odpowiada to opisowi norza. Tyle że ten gópek nie potrafi zaczarować pisma. Ma teraz holernie idiotyczny piskliwy guosik, czasem naprawdę dziaua mi na nerwy, ale pszy paro okazjach sie pszydau. Widzi w ciemności i potrafi odrurznić pszyjaciela od wroga i parę razy pszy innyh okazjah wyskoczyu z moih ronk i pofrónuu jak ptak do gardua jakiegoś sókinsyna, ktury mi brózdził. Pszydatny gadrzet. Daua mi go jedna dziefczyna. Órodiwa młudka, na kturom napalił sie jeden magik, a ona nie miaua ohoty sie zabawić. Wynajento mnie, rzebym ukatrópi starego gnoja, i muoda

czarownica dała nam sztylet w nagrodę. Powiedziała, że to tylko kopia, ale pochodzi z przeszłości to wzięję, mogę się pszydać. Nie była to moja jedyna zapuata. Wyobrazacie sobie te widźmy? W urzku teraz są fantastyczne. Kiedyś muszę jom odszokać.

W każdym razie gdzieś osuyszauem o tej Śpionce Królewnie i prubowauem się dowiedzieć gdzie jom wypiepszono, ale to nie było uatfe. W końcu shwytauem tego starego sókinsyna, który opowiedział nam

o Wyspie Omaruyh, ale później zabiłem go, zanim zdążył powiedzieć nam wszystko, co mógł. Jestem, kórwa, zbyt porywczy. To mój problem, zawsze tak było, ale, jak to mówią, nie można naoczyć starego psa nowych sztóczek. Nie chodzi o to, że jestem stary. Rzeby być szermie-żem, trzeba być młodym i sprawnym (morze to waaśnie czarownica... ale mniejsza o to). O czym ja? Acha, o Wyspie Omaruyh.

No, mówiąc krótko, po wielu ekscytujących przygodach i w końcu skończyło się na tym, że zmuszę tego czarnoksiężnika, żeby wy-czarował drogę do czegoś, co zwą Zaświatami. Oznaczało to pieczenie kotuf rzywcem na wolnym ogniu przez coś ze trzy tygodnie, ale pszy-najmniej poskótkowało. Czarnoksiężnik dał mi wskazówki i parę rad i w końcu, ale wtedy miałem mentlika w głowie, bo poprzedniej nocy piłem wino i nie do końca rozumiem co do mnie mówił, a do tego byłem cały podniecony, gdyż miałem wręście znaleźć się w Zaświatach. – Strzeż się Lete, rzeki zapomnienia, młodzieńcze – mówi czarnoksiężnik, a ja stoję tam w piwnicy jego zamku ze zwieszonymi głowami i mysz-le, szkoda, że nie powiedziałes mi tego zeszłej nocy, zanim zacząłem hłać. Czego się mam stzec? – pytam, a on kszyczy: – Lete!

W południu, pszyjacieliu – powiedziałem i stanąłem na tym dziwnym polu w kształcie gwiazdy, które namalował na podłodze piwnicy.

Niesamowite miejsce, pomyślałem sobie. Wszyscy ci lodzie wrzeszczoncy, piszczoncy, skamloncy i zgzytający zębami, pszykoci łańcó-hami do ścian i toneli. Taki kórefski chaos, a ja mam kaca. Wkóży-łem się niewonko i prubowauem zabić parę tych chawaśliwych sókinsy-nuf, ale nawet wtedy gdy ich siekułem na miazgę, nadal darli gębami, miotali się i w końcu – strata czasu. Szedłem dalej tymi tonelami i widziałem wszystkie te puononce jamy i lodowate kaurze z wieszczoncy-mi w nich łódźmi. Miecz miałem pod ręką i rzauowauem że nie zabruję ze sobą bótłki szkockiej, bo byłem śmiertelnie spragniony.

Mószauem kórwa iść pszes wiele mil. Myślałem, że morze za chwilę nadjedzie jakiś pociong, ale gdzie tam, były tylko wszystkie te sókin-syny wyjonce i wieszczoncy bez pszerwy oraz puono dymu, puomieni, lodó i świszczonych wiatru i sam kórwa nie wiem czego jeszcze. Myślałem rzeby się napić wody z jednej z tych lodowatych sadzawek, ale pamiatauem o tej rzece Lete czy jak jej tam, to dauję sobie spokój.

Po jakimś czasie robiuo sie ciszej. Wszeduem tym tónelem na coś bardziej pszypominajoncego światuo dzienne, hoć byuo dość pszyćmio-ne i pszygnembiajonce. W końcu wylondowauem ó stup tego wielkiego

órwiska wyhodzoncego na żeke z hmórami, mguom i wogle w karzdym miejscu. W poblirzó nie ma rzywego dóha, nawet jednego z tych toczon-cyh pianie sokinsynuf pszykotych iańcóhami do ścian czy coś. Zaczyna mi sie wydawać, że czarnoksienrznik wpóścił nas w maliny. Dalej jestem holernie spragniony, a wokuł ani śladó pabó czy czegoś w tym ro-dzajó, tylko te skaury i ta żeka pszepuywajonca powoli. Pouazilem tro-he wzdlórz bżegó i znalazuem tego ofermę wtaczajoncego wielki okron-guy guaz na górkę. Sondzonc po koleinie wrytej w zboczó robił to jurz sporo razy. – Cześć, uomie – muwie do niego – szókam promó. Gdzie tó morzna wsionść na jakiegoś parowca? Jes tó w tych stronah jakieś molo? – Sókinkot nawet sie nie odwrucil. Wtoczyu ten pierdolony kamol na sam szczyt. Ale wtedy kamień stacza sie z powrotem na duł, a ten ciemny gnojek goni za nim i zaczyna go znowu wtaczać na gure. – Hej, ty – muwie (bez skótkó). – Cześć. Gdzie jes to piepszone molo? Walno-uem sókinsyna w tyuek na puask moim mieczem, stanouem z pszodu durzego kamienia ktury wtaczau na górkę i oparuem się na nim, rzeby go zatszumać.

Takie mam jurz piepszone szczenście – ten dópek nawet nie muwiu jak sie nalerzy. Szwargotau nie po naszymó. O kórwa, pomyślauem. Prubowauem powiedzieć mó na migi czego szókam, wienc mó powie-dziauem, że mó pomogę wtoczyć kamień po zboczó, jertzeli mi powie. Podstempny sókinsyn zmósił mnie najpierw do wyphania kamienia na górkę. Wtoczyuem go na sam szczyt. Pszytszymau go tam, a ja znalazuem parę mauych kamieni, żeby go nimi ónieróhomić. Facet byu zahwy-cony. Pokazóje na bżeg żeki i muwi: – Karen – lub coś podobne, a potem daje sósa we mgue, zostawiajonc kamol na szczycie.

Nastempna wuczenga wzdlórz bżegó tej holernej zamglonej żeki i widzę wielkie ptaszysko leconce pszes mgue. Przyglondam sie jak lon-duje na kawale skaury, do ktorej pszykóty byu ten facet, i wbija sie prosto w niego, rozprowa mó bżóh i zaczyna rzreć jego kiszki. Gość,wyu i darsie tak, że trópa by zbudził, ale gdy tam doszuem, pewnie spuszy-uem bestie, bo zwiaua. Wspiouem sie, rzeby zobaczyć jak sie miewa ten facet, ale on od razó wyzdrowiau. Tam, gdzie ożeu czy co to tam byuo pił swojo cherbatke, nie miau nawet blizny. – Pszepraszam, pszyjacielu, czy tom drogem dojdę do parowca? – się gżecznie pytam.

Nastempny zafajdany códzodziemiec. Znowó sprubowauem na migi, ale wyglondauo na to, rze nie kapowau, i tylko dar sie i tszons kajdanami. Strata czasó. To tak, jakbyście prubowali duóbać w nosie w renkawicach na renkach. Ptaszysko wruciuo i zaczeuo skszeczeć i pi-

kować w mojom guowe. Nie byuem w nastroju do dórnyh zabaw, to zdzieliuem go mieczem i odciouem mó jedno skszyduo. Wpad do żeki i odpuynou skszeczonc i

tszepoczonc skszyduem. Facet na skale teraz zaczu sie miotać i pobżenkiwać łańcuchami. – Nie pszejmój sie, uomie – powiedziauem i zszeduem z powrotem ze skaury.

Rządneho molo, nic. Stauem patszonc sie na drugi bżeg żeki i my-ślauem o tym, rzeby sie z niej napić wody.

Mój pierwszy jest u chłopca, nigdy u dziewczyny, Drugi w futerale, zupełnie beczynny; Środkowy dobrany jest do pary...

–Zamknij sie, do kórwy nendzy – rozkazauem sztyletowi, Potrzon-
sajonc nim przed oczyma, bo byuem zuy jak diabli, że ciongle buon-
dziuem, a ueb mnie bez ustanku potwornie bolau.

Jego pierwszy jest w łodzi, lecz to żaden kłopot; Następny na statku, lecz nie na Limpopo. Trzeci w Złotym Jabłku, nie w Złocistym Fezie, Czwarty w zatoce Forth, nie na Peloponezie. Piąty nie w zatoce, lecz...

–Jeszcze raz wystawisz ueb, maury sókinsynu, a bendziesz gadau do
krabuf i ryb, kapójesz? – powiedziauem do sztyletu i wtedy zobaczy-
uem tego gościa w uodzi puynoncej przez mgue. Szkaradny wielki só-
kinsyn obrany w czarne uahy. Stau w uodzi z zauorzonymi renkami
i wyglondau na cholernie wkózonego. Nie widziauem jak poroszą sie
udź – pszypószczam, że dzieńki magi. Dryblas wycionga udź Ha bżeg,
obok mnie. Wsiadam do niej. Wycionga duoń. Ściskam jom. – Oplata,
konusie – mówi nie howajonc renki. No, no, pomyślauem sobie.

Dobyuem mojego miecza. Z tymi códzoziemskimi dziwakami nie morzna sie
pierzolić. Pszyuorzyuem mó ostsze do gardua, ale hyba sie tym nie pszejou. – Ty
jesteś Karen? – sie pytam. – Charon – odpowiada, jakby byu kimś innym. – Nie mam
pszy sobie forsy, pszyjacielu; morze zapiszesz to na muj rahónek, OK? – Dryblas nie
zrozómiau jednak i krenci guowom. – Powinieneś mieć monety na powiekach,
Wszyscy umarli muszą mieć opłatę dla przewoźnika. – Wspaniale, myślę. Znam te
wykrenty. – Ale ja nie jestem ómarlakiem – muwie gościowi. Miau-em wrarzenie, rze
sie nad tym zastanawia. – Strażnicy są teraz tacy nie-

órwiska wyhodzonego na żeke z hmórami, mguom i wogle w karzdym miejscu. W poblirzó nie ma rzywego dóha, nawet jednego z tych toczon-cyh pianie sókinsynuf pszykótych lańcohami do ścian czy coś. Zaczyna mi sie wydawać, że czamoksienrznik wpościł nas w maliny. Dalej jestem holernie spragniony, a wokut ani śladó pabó czy czegoś w tym ro-dzajó, tylko te skaury i ta żeka pszepuywajonca powoli. Pouaziłem tro-he wzdłórz bžegó i znalazuem tego oferme wtaczajoncego wielki okron-guy guaz na górkę. Sondzonc po koleinie wyrtey w zboczó robit to jurz sporo razy. – Cześć, uomie – muwie do niego – szókam promó. Gdzie tó morzna wsionść na jakiegoś parowca? Jes tó w tych stronah jakieś molo? – Sókinkot nawet sie nie odwrucił. Wtoczyu ten pierdolony kamol na sam szczyt. Ale wtedy kamień stacza sie z powrotem na dul, a ten ciemny gnojek goni za nim i zaczyna go znowu wtaczać na gure. – Hej, ty – muwie (bez skótkó). – Cześć. Gdzie jes to piepszone molo? Walno-uem sókinsyna w tyuek na puask moim mieczem, stanouem z pszodu durzego kamienia ktury wtaczau na górkę i oparuem się na nim, rzeby go zatszumać.

Takie mam jurz piepszone szczęście – ten dópek nawet nie muwiiu jak sie nalerzy. Szwargotau nie po naszymó. O kórwa, pomysłauem. Prubowauem powiedzieć mó na migi czego szókam, wienc mó powie-dziauem, że mó pomogę wtoczyć kamień po zboczó, jertzeli mi powie. Podstempny sókinsyn zmósił mnie najpierw do wyphania kamienia na górkę. Wtoczyuem go na sam szczyt. Pszytzymau go tam, a ja znalazuem parę mauych kamieni, żeby go nimi ónieróhomić. Facet byu zahwy-cony. Pokazóje na bžeg żeki i muwi: – Karen – lub coś podobne, a potem daje sósa we mgue, zostawiajonc kamol na szczycie.

Nastempna wuczenga wzdłórz bžegó tej holernej zamglonej żeki i widzę wielkie ptaszysko leconce pszes mgue. Przyglondam sie jak lon-duje na kawale skaury, do ktorej pszykóty byu ten facet, i wbija sie prosto w niego, rozprówa mó bžóh i zaczyna rzreć jego kiszki. Gość.wyu i darsie tak, że trópa by zbudził, ale gdy tam doszuem, pewnie spuoczy-uem bestie, bo zwiaua. Wspiouem sie, rzeby zobaczyć jak sie miewa ten facet, ale on od razó wyzdrowiau. Tam, gdzie ožeu czy co to tam byuo pił swojo cherbatke, nie miau nawet blizny. – Pszepraszam, pszyjacielu, czy tom drogem dojdę do parowca? – się gžecznie pytam.

Nastempny zafajdany códzoziemiec. Znowó sprubowauem na migi, ale wyglondauo na to, rze nie kapowau, i tylko dar sie i tizons kajdanami. Strata czasó. To tak, jakbyście prubowali duóbać w nosie w renkawicach na renkach. Ptaszysko wruciuo i zaczeuo skszeczeć i pi-

kować w mojom guowe. Nie byuem w nastroju do dórnyh zabaw, to zdzieliuem go mieczem i odciouem mó jedno skszyduo. Wpad do żeki i odpuynou skszeczonc i tšzepoczonc skszyduem. Facet na skale terz zaczuu sie miotać i pobženkiwać łańcuhami. – Nie pszejmój sie, uomie – powiedziauem i zszeduem z powrotem ze skaury.

Rządneho molo, nic. Stauem patszonc sie na drugi bżeg źeki i my-ślauem o tym, rzeby sie z niej napić wody.

Mój pierwszy jest u chłopca, nigdy u dziewczyny, Drugi w futerale, zupełnie beczynny; Środkowy dobrany jest do pary...

–Zamknij sie, do kórwy nendzy – rozkazauem sztyletowi, potrzonsajonc nim przed oczyma, bo byuem zuy jak diabli, że ciongle buon-dziuem, a ueb mnie bez ustanku potwornie bolau.

Jego pierwszy jest w łodzi, lecz to żaden kłopot; Następny na statku, lecz nie na Limpopo. Trzeci w Złotym Jabłku, nie w Złocistym Fezie, Czwarty w zatoce Forth, nie na Peloponezie. Piąty nie w zatoce, lecz...

–Jeszcze raz wystawisz ueb, mauy sókinsynu, a bendziesz gadau do krabuf i ryb, kapójesz? – powiedziauem do sztyletu i wtedy zobaczyuem tego gościa w uodzi puynoncej przez mgue. Szkaradny wielki sókinsyn obrany w czarne uahy. Stau w uodzi z zauorzonymi renkami i wyglondau na cholernie wkożonego. Nie widziauem jak poroszą sie udź – pszypószczam, że dzieńki magi. Dryblas wycionga udź na bżeg, obok mnie. Wsiadam do niej. Wycionga duoń. Ściskam jom. – Oplata, konusie – mówi nie howajonc renki. No, no, pomyślauem sobie.

Dobyuem mojego miecza. Z tymi códzoziemskimi dziwakami nie morzna sie pierdolić. Pszyuorzyuem mó ostsze do gardua, ale hyba sie tym nie pszejou. – Ty jesteś Karen? – sie pytam. – Charon – odpowiada, jakby byu kimś innym. – Nie mam pszy sobie forsy, pszyjacielu, morze zapiszesz to na muj rahónek, OK? – Dryblas nie zrozómiau jednak i krenci guowom. – Powinieneś mieć monety na powiekach, wszyscy umarli muszą mieć opłatę dla przewoźnika. – Wspaniale, myślę. Znam te wykrenty. – Aleja nie jestem ómarlakiem – muwie gościowi. Miau-em wrarzenie, rze sie nad tym zastanawia. – Strażnicy są teraz tacy nie-

dbali – muwi i przyglonda mi sie. – Chyba jednak jest coś, co możesz dla mnie zrobić, jeżeli umiesz się posługiwać tym żelastwem. – Zrozómiauem, rze miau na myśli muj miecz. – Czego sobie ryczysz, pszyjacielu? – pytam.

Tak wienc zauatwiuem sobie pszeprawe pszez źeke za cenę psiej guowy. Facet

potszebowau guowy psa imieniem Cerber, który mieszkau na drogim bżegó, na Wyspie Ómaruyh. Powiedziau, że pies nie zaówa-rzy jej brakó, a on potszebuje galionó na swom udź wiosuowom. Moim zdaniem to dość dziwna próśba, ale pszypószczalnie lodzie tutaj, pozostawieni w Styksie, stajom sie trohe ekscentryczni i stóknieni.

Po drogiej stronie źeki takrze mgliście i mroczno. Zostawiłem Karena stojoncego w swojej uodzi i poszeduem drogom w stronę tego dórzego nibypauacu na órwiskó, majone oczy otwarte na tego wielkiego psa Cerbera. I dobrze zrobiłem. Sókinsyn skoczyu na mnie na tym dórzym dziedzińcu na samym órwiskó. Piepszona bestia miaua tszy uby! Warczaua i śliniua sie. Zrozumiauem co dryblas miau na myśli muwionc, że nie za-uwarzy brakó guowy. Z obcienciem jednej nie miauem problemu. Zasta-nawiauem się ile mósieli puacić podatko pogłownego -jeden czy trzy? A potem zastanawiauem sie, czy sókinsyn nie pszeszkodzi mi i czy ueb, który mó wuaśnie odciouem, nie odrośnie. Piepszyć to, pomyślauem.

Jego pierwsze jest u psów, lecz nie znajdziesz go w kotach; Następne w zębach, a także w garotach, Trzecie w szczekaniu, ale nie w kąsaniu, Natomiast czwarte...

–Proszę, pszyjacieló! Aport! – Kszyknouem do dórzego psa i wy-ciongnouem mauy sztylet, gdy jeszcze szfargotau, i cisnouem go z ór-wiska. Pies źóciu sie za nim.

Spojżauem z órwiska i zobaczyuem, jak Cerber ódeża w skaury na dole. Byuem z siebie holernie zadowolony, dopuki ta piepszona gu-owa, kturom wuaśnie odciouem, nie stoczyua się ze skrajó órwiska turz obok mnie. Hciauem ją zuapać, ale spadua i teraz roztrzaskaua się na kamieniah ó stup órwiska. Sókinsyn! – pomyślauem. Straciuem ruw-nierz mauy sztylet. Do wielkiego pauacó wyrószyuem w kiepskim nastrojó. W środkó byuo ciemno jak w grobie. Nie moguem szókać tego, co miauem znaleźć, bo strasznie walnouem guowom w jakieś holernie niskie nadprorze. Zobaczyuem gwiazdy – jakbym tryknou marmórowy posong czy coś. Ledwie widziauem na oczy. Hyba krwa-

wiua mi guowa, juha spuywaua mi do oczó. Uaziuem po omacku i prubowauem wyczóć gdzie u diabua jestem, wpadajonc na wszystko, przeklinajonc, miotajonc sie i wogle. Zaraz potem rozleg sie syk i dźwienk stszau pszelatójoncyh obok mnie i szczerbioncyh powieszh-nie kolómn, ścian i wybźószeń na kamieniach. Dalej prawie nic nie wi-dziauem, ale zdouauem dostszec w mrokó jakiegoś śmiesznie wyglon-dajoncego sókinsyna syczoncego na mnie i prubujoncego trafić we mnie z uóku. O kórwa, pomyślauem. Szkoda, że nie mam jurz przy sobie tego mauego sztyletó.

Jej pierwszy jest z marmuru, ale nie z krzemienia, Drugi ze skamieliny, lecz nie widać w nim skostnienia. Trzeci cieszy się popytem, ale...

–Pszestań, kórwa, szfargotać i hodź tó! – Wuaśnie zobaczyuem, rze mauy sztylet

ónosi się kouo mojej renki. Zuapauem go i żóciuem, a potem dauem nora za kamienne wybżószenie. Ktokolwiek syczau, wydau odguos jakby sie dósiu, a potem pszestau syczeć. Poszeduem i pszyjżau-em sie tej szkaradnej kobiecie, ktura stszelaua do mnie z uóko. Nadal nie widziauem jak tszeba, ale powinniście zobaczyć jej wuosy. Przypo-minajom sie opowieści o szczórah! Pewnie ih nie myua od lat. Zostawieni jom leżoncom tważom we wuasnej krwi. Mauy sztylet tkwiu w jej gardle. Wyciongnouem go. Pszysiegam, rze krew tej potwornej kobiety paliua jak kwas czy coś takiego. Mniejsza o to, pomyślauem. Szókaj Śpioncej Krulewny.

–Hwileczke, do kórwy nendzy!

Znowó zmószony do ócieczki bombardowaniem! W końcó znalazu-em coś w rodzajó maleńkiej komnaty – jedyne pomieszczenie w cauym pauacu, w kturym coś stauo. Reszta byua pósta. Rządnych strasznych kobiet ani paskódných wielkih psuf z nadliczbowymi guowami, ale skar-bó teraz nie byuo. Wiedziauem rze to wszystko będzie kolejnom caukowi-tom stratom czasó i nie byuem specjalnie zadowolony, ale pszynajmniej, pomyślauem, powinna tó być ta śliczna śpionca dziewczyna. Miaua być diabelnie pienkna. Powinien obódzić jom pocaunek. To, co mam jej zamiar zrobić, powinno jom naprawdę, kórwa, orzywić, myślauem.

Ale to jest menszczyzna! O w mordę! Pokuj i menszczyzna lerzon-cy w urzkó, cau blady na tważy i óspiony. Naokouo zgromadzono wielkie spszenty pszypominajonce metalowe kófry lerzonce na bokah

a do niego pszywionzane byuy kawaueczki sznórka. Piepszyć cauom resztę. Jurz mam poderżność sókinsynowi garduo, tak po prostu, ze wzglendow zasadniczych, gdy nagle zaczyna do mnie muwić kawauk ściany i pojawia sie na nim ten malónek, tyle rze sie rósza! To tważ kobiety – niebżytkiej panienki z ródymi wuosami. – Nie rób tego – muwi.

–A ty kim, kórwa, jesteś? – pytam jej, nie zabijajonc faceta, tylko pod-hodze do tego obrazo i rozmawiam z nim. – Nie zabijaj go – muwi dziewczyna. Stókam w obraz, ale on dźwiency jak szkuo. Whodze do pokojó za ścianom, ale on teraz jest posty. Pszeklente pomieszczenia nie majom okien ani nic podobnego. – Czémó nie? Czémó nie mam go ukatrópić? – zapytauem kobietę. – Dlatego, że on stanie się tobą. Ty zabijesz siebie, a on znowu będzie żył, w twoim cielem. Po prostu odejdz, proszę. Nie patrz w twarz Meduzy i nie zabieraj... – muwi i wtedy obraz robi sie dziwny, a jej guos cihnie, pszypomina syk tamtej okropnej kobiety. Tszasnouem obrazek końcem miecza, ale tylko sie stok. Do-stauem kawaukiem szkua prosto w guowe i znowó zaczouem krwawić.

–Chodu – muwie, ocierajonc krew z czoua. Odwruciuem sie do wyjścia i wtedy zobaczyuem ten maleńki zuoty posonrzek rzaby czy czegoś takiego, stojoncy na krawendzi okna. Podniosuem go. Warzyu wystarczajonco durzo, rzeby być ze

zuota, wienc wuorzyuem go do kieszeni moih bryczesuf i stwierdziuem rze jak to muwiom pora spadać. Zostawiłem tego oferme lersoncego w urzkó zópeunie mó sie nie napszyk-szajonc. I tak wyglondau jak pulrzywy, wienc co mi tam, kórwa. Myszlauem o tym, rzeby poszókać tej panienki z obrazo, ale byuem coraz bardziej zmenczony i jeszcze nic nie jaduem ani piuem, wienc stwierdziuem, że czas wracać do domó. Wracauem po ciemkó i omal sie nie wywaliłem na zwuokach tej okropnej kobiety. Wtedy pszypomniauem sobie o Karenie. Pomyślauem, że z tego pszeklentego psa zostauo pewnie niewiele, nawet gdybym zdouau zejść pod te órwisko. Odciouem wienc guowe tej strasznej kobiecie i pszewiesiuem jom sobie pszes ramie. Jej wuosity byuy jak wenrze, nie rzartóje.

Wruciuem tam, gdzie w uodzi wiosuowej czekau Karen, cauy czarny, szkaradny. Dalej miau zauorzono rence i patszyu gniewnie i pogardliwie.

–Cześć, Karen – mówię. – Psa tam nie byuo. Wystarczy ci w zamian guowa tej kobiety? – Podniosuem ueb kobiety do gury i pomahauem nim do niego. Facet zamar. Nie ówieżylibyście. Sókinsyn na moih oczach zmieniu sie w kamień. Wielki dópek pszebił dno swojej łodzi jak posong i osiad na piasku pod wodom. Udź opadua na dno obok niego. – Do kórwy nendzy – zawouauem i wzóciuem guowe okropnej kobiety do wody.

Takie jurz moje, kórwa, szczenście, co? Czémó to mnie spotyka? – zastanawiauem sie. Ósiaduem na bżegó. Miauem ohote sie rozpuakać. Dosze-duem do wniosku, rze mam zuy dzień, ani ksztyny szczenścia.

I wtedy wydauo mi się, rze ósuyszauem jakiś hauas dolatójncy z mojej kieszeni. Wyciongnouem z niej zuoty posonrzek i popatszyuem na niego. Dalej wyglondau jak rzaba, choć wydawauo sie, rze ma skszy-dua czy coś takiego na gzbiecie. W karzdym razie spojzauem najpierw na niego, potem na żeke i pomyślauem: co tam, pszepuyne jom. Mu-siauem zostawić magicznom zbroje i panceż i wogle. Zawiesiuem miecz pszywionzany do mojego pasa na gzbiecie, a pasem obwionzauem zuoty posonrzek, a potem wszeduem do wody i zaczuem puynonć. Skarpety z wetknientym w jednym magicznym sztyletem dalej miauem na sobie. Nie potrafię puywać jak nalerzy, ale ómiem puywać pieskiem, rozómicie? W końcó dotaruem na drogi bżeg. Woda w żece miaua nie-zuy smak, a ja byuem spragniony. Stanouem na bżegu blisko dórzej skaury, do ktorej pszykuty byu menszczyzna. Ani śladó martfego orua. Facet na skale teraz byu jednak martfy. Wyglondauo na to, rze coś w nim spóhuuo i wytrysneuo z niego dokoua jak jakiś rak czy coś. Wyglondauo mi to na wontrobe. Miauem wrarzenie, że zuoty posonrzek znowó robi szóm, tylko holernie niewyraźny. Zastanawiauem sie, czy naprawdę coś muwi czy teraz to wcześniejsze walniencie w

ueb powodo-wauo, że suysze guosy. A jednak wydawauo sie, rze posonrzek hauasó-
je. Pszyuorzyuem go sobie do óha. I to byu powarzny buond.

–No cóż, mój chłopcze, to cholernie przyzwoite z twojej strony, że przyszedłeś mnie
wybawić z piekielnej otchłani. Nie sądziłam, że sen-telepatia o Śpiącej Królownie
zadziała między światami ani że ci się uda. Powinnam jednak była wiedzieć, że
możesz bez trudu uchodzić za ducha. Nigdy, nawet w najlepszej formie nie byłeś
szczególnie bystry, prawda? Wiesz, mogłabym przysiąc, że te skały wyglądają na
metamorficzne, a nie na wulkaniczne... No cóż, chodź, mój mały Orfeuszu, zabierzmy
cię stąd, zanim zamienisz się w słup soli lub coś innego. Proponuję...

Ajamyszle: O nie!...

Jego pierwszy jest z...

–O mój Boże, liryczny nóż-pocisk. Jak u diabła lub gdzie indziej dostałeś go w swoje
ręce? A może to on dostał cię w swoje? Nieważne. Jeżeli istnieje coś, czego nie
mogę znieść, to maszyny, które mają niewyparzone gęby: Milczeć!

1 an

I sztylet zamknou gembe. Jurz sie wiencej nie pojawiu. A maleńka zuota rzaba, kturom pszyuorzyuem do óha, nie jest jurz zuota. Siedzi mi teraz na ramieniu i wyglonda jak mauy kot ze skszyduami a jej gu-os bźmi...

–Znajomo? – pyta. – Ależ mój chłopcze, masz całkowitą rację!

–O kórwa!

Zaniechane poszukiwania... Zapach soli i rdzy. Ciemność. Zapomniany pod tą budowlą jak coś, co wyrzucono na śmietnik, wędrujący w świetle i cieniu w zasięgu odgłosu morza... Budzę się powoli, nadal pogrążony w nieokrzesanych myślach tego barbarzyńcy; moje są poplątane. Miękkie, szare światło sączy się przez okiennice w tę rozległą, zawaloną sprzętami przestrzeń, ukazując kontury zasłoniętych mebli i sycąc moją walczącą świadomość, jak gdyby była kielkiem przeciskającym się przez lgnącą do niego glinę.

Zimne prześcieradła skręciły się na moim ciele niczym liny; drzemiąc jeszcze, próbuję się dla wygody obrócić na drugi bok, ale nie potrafię. Jestem w pułapce, związany; natychmiast ogarnia mnie paniczny strach i nagle budzę się, zlany zimnym potem, siedząc na łóżku. Ocieram twarz i rozglądam się po ciemnym i cichym pokoju.

Otwieram okiennice. Morze obmywa skały dziesięć metrów niżej. Drzwi łazienki zostawiam otwarte, żeby słyszeć podczas kąpieli jego powolny donośny oddech.

Śniadanie jem w skromnym barze przy Concourse Edgar. Kelnerzy zmiatają okruchy z sąsiedniego stołu długimi białymi ścierkami. Mewy krzyczą i krążą w powietrzu, tłocząc się wokół sterczącego poza obrys mostu budynku, w miejscu gdzie wyrzucane są kuchenne resztki. Skrzydła ptaków błyskają biało; ścierki kelnerów z trzaskiem uderzają w blaty stołów. Przyszedłem tu via pokój 306, chcąc sprawdzić, czy nie było do mnie jakiejś poczty; nic. Z dołu dolatywał przeraźliwy pisk urządzeń blachami.

Siedzę długo nad ostatnią filiżanką kawy.

Wędruję z jednej strony mostu na drugą. Większość trawlerów ma teraz dwa balony zaporowe. Niektóre muszą być zakotwiczone bezpośrednio w dnie morza; pomarańczowe boje znaczą miejsca, w których ich liny stykają się z falami.

Na lunch jem kanapkę i piję kawę w kubku z woskowanego papieru; siedzę na ławce, patrząc w górę rzeki. Pogoda się zmienia; pod chmurzącym się niebem robi się coraz zimniej. Gdy fale wyrzuciły mnie tutaj na brzeg, była wczesna wiosna; teraz zbliża się koniec lata. Myję

ręce w toalecie dworca tramwajowego i jadę tramwajem – niewygodnym – do segmentu, w którym powinna znajdować się zaginiona biblioteka. Szukam i szukam, sprawdzam w każdym szybie windowym, ale w żadnym nie ma windy w kształcie L ani starego windziarza. Moje pytania wprawiają napotkanych ludzi w zakłopotanie.

Powierzchnia zatoki jest teraz szara – podobnie jak niebo. Balony napinają liny. Nogi mnie bolą od ciągłego wchodzenia po schodach. Deszcz pryska na brudne szyby wysokiego korytarza, w którym przysiadłem, by odzyskać siły.

Poniżej wierzchołka mostu, w mrocznym, przeciekającym korytarzu znajduję małe białe piłki leżące pod stłuczonym świetlikiem; mają na całej powierzchni okrągłe zagłębienia i są bardzo twarde. Gdy tam stoję, przez rozbity świetlik wlatuje następna piłka i spada na podłogę korytarza. Przyciągam z niszy nadjeżdżony przez mole fotel, ustawiam go pod świetlikiem, wspinam się nań i wystawiam głowę przez stłuczoną szybę.

W oddali stoi wysoki starszy mężczyzna o białych włosach. Ma na sobie pumpy, sweter i czapkę. Robi zamach długim, cienkim kijem, celując w coś, co leży przed jego stopami. Biała piłka szybuje w powietrzu w moją stronę.

–Uwaga! – krzyczy mężczyzna; chyba do mnie. Macha ręką. Piłka odbija się w pobliżu świetlika. Mężczyzna zdejmuję czapkę i stoi z rękami na biodrach, patrząc na mnie. Schodzę z fotela i odnajduję schody prowadzące na szczyt mostu. Gdy tam docieram, po mężczyźnie nie ma śladu. Jest tam jednak trawler, otoczony przez robotników i oficjeli. Leży pod uszkodzoną wieżą radiową, sflaczałe balony zaporowe zwisają z dźwigarów niczym złamane skrzydła. Pada deszcz i wieje silny wiatr; łopoczą i lśnią nieprzemakalne kombinezony i płaszcze.

Wczesny wieczór, mroczny i wilgotny; mam otarte stopy i burczy mi w brzuchu. Kupuję następną kanapkę i zjadam ją w tramwaju. Odbywam długi, męczący spacer do mieszkania Arrolów po opadających monotonicznie spiralnym ruchem schodach. Gdy docieram na właściwe piętro, bolą mnie nogi. Na opustoszałym korytarzu czuję się jak złodziej. Klucz do mieszkania trzymam przed sobą niczym maleńki sztylet.

W mieszkaniu jest ciemno i zimno. Zapalam parę świec. Szare wody rozbijają się z hukiem o podpory mostu; wilgotny, słony zapach wypełnia chłodne pokoje. Zamykam okna, które zostawiłem otwarte rano,

1 nr\

i kładę się na łóżku, tylko na chwilę, lecz zaraz zasypiam. Powracam na torfowisko, na którym niesamowite pociągi wpędzają mnie do wąskich tunelów. Przyglądam się, jak barbarzyńca grasuje w podziemnym świecie bólu i cierpienia; nie jestem nim, stoję przykuty do murów, krzyczę do niego... Podbiega, ciągnąc za sobą swój miecz. Znowu jestem na obracającym się żelaznym moście, biegnę z mozołem po rdzewiejącym to-rusie, przez który przepływa rzeka. Biegnę i biegnę w deszczu aż do bólu nóg...

Znowu się budzę, mokry od potu, a nie od deszczu. Czuję skurcze w napiętych mięśniach. Rozlega się dźwięk dzwonka. Rozglądam się nieprzytomny za telefonem. Dzwonek znowu dzwoni, dwa razy, i uświadamiam sobie, że to przy drzwiach.

–Panie Orr? John?

Wstaję z łóżka i przyglądam włosy. Abberlaine Arrol stoi w progu w długim ciemnym płaszczu, uśmiechając się szeroko jak figlarna uczennica.

–Cześć, Abberlaine, wejdź.

–Jak się czujesz? – Wchodzi majestatycznie, rozgląda się po pokoju, po czym odwraca się i unosi ku mnie głowę. – Wszystko w porządku?

–Tak, dziękuję. Mogę ci zaproponować miejsce w jednym z twoich foteli?

Zamykam drzwi.

–Możesz mi zaproponować kieliszek jednego z naszych win – odpowiada ze śmiechem. Okręca się dokoła, powodując, że płaszcz się wydyma. Mocna woń zaprawionych piżmem perfum i alkoholu przepływa obok mnie. Oczy Abberlaine iskrzą się. – Są tam – wskazuje skrzynię na wpół zakrytą białym prześcieradłem. – Przyniosę kieliszki – dodaje i rusza do kuchni.

–Ubiegłej nocy wyszłaś dość niespodziewanie – mówię, otwierając skrzynię; zawiera butelki z winem i mocniejszymi alkoholami. Z kuchni dolatuje brzęk szkła.

–Co zrobiłam? – pyta, wracając z dwoma kieliszkami i korkociągiem.

Wybieram niezbyt stary rocznik i niezbyt kosztowną z wyglądu butelkę.

–Oglądałem to mieszkanie, a gdy tu wróciłem, ciebie już nie było.

Abberlaine wręcza mi korkociąg. Wygląda na zakłopotaną.

–Naprawdę? – odpowiada wymijająco i marszczy czoło. – Boże

mój. – Uśmiecha się, wzrusza ramionami i opada na nakrytą przeście-

radiem kanapę. Wciąż ma na sobie płaszcz, ale widzę nogi w czarnych pończochach, czarne buty na wysokich obcasach i odrobinę czerwieni przy szyi i rąbku płaszcza. – Byłam na przyjęciu – wyjaśnia.

–Naprawdę? Otwieram butelkę.

–Mhm. Chcesz obejrzeć mój strój?

–Czemu nie?

Wstaje, wręczając mi kieliszek. Rozpina guziki czarnego płaszcza, zsuwa go z ramion i rzuca na fotel. Robi piruet.

Ubrana jest w ciasno opiętą sukienkę z jaskrawoczerwonego atłasu; sukienka sięga jej do kolan, ale ma rozcięcie aż do szczytu uda. Gdy Abberlaine się obraca, widzę odcinek białego szczupłego ciała pomiędzy gęstą czernią brzegu pończochy a skrajem czarnej koronki powyżej. Sukienka ma wysoki kołnierz, który prawie całkowicie skrywa wąską czarną tasiemkę na szyi. Ramiona są wywatowane, biust... nie.

Abberlaine staje z rękami wspartymi na biodrach, zwrócona twarzą do mnie. Jej ramiona są nagie, a pokrywający je ciemny puszek tworzy na nich czarną obwódkę. Starannie umalowana twarz wydaje się rozbawiona; wspólnie stroimy sobie żarty. Nagle odwraca się i wsadza rękę do kieszeni płaszcza. Wyciąga z niej coś, co początkowo biorę za następną parę pończoch, są to jednak rękawiczki w tym samym kolorze. Naciąga je prawie do ramion. Wydobywa z siebie głęboki gardłowy chichot i robi następny obrót.

–Co o tym sądzisz?

–Rozumiem, że to nie było oficjalne przyjęcie? Nalewam wina.

–Coś w rodzaju balu maskowego. Poszłam tam jako kobieta lek kich obyczajów, a wyszłam na ciężkiej bani.

Śmiejąc się, unosi dłoń do ust. Gdy bierze kieliszek, składa mi głęboki ukłon.

–No cóż, wyglądasz olśniewająco, Abberlaine – mówię śmiertelnie poważnie.

Wzdycha i przeczesuje palcami włosy, po czym odwraca się, odchodzi miarowym

krokiem i stuka w stary, wysoki kredens z ciemnego, mocno polakierowanego drewna, przesuwając po nim długie, odziane w rękawiczkę palce. Wypija łyk wina. Przyglądam się, jak krąży wśród zakrytych i odkrytych mebli w pokoju, otwierając drzwiczki, zaglądając do szuflad, unosząc rogi prześcieradeł, przesuwając dłonią po ich zakurzonych szybach i gładząc intarsje. Przez cały czas nuci coś i popija ma-

łymi tykami z kieliszka. Przez chwilę czuję się zapomniany, ale nie znieważony.

–Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko mojej wizycie – mówi, zdmuchując kurz z abażuru stojącej lampy.

–Oczywiście, że nie. Miło cię zobaczyć.

Odwraca się; znowu ten uśmiech. Potem spogląda, marszcząc czoło, na szare morze i chmury deszczowe za wysokimi oknami i układa dłonie na swych nagich ramionach. Popija z kieliszka; to dziwny, osobliwie wzruszający odruch; oszczędny, tulący, prawie dziecinny gest, zupełnie mimowolnie czarujący.

–Zimno mi. – Odwraca się, by spojrzeć na mnie. W jej oczach jest coś żalobnego niemal. – Możesz zamknąć okiennice? Mam wrażenie, że tam jest strasznie zimno. Zapalę w kominku, dobrze?

–Oczywiście.

Odstawiam kieliszek, podchodzę kolejno do okien i powoli zatraskuję długie deski okiennic przed mrocznym dniem. Abberlaine przekonuje stary syczący gaz, by się zapalił, a potem kuca przed kominkiem z wyciągniętymi ku niemu rękami w rękawiczkach. Siadam w pobliżu na okrytym prześcieradłem fotelu. Dziewczyna obserwuje płomienie. Kominek pali się z sykiem.

Po chwili Abberlaine budzi się chyba z jakiegoś snu na jawie i pyta, wciąż patrząc w ogień:

–Dobrze spałeś?

–Tak, dziękuję. Było bardzo wygodnie.

Abberlaine zostawiła kieliszek na kominku; podnosi go i pije. Jej pończochy mają krzyżkowy wzór, małe ikсы w większych ikсах; rozciągnięte pismo przejrzystego materiału, ukształtowanego na jej nogach w postaci linii rozkładu naprężeń; tu rozciąganie, rozświetlone widocznym pod spodem ciałem; rozluźnienie tam, gdzie pończochy ciemnieją; zwięzła gramatyka ikсов zagęszczonych na bladej skórze dziewczyny.

–Dobrze – mówi cicho. Powoli kiwa głową, wciąż urzeczona

ogniem, czerwona sukienka odbija pomarańczowe płomienie niczym

rubinowe zwierciadło. – Jak dobrze – powtarza.

Ciepło ognia ogrzewa jej skórę; zapach perfum powoli wypełnia przestrzeń między nami. Abberlaine bierze głęboki oddech, wstrzymuje go, po czym wypuszcza powietrze, wciąż wpatrując się w syczący ogień.

Opróżniam swój kieliszek i podnoszę butelkę; podchodzę do dziewczyny i siadam obok, by nalać wina nam obojgu. Woń jej perfum jest

słodka i mocna. Abberlaine siada na podłodze z nogami ułożonymi w jedną stronę, wsparta na jednej ręce. Przygląda się, jak napełniam kieliszki. Odstawiam butelkę, obserwując jej twarz; szminka rozmazała się trochę w kąciku ust. Dostrzega moje spojrzenie. Powoli unosi brew.

–Twoja szminka... – Wyciągam z kieszeni chusteczkę, na której

wyhaftowała mój monogram. Abberlaine pochyla się, by pozwolić mi

zetrzeć gorszący czerwony ślad. Gdy dotykam ust przez materiał chust

ki, czuję na palcach jej oddech.

Proszę.

–Obawiam się, że zostawiłam jej trochę na sporej liczbie kołnierzy. – Jej głos jest teraz cichy i niski, przypomina niemal pomrukiwanie.

–Och – odpowiadam z udawaną dezaprobatą, kręcąc głową. – Ja nie całowałbym kołnierzy.

Abberlaine kręci głową.

–Nie?

–Nie.

Przysuwam się bliżej, by delikatnie trącić jej pełny kieliszek swoim.

–Więc co byś całował?

Jej głos nie staje się cichszy; przyjmuje natomiast inne brzmienie: konspiracyjne, znaczące, wręcz ironiczne. To jest wystarczające zaproszenie, co wcale nie znaczy, że od razu się na nią rzuciłem.

Całuję ją lekko, obserwując jej oczy (a ona odpowiada lekkim pocałunkiem i obserwuje moje). Jej skóra ma delikatny smak wina i czegoś pikantnego; wyczuwam także ślad papierosowego dymu. Napieram nieco do przodu i kładę wolną dłoń na talii Abberlaine, czując przez gładki czerwony atłas ciepło jej ciała; ogień syczy gorliwie, ogrzewając mi plecy. Powoli sunę wargami po jej wargach, poznając smak ust, muskając zęby. Spotykają się nasze języki. Abberlaine odchyła się na chwilę w bok, tak że myślę, iż się odsuwa (marszczy czoło), ale ona tylko szuka ręką miejsca, by odstawić kieliszek; potem chwyta mnie w ramiona i zamyka oczy. Jej oddech na moim policzku staje się szybszy i teraz całuję ją namiętniej, pozostawiając kieliszek na oparciu fotela.

Włosy Abberlaine są delikatne i pachną tymi samymi perfumami, talia jest w dotyku jeszcze szczuplejsza niż wygląda, piersi przesuwały się pod czerwonym atłasem, podtrzymywane (lecz nie zamknięte) przez coś, co nosi pod sukienką. Pończochy są gładkie w dotyku, uda ciepłe; obejmuje mnie, ścisną mocno, a potem odpycha, chwyta moją głowę w dłonie i patrzy na mnie, przenosząc swe bystre spojrzenie z jednego

mojego oka na drugie. Jej sutki tworzą małe czerwone wzniesienia atłasu. Usta ma wilgotne, pomazane czerwienią szminki. Przez chwilę drży ze śmiechu i przelika ślinę, wciąż oddychając z trudem.

–Nie przypuszczałam, że będziesz taki... namiętny – mówi zdyszczonym głosem.

–Nie sądziłem, że tak łatwo dasz się oszukać. Po chwili:

–Tutaj. Tutaj. Nie w łóżku, tam będzie zbyt zimno, tutaj.

–Nie musisz czegoś najpierw zrobić?

–Słucham? Och, nie, nie. Tylko... och chodź, zdejmij tę cholerną marynarkę... Mam się rozebrać?

–No cóż, może nie?

Ciało Abberlaine Arrol jest pokryte czernią, skrzepowane i ożebrowane obsydianowymi jedwabiami. Jej pończochy łączą się z czymś w rodzaju sznurowanego z przodu jedwabnego gorsetu; następny krzyżkowy wzór tworzy kroksztyn od łona do punktu tuż poniżej miejsca, w którym oddzielny biustonosz z czystego jedwabiu, ażurowy jak pończochy, obejmuje jej kształtne, jędrne piersi. Pokazuje mi, gdzie się go rozpina z przodu; reszta – wystarczająco luźna – jej kombinacji: czarna siatka nad jeszcze czarniejszymi włosami, zostaje. Całujemy się powoli, nie ruszając się jeszcze, po tym, jak wszedłem w nią po raz pierwszy;

Abberlaine siedzi na mnie, oplótszy moje biodra odzianymi w pończochy nogami. Rękami w długich rękawiczkach ściska moje ramiona.

–Jesteś cały posiniaczony – mówi szeptem (jestem zupełnie nagi), gładząc ślady kopniaków i uderzeń pięści z dręczącą delikatnością, która przyprawia mnie o gęsią skórę.

–Głupstwo – odpowiadam, całując jej piersi (brodawki są prawie tak różowe jak goździki, grube i długie, z małymi fałdami i różowymi zmarszczkami na czubkach; ich otoczki gładkie, podniesione i okrągłe) – zapomnij o tym. – Przyciągam ją do siebie, tak że leżę teraz na stercie swoich rzeczy i czerwonej sukience Abberlaine.

Ruszam się pod nią powoli, przyglądając się jej sylwetce na tle płomieni syczącego kominka. Abberlaine unosi się nade mną w pozycji jeźdźca, wsparta dłońmi o moją klatkę piersiową, ze spuszczoną głową; rozpięty stanik zwisa podobnie jak jej gęste czarne włosy.

Całe jej ciało jest zawarte w bieliźnie, stroju absurdalnym na kobiecie, której sam oddech wystarczał, by uczynić ją bardziej pociągającą -nie potrzebowała nic innego; tylko siła napędzająca te kości, ciało oraz

umysł, który zamieszkuje to wszystko, czym ona jest. Myślę o kobietach w wieży barbarzyńcy z moich snów.

Iksy; ów wzór zawarty we wzorze, pokrywający jej nogi, następne zespolenie poza naszym własnym. Zygzaki koronek kombinacji, krzyżująca się tasiemka utrzymująca jedwab na jej ciele; te paski i sznurki, ramiona okryte jak nogi; język, architektura. Wsporniki i rury, ciągną; ciemne linie podwiązek przecinające jej krągłe udo, biegnące pod majtkami do czarnego brzegu pończochy. Kesony, rury konstrukcji nośnej, inżynieria tych delikatnych materiałów służąca zamknięciu, ukryciu i ujawnieniu zawartej w nich miękkości.

Abberlaine krzyczy, wypręża grzbiet, z głową odrzuconą do tyłu, włosami wiszącymi między łopatkami, rozczapierzonymi palcami, wyciągniętymi z tyłu ramionami. Podnoszę ją, nagle uświadomiwszy sobie, że jestem w niej, wewnątrz tej budowli z ciemnych materiałów. W momencie gdy wyprężam się, przejmując jej ciężar, uzmysławiam sobie obecność mostu, wznoszącego się nad nami w szarości wieczoru, z własnymi wzorami, krzyżującymi się elementami i masą iksów, własnymi stopami, nogami i zrównoważonymi naprężeniami, własnym charakterem, powierzchownością i życiem; nad nami, nade mną, napierającego. Usiłuję utrzymać ten przygniatający ciężar – Abberlaine wygina się jeszcze bardziej, krzycząc; ściska mnie dłońmi za kostki, po czym osuwa się w dół, jęcząc jak rozpadająca się budowla, a mój zaborczy dodatek do ciała dziewczyny (prawdziwy człon konstrukcji) drga własnym szybkim rytmem.

Abberlaine opada na mnie, dysząc i rozluźniając mięśnie rąk i nóg. Leży na mnie i ciężko oddycha, jej pachnące włosy łaskoczą mnie w nos.

Wszystko mnie boli. Jestem wyczerpany. Czuję się tak, jakbym właśnie zerznął most.

Zostaję w niej. Po chwili czuję ucisk na wiotczącym członku. To wystarcza. Znowu zaczynamy się ruszać, tym razem wolniej, delikatniej.

Później, w łóżku, które było zimne, ale które szybko się ogrzewa, ostrożnie zdejmuję resztki czarnego materiału (dochodzimy do wniosku, że dzięki temu dokładniej określimy strefy zintensyfikowanego programu pieszczot). Ten ostatni raz trwa najdłużej i zawiera, niczym najlepsze dzieła, wiele różnych partii i zmian tempa. Jednak jego punkt kulminacyjny wywołuje we mnie przygnębienie; coś odbiera mu całą radość, czyni przerażającym, straszliwym.

Abberlaine leży pode mną. Ręce zaciska na moich plecach, pod koniec oplata mnie szczupłymi, mocnymi nogami, napierając na krzyż i pośladki.

Mój orgazm jest ledwie wyczuwalny; drobna wydzielina gruczołów, obcy sygnał z odległych obszarów. Krzyczę, ale nie z rozkoszy, nawet nie z bólu. Ten uścisk, ta presja, to panowanie nade mną, jak gdybym był ciałem do ubrania, zawinięcia, opasania i zapaczkowania, oblico-wania i obszycia galonem, przeszywają mnie czymś druzgocącym: wspomnieniami. Dawnymi i świeżymi, bladymi i odrażającymi zarazem; strach przed uwięzieniem i nadzieja na uwolnienie zwierzęcia i maszyny oraz zazębiających się struktur; początek i koniec.

Schwytany w pułapkę. Zdruzgotany. Chwilowa śmierć i to uwolnienie. Dziewczyna trzyma mnie jak klatka.

–Muszę już iść. – Abberlaine wyciąga dłoń, gdy wraca od kominka ze swoimi rzeczami; chwytam ją i ściskam. – Żałuję, że nie mogę zostać -dodaje, patrząc ze smutkiem i przyciskając kurczowo nieliczne wiotkie części garderoby do białego ciała.

–Nie ma sprawy.

Tylko na parę godzin. Rodzina oczekuje jej teraz. Ubiera się, pogwizdując, nie zażenowana. Z daleka dolatuje dźwięk rogu mgłowego. Za okiennicami jest zupełnie ciemno.

Szybka wycieczka do łazienki; znajduje grzebień, wymachuje nim triumfalnie. Jej włosy są niesamowicie splątane i musi cierpliwie siedzieć w płaszczu na skraju łóżka, podczas gdy ja ostrożnie rozczesuję je i na nowo wygładzam. Abberlaine wsuwa rękę do kieszeni płaszczu i wyciąga z niej małą paczkę cienkich cygar oraz zapałki.

Marszczy nos.

–W całym mieszkaniu pachnie seksem – oznajmia, wyjmując cygaro.

–Niemożliwe, naprawdę?

Odwraca się, by na mnie spojrzeć, i podaje mi paczkę; kręcę głową.

–Hmm. Oburzające zachowanie – oświadcza, zapalając cygaro.

Czeszę jej włosy, usuwając splątane owoce owego zachowania. Abberlaine wydmuchuje kółka z dymu cierpliwie ku sufitowi. Kładzie dłoń na mojej ręce i przesuwa ją razem z grzebieniem. Wzdycha.

Pocałunek przed wyjściem; umyta twarz, oddech pachnący szarym dymem.

–Zostałabym, gdybym mogła.

–Nie przejmuj się. Przecież byłaś tu przez pewien czas. Najważniejsze, że przyszłaś.

Chciałbym powiedzieć więcej, ale nie potrafię. Ten paniczny strach przed zmiążdżeniem, schwytaniem w pułapkę, wciąż mi towarzyszy, niczym echo wciąż rozbrzmiewające w głębi mojej świadomości. Całuje mnie na odchodnym.

Po jej wyjściu leżę przez chwilę w dużym, stygnącym łóżku, słuchając rogów mgłowych. Jeden buczy całkiem blisko; jeżeli mgła się nie rozwieje, chyba nie będę mógł zasnąć. W powietrzu unosi się słaby, zanikający ślad dymu. Wyblakłe kręgi na suficie wyglądają jak kółka dymu odcisnięte tam niczym piętno przez cygaro Abberlaine Arrol. Oddycham głęboko, usiłując wychwycić ostatnie ślady jej perfum. Ma rację; w pokoju rzeczywiście pachnie seksem. Czuję pragnienie i głód. Jest dopiero środek wieczoru; wstaję i biorę kąpiel, a potem ubieram się z uczuciem przyjemnego zmęczenia. Gaszę światła, otworzywszy już drzwi od frontu, gdy spostrzegam poświatę w drzwiach po drugiej stronie zagraconego pokoju. Zamykam drzwi i idę zbadać, co się stało.

To dawna biblioteka, z pustymi półkami. W jednym jej końcu stoi włączony telewizor. Mam wrażenie, że serce podeszło mi do gardła, ale po chwili zdaję sobie sprawę, iż obraz jest inny niż zwykle. Ekran jest biały, przedstawia gruboziarnistą pustkę. Podchodzę, by wyłączyć telewizor, ale zanim jestem w stanie to zrobić, coś ciemnego przesłania pole widzenia, po czym się cofa. Ręka. Obraz drga. a potem zastyga na mężczyźnie w łóżku. Jakaś kobieta odsuwa się przed kamerą; staje na skraju kadru. Podnosi szczotkę i przeciąga nią powoli przez włosy, wpatrując się w coś, co pewnie jest lustrem na ścianie. Poza tym obraz zmienił się tylko trochę: fotel został przesunięty, a pościel nie jest ułożona tak starannie jak przedtem.

Po pewnym czasie kobieta odkłada szczotkę, pochyla się do przodu z ręką przy czole, po czym znowu się odsuwa. Podnosi szczotkę i w postaci ciemnej rozmazanej plamy przesuwa się przed kamerą. Nie jestem w stanie dokładnie się przyjrzeć jej twarzy.

Mam sucho w ustach. Kobieta pojawia się ponownie przy chorym, ubrana w ciemny płaszcz. Stoi i patrzy na mężczyznę, a potem pochyla się i całuje go w czoło, odgarniając zeń jednocześnie kosmyk jego włosów. Podnosi torebkę z podłogi i wychodzi. Wyłączam telewizor.

Na ścianie kuchni wisi telefon. W słuchawce słychać znajomy sygnał, niezbyt regularny, chyba trochę częstszy niż poprzednio.

Wychodzę z mieszkania i windą jadę na pomost kolejowy.

Jest mglisto; światła wycinają z gęstej mgły żółte i pomarańczowe stożki. Obok, pobrząkując i gwizdząc, przejeżdżają tramwaje i pociągi. Wędruję po zewnętrznej stronie dźwigara mostu, z dłonią na wysokiej poręczy na skraju chodnika. Mgła przepływa powoli przez kratownice dźwigarów; z ukrytego w niej morza dolatuje buczenie rogów mgłowych.

Mijają mnie ludzie, głównie kolejarze. Wyczuwam we mgle parę oraz swąd spalonego węgla i oleju napędowego. W kolejowym hangarze siedzą wokół stołów umundurowani ludzie czytający gazety, grający w karty i popijający z dużych garnuszków. Idę dalej. Most drży pod moimi stopami, a skądś przede mną dolatuje zgrzytliwy, metaliczny łoskot. Rozbrzmiewa echem na całym moście, odbijając się od dobudowanych konstrukcji architektonicznych, przewalając przez stężałe od mgły powietrze. Kroczę przez gęstą ciszę, po czym, jeden po drugim, rozlegają się dźwięki rogów mgłowych. Słyszę, jak przejeżdżające w pobliżu pociągi i tramwaje zwalniają i się zatrzymują. Przede mną ozywają syreny i klaksony.

Idę samym skrajem mostu przez jarzącą się mgłę. Nogi znowu mnie boją, w piersi czuję tępe, jakby współczujące pulsowanie. Myślę o Ab-berlaine; wspomnienie o niej powinno poprawić mi samopoczucie, ale tak nie jest. To się stało w domu, w którym straszy; duchy tego bezsensownego zakłócenia na linii i nie zmieniające się niemal obrazy były tam cały czas, na wyciągnięcie ręki, na przekręcenie wyłącznika, przypuszczalnie nawet wtedy gdy po raz pierwszy ją pocałowałem, nawet w chwili gdy zacisnęła ramiona i nogi na moim ciele, a ja krzyczałem z przerażenia.

Pociągów teraz nie słychać; od paru minut nie przejechał obok mnie ani jeden. Klaksony i syreny konkurują z wyjącymi rogami mgłowymi.

Owszem, z rozkoszą snułbym to świeże wspomnienie, rzeczywiście bardzo słodkie i dobre, ale coś we mnie nie chce do tego dopuścić; staram się odtworzyć zapach,

dotyk i ciepło Abberlaine, ale pamiętam jedynie tę kobietę spokojnie szczotkującą włosy, patrzącą w niewidoczne lustro i szczotkującą bez ustanku. Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądał pokój, ale widzę go tylko w czerni i bieli, jedynie łóżko w nieładzie, a w nim mężczyznę.

Pociąg mija mnie we mgle, błyskając światłami, kierując się w stronę wciąż wyjących syren.

Co teraz? Och, więcej, o wiele więcej tego samego, mówi ta świeżo zaspokojona część mojej świadomości; proszę o całe noce i dni tego,

tygodnie i miesiące. Ale czego konkretnie? Następnej rozrywki, czegoś poza zaginionymi bibliotekami, niepojętymi misjami lotniczymi i zmyślonymi snami?

Tak czy inaczej, nie wyobrażam sobie, by z tego wyniknęło wiele dobrego.

Idę dalej, w kłębiące się mgły, w narastający zgiełk syren, wrzasków i trzaskającego ognia w płonącym wraku pociągu.

Najpierw spostrzegam płomienie, wznoszące się we mgle niczym grube, drżące maszty. Dym kłębi się jak zagęszczony cień we mgle. Krzyczą ludzie, błyskają światła. Paru kolejarzy mija mnie biegiem, kierując się w stronę wraku. Widzę tył pociągu, który przejechał obok mnie przed paroma minutami; to pociąg ratowniczy, załadowany żurawiami, wężami i z wagonami szpitalnymi w składzie. Powoli przesuwają się po torze, znikając za wagonami towarowymi następnego pociągu, stojącego dwa tory dalej, bliżej mnie; parę pierwszych jego wagonów wygląda normalnie, nadal stoją na szynach, ale trzy następne wypadły z toru, ich koła spoczywają w metalowych korytach, zgrabnie zakleszczone zgodnie z zamysłem projektantów mostu. Wagon za nimi stoi ukośnie względem toru, każda z jego osi obejmuje swymi kołami jedną szynę. Każdy następny wagon jest bardziej uszkodzony od poprzedniego. Płomienie nadal wznoszą się przede mną; znajduję się blisko ich źródła, czuję na twarzy żar, przebijający się przez mgłę. Zastanawiam się, czy nie powinienem się wycofać; przypuszczalnie nie jestem tu potrzebny. We mgle trudno się zorientować, ale chyba znajduję się przy końcu tego segmentu, w miejscu, gdzie most zwęża się niczym rozdęta klepsydra, aż do mostu w moście, którym jest przęsło łączące.

Tutaj, gdzie sieć zwrotnic prowadzi tory z głównego segmentu mostu w kierunku przewężenia na przęsło łączącym, z którego tylko parę linii dociera do następnego segmentu, wagony są porzucane na torach. Po tej stronie wykolejonego pociągu jest nieznośnie gorąco; strumienie wody z pociągu ratowniczego z drugiej strony wraku spadają łukiem na płonące wagony towarowe, sycząc na ich rozgrzanym drewnie i metalowych ramach. Kolejarze z gaśnicami chodzą tam i z powrotem, inni rozwijają brezentowe węże i podłączają je do hydrantów. Płomienie kołyszą się i drżą;

ogień syczy pod uderzeniami wody. Przyśpieszam kroku, by uciec od żaru płomieni. Woda płynie korytami przy szynach i kanałami spustowymi pomostu, parując pod ciężkimi falami ciepła, jeszcze bardziej zagęszczając mgłę i wznoszący się czarny dym.

Coś zapaliło się nad płonącym pociągiem i spada ognistymi kroplami na piec roztrzaskanych wagonów.

Gdy mijam jedną z syren zawodzących we mgle na stanowisku przy torze, muszę zatkać uszy rękami. Obok mnie z krzykiem przebiegają następni kolejarze. Ogień płonie teraz za moimi plecami, wypełniając swym trzaskiem zaśmieconą przestrzeń dźwigara. Przede mną roztrzaskany pociąg leży na boku, poskręcany i przekrzywiony, rzucony w poprzek torów niczym coś spuszczonego z góry, niczym martwy wąż; korpusy rozbitych wagonów to jego połamane żebra.

Za nim widzę jeszcze jeden pociąg – większy i z długimi przeszklonymi wagonami zamiast wagonów towarowych o pełnych ścianach. Ludzie tłoczą się wokół ich rozdartych blach w miejscu, gdzie zlewają się z długim, wciąż masywnym kształtem lokomotywy pociągu towarowego, wbitej w jeden z długich wagonów. Widzę ludzi wyciąganych z wraku. Obok toru leżą nosze; w pobliżu słychać następne klaksony, zagłuszające rogi mgłowe. Obłędna energia tej rozpaczliwej sceny zatrzymuje mnie w miejscu; obserwuję akcję ratowniczą. Z pociągu osobowego wynoszone są następne jęczące i zakrwawione osoby. We wraku za mną następuje eksplozja; ludzie biegną ku tej nowej scenie katastrofy.

–Ty! – krzyczy do mnie jeden z ratowników; klęczy przy noszach, trzymając zakrawioną ramię jakiejś kobiety, podczas gdy drugi mężczyzna zawiązuje na nim opaskę uciskową. – Pomóż nam i chwyć nosze z jednej strony, dobrze?

Przy torach leży ich z dziesięć, może dwanaście; ratownicy podbiegają i je wynoszą, lecz wiele osób leży dalej w oczekiwaniu na swoją kolej. Przechodzę przez balustradę z chodnika na torowisko, podchodzę do noszy i pomagam kolejarzowi zanieść ранnego do pociągu ratowniczego, w którym odbierają go sanitariusze.

W rozbitym pociągu towarowym słychać następny wybuch. Gdy wracamy z następną ofiarą, pociąg ratowniczy został już odsunięty dalej od groźby wybuchów; musimy nieść nosze z jęczącym i krwawiącym człowiekiem o dwieście metrów dalej, do końca pociągu towarowego, gdzie wyręczają nas sanitariusze. Wracamy biegiem do pociągu osobowego.

Następny ranny równie dobrze może już nie żyć; krew wylewa się z niego, gdy tylko go podnosimy. Kierujący nami urzędnik kolejowy nakazuje zanieść go nie do pociągu ratowniczego, lecz do innego, usytuowanego po przeciwnej stronie.

To ekspres, zatrzymany przez wypadek, zabiera niektóre z ofiar do najbliższego szpitala. Wnosimy naszego rannego. W pomieszczeniu, które przypomina komfortowy wagon restauracyjny, jakiś lekarz wędruje od ofiary do ofiary. Układamy naszego pacjenta na białym obrusie. Zaczyna bryzgać krwią w chwili, gdy lekarz dociera do naszego stołu. Naciska szyję mężczyzny i przytrzymuje rękę; nawet nie zauważyłem, że to stamtąd płynie krew. Doktor spogląda na mnie; jest młodym człowiekiem. Sprawia wrażenie przerażonego.

–Niech pan tu przytrzyma – mówi; muszę przyłożyć dłoń do szyi mężczyzny i czekać na powrót lekarza. Mój współnoszowy wybiega z wagonu. Zostaję z mężczyzną leżącym na obiadowym stoliku. Jego krew spływa mi po rękach, gdy zmniejszam ucisk lub próbuję znaleźć lepszy punkt oparcia na poszarpanym kawałku skóry wyrwanym z jego szyi. Uciskam, napieram, robię, co mi każą, i patrzę na twarz mężczyzny, bladego od upływu krwi, nieprzytomnego, lecz mimo to cierpiącego, uwolnionego od wszystkich masek, jakie przywdziewał na spotkanie ze światem, sprowadzonego do czegoś żalosego i zwierzęcego w swojej agonii.

–OK, dzięki.

Lekarz wrócił z pielęgniarką; mają bandażę, sącze, butelki i igły. Przejmują opiekę.

Odchodzę między skowyczącymi rannymi. Trafiam do wagonu osobowego, opuszczonego i nie oświetlonego. Robi mi się słabo i siadam na chwilę, po czym, gdy wstaję, udaje mi się jedynie dojść chwiejnym krokiem do toalety na końcu wagonu. Myję ręce, czekając aż moje serce dostosuje się do wymagań, które stawia mu ciało. Gdy czuję się gotów znowu wstać, pociąg rusza.

Gdy zwalnia, wracam do wagonu restauracyjnego; pielęgniarki i pomocnicy ze szpitala wciskają się do środka i biorą nosze. Trzy pielęgniarki i dwaj pomocnicy zmierzający ku najbliższym drzwiom każą mi zejść z drogi; niosą ranną rodzącą kobietę. Muszę cofnąć się w stronę toalety.

I siedzę w niej, myśląc.

Nikt mnie nie niepokoi. W pociągu robi się bardzo cicho. Wagon wpada parę razy w drgania i szarpie. Słyszę krzyki za półprzezroczystym oknem, ale wewnątrz panuje cisza. Idę do wagonu restauracyjnego; teraz wygląda inaczej -jest świeży, czysty i pachnący pastą do podłóg. Gasną światła. Białe stoliki wyglądają upiornie w świetle rzucanym przez lampy mostu, nadał zasnutego mgłą.

Czy powinienem teraz wysiąść? Poczciwy doktor chciałby, żebym to zrobił, Brooke także; podobnie – mam nadzieję – chciałaby Abberlaine Arrol.

Ale po co? Wszystko, co robię, to kolejne gry: z doktorem, z Broo-kiem, z mostem, z Abberlaine. Wszystkie bardzo ciekawe, a z nią wspaniałe, jeśli nie liczyć tego

powracającego echem wspomnień przerażenia...

Mam więc jechać? Mógłbym. Czemu nie?

I oto znajduję się w przedmiocie przeistoczonym w miejsce, łączniku przemienionym w siedzibę, w środkach, które stały się celem, i na szlaku przekształconym w miejsce przeznaczenia... W tym długim symbolu fallicznym, wetkniętym między nogi naszej wielkiej żelaznej ikony. Jakże kusząca jest perspektywa pozostania tu i wyjazdu, śmiałego wojażu bez pozostawionej w domu kobiety. Miejsce i przedmiot oraz przedmiot i miejsce. Czy to naprawdę jest takie proste? Czy kobieta jest miejscem, a mężczyzna tylko przedmiotem?

Na Boga, młody człowieku-ja-chłopcze, oczywiście, że nie! Ho, ho, ho, cóż za nedorzeczny pomysł! To wszystko jest znacznie bardziej ucywilizowane... A jednak, właśnie dlatego, że wydaje mi się to takie niesmaczne, podejrzewam, że być może coś w tym jest. Cóż więc reprezentuję sobą, siedząc tutaj, w pociągu, wewnątrz symbolu? Dobre pytanie, odpowiadam sobie. Dobre pytanie. I wtedy pociąg znowu rusza.

Siedzę przy stole, obserwując ciąg wagonów za oknem; powoli nabieramy prędkości i zostawiamy za sobą drugi pociąg, stojący na bocznym torze. Potem znowu zwalniamy; przyglądam się miejscu, w którym doszło do zderzenia. Poprzewracane wagony towarowe leżą bezładnie obok toru, skrzyżowane szyny sterczą z uszkodzonego pomostu niczym wygięte druty, a dymiące rumowisko dopala się w ulatującej do góry mgłę w jasnym świetle lamp łukowych. Wagon trzęsie się delikatnie, gdy pociąg przyśpiesza.

Światła migocą we mgłę; nie zwalnając, przejeżdżamy przez główną stację segmentu, obok innych pociągów, obok lokalnych tramwajów, wśród światła ulic, przejazdów i okolicznych budynków. Wciąż nabieramy szybkości. Gdy pociąg zbliża się do końca segmentu, światła zaczynają rzędnąć. Obserwuję je jeszcze przez chwilę, po czym idę na koniec wagonu, do miejsca, gdzie znajdują się drzwi. Otwieram okno i wpatruję się w mgłę przemykającą obok z łoskotem odmierzonym przez niewidoczną konstrukcję mostu, odtwarzającym szaleńczy pęd pociągu w zależności od gęstości węzłów dźwigara i zabudowy wzdłuż

toru. Światła ostatnich paru budynków zostają w tyle. Rozluźniam szpitalną bransoletkę identyfikacyjną i powoli, liżąc skórę, gdy się zatrzymuje, przesuwam ją po przegubie. W końcu, nie bacząc na ból, ściągam ją z ręki, kalecząc dłoń.

Przejeżdżamy po przęśle łączącym. Oczywiście wciąż pozostaję w dozwolonych granicach określonych na bransoletce, małej plastikowej obróżce z moim nazwiskiem. Po tak długim czasie, bez niej czuję się dziwnie. Jak nagi.

Wyrzucam bransoletkę przez okno, w mgłę; ginie mi z oczu w chwili, gdy traci kontakt z dłonią.

Zamykam okno i wracam do przedziału, by odpocząć i zobaczyć, jak daleko zajadę.

Eocen

...czy mikrofon jest włączony?

A widzisz?! Tak, a więc... nie ma się czego obawiać, wcale nie jestem speszony, w żadnym razie, naprawdę. Wszystko idzie świetnie, nad wszystkim panuję. Absolutnie cudownie, pełna kontrola. Pod każdym względem. Wiedziałem, że przez cały czas był włączony. Tylko cytuję nieśmiertelnego... Co to takiego? OK, OK... Przepraszam, to śmiertelny Jimi Hendrix, naprawdę. Zaraz, zaraz, o czym to ja mówiłem? No właśnie.

Cóż, stan pacjenta jest stabilny; nie żyje. Już bardziej, kurwa, stabilny być nie może, prawda? Owszem, w porządku, rozkład i tak dalej; i tak tylko żartowałem, to tylko taki mój żarcik. Chryste, niektórzy ludzie nie mają poczucia humoru; uspokójcie się tam z tyłu.

Znowu w ruchu, panowie. Skąd dokąd? Cholernie trafne pytanie.

Cieszę się, że mnie o to zapytaliście. Czy ktoś zna odpowiedź. Nikt?

Psiamać! No dobra.

Dokąd oni mnie zabierają? Czym sobie na to wszystko zasłużyłem? A kto mnie zapytał, sukinsyny? Czy ktoś mnie pytał? Co? Czy ktoś pomyślał, by powiedzieć: – Pozwolisz, że przeniesiemy cię; jak masz na nazwisko? – Hmm? Nie. Może byłem szczęśliwy tam, gdzie mieszkałem; czy w ogóle przyszło wam to do głowy?

No cóż, możecie robić mi lewatywę, obracać jak omlet i grzebać w moim ciele, tracić czas i łątać mnie po kawałku oraz pompować we mnie Bóg jeden wie co i uciskać mnie, i szczypać całą resztę, ale nie możecie mnie usidlić, nie możecie znaleźć, nie możecie do mnie dotrzeć. Jestem tutaj, na czele, jestem dowódcą, nie do zranienia.

I cóż to za paskudna sztuczka, jakże typowe, podstępne, skrywane, zamaskowane niezrozumienie ze strony samej złej królowej. Jak mogła tak się poniżyć? (No cóż, sam pochylasz się w ten sposób...) Tak podburzyć przeciwko mnie tych przeklętych barbarzyńców, ha! Nie mogła wymyślić nic lepszego?

Pewnie nie. Nigdy nie miała bujnej wyobraźni. No chyba że w łóżku (lub innym miejscu). Nie, to nieprawda. Jestem rozdrażniony; jasny to jasny (odkryłem, że często z lekką domieszką, z drobnym odcieniem, mikroskopijnym śladem czerwieni, ale mniejsza o to).

Ale co za chamstwo, żeby wzniecić taki bunt. Oczywiście to nie przypadek, ale ty znowu

swoje. Co teraz nie gra? Boże mój, czy człowiek nie może pogadać przez chwilę sam ze sobą, bez

–znowu! Co się tutaj dzieje, do ciężkiej cholery? Za kogo wy mnie macie, niezdarne sukinsyny? To część...

przestaniecie wreszcie?! Koniec z biciem! To boli! To część kuracji, nieprawdaż? Gdybym naprawdę chciał, to bym wstał i porządnie zło-il wam skórę, chamy jedne, zapewniam was! Tyłek! Każ go zaszyć, łomie.

Dzięki Bogu wreszcie przestało, tylko drobny ruch poprzeczny, nic poważnego; może jestem na łodzi lub czymś podobnym. Trudno powiedzieć.

Nie, to nie łódź, kołysanie jest tłumione; coś z zawieszeniem, z amortyzatorami. Pisk? Czy słyszę głosy? (Cały czas, doktorku. To one kazały mi to zrobić. To nie moja wina. Doskonale alibi, niewzruszona obrona).

Zgwałcona! Co za cholerny tupet! Wniosę skargę (więc każ to zaszyć, Jemimo. Jaja zaszyję. Skargę? Nie, przepraszam, to nie jest zabawne, ale mówię poważnie! Cóż za kompletnie popieprzona bzdurna wolność, co?).

Nigdy nic dla mnie nie znaczyła. Ani prawdopodobnie dla niej. Była pisarką. O tak, opowiedziałem jej kiedyś. Śmiała się i wszystko to wy-kalkulowaliśmy. Nie tylko literatura, ale i znaki, pokażę ci.

Pod każdym kolanem H, z tyłu jej tyłka +, jej nozdrza były,s (mam nadzieję, że to nie staje się dla ciebie zbyt pogmatwane), talia)(, a najwyższa pozycja przypadła w udziale V (w planie, zwróconemu na zewnątrz) oraz! (elewacja frontowa). Potem oczywiście przemyślała to wszystko i zwróciła uwagę, że ma także a: i zwykłe.s (aczkolwiek były to kalambury, a nie znaki -jak już powiedziałem, była pisarką). Mniejsza o to. Śmiało! Ja robiłem za j (ona za O).

No cóż, uwaga. Ruszamy. Wrum-wrum, znowu częścią maszyny, wszystko podłączone i jest dokąd pójść (Ja – żołądek, ja – żołądek? Ni-

1 CO

gdy nie sprzedawaj lodów w tym tempie, łomie. Poproszę Kanapkę z Dżemem. Mnóstwo malin). Będzie śmiech, jeżeli się zderzymy. Mam nadzieję, że nie via most (Ojej, Charonie, przepraszam za to, ale co z tym zwiększonym ostatnio ruchem...). Nie wiem, może już nie żyję, a może im się tak wydaje. Trudno powiedzieć (wcale nie). Jakbym stracił orientację. Wszystko jest trochę urazowe (Uraz? Uraza? Po prostu więcej liter; rew rewę lacja re ref reiw o'lucja ple ple ple...).

(co on gada?)

–ple ple ple –

spora poprawa)

Powinieneś widzieć mnie przedtem. Wyglądałem imponująco. No cóż, tak też sądziłem. Rew la reve. Wiesz, dokowanie odbywa się po pochylni. Miał dwa jest twa. To znaczy nie jedno i, ale dwa: i i. Bądź ii (no cóż, daj spokój, możesz mieć rzymski nos to czemu nie rzymskie oczy nie rób mi z tym trudności nie jestem zdrowym człowiekiem). Tak tak. Tak po prostu.

Psiakrew, to piszczy. Mogłem się domyślić. Historia mojego pieprzonego życia. Nie ma żadnej sprawiedliwości na świecie (no cóż, jest, ale spada niczym rzęsy deszcz z chmur warstwowych tego świata; kapryśnie, powodując sporadyczne powodzie po trwających dziesiątki lat suszach).

Tak czy owak, o czym to ja mówiłem? A właśnie, znajdujemy się w maszynie, przyjemnie ulokowani i w ogóle, i dryfujemy. Miejmy nadzieję, że nie via wiesz-o-czym-myślę. To mi przypomina pewną historię. Zwyczajną, nic specjalnego. Nie ma w niej strzelaniny ani ekscytujących pogoni samochodem, ani nie dzieje się nic podobnego (przykro mi). Właściwie to nawet nie jest prawdziwa opowieść, jeśli mam być szczery, a raczej historia. Biografia... ale tak czy owak, to jest...

O trzy...

poczekaj, synu. Dokonuję tu prezentacji, więc przestań, dobrze? Chryste, nie można nawet dokończyć zdania bez...

Otrzymała

dostaniesz za chwilę za swoje, łomie, jeżeli nie zamkniesz

Otrzymała dyplom

czy to ja? Naprawdę? Czy mój głos się nie niesie czy co?

O trzy...

tak, otrzymała dyplom. Wiemy. Więc mów dalej, wal śmiało, czuj się jak u siebie. Chryste, niektórzy ludzie są tak kurewsko nie

Otrzymała dyplom i literki po nazwisku; stroiła sobie niewinne żarty ze swojego nowego tytułu i znalazła inne symbole na określenie samej siebie. On opuścił pokój przy Sciennes Road i wynajmował obecnie małe mieszkanie w Canonmills. Andrea właściwie wprowadziła się do niego, choć

zatrzymała mieszkanie na Comely Bank. Jej kuzynka z Inverness imieniem Shona mieszkała w nim, gdy poszła do kolegium wychowania fizycznego w Cramond, mieście, z którego pochodziła rodzina Andrei.

On nadal musiał pracować w czasie wakacji, a ona nadal spędzała swoje za granicą z krewnymi i przyjaciółmi, co wzbudzało w nim zazdrość i zawiść. Ilekroć jednak znowu się spotykali, było tak jak przedtem, i w pewnym momencie – nigdy nie zdołał określić kiedy dokładnie – zaczął myśleć o ich związku jako czymś, co może potrwać dłużej niż tylko do końca następnego semestru. Zamierzał nawet zaproponować, żeby się pobrali, ale poczucie pewnej dumy nie pozwalało tolerować myśli o tym, że w ten sposób zostanie ugłaskane państwo; kościół znacznie mniej. To, co miało znaczenie, znajdowało się w ich sercach (a raczej w umysłach), nie w jakimś rejestrze. Poza tym, przyznawał w duchu, Andrea prawdopodobnie by odmówiła.

Sądził, że przestali już być hipisami; o ile byli nimi kiedykolwiek. Moc kwiatów... No cóż, ludzie różnie to określali: zwiędła, poszła w ziarno, rozkwitła i znikła – on sam zasugerował kiedyś, że kwiaty straciły zapach.

Andrea ciężko pracowała na dobrą ocenę na dyplomie i po promocji zrobiła sobie rok wolnego; on kończył swoje studia. Wyjeżdżała na krótkie wakacje do ludzi mieszkających w innych rejonach Szkocji, w Anglii i w Paryżu oraz na dłuższe wycieczki do Stanów, Europy i Związku Sowieckiego. Odnowiła znajomość z przyjaciółmi z Edynburga, gotowała mu, gdy się uczył, odwiedzała matkę, czasem grywała w golfa z ojcem – z którym, jak się ze zdumieniem przekonał, potrafił dość swobodnie rozmawiać – i czytała powieści po francusku.

Z ZSRR wróciła z niezłomnym postanowieniem, że nauczy się rosyjskiego. Czasem, gdy wracał do domu, zastawał ją ślęczącą nad powieściami i podręcznikami pełnymi dziwnych, na wpół znajomych liter cyrylicy, ze zmarszczonym czołem i ołówkiem nad notesem. Unosiła głowę, z niedowierzaniem spoglądała na zegarek i przepraszała, że nic mu nie przyrządziła; on mówił, żeby nie plotła głupstw, i sam robił coś do jedzenia.

Dzień rozdania dyplomów spędził w Royal Infirmary, dochodząc do zdrowia po wycięciu wyrostka robaczkowego. Jego rodzice i tak poszli na uroczystość, po to tylko, by usłyszeć, jak wyczytują jego nazwisko. Andrea zaopiekowała się nimi; świetnie się dogadywali. Nawet gdy spotkali się ich rodzice, ze zdumieniem spostrzegł, że gawędzą ze sobą jak starzy znajomi; było mu wstyd, że wstydził się własnej matki i ojca.

Stewart Mackie poznał Shonę, kuzynkę Andrei z Inverness; pobrali się na pierwszym roku studiów podyplomowych Stewarta. On był drużbą Stewarta, Andrea druhną Shony. Oboje wygłosili przemówienia na przyjęciu; jego było lepiej przygotowane, ale jej zostało najlepiej wygłoszone. Siedział i przyglądał się, jak stoi i przemawia, i zdał sobie sprawę, jak bardzo ją kocha i podziwia. Był nawet z niej dumny, aczkolwiek uważał, że duma to niestosowne uczucie. Andrea usiadła przy entuzjastycznych oklaskach. Uniósł ku niej swój kieliszek. Mrugnęła doń w odpowiedzi.

Parę tygodni później powiedziała mu, że myśli o wyjeździe do Paryża, żeby studiować język rosyjski. Najpierw pomyślał, że żartuje. Wtedy jeszcze wciąż szukał pracy. Snuł plany wyjazdu razem z nią – mógłby ewentualnie przejść przyśpieszony kurs francuskiego i poszukać tam pracy – i wtedy zaproponowano mu dobrą posadę w firmie projektującej elektrownię; musiał ją przyjąć.

–Trzy lata – powiedziała Andrea. – To tylko trzy lata.

–Tylko? – odparł.

Próbowała go znęcić perspektywą wspólnych wakacji w Paryżu, ale to nie dodało mu otuchy.

Tak czy owak, on był bezsilny, a ona zdecydowana.

Nie miał zamiaru odwozić jej na lotnisko. Za to wieczorem w przeddzień jej wyjazdu pojechali mostem do hrabstwa Fife i dalej, drogą wzdłuż wybrzeża, do małej restauracji w Culross. Wzięli jego samochód; dzięki swej świeżo uzyskanej zamożności człowieka zatrudnionego kupił na kredyt małe BMW. W czasie kolacji oboje zachowywali się sztucznie, a on wypił za dużo wina; Andrea zachowała trzeźwość przed lotem następnego dnia – uwielbiała podróżować samolotem, zawsze zajmowała miejsce przy oknie – więc prowadziła z powrotem. On zasnął w samochodzie.

Gdy się zbudził, pomyślał, że stoją przed mieszkaniem w Canonmills lub jej dawnym lokum na Comely Bank, lecz w oddali, po drugiej stronie rozciągającej się przed nimi ciemnej wody, migotały światła. Zanim Andrea wyłączyła reflektory, spostrzegł, że nad nimi wznosi się coś ogromnego, masywnego i zwiewnego zarazem.

–Gdzie my, u diabła, jesteśmy? – zapytał, przecierając oczy i rozglądając się dookoła.

Andrea wysiadła z samochodu.

–W North Queensferry. Chodź i obejrzyj most – odparła, wkładając żakiet.

Spojrzał sceptycznie przez okno; noc była zimna i zanosilo się na deszcz.

–Chodź! – zawołała. – To ci rozjaśni umysł.

–Rewolwer też, kurwa, by to zrobił – mruknął, wysiadając z auta. Mijali tablice ostrzegające ludzi przed przedmiotami spadającymi

z mostu i takie, które oznajmiały, że teren za nimi jest prywatny, aż doszli do zwirowego kolistego placu, paru starych budynków, małej pochylni, skał porośniętych trawą i kolcolistem zachodnim oraz okrągłych granitowych filarów samego mostu kolejowego. Uderzenie deszczu niesionego przez silny wiatr sprawiło, że zadrżał. Spojrzał w górę, gdzie wicher jęczał między kratownicami konstrukcji. Wody zatoki Forth zagłuszały go, uderzając w pobliskie skały; światła boi pulsowały powoli na ciemnej rzece i w jej szerokim ujściu. Odległy most drogowy tworzył wysoką pajęczynę światła i mrukliwe tło muzyczne dla wiatru i wody. Andrea uniosła rękę.

–Lubię to miejsce – wyjaśniła i objęła go, dygocząc z zimna.

Trzymał ją, lecz patrzył na stalową pajęczynę nad głową, zauroczony jej mroczną siłą. Trzy lata, pomyślał. Trzy lata w innym mieście.

–Runął most Tallahatchie – rzekł w końcu, bardziej do zimnego wiatru niż do Andrei.

Spojrzała na niego, wtuliła zimny nos w schludne resztki wspaniałej brody, którą wytrwale zapuszczał przez ostatnie dwa lata. i zapytała:

–Słucham?

–Most Tallahatchie. „Ode to Billy Joe” Bobbiego Gentry, pamiętasz? Zawalił się. – Wydobył z siebie krótki rozpaczliwy śmiech.

–Ktoś został ranny? – zapytała i przytknęła zimne wargi do jego szyi.

–Nie wiem – odparł, nagle bardzo posmutniawszy. – Nawet nie pomyślałem, żeby to sprawdzić. Widziałem tylko nagłówek.

Po moście przejechał z łoskotem pociąg, wypełniając nocne powietrze głosami ludzi zmierzających do innych miejsc. Zastanawiał się, czy któryś z pasażerów będzie pamiętał o starej tradycji i wyrzuci monetę ze swojego przytulnego, ciepłego wagonu, składając daremne życzenie w obojętnych wodach zimnej zatoki.

Nie powiedział o tym Andrei, ale pamiętał, że przed wieloma laty był tutaj, w tym samym miejscu. Stryj, który miał samochód, zabrał w lecie jego i jego rodziców na przejażdżkę po Trossachs, a następnie do hrabstwa Perth. Wracali tędy, zanim jeszcze w 64 roku otwarto most dro-

gowy – chyba zanim jeszcze zaczęli go budować; był wolny dzień i długa na milę kolejka samochodów czekających na promy. Zamiast na prom, stryj przywiózł ich tutaj, żeby popatrzyli na „jeden z najwspanialszych pomników Szkocji”.

Ile miał wtedy lat? Nie wiedział. Może tylko pięć lub sześć. Ojciec trzymał go na ramionach; dotykał chłodnego granitu podpór i sięgał wyciągniętymi rączkami ku pomalowanym na czerwono blachom mostu.

Gdy wrócili, kolejka samochodów była równie długa jak przedtem. Przeprawili się więc mostem Kincardine.

Andrea pocałowała go, budząc ze wspomnień, i objęła bardzo mocno, mocniej niż przypuszczał, że jest w stanie objąć, tak mocno, że z trudem oddychał. Gdy go puściła, wrócili do samochodu.

Jechała mostem drogowym. Patrzył nad ciemnymi wodami na przyćmioną sylwetkę mostu kolejowego, pod którym wcześniej stali, i wysoko nad rzeką widział długi, przerywany ciąg świateł pociągu osobowego zmierzającego na południe. Światła niczym rząd kropek na końcu zdania, pomyślał, albo na jego początku; trzy lata. Kropki niczym bezsensowny komunikat alfabetem Morse'a; sygnał złożony jedynie z liter E, H, I oraz S. Światła migotały zza dźwigarów; znajdujące się bliżej liny mostu drogowego przemykały obok zbyt szybko, by coś zmienić w tym obrazie.

Bez cienia romantyczności, pomyślał, obserwując pociąg. Pamiętam czasy, gdy jeździły jeszcze pociągi parowe. Chodziłem na miejscowy dworzec i stałem na kładce dla pieszych nad torami do czasu, aż nadjeżdżał pociąg, wyrzucający z siebie z sykiem parę i dym. Gdy wjeżdżał pod drewniane przesłó, dym eksplodował na metalowych płytach założonych dla ochrony belek; nagły strumień pary i dymu otaczał stojącego na kładce na bardzo długie, jak się wydawało, sekundy rozkoszną niepewnością, innym, pełnym tajemnic i kłębiących się, na wpół widocznych rzeczy, światem.

Potem jednak zamknęli tę linię, rozebrali kładkę dla pieszych i przekształcili dworzec w atrakcyjną, jedyną w swoim rodzaju, przestronną rezydencję o przyjemnym południowym wyglądzie, z rozległym terenem dookoła. Jedyna w swoim rodzaju. To wystarczy niemal za wszelki komentarz.

Pociąg przepłynął przez długi wiadukt i zniknął na lądzie. Tak po prostu. Bez cienia romantyczności. Bez fajerwerków przy wyrzucaniu popiołów i węgla, bez ogonów komet z pomarańczowych iskier wylatu-

jących z komina, nawet bez kłębow pary (następnego dnia próbował napisać o tym wiersz, ale nie udało mu się).

Odwrócił się od mostu, ziewając, gdy Andrea zwołniła, by zapłacić mostowe.

–Wiesz, ile czasu zabiera im pomalowanie go? – zapytał.

Pokręciła głową i opuściła szybę, bo podjechali do kas.

–Czego, mostu kolejowego? – rzuciła, szukając w kieszeni pieniędzy. – Nie wiem... Rok?

–Źle – odparł, zakładając ręce i patrząc na czerwone światło na końcu budki. – Trzy lata. Trzy cholerne lata.

Milczała. Zapłaciła i światło zmieniło się na zielone.

Pracował, dobrze mu się powiodło. Rodzice byli z niego dumni. Dostał kredyt hipoteczny na małe mieszkanie, także w Canonmills. Firma, dla której pracował, pozwoliła, by dołożył trochę pieniędzy na zakup samochodu służbowego, skoro już wspiął się na takie wyżyny burżuazyjnej dekadencji, miał więc większe i lepsze BMW zamiast cortiny. Andrea pisała do niego listy. Ilekroć o nich wspominał, opowiadał ten sam stary dowcip.

John Peel puszczał reggae w nocnych programach Radio One. On kupił płytę „Past, Present and Future” Ala Stewarta. „Post World War Two Blues” rozczulił go niemal do łez. przy „Roads to Moscow” faktycznie się rozplakał, a „Nostradamus” go denerwował. Często odtwarzał „The Confessions of Doctor Dream”, leżąc w ciemności ze słuchawkami na uszach, rozciągnięty na podłodze, czując łupanie pod czaszką i nucąc do taktu. Pierwszy utwór na eponimicznej drugiej stronie nosił tytuł „Irreversible Neural Damage”.

Sprawy układają się w pewien wzór, zauważył w rozmowie ze Stewartem Maćkiem. Stewart i Shona przeprowadzili się do Dunfermline w hrabstwie Fife, na drugim brzegu rzeki. Shona trafiła tam po kursie nauczycieli WF w Dunfermline College of Physical Education (usytuowanym zmyłkowo, lecz przemyślnie nie w Dunfermline,

lecz na drugim brzegu rzeki, koło Edynburga); wydawało się zatem rzeczą oczywistą, iż powinna uczyć w samym Dunfermline; z jednej wywłaszczonej stolicy do drugiej.* Stewart nadal studiował na uniwersytecie, kończąc pracę podyplomową i chyba gotów był zostać wykładowcą.

* Do 1603 roku Dunfermline było stolicą Szkocji (przyp. tłum.)

Swemu pierwszemu dziecku dali jego imię. Nie potrafił wyrazić, jak wiele to dla niego znaczyło.

Podróżował. Po Europie koleją z ulgowym biletem, dopóki mieścił się w limicie wieku, po Kanadzie i Stanach Zjednoczonych także pociągiem, oraz autostopem, autobusami i pociągami do Maroka i z powrotem. Ta ostatnia eskapada nie sprawiła mu przyjemności; miał tylko dwadzieścia pięć lat, ale czuł się już staro. Zaczął łysieć. Jednakże pod koniec tej wyprawy odbył wspaniałą podróż pociągiem, jadąc prawie całą dobę przez Hiszpanię od Algeciras do Irun z paroma Amerykanami, którzy mieli bodaj najlepsze prochy, jakich w życiu próbował. Oglądał, jak słońce wschodzi nad równinami La Manchy, i słuchał symfonii wygrywanych przez stalowe koła pociągu.

Zawsze znajdował wymówkę, żeby nie odwiedzić Paryża. Nie chciał jej tam widywać. Andrea od czasu do czasu wracała do kraju – zmieniona, jakby poważniejsza i bardziej ironiczna, a nawet pewniejsza siebie. Włosy miała teraz krótkie; uważał, że wygląda w nich bardzo sztywnie. Wakacje spędzali na zachodnim wybrzeżu i wyspach – gdy zdołał uzyskać dodatkowe wolne. Pojechali też do Związku Sowieckiego; on po raz pierwszy, ona – trzeci. Zapamiętał oczywiście pociągi i podróżowanie nimi, ale również ludzi, architekturę i pomniki wojenne. To nie była jednak podróż taka sama jak inne. Odczuwał cały czas zniechęcenie, znał jedynie parę słów po rosyjsku, a słuchanie, jak Andrea radośnie trajkocze z napotkanymi ludźmi, sprawiło, że poczuł, iż stracił ją z powodu języka (i to obcego języka, myślał z goryczą; wiedział, że w Paryżu Andrea ma kogoś).

Pracował przy projektowaniu rafinerii oraz urządzeń wiertniczych i zrobił na tym majątek; teraz, gdy ojciec był na emeryturze, posyłał trochę pieniędzy swej matce. Kupił mercedesa, a wkrótce potem zmienił go na stare ferrari, w którym stale brudziły się świece. Ostatecznie poprzestał na trzyletnim czerwonym porsche, choć tak naprawdę wolałby nowy.

Zaczął widywać się z dziewczyną o imieniu Nicola, pielęgniarką, którą poznał, gdy wycięto mu wyrostek robaczkowy w Royal Infirmary. Ludzie żartowali sobie z ich imion, nazywali ich imperialistami i pytali, kiedy mają zamiar zażądać zwrotu Rosji. Nicola była niską blondynką o szczodrym, przystępnym ciele; miała mu za złe prochy i powiedziała, gdy raz zaszastał pieniędzmi i kupił trochę kokainy, że jest szalony, marnując taką ilość pieniędzy po to, by wpakować ją sobie do

nosa. Kiedyś, gdy podejrzewał, że powinien wyznać jej miłość, powiedział Nicoli, że ma dla niej wiele czułości. „Czuję tę twoją czułość każdego rana, bestio” – odparła, śmiejąc się i tuląc do niego. On również się śmiał, ale zdał sobie sprawę, że był to jedyny wypadek, gdy Nicola zażartowała. Wiedziała o Andrei, ale nie rozmawiali o niej. Rozstali się po sześciu miesiącach. Potem, nagabywany, odpowiadał, że zadaje się z różnymi dziewczynami.

Pewnego dnia o trzeciej nad ranem, gdy rznął szkolną przyjaciółkę Andrei, zadzwonił stojący przy łóżku telefon.

–No dalej – powiedziała, chichocząc – odbierz.

Nie puściła go, gdy przesuwał się powoli po łóżku do dzwoniącego aparatu. Telefonowała jego siostra Morąg, żeby powiedzieć, że przed godziną jego matka umarła na wylew w szpitalu Southern General w Glasgow.

Pani McLean i tak musiała wrócić do swego domu. Zostawiła go siedzącego na łóżku i rozmyślającego z głową ukrytą w dłoniach. Na szczęście to nie ojciec, pomyślał i znienawidził się za to.

Nie wiedział, do kogo zadzwonić. Pomyślał o Stewarcie, ale nie chciał obudzić ich najmłodszego dziecka – i tak już mieli problemy z usypianiem chłopaka. W końcu zatelefonował do Paryża. Odebrał jakiś mężczyzna; gdy w słuchawce rozległ się zaspany głos Andrei, sprawiała wrażenie, że nie wie, z kim rozmawia. Powiedział, że ma złe wieści... Odłożyła słuchawkę.

Nie mógł uwierzyć. Usiłował zadzwonić powtórnie, ale jej telefon był zajęty; telefonistka z centrali międzynarodowej również nie potrafiła się połączyć. Zostawił aparat na łóżku – przerywany sygnał rozbrzmiewał obojętnie w czasie, gdy się ubierał – po czym wyruszył porsche na długą, mroźną i rozświetloną gwiazdami przejażdżkę na północ, prawie do Cairngorms. Większość kaset, które miał wówczas w samochodzie, zawierała nagrania Pete'a Atkina, lecz słowa Clive'a Jamesa były zbyt refleksyjne i często zbyt melancholijne na porządną, szybką i bezmyślną jazdę, a kasety z reggae – głównie Bob Marley – zbyt beztroskie. Żałował, że nie ma Stonesów. Znalazł jakąś starą taśmę, o której prawie zapomniał, i nastawił swą motorolę na maksymalną głośność, raz po raz z chytrym uśmieszkiem na twarzy odtwarzając „Rock and Roli Animal” – aż do Braemar i z powrotem.

–Allo? – zajęczał nosowym głosem do reflektorów przejeżdżającego

samochodu. – Allo? Ca va? Allo?

Pojechał w to miejsce w drodze powrotnej. Stał pod wielkim czerwonym mostem, który kiedyś przypominał mu kolorem włosy Andrei; jego oddech parował w powietrzu, a porsche klekotał na wolnych obrotach na żwirowym placu do

zawracania. Pierwsze smugi świtu wydobyły z mroku kontury mostu, jego sylwetkę pełną arogancji, wdzięku i siły, rysującą się na tle bladego blasku zimowego nieba.

Pogrzeb odbył się dwa dni później; pośpiesznie spakowawszy torbę podróżną i trzasnąwszy słuchawką zawodzącego telefonu, zamieszkał z ojcem w komunalnej kamienicy o murach pokrytych tynkiem kamyczkowym. Nie otworzył ani jednego listu. Na pogrzeb przyjechał Stewart Mackie.

Spoglądając na trumnę matki, czekał na łzy, które nie napłynęły. Objął ojca ramieniem; wtedy dopiero uświadomił sobie, że ten człowiek jest chudszy i niższy niż dawniej i że drży niczym uderzony przed chwilą żelazny pręt.

Gdy wychodzili z cmentarza, spotkali Andreę wysiadającą z taksówki z lotniska, ubraną na czarno, z małym neseserem w ręku. Nie mógł wykrztusić słowa.

Objęła go, porozmawiała z jego ojcem, po czym wróciła i wyjaśniła mu, że po tym, jak im przerwano rozmowę, usiłowała do niego zatelefonować. Próbowala przez dwa dni; słała telegramy, kazała znajomym szukać go w mieszkaniu. W końcu postanowiła sama przyjechać; gdy tylko wysiadła z samolotu, zadzwoniła do Morąg do Dunfermline, dowiedziała się, co się stało i gdzie odbywa się pogrzeb.

Zdołał jedynie wykrztusić słowo „dziękuję”. Odwrócił się do ojca i objął go, a potem zapłakał, wylewając na kołnierz ojcowskiego płaszcza więcej łez, niż przypuszczał, że mieści się w jego oczach; nad matką, nad ojcem, nad samym sobą.

Andrea mogła zostać tylko na jedną noc – musiała wrócić, żeby się przygotować do paru egzaminów. Trzy lata wydłużyły się do czterech. Czemu nie przyjechał do Paryża? W domu pokrytym tynkiem kamyczkowym spali osobno. Ojciec był lunatykiem i miewał koszarne sny; ktoś musiał spać w tym samym pokoju, by budzić go z nich i chronić przed zranieniem, gdyby zaczął chodzić we śnie.

Później zawiózł ją do Edynburga; zjedli lunch u jej rodziców i zabrał ją na lotnisko.

–Kim jest twój przyjaciel, ten co odebrał telefon w Paryżu? – zapytał, a potem żałował, że nie ugryzł się w język.

–To Gustave – odpowiedziała dość swobodnie. – Polubiłbyś go.

Życzył jej przyjemnego lotu.

Obserwował, jak samolot startuje ku akwamarynowemu niebu rzeńskiego zimowego popołudnia; jechał nawet trochę za nim, gdy droga skręciła na południe, pochylony nad kierownicą porsche'a, przyglądając się przez przednią szybę, jak samolot wspina się na nieskazitelną błękit bezchmurnego nieba.

Stracił go z oczu w momencie, gdy lśniący stalowy ptak zaczął zostawiać za sobą widoczną smugę pary.

Czuł tchnienie starości. Przez pewien czas prenumerował „The Times”, równoważąc to lekturą „Morning Star”. Od czasu do czasu spoglądał na logo widniejące na pierwszej stronie „Times'a” i wydawało mu się, że może niemal chwycić w locie Czasy Obecne i słyszeć szelest obracanych jałowych kartek; Przyszłość stawała się Teraźniejszością, Teraźniejszość – Przeszłością. Prawda tak banalna, tak oczywista i powszechnie akceptowana, że jakoś potrafił ją przedtem ignorować. Włosy czesał tak, żeby łysina – wielkości dwupensówki zaledwie – nie była zbyt widoczna. Przerzucił się na „Guardiana”.

Spędzał teraz więcej czasu z ojcem. Przyjeżdżał w niektóre weekendy do jego nowego komunalnego mieszkanca i raczył staruszką opowieściami ze wspaniałego świata inżynierii lat siedemdziesiątych: opowiadał o rurociągach, kruszarkach szczękowych i włóknach węglowych, zastosowaniu laserów, rentgenografii, wykorzystaniu wyników badań kosmicznych. Opisywał gwałtowną siłę, niewiarygodną energię elektrowni poddawanej czyszczeniu parą, gdy rozpala się świeżo zainstalowane kotły, włącza do nich wodę, rurociągi wypełniają się parą nienasyconą i wszystkie luźne odpryski spoin, upuszczone rękawice, narzędzia, nakrętki i śruby bądź gnijące ogryzki jabłek są wyrzucane wielkimi rurami do atmosfery. W ten sposób usuwa się zanieczyszczenia z całej instalacji, zanim kotły zostaną połączone z samymi turbinami, z tysiącami ich delikatnych i kosztownych łopatek i precyzyjnie dopasowanych elementów. Kiedyś widział obuch młota kowalskiego wyrzucony na ćwierć mili przez parę; przebił ścianę furgonetki. Takiego hałasu nie powstydziliby się nawet concorde; zupełnie jakby nastąpił koniec świata. Ojciec uśmiechał się, przytakując z zadumą ze swojego fotela.

Nadal widywał się z Cramondami; często przesiadywali z mecenasem do późna, niczym dwaj starcy, i debatowali o świecie. Pan Cra-mond wierzył, że prawo, religia i strach są potrzebne i że silny rząd, nawet jeżeli jest zły, jest lepszy niż brak rządu. Dyskutowali, ale zawsze w przyjacielski sposób; nigdy nie potrafił do końca wyjaśnić, dlaczego

się ze sobą zgadzają i jak im się to udaje; chyba dlatego, że żaden z nich niczego nie traktował zupełnie poważnie. Zgadzali się, że to wszystko jest grą.

Zmarł Elvis Presley, ale on bardziej przejął się śmiercią Groucho Marca w tym samym tygodniu. Kupił albumy Clash, Sex Pistols i Damned, ciesząc się, że wreszcie dzieje się coś innego i anarchicznego, mimo że sam częściej słuchał Jam, Elvise Costello i Bruce'a Springsteena. Na uniwersytecie poza Stewartem znalazł jeszcze innych ludzi, z członkami paru małych radykalnych partii włącznie. Zaprzestali prób nakłonienia go, by się do nich przyłączył, po tym jak wytłumaczył, że jest całkowicie niezdolny do stosowania się do linii partii. Gdy Chiny najechały Wietnam i musieli

dowieść, że przynajmniej jedno z tych państw nie jest socjalistyczne, uznał wynikię z tego teologiczne skrzywienia za szalenie zabawne. Parę młodszych osób poznał dzięki grupie poetyckiej na uniwersytecie, w której spotkaniach sporadycznie uczestniczył; znał kilku wybrańców z dawnej paczki Andrei, a w jego nowej firmie było paru ludzi, których polubił. Był młody, dobrze sytuowany i dość atrakcyjny, choć wolałby być wyższy oraz mieć włosy w bardziej wyraźnym odcieniu brązu (i nie mieć łysiny wielkości pięćdziesięciopensówki – skutek inflacji); stracił już rachubę kobiet, z którymi poszedł do łóżka. Przyłapał się na tym, że co dwa lub trzy dni kupuje butelkę laphroaig lub macallana; co parę miesięcy kupował prochy i zwykle wypalał skręta, żeby zasnąć. Zrezygnował z whisky na parę tygodni, chcąc sprawdzić, czy nie wpada w alkoholizm, po czym ograniczył się do jednej butelki tygodniowo.

Dwaj ludzie z firmy, których lubił, próbowali namówić go do wejścia z nimi w spółkę w ich własnym przedsiębiorstwie; nie mógł się zdecydować. Rozmawiał o tym z panem Cramondem i ze Stewartem. Adwokat powiedział, że to w zasadzie dobry pomysł, ale oznacza ciężką pracę; ludzie oczekiwali obecnie, że wszystko przyjdzie samo. Stewart roześmiał się i odparł:

–No cóż, czemu nie?

Mógł równie dobrze zarabiać forszę dla siebie jak dla kogoś innego; płacić podatki laburzystom i zatrudnić cwanego księgowego, gdyby to-rysi doszli do władzy. Stewart miał jednak własne, poważniejsze problemy; od lat nie czuł się dobrze i w końcu stwierdzono u niego cukrzycę. Gdy się spotykali, pił butelkowanego pilsa i wodził tęsknym spojrzeniem za kuflami wypełnionymi mocnym piwem.

Nadal nie wiedział, czy przyłączyć się do spółki. Napisał do Andrei, która odpowiedziała mu przez telefon:

–Zrób to.

Powiedziała też, że niebawem wróci. Studia skończone, rosyjski opanowany w zadowalający ją sposób. Pomyślał: Uwierzę, że wróciła, gdy ją zobaczę.

Zaczął się uczyć gry w golfa – za namową Stewarta.

Skompensował to, wstępując po latach do Amnesty International i posyłając ANC* czek na pokaźną sumę po tym, jak jego firma pracowała nad zleceniem dla RPA. Sprzedał porsche i kupił nowego saaba turbo. Pewnej pogodnej czerwcowej soboty jechał do Gullane, by spotkać się i zagrać z adwokatem w Muirfield, raz za razem odtwarzając taśmę złożoną wyłącznie z „Because the Night” i „Shot by Both Sides” nagranych jeden po drugim, gdy ujrzał jego pogiętego niebieskiego bristola 409 wciągane na ciężarówkę pomocy drogowej. Przejechał jeszcze kawałek dalej,

wmawiając sobie, że auto ze spalonym przodem i rozbitą przednią szybą nie należało do Cramonda, po czym zawrócił na bocznej drodze i ruszył z powrotem do miejsca, w którym dwaj bardzo młodzi policjanci mierzyli drogę, uszkodzone pobocze i rozwalony kamienny mur.

Pan Cramond zmarł za kierownicą; atak serca. Pomyślał, że nie jest to taka straszna śmierć, o ile przy okazji nikogo się nie zabija.

Jedyna rzecz, której nie wolno mi powiedzieć Andrei, pomyślał, to to, że nie możemy się dalej spotykać w ten sposób. Czuł się nieco winny, że kupił czarny garnitur na pogrzeb jej ojca, podczas gdy na pogrzeb własnej matki założył jedynie opaskę na rękę.

Do krematorium jechał z nerwowym uciskiem w żołądku; miał kaca po wypiciu prawie całej butelki whisky poprzedniej nocy. Czuł, że bierze go przeziębienie. Gdy wjechał przez szarą okazałą bramę, z jakiegoś powodu wiedział, że Andrei tam nie będzie. Poczł się chory i był gotów zawrócić i odjechać dokądkolwiek. Spróbował zapanować nad oddechem, sercem i pocącymi się dłońmi i wjechał saabem na szeroki, idealnie utrzymany plac, kierując się ku grupie samochodów zaparkowanych przed niskimi budynkami krematorium.

Na pogrzebie swej matki czuł się inaczej, a przecież tak naprawdę nie był w zbyt bliskich stosunkach z mecenasem. Może pomyślał, że jest jeszcze pijany; wziął wprawdzie prysznic i wyczyścił zęby, ale prawdopodobnie przez pory skóry czuć było woń whisky. Mimo nowego garnituru czuł się niechlujny. Zastanawiał się, czy nie powinien był kupić wieńca; wcześniej nie pomyślał o tym.

* African National Congress (Afrykański Kongres Narodowy) – organizacja kierowana przez Nelsona Mandelę (przyp. tłum.)

Rozejrzał się dokoła. Nie było jej, rzecz jasna. Miało to ukryty sens: gdy oczekiwał jej tutaj, przy samochodach, nie wiedzieć czemu nie mogła się pojawić; gdy nie spodziewał się jej ujrzyć przy grobie swojej matki, nagle się zjawiła. Wszystko to stanowi składnik bogatego wzorca życia, pomyślał, poprawiając czarny krawat, po czym podszedł do otwartych drzwi. Pamiętaj, synu, dodał w myślach, to kurewski kraj.

Andrea oczywiście była na miejscu. Sprawiała wrażenie starszej, ale piękniejszej; pod oczami miała drobne zmarszczki, których wcześniej nie zauważył; maleńkie mięsiste fałdy sprawiały, że wyglądała tak, jakby dorastała mrużąc oczy podczas pustynnej burzy. Wzięła go za rękę, pocałowała i trzymała przez chwilę, a potem puściła; chciał powiedzieć, że pięknie wygląda, że w czerni jest jej bardzo do twarzy – kiedy jednak ganił siebie w duchu za kretyńskie pomysły, usta mamrotały coś równie bezmyślnego, lecz łatwiejszego do przyjęcia. Nie dostrzegł łez w jej doskonale

umalowanych oczach.

Nabożeństwo było krótkie, w zaskakująco dobrym guście. Pastor znał mecenas; słuchając jego zwięzłego, lecz najwyraźniej szczerzego pa-negiryku, czuł szczypanie w oczach. Chyba się starzeję, pomyślał; albo to wiek, albo nadmierna wrażliwość wywołana wypiciem zbyt dużej ilości mocnego alkoholu. Człowiek, którym byłem dziesięć lat temu, kpiłby z faktu, że pochwały wypowiedziane przez pastora pod adresem adwokata z wyższej warstwy klasy średniej wzruszyły go niemal do łez.

Mimo to po mszy rozmawiał z panią Cramond. Gdyby jej nie znalazł, pomyślałby, że jest pod wpływem narkotyków: wydawała się promienieć, źrenice miała rozszerzone, skórę jaśniejącą energią zrodzoną ze śmierci; nie zroszone łzami zdumienie, stan szoku wywołany odebraniem mężczyzny, który przez ponad połowę jej życia był połową jej życia; coś wykraczającego poza natychmiastowość żalu. Przyszła mu na myśl chwila tuż po zranieniu, gdy oko widziało, jak młotek miażdży palec lub ześlizgujący się nóż kaleczy ciało, ale jeszcze przed wypłynięciem krwi bądź dotarciem sygnału bólowego do mózgu. Uznał, że matka Andrei znajduje się teraz w takim półcieniu, pogrążona w oleistych spokojnych wodach oka cyklonu. Wyjeżdżała nazajutrz, na wakacje do siostry w Waszyngtonie.

Ostatnie słowa, jakie do niego wypowiedziała, brzmiały:

–Zaopiekujesz się Andreą? Oboje byli sobie tacy bliscy. Ona nie chce ze mną pojechać. Zaopiekujesz się nią?

–Jeżeli na to pozwoli... Zdaje się jest ktoś w Paryżu, mogłaby...

–Nie – przerwała mu pani Cramond i dodatkowo zaprzeczyła stanowczym ruchem głowy (gestem, który odziedziczyła po niej córka; na-

gle zobaczył jedną w drugiej). – Nie, jesteś tylko ty. Ty – powiedziała i ścisnęła mu rękę, zanim wsiadła do bentleya swojego syna. – Teraz będziesz dla niej najbliższą osobą – dodała szeptem.

Przez chwilę stał, zakłopotany, a potem poszedł poszukać Andrei. Stała przed krematorium, na parkingu, niedbale oparta o czarną limuzynę właściciela zakładu pogrzebowego. Gdy podszedł do niej, zapalała mentolowego papierosa; zmarszczył brew i rzekł:

–Nie powinnaś palić. Pomyśl o swoich płucach.

Posłała mu miażdżące spojrzenie.

–Okazuję solidarność – odparła z goryczą. – Mój stary też się teraz pali. – Na jej szczęce drgnął mały mięsień.

–Och, Andrea – powiedział, nagle przepełniony współczuciem. Wyciągnął do niej rękę, ale ona cofnęła się, odwracając od niego i mocniej otulając się płaszczem. Przez chwilę stał nieruchomo; wiedział, że parę lat temu takie odrzucenie dotknęłoby go i przypuszczalnie odwróciłby się na pięcie i odszedł. Czekał, i ona wróciła do niego, ciskając papierosa na żwir i rozgniatając go jednym ruchem czarnego buta.

–Zabierz mnie stąd, chłopcze. Rozwesel mnie, Szkocie. Gdzie porsche? Nie mogłam go znaleźć.

Pojechali saabem do Gullane; Andrea chciała zobaczyć miejsce, w którym umarł jej ojciec, więc zatrzymali się przy nadal rozkopanym rowie i nie naprawionym jeszcze murze. Obserwował ją w lusterku wstecznym, stojącą i patrzącą na rozdartą darni, jak gdyby oczekiwała, że zobaczy, jak trawa zarasta rany. Dotknęła rozoranej ziemi i kamieni polnego muru, po czym wróciła do samochodu, ścierając pył i ziemię z bladych, wypielęgnowanych palców. Powiedziała, że brat uważa jej chęć przyjazdu tutaj za objaw choroby.

–Ty nie uważasz, że jestem chora, prawda?

Odparł, że nie, nie jest. Pojechali dalej, do zimnego, pustego domu na wydmach z oknami wychodzącymi na zatokę.

Andrea odwróciła się i przytuliła do niego, ledwie znaleźli się za progiem; gdy próbował ją pocałować, delikatnie i czule, wpiła się wargami w jego usta, jej paznokcie wryły się w jego czaszkę, w plecy przez marynarkę, w pośladki przez spodnie czarnego garnituru; wydała z siebie skowyt, którego nigdy dotąd nie słyszał z jej ust, i ściągnęła mu marynarkę z ramion. Postanowił dopasować się do tej rozpaczliwej, wywołanej udręczeniem reakcji erotycznej, ale zamiar zaprowadzenia Andrei w jakieś wygodniejsze miejsce niż narażony na przeciągi hall z zimną terakotą i szorstką wycieraczką już po chwili stał się nieaktualny -jakby jego ciało obudzi-

ło się w odpowiedzi na to, co się działo, jak gdyby ogarnęła go błyskawicznie gorączka. Nagle poczuł, że trawi go równie silna żądza, dzikość i absurdalne zepsucie, zapragnął jej bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Opadli na wycieraczkę, Andrea przyciągnęła go do siebie, nie zdejmując płaszcza ani bielizny. Oboje doszli w ciągu kilku sekund i dopiero wtedy się rozpląkała.

Mecenas zostawił mu swoje kije golfowe. Nie mógł się nie uśmiechnąć; to był miły gest. Żonie – która miała własne pieniądze – zostawił dom przy Moray Place. Syn dostał jego wszystkie książki prawnicze i dwa najcenniejsze obrazy; Andrea miała otrzymać resztę, z wyjątkiem paru tysięcy przeznaczonych dla dzieci jej brata, kilku siostrzenic i siostrzeńców oraz sum zapisanych na cele charytatywne.

Cramond junior był zajęty podziałem majątku, więc razem z Andrea zawieźli panią

Cramond na Prestwick, na nocny samolot do USA. Obejmował szczupłe ramiona Andrei i przyglądał się, jak samolot pnie się w górę, kreśląc łuk nad ciemną Clyde i biorąc kurs na Amerykę. Nalegał, by poczekali, aż zniknie z pola widzenia, więc stali i obserwowali, jak jego migające światła coraz bardziej maleją na tle łuny kończącego się dnia. Mniej więcej nad przylądkiem Kintyre, gdy prawie całkowicie stracił go z oczu, odrzutowiec wy dostał się z mroku ziemi w światło kryjącego się za horyzontem słońca; nagle rozbłysła wlokąca się za nim smuga pary – wspaniały róż na tle intensywnego ciemnego błękitu. Andrea wstrzymała oddech, po czym zaśmiała się cicho, po raz pierwszy, odkąd dowiedziała się o śmierci ojca.

W samochodzie, jadąc na północ wzdłuż głębokiej, ciemnej rzeki, wyznał, iż nie wiedział, że smuga pojawi się tak nagle, a po chwili wahania powiedział jej o tym, jak rok wcześniej próbował jechać za odrzutowcem lecącym do Paryża.

–Sentymentalny głupiec – powiedziała i pocałowała go.

Odwiedzili jego ojca, a potem zrobili sobie parę dni wolnego; ona musiała wracać do Paryża dopiero za dwa tygodnie, a on nie miał żadnych pilnych obowiązków w pracy, więc przez parę następnych dni po prostu jeździli, dokąd chcieli, nocując w małych hotelach i pensjonatach i nie wiedząc, dokąd wyruszą następnego rana. Pojechali na Muli, Skye, przylądek Wrath, do Inverness, Aberdeen i Dunfermline – gdzie zatrzymali się u Stewarta i Shony – po czym ominęli mosty i miasto, by przez Culross i Stirling, Blyth Bridge i hrabstwo Peebles dotrzeć na szkocko-angielskie kresy. W trakcie podróży wypadły jej urodziny; kupił jej w prezencie bransoletkę z białego złota.

Ostatniego dnia – wracali do Edynburga z Jedburgh – Andrea ujrzała w oddali basztę.

–Pojedźmy tam – zaproponowała.

Zdołali dojechać na odległość pół mili; zaparkowali przy wąskiej, pustej drodze, ona włożyła swoje kickersy, on zabrał aparat fotograficzny i poszli najpierw przez pole, a potem przez las i gęste kępy orlicy ku baszcie stojącej na rozległym wierzchołku porośniętego trawą skalnego wzgórza. Widząc ją z drogi, nie zdawał sobie sprawy, że jest taka ogromna.

Jej ciemne kamienie wydawały się piętrzyć nieskończenie; ciężka, szara nadbudówka z drewna, wieńcząca szczyt, mieściła coś, co wyglądało jak platforma widokowa pod strzelistym stożkowym dachem z drewna. Wyobrażał sobie, że do takiego miejsca będzie wiodła wygodna droga z parkingiem, sklepem z pamiątkami, bramkami z kołowrotem, urzędnikami, biletami i działalnością handlową. Tymczasem chyba nie było nawet ścieżki. Stali i zadzierając głowy, patrzyli na wieżę. Widok ze zbocza wzgórza był imponujący. Zrobił parę zdjęć.

Andrea odwróciła się do niego z uśmiechem.

–Przypomnij mi, jak się nazywa to miejsce?

Popatrzył na niesioną przez siebie mapę i wzruszył ramionami.

–Chyba Penielhaugh – odparł. Andrea roześmiała się.

–Penile-haugh.* Ciekawe, czy można wejść do środka. Podeszła do małych drzwi, zapartych trzema dużymi głazami. Próbowwała je przetoczyć.

–Życzę powodzenia – powiedział.

Odepchnął kamienie od drzwi i przetoczył je dalej. Drzwi się otworzyły. Andrea klasnęła w dłonie i weszła do środka.

–Niesamowite – stwierdziła, gdy dołączył do niej.

Wieża była pusta, stanowiła po prostu kamienną rurę. Wewnątrz panował mrok, klepisko było pokryte gołębimi odchodami i maleńkimi, miękkimi piórami; w ciemnościach rozległo się echo słabego gruchania zaniepokojonych ptaków. Nagły trzepot skrzydeł zabrzmiał niczym cichnące niepewne oklaski. Wysoko nad ich głowami parę ptaków przecięło w locie mgliste smugi światła odbitego od drewnianej kopuły. Wąskie schody – kamienie sterczące z muru – wznosiły się spiralnie w zwieńczony światłem mrok.

*** W wolnym tłumaczeniu „pyszne prącie” (przyp.tium.)**

–Zdumiewające miejsce – wyszeptał.

–Jak słodki jest ten dźwięk... Tolkienowski, jak mawiano – zauważyła i zadartszy głowę, patrzyła w górę z otwartymi ustami.

On podszedł do spiralnych schodów. Na wrzecionowanych, nieco zardzewiałych prętach osadzona została wąska metalowa poręcz. Ma półtora wieku, jeśli jest oryginalna, pomyślał.

Więcej. Jest jeszcze starsza. Potrząsnął nią, niezdecydowany.

–Myślisz, że są bezpieczne? – zapytała cichym głosem Andrea.

Znowu popatrzył w górę. Wyglądało na to, że do szczytu baszty jest

ładnych parę metrów. Pięćdziesiąt? Siedemdziesiąt? Pomyślał o kamieniach, które przetoczono pod drzwi. Andrea również spojrzała w górę, chwyciła opadające piórko i popatrzyła na nie. Wzruszył ramionami.

–Raz kozie śmierć. – Ruszył po kamiennych schodach. Andrea po

śpieszyła za nim. Zatrzymał się. – Pozwól, że pójde trochę z przodu. Jestem cięższy.

Wszedł po następnych dwudziestu paru stopniach, stawiając stopy blisko muru i nie wspierając się na żelaznej poręczy. Andrea szła za nim, zachowując dystans.

–Przypuszczalnie wszystko w porządku – poinformował w połowie

drogi, zerkając na krążek ciemnej, upstrzonej ziemi na dole. – Pewnie

się okaże, że miejscowa drużyna rugby trenuje tutaj codziennie, wbiegając i zbiegając po tych schodach.

–r Zapewne.

Nie powiedziała nic więcej.

Dotarli na szczyt. Wyszli na szeroką ośmiokątną platformę z pomalowanego na szaro drewna; grube belki, mocne deski oraz solidne poręcze. Oboje ciężko oddychali. Serce waliło mu jak młot.

Był bezchmurny dzień, wiatr muskał ich włosy. Wdychali świeże, chłodne powietrze i chodzili po przewiewnym kręgu, rozkoszując się widokiem. Zrobili parę zdjęć.

–Myślisz, że widać stąd Anglię? – zapytała Andrea.

Spoglądał na północ, ciekaw, czy plama na horyzoncie, po drugiej stronie odległych wzgórz, wisi nad Edynburgiem. Postanowił przy najbliższej okazji kupić lornetkę. Rozejrzył się.

–Oczywiście – odparł. – Boże mój, w naprawdę bezchmurny dzień prawdopodobnie zobaczyłabyś stąd swoją matkę.

Andrea objęła go w pasie i przytuliła się, układając głowę na jego piersi. Pogładził ją po włosach.

–Naprawdę? – zdziwiła się. – A Paryż?

–Tak, może Paryż także. – Popatrzył w jej zielone oczy. – Sądzę, że Paryż widać prawie z każdego miejsca.

Nie odezwała się, tylko objęła go jeszcze mocniej. Pocałował ją w czubek głowy.

–Naprawdę wracasz?

–Tak – odparła, a on poczuł skinienie jej głowy ocierającej się o jego pierś. – Wracam.

Przez chwilę patrzył na krajobraz w oddali, obserwując, jak wiatr porusza wierzchołkami zwartego szeregu świerków. Wydał z siebie krótki śmiech – nagle wzruszenie ramionami – z odgłosem uwięzionym w piersi.

–O co chodzi? – zapytała, nie unosząc wzroku.

–Właśnie sobie pomyślałem... Przypuszczam, że gdybym poprosił cię o rękę, odmówiłabyś, prawda?

Pogładził ją po włosach. Powoli podniosła głowę.

–Też tak przypuszczam – odpowiedziała powoli, mrugając oczami i przenosząc spojrzenie z jednego jego oka na drugie.

Małeńka zmarszczka pojawiła się na jej czole między bardzo ciemnymi brwiami.

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

–Mniejsza o to – rzekł.

Andrea objęła go znowu, tuląc głowę do jego piersi.

–Przykro mi, kochanie. Gdybym miała za kogoś wyjść, to tylko za ciebie. Ale po prostu nie nadaję się na żonę.

–Co mi tam. Ja chyba też nie jestem materiałem na męża. Po prostu nie chcę znowu rozstawać się z tobą na tak długo.

–Nie sądzę, byśmy musieli się rozstawać.

Wiatr zwał lśniąca włosy Andrei na jego twarz; łaskotały go w nos.

**–Nie chodzi jedynie o Edynburg, chodzi również o ciebie – wyjaśniła cichym głosem.
– Potrzebuję własnego miejsca, obawiam się, że czuły głos i ładny tyłek łatwo sprowadzą mnie na manowce, ale... No cóż, decyzja należy do ciebie. Jesteś pewien, że nie chcesz poszukać sobie miłej żonki? – Spojrzała na niego, uśmiechając się szeroko.**

–Jak cholera – odparł i potwierdził skinieniem głowy.

Andrea zaczęła go lekko całować. Oparł się o jeden z szarych słupów drewnianej nadbudówki, ściskając ją za pośladki, penetrując językiem wewnątrz jej ust i myśląc: No cóż, jeżeli ten cholerny słup nie wytrzyma, do diabła z tym, może już nigdy nie będę taki szczęśliwy. Można skończyć w gorszy sposób.

Andrea odsunęła się od niego ze znajomym ironicznym uśmiechem na twarzy.

–Namówiueś me do tego, zuotousty draniu. Roześmiał się i przyciągnął ją z powrotem.

–Ty nienasycona ladaczniczo.

–Wyzwalasz we mnie to, co najlepsze.

Pieściła jego jądra przez dżinsy, gładziła po wzwiedzionym członku.

–Wydawało mi się, że masz okres...

–Dobry Boże, człowieku, chyba nie obawiasz się odrobiny krwi?

–Oczywiście że nie, ale nie wziąłem żadnych chusteczek ani...

–Czemu mężczyźni są tak cholernie wybredni? – mruknęła, gryząc

go w pierś przez koszulę i wyjmując cienki biały szalik z kieszeni swoje

go żakietu niczym magik wyciągający królika. – Użyj tego, jeżeli mu

sisz się wytrzeć.

Zamknęła mu usta pocałunkiem. Wyciągnął jej koszulę ze spodni i spojrzał na szalik trzymany w drugiej ręce.

–To jedwab – powiedział.

Andrea rozsunęła zamek jego rozporka.

–Bez wątpienia, kochanie. Zasługuję na to, co najlepsze.

Potem leżeli nieruchomo, drżąc nieco na wietrze chłodnego lipcowego dnia, przenikającym przez drewnianą konstrukcję. Powiedział Andrei, że otoczki jej sutek są jak różowe podkładki, same brodawki jak małe beżowe śruby, a maleńkie pomarszczone żłobki na ich czubkach przypominają rowki na śrubokręt. Śmiała się cicho, sennie, rozbawiona takimi porównaniami. Spojrzała na niego z figlarną miną.

–Naprawdę mnie kochasz? – zapytała, udając, że w to nie wierzy. Wzruszył ramionami.

–Niestety, tak.

–Jesteś głupcem – zbeształa go łagodnie, unosząc dłoń, by bawić się kosmykiem jego włosów, i uśmiechając się.

–Tak sądzisz – odparł, pochylił się i pocałował ją w czubek nosa.

–Owszem. Jestem niestała i samolubna.

–Jesteś szczodra i niezależna.

Odgarnął jej z oczu zdmuchnięte przez wiatr włosy. Roześmiała się i pokręciła głową.

–No cóż, miłość jest ślepa – zauważyła.

–Tak mówią – westchnął. – Sam tego nie widzę.

Metamorfoza:

Oligocen

Gdy bytem miody, widywałem, jak te rzeczy opadają na moich oczach, ale wiedziałem, że są w moich gałkach ocznych i że poruszają się w taki sam sposób, w jaki sztuczne płatki śniegu poruszają się w ozdóbkach z zimowymi widokami. Nigdy nie zdołałem zrozumieć, czym u licha były (powiedziałem kiedyś doktorowi, że wyglądają jak drogi na mapie -nadal wiem, co miałem na myśli – choć lepiej opisałoby je stwierdzenie, że wyglądają niczym maleńkie skręcone rurki ze szkła z kawałkami ciemnej substancji w środku), ponieważ jednak nie powodowały żadnych poważnych problemów, nie zwracałem na nie uwagi. Dopiero po latach odkryłem, że były czymś zupełnie normalnym: martwymi komórkami ze sklepienia gaiki ocznej opadającymi w cieczy wodnistej oka. Kiedyś obawiałem się, że je zamulą, ale domyśliłem się, że w moich oczach zachodzi jakiś proces, który temu zapobiega. Naprawdę szkoda – z moją wyobraźnią świetnie nadawałbym się na hipochondryka.

Ktoś opowiadał mi coś o mule – ten mały ciemnowłosy facet z laską. Powiedział mi, że cały ten kram się zapada; zaczerpnęli tyle wody ze studni artezyjskich i wypompowali tyle ropy i gazu, że całe jego kawałki po prostu pogrążają się w wodzie. Bardzo się tym denerwował. Oczywiście jest na to sposób: wtlacza się wodę morską. Kosztowniejszy niż zwykle zasysanie potrzebnych surowców, ale niczego nie dostaje się za darmo (aczkolwiek są, rzecz jasna, rezerwy, które się cholernie szybko wyczerpują).

Jesteśmy skałą, częścią maszyny (Jakiej maszyny? Tej maszyny. Spójrz, podnieś ją, potrząśnij, zobacz, jak tworzą się ładne wzory; ob-

serwuj, jak sypie śniegiem lub kropi deszczem, bądź wieje albo świeci) i żyjemy życiem skał; najpierw wulkanicznych w dzieciństwie, metamorficznych w kwiecie wieku, osadowych w okresie starczego dzieciństwa. W rzeczywistości naga prawda jest jeszcze bardziej fantastyczna: wszyscy jesteśmy gwiazdami, my, wszystkie nasze układy i ten jeden jedyny układ, jesteśmy mułem nagromadzonym po dawnych wybuchach, gasnącymi gwiazdami z czasów tych pierwszych narodzin, eksplodującymi w ciszy, by wprawiać swe gazy-odłamki w ruch wirowy, gromadzić je, formować (spadajcie, nikczemni urojeni mnisi).

A więc jesteśmy mułem, jesteśmy osadem, jesteśmy pozostałościami (pianą i mętem); w niczym to jednak nie przeszkadza. Wy jesteście tym, co przeminęło, jeszcze jedną kolekcją, punktem na (rozciągniętej) linii, zwykłym czołem fali.

Wstrząs i szturchnięcie. Maszyna w maszynie w maszynie w maszynie w maszynie w... Chcesz, żebym na tym poprzestał? Szturchnięcie, wstrząs. Sny o czymś z

odległej przeszłości, o czymś złożonym gdzieś w mózgu i wreszcie wypływającym na powierzchnię (kolejny szrapnel, następne odłamki).

Szturchnięcie wstrząs szturchnięcie wstrząs. W półśnie oczopląs w półśnie oczopląs.

Miasta i Królestwa i Mosty i Wieże... Jestem pewien, że zmierzam do nich wszystkich. Przecież nie mogę długo jechać, gdzieś nie docierając.

Gdzie u diabła był ten ciemny most? Wciąż go szukam.

W ciszy pędzącego pociągu widzę, jak przesuwa się za oknem.

Przy szybkiej jeździe drugorzędna architektura potrafi czasem prawie zupełnie zniknąć z pola widzenia; widać jedynie sam most, pierwotną konstrukcję, czerwoną siatkę krzyżujących się linii, błyskającą w jego światłach lub słońcu. Za nim błękitna zatoka, lśniąca w promieniach nowego dnia.

Pochyłe dźwigary przesuwiają się niczym nieustannie siekące ostrza toporów, zamazując widok, dzieląc go, szatkując. Mam wrażenie, że w nowym świetle i porannej mgielce widzę drugi most, w górze rzeki; szare echo, cień-zjawa jedyne go mostu, wznoszący się z mgieł nad rzeką, prostszy i bardziej pochylony zarazem. Duch. Most-widmo; miejsce, które niegdyś znałem, ale już nie pamiętam. Miejsce do...

Po drugiej stronie, w dole rzeki, przez ciemne linie konstrukcji widzę balony zaporowe wiszące w świetle słońca, jak czarne pękate łodzie podwodne, nadęte od psującego się gazu.

Potem pojawiają się samoloty, lecące obok mnie; zmierzają w tym samym kierunku co pociąg, powoli go wyprzedzając. Są otoczone przez czarne chmury; wokół nich wybuchają ciemne kłęby dymu. Ich pulsujące światła pozycyjne zlewają się z czarnymi smugami pocisków reaktywowanej obrony przeciwlotniczej, jeszcze bardziej zamazując już i tak nieczytelny komunikat, ciągnący się za samolotami.

Niewrażliwe na atak, obojętne srebrzyste samoloty lecą dalej przez grad eksplodujących pocisków – ich szyk idealny, znaki zapisane na niebie równie kształtne i precyzyjne jak zawsze, światło słońca iskrzy się na ich lśniących bulwiastych korpusach. Wszystkie trzy, od osłony piasty śmigła po płożę ogonową, wyglądają na zupełnie nie uszkodzone; linii nitów na ich kadłubach nie szpeci nawet sadza ani plamy oleju.

I wtedy, gdy są niemal za daleko, bym widział je wyraźnie przez gęstniejące kształtowniki konstrukcji mostu, gdy już doszedłem do wniosku, że muszą być naprawdę niewrażliwe albo że przynajmniej działa na moście wystrzelują pociski

dymne, a nie szrapnele czy nawet rakiety, jeden z samolotów, ten lecący w środku, zostaje trafiony. Trafiony w ogon. Natychmiast zaczyna zwalniać, zostaje w tyle, z ogona bucha szary dym, czarne kłęby jego komunikatu przez pewien czas nadal ukazują się na niebie, po czym rzędą, w miarę jak traci dystans, i w końcu leci obok pociągu. Nie opada ani nie robi żadnych innych uników; leci tym samym ustalonym kursem, tyle że wolniej.

Jego ogon znika, pochłonięty przez dym. Mimo to leci dalej – prosto i w poziomie. Kadłub jest stopniowo trawiony przez dym.

Samolot dotrzymuje tempa mojemu pociągowi i nie zbacza z kursu, choć wokół wciąż roi się od czarnych wybuchów pocisków przeciwlotniczych, czyniących szkodę lub nie. Połowa kadłuba zniknęła; szary dym zaczyna pożerać krawędź spływu u nasady skrzydeł i tylną część osłony kabiny.

Samolot na zdrowy rozum nie nadaje się do latania; powinien runąć w dół w chwili, gdy stracił usterzenie poziome, ale leci dalej, wciąż dokładnie na wysokości pędzącego pociągu i z tą samą prędkością. Gęsta chmura szarego dymu pochłania kadłub, kabinę pilota, skrzydła, a potem rzędzie, gdy i one znikają; do pożarcia pozostaje tylko kapot silnika i prawie niewidoczne śmigło.

Latający silnik: bez pilota, bez paliwa, bez usterzenia, bez elementów zapewniających nośność. Kapot znika wydech po wydechu. Lecieć za jego resztą raczy jedynie parę kłębow czarnego dymu. Silnik znikł; śmigło znika w nagłym gęstym impulsie szarości, potem widać jedynie

osłonę piasty śmigła, spalającą się szybko, by pozostawić po sobie cienką szarą smugę, która rozwiewa się po chwili. Za przemykającymi pionowymi i ukośnymi elementami zamazanego przez prędkość mostu widać tylko błękitne niebo i balony.

Pociąg kolebie mną i potrząsa. Jestem na wpół świadomy.

Z powrotem zapadam w sen.

W podróży miałem powracające sny o życiu na stałym lądzie; ciągle oglądałem jednego człowieka – najpierw jako małego chłopca, potem jako nastolatka i wreszcie jako młodego mężczyznę, ale w żadnym stadium nie widziałem go wyraźnie. Tak jakby to wszystko rozgrywało się za mgłą i tylko w czerni i bieli oraz w scenerii zawalonej przedmiotami, które były czymś więcej niż obrazami, lecz nie były realne, jak gdybym obserwował to życie na zniekształconym ekranie, a jednocześnie mógł zaglądać do głowy tego człowieka, widzieć jego myśli, skojarzenia, domysły i wyobrażenia eksplodujące zeń na ekran, który obserwowałem. Wszystko to wydawało się szare i nierzeczywiste i czasami mogłem spostrzec podobieństwa między zdarzeniami w owym powtarzającym się śnie a tym, co rzeczywiście zdarzyło

się w czasie, gdy żyłem na moście.

Być może to była rzeczywistość, moje uszkodzone wspomnienia odtworzone na tyle, by wystawić coś w rodzaju chaotycznego przedstawienia, i usiłujące zabawić mnie lub dostarczyć mi informacji. Przypominam sobie, że w pewnym momencie mojego snu naprawdę widziałem coś, co wyglądało jak most, ale tylko z oddali, chyba z pustego brzegu morza, a poza tym był on o wiele za mały. Potem pomyślałem, że mogłem stać pod nim, ale znowu był zbyt mały i zbyt ciemny – przebrzmiałe echo, nic więcej.

Pusty pociąg, w którym się ukryłem, przemierzał most przez wiele dni, czasami zwalniając bieg, ale nigdy się nie zatrzymując. Parę razy mogłem z niego wyskoczyć, ale mógłbym się zabić, a nadal byłem zdecydowany dotrzeć do końca tej budowli.

Miałem do dyspozycji tylko trzy opustoszałe wagony: dwa osobowe – z fotelami, małymi stołami i przedziałami sypialnymi – oraz restauracyjny. Nie było jednak kuchni, a na obu końcach tego składu znajdowały się zamknięte na klucz drzwi.

Przez większą część podróży ukrywałem się, siedząc w jednym z rozkładanych foteli tak, aby nie można mnie było zobaczyć z zewnątrz, lub leżąc na najwyższym łóżku w przedziale sypialnym i zerkając przez na wpół zaciągnięte zasłony na most za oknem.

Piłem wodę z umywalk w toaletach i marzyłem na jawie lub śniłem o jedzeniu.

Nocą do nie oświetlonych wagonów często wpadały z zewnątrz drgające snopy pomarańczowego światła. Z każdym mijającym dniem robiło się coraz cieplej, a światło słońca stawało się jaśniejsze. Miałem wrażenie, że kształt mostu za oknami nie zmienia się, zmieniali się jednak ludzie, których od czasu do czasu widziałem w przelocie przy torach; ich skóra stawała się ciemniejsza w miarę wzrostu nasłonecznienia.

Ale po paru dniach wszystko znowu wydawało się ciemnieć, gdy leżałem osłabiony głodem na rozłożonym fotelu, wstrząsany jak nie przymocowany ładunek. Zacząłem sądzić, że światło w ogóle się nie zmieniło i tylko coś w moich oczach powodowało, że ludzie wyglądali jak zjawy. Wciąż jeszcze mnie bolą.

Jednej nocy ocknąłem się ze snu o ostatnim posiłku, który zjadłem z Abberlaine Arrol, i spostrzegłem, że jest bardzo ciemno – zarówno w wagonie, jak i na zewnątrz.

Z mostu za oknem nie docierało żadne światło, w przedziale nie było widać żadnej chromowanej krawędzi mebli odbijającej jego promienie; nie potrafiłem dojrzeć także mojej własnej ręki, gdy trzymałem ją przed twarzą. Zamknąłem powieki, przycisnąłem gałki oczne i dopiero wtedy zobaczyłem fałszywe światło, którym oczy reagują na ucisk.

Wyszedłem po omacku na korytarz, otworzyłem okno i wyjrzałem na zewnątrz. Wraz z ciepłym powietrzem napłynął do wagonu dziwny, intensywny zapach. Z początku zaniepokoiło mnie to: nie czułem woni soli, farby ani oleju, nawet dymu i spalin.

I wtedy ujrzałem wysoko, w połowie nieba, słabą, poruszającą się bardzo powoli linię światła. Pociąg nadal jechał z prędkością bliską maksymalnej – strumień powietrza wlewał się z hukiem przez okno, szarpiąc moje luźne ubranie – czymkolwiek jednak był obiekt, który widziałem, światło przesunęło się nad nim bardzo powoli; zapewne znajdował się bardzo daleko. Wał chmur oświetlony przez gwiazdy, pomyślałem, po czym zdałem sobie sprawę, że widzę ten świetlny zarys bez przerwy, bez przeszkód w postaci belek i dźwigarów dzielących pole widzenia na fragmenty.

Czyżby część mostu, w której konstrukcja nośna znajdowała się poniżej poziomu szyn? Znowu zaczęło mi się robić słabo.

Pociąg zwolnił na parę chwil i zanim znowu przyśpieszył, ponad ściszym odgłosem jego biegu usłyszałem dalekie dźwięki ciemnej puszy-

czy i spostrzegłem, że linia nikłego światła, którą błędnie wziąłem za utworzoną przez krawędź podświetlonego wału chmur, jest obrysem nierówno zadrzewionego pasma gór oddalonego o parę mil.

Roześmiałem się, oszalały i zachwycony, i stałem przy oknie do czasu, aż nadszedł świt i sprawił, że nad zielonym lasem miejscami wzbily się opary mgły.

Tamtego dnia pociąg zwolnił i wjechał na obrzeża rozległego miasta. Sunął powoli po krętych torach przez wielką stację rozrządową ku długiemu, niskiemu dworcowi. Ukryłem się w kredensie z obrusami. Pociąg stanął. Usłyszałem jakieś głosy, warkot niemożliwych do zidentyfikowania maszyn w wagonach, po czym zapadła cisza. Próbowałem wydostać się z kredensu, ale został zamknięty od zewnątrz na klucz. Gdy zastanawiałem się co zrobić, za metalowymi drzwiami kredensu znów rozległy się głosy. Odniosłem wrażenie, że pociąg wypełnia się ludźmi. Po długim czasie ruszył. Tej nocy spałem w zamkniętym kredensie; następnego rana znalazł mnie tam steward.

Pociąg był pełen pasażerów: porządnie ubranych dam i dżentelmenów, którzy wyglądali tak, jakby przybyli z mostu. Mieli na sobie letnie garnitury i sukienki; pobrzękując lodem popijali koktajle przy stolikach w wagonach widokowych. Sprawiali wrażenie zde gustowanych, gdy ujrzeli, jak policjanci kolejowi prowadzą mnie przez pociąg w wymiętym, nieświeżym ubraniu, boleśnie wykręcając mi rękę na plecach. Okolica za oknem była górzysta, pełna tuneli i wysokich wiaduktów nad spienionymi potokami.

Byłem przesłuchiwany przez jednego z zastępców palacza, młodego człowieka w śnieżnobiałym uniformie, który wydawał się dziwnie czysty, jeśli zważyć stanowisko jego właściciela. Zapytał, jak dostałem się do pociągu; powiedziałem prawdę. Zaprowadzono mnie z powrotem przez pociąg i zamknięto w pustej, zakratowanej części wagonu bagażowego. Karmiono mnie dobrze, resztkami z kuchni. Zabrano mi ubranie, wyprano je i zwrócono. Chusteczka, na której Abberlaine Arrol wyszyła monogram i na której pozostawiła rozmazany czerwony wizerunek swoich warg, wróciła zupełnie czysta.

Pociąg przez wiele dni jechał przez góry, a następnie przez porośniętą trawą płaskowyż, gdzie stada zwierząt w oddali rozpiezchały się, gdy nadjeżdżał, i gdzie bez przerwy wiał wiatr. Za płaskowyżem zaczął się wspinać ku następnemu pasmu gór. Przedostał się przez nie po kolejnych smukłych wiaduktach i przez długie tunele, a potem zjeżdżał cały

czas w dół, zatrzymując się po drodze w spokojnych miasteczkach pośród lasów, zielonych jezior i skalnych iglic okolonych piargami. Zakratowana i grzechocząca celka miała tylko jedno okienko, szerokie na sześćdziesiąt i wysokie na dwadzieścia centymetrów, ale mogłem przez nie wystarczająco dobrze widzieć okolicę, a świeże, rozrzedzone zapachy gór i płaskowyżów przenikały przez wielkie drzwi na końcu wagonu, spowijając mnie woniami, które zdawały się wywoływać dręczące wspomnienia z odległej przeszłości.

Oprócz powracającego snu o człowieku w mieście pełnym surowego piękna miałem też inne sny; pewnej nocy śniło mi się, że się obudziłem, podszedłem do okienka mojej celi, wyrzałem na upstrzoną głazami równinę i zobaczyłem dwie pary słabych świateł zbliżających się do siebie na oświetlonych przez księżyc nieużytkach. W chwili gdy znieruchomiały, z łoskotem wjechaliśmy do tunelu. Innym razem wydawało mi się, że wyglądam przez okno za dnia, gdy pociąg mknął wzdłuż wielkiego urwiska nad błękitnym, iskrzącym się morzem; na skraju urwiska rozciągały się pękate chmury, w których stale zanurzaliśmy się i z których potem wypadaliśmy. Parokrotnie – na bezchmurnych odcinkach -wydawało mi się, że głęboko w dole na powierzchni błyszczącego w słońcu morza przez mgiełkę żaru widzę dwa okręty liniowe płynące obok siebie, z przestrzenią między burtami wypełnioną kłębamii szarego dymu i strzelającymi w górę płomieniami. Ale to był sen na jawie.

W końcu, po przebyciu gór, wzgórz, tundry i następnej, niżej położonej i zimniejszej równiny, zostawili mnie tutaj. To Republika zimne, koncentryczne miejsce, znane kiedyś ponoć jako Oko Boga. Dojeżdża się do niej z nieurodzajnej równiny długą groblą, która rozdziela wody wielkiego, szarego śródlądowego morza. Morze jest niemal idealnie okrągłe, a duża wyspa na jego środku również ma kształt bardzo zbliżony do koła. Pierwszym jej elementem, który ujrzałem, był mur: szary falochron w strefie niskiego przyboju, zwieńczony niewysokimi wieżami. Wydawało się, że rozciąga się łukiem w nieskończoność, znikając we mgle odległych, niosących

deszcz szkwałów. Pociąg ze stukotem przejechał przez długi tunel, potem nad głęboką fosą i nad następnym falochronem. Za nim leżała wyspa i Republika, wietrzna kraina pszenicznych pól, niskich wzgórz i szarych budynków; sprawiała wrażenie wyczerpanej i pełnej energii zarazem, a szare budynki od czasu do czasu ustępowały miejsca nieskazitelnyemu pałacowi i świątyniom najwyraźniej z wcześniejszej epoki, idealnie odrestaurowanym, lecz na pierwszy

rzut oka nie wykorzystywanym. Był także cmentarz – długi i szeroki na wiele mil, zastawiony milionami identycznych białych słupów, rozmieszczonych równomiernie na zielonym morzu trawy.

Mieszkam w dormitorium wraz z setką innych mężczyzn. Uprzątam liście z szerokich ścieżek w parku. Ze wszystkich jego stron wznoszą się wysokie szare budynki – potężne bryły na tle ziarnistego, mglistobłękitnego nieba. Na ich szczytach znajdują się iglice i wąskie wieżyczki; powiewają na nich transparenty, których treści nie potrafię odczytać.

Zamiatam liście nawet wtedy, gdy nie ma czego zamiatać; takie są przepisy. Gdy się tutaj znalazłem, odniosłem wrażenie, że to więzienie, ale tak nie jest, przynajmniej nie w oczywistym znaczeniu tego słowa. Wydawało mi się wówczas, że każdy spotkany człowiek jest albo więźniem, albo strażnikiem, i nawet wtedy, gdy zważono mnie, zmierzono, zbadano, dano mi mundur i zawieszono do tego dużego, anonimowego miasta, niczego to w istocie nie zmieniło. Mogłem rozmawiać z niewiele-loma ludźmi – to oczywiście nie było zaskoczenie – ale ci, z którymi rozmawiałem, wydawali się zachwyceni faktem, że mogę do nich mówić w moim dziwnym, obcym języku, a zarazem dość ostrożni w wypowiedziach na temat swojej sytuacji. Pytałem, czy słyszeli o moście; niektórzy słyszeli, ale gdy powiedziałem, że przybywam stamtąd, myśleli chyba, że żartuję albo wręcz że jestem obłąkany.

I wtedy moje sny się zmieniły – zostały opanowane.

Pewnej nocy obudziłem się w dormitorium; powietrze było przesycone obrzydliwym zapachem śmierci i gęste od ludzkich pojękiwań i krzyków. Wyrzłem przez rozbite okno; zobaczyłem błyski wybuchów w oddali, równomierną łunę wielkich pożarów i usłyszałem huk spadających pocisków i bomb. Byłem sam, dźwięki i zapachy dolatywały spoza dormitorium.

Czułem się słaby i byłem głodny jak wilk, głodniejszy niż w pociągu, który zabrał mnie z mostu. Odkryłem, że w ciągu nocy straciłem prawie połowę wagi. Szczypałem się i gryzłem w policzek, ale nie obudziłem się. Rozejrzałem się po opustoszałej sali; okna zostały zabezpieczone taśmą: czarno-białe paski tworzyły ikсы na prostokątnych szybach. Na zewnątrz płonęło miasto.

Tam, gdzie powinien się znajdować mój przydziałowy uniform, znalazłem źle

dopasowane buty i stary garnitur. Ubrałem się i wyszedłem na miasto. Park, w którym miałem zamiatać, pozostał na swoim miejscu, ale był zastawiony namiotami i otoczony zrujnowanymi budynkami.

Samoloty przelatywały z warkotem nad moją głową lub przeraźliwie gwizdząc, pikowały w dół z pochmurnego nocnego nieba. Ziemią i powietrzem wstrząsały wybuchy; w niebo strzelały płomienie. Wszędzie unosił się zapach śmierci. Spostrzegłem martwego konia, padłego w zaprzęgu, z wozem na wpeł przysypanym gruzami budynku. Był skrupulatnie ćwiartowany przez grupę chudych mężczyzn i kobiet z wytrzeszczonymi oczami.

Chmury tworzyły pomarańczowe wyspy na tle czarnego jak smoła nieba. Samoloty krążyły jak sępy nad płonącym miastem. Czasami jakiś szperacz wyławiał jeden z nich z mroku – wówczas parę kłębow dymu jeszcze bardziej zaciemniało niebo wokół samolotu – wyglądało jednak na to, że miasto jest bezbronne. Z rzadka rozlegały się nad nami przeraźliwe gwizdy pocisków; dwa razy bliskie wybuchy zmusiły mnie do poszukiwania schronienia, gdy zakurzone cegły i odłamki kamieni ze stukiem i głuchym hukiem spadały wokół mnie.

Włóczyłem się przez wiele godzin. Wracając przed świtem do dormitorium przez ten nie kończący się koszmar, znalazłem się w pewnej chwili za dwojgiem staruszków. Szli ulicą, wspierając się wzajemnie, gdy mężczyzna nagle zgiął się wół i upadł, pociągając za sobą kobietę. Próbowałem pomóc im się podnieść, ale mężczyzna już nie żył. Przez kilka minut nie spadały bomby ani pociski i choć wydawało mi się, że słyszę w oddali palbę z broni ręcznej, w pobliżu panował spokój. Kobieta, chuda i siwa jak jej martwy towarzysz, płakała rozpaczliwie, z jękiem wtulając twarz w wytarty kołnierz jego płaszcza, kręcąc wolno głową i powtarzając raz po raz słowa, których nie rozumiałem.

nie przypuszczałem, że oczy wysuszonej staruszki mogą zawierać tyle łez.

Gdy wróciłem do dormitorium, pełno w nim było martwych żołnierzy w szarych mundurach. Jedno łóżko pozostało wolne. Położyłem się na nim i zbudziłem się ze swego snu.

Było to identyczne, spokojne, nietknięte miasto, z tymi samymi drzewami i ścieżkami oraz wysokimi szarymi budynkami. I ja wciąż tu byłem. Budynki, które widziałem w płomieniach lub zrujnowane, wznosiły się wokół parku, w którym pracowałem. Gdy jednak przyjrzałem się im uważnie, w paru miejscach znalazłem kamienie, których nie odnowiono i które stanowiły część pierwotnych budynków. Niektóre z tych bloków były odłupane i naznaczone wyraźnymi, choć już spatynowanymi bliznami po kulach i odłamkach.

Takie sny miałem przez wiele tygodni: zawsze bardzo podobne, nigdy identyczne.

Nie wiedzieć czemu nie byłem zaskoczony, gdy odkryłem, że wszyscy miewają takie sny. To oni byli zaskoczeni – tym, że ja ich nigdy wcześniej nie miałem. Mówię im, że nie potrafię zrozumieć, dlaczego sprawiają wrażenie przerażonych swoimi snami. To była przeszłość, tłumaczę, a to jest teraźniejszość. Przyszłość będzie lepsza, nie będzie przeszłością.

Myślą, że istnieje zagrożenie. Mówię im, że go nie ma. Niektórzy ludzie zaczęli mnie unikać. Tłumaczę tym, którzy jeszcze chcą słuchać, że są uwięzieni, lecz więzienie tkwi w ich umysłach.

Zeszłej nocy siedziałem do późna, pijąc – o wiele za dużo – z kolegami z pracy. Powiedziałem im wszystko o moście i zapewniłem, że w długiej podróży tutaj nie widziałem niczego, co by im zagrażało. Większość stwierdziła, że jestem obłąkany i poszła spać. Położyłem się zbyt późno, wypilem za dużo.

Teraz, na początku tygodnia, mam kaca. Biorę miotłę ze składu i idę do chłodnego parku, gdzie leżą liście, wilgotne lub przymarznięte do ziemi – zależnie od tego, gdzie pada światło słońca. Oni czekają na mnie w parku; czterej mężczyźni i duży czarny samochód.

W samochodzie dwaj z nich dają mi wycisk. W tym czasie pozostałych dwóch rozmawia o kobietach, które zerżnęli w ten weekend. Biją w bolesny sposób, ale bez szczególnego zapału; sprawiają wrażenie niemal znudzonych. Jeden rozcina sobie kłykieć na moich zębach i przez chwilę wygląda na zirytowanego. Wyciąga kastet, ale któryś z pozostałych mężczyzn mówi coś do niego; tamten chowa kastet i siada, ssąc skórę. Samochód z rykiem pędzi szerokimi ulicami.

Chudy siwowłosy mężczyzna za biurkiem przeprosza mnie; nie powinienem zostać pobity, ale to nic szczególnego; tak to już bywa. Twierdzi, że i tak jestem szczęściarzem. Ocieram zakrwawiony nos i opuchnięte oczy chusteczką z monogramem – to cud, że mi jej jeszcze nie ukradziono – i próbuję się z nim zgodzić.

–Gdybyś był jednym z naszych, to... – mówi i kręci głową. Stuka kluczem o blat szarego metalowego biurka.

Znajduję się w jakimś dużym budynku pod ziemią. W drodze z miasta zawiązali mi oczy. Wiem, że jestem w jakimś innym mieście, ponieważ słyszałem jego odgłosy i jechaliśmy przez nie godzinę, zanim samochód zjechał spiralnym torem do jakiegoś podziemnego, wypełnionego

echem pomieszczenia. Gdy się zatrzymał, zaprowadzono mnie niezliczonymi krętymi korytarzami do tego pokoju, gdzie czekał chudy siwowłosy mężczyzna, stukający kluczem w szare biurko i popijający herbatę.

Pytam, co mają zamiar ze mną zrobić. Zamiast odpowiedzi wysłuchuję opowieści o

więzieniu połączonym z komendą główną policji, w której się obecnie znajduję. Jak się domyślałem, w przeważającej części mieszczą się one pod ziemią. Mężczyzna z niekłamanym entuzjazmem wyjaśnia zasady, według których zaprojektowano je i zbudowano, ożywiając się z każdym kolejnym słowem. Więzienie-komenda główna ma kształt kilku wysokich cylindrów – odwróconych kolistych drapaczy chmur, schowanych pod powierzchnią miasta. Celowo nie określa ich dokładnej liczby, ale odnoszę wrażenie, że tych umieszczonych blisko siebie cylindrów jest od trzech do sześciu. Każdy z ogromnych, zatopionych pod ziemią bębnow zawiera setki pomieszczeń: cele, biura, toalety, stołówki, dormitoria i tak dalej, i każdy może się obracać niczym olbrzymi magazyn materiałów wybuchowych na okręcie wojennym, tak że prawie stale można zmieniać zorientowanie korytarzy i drzwi prowadzących do i z każdego bębna. Drzwi, które jednego dnia prowadzą do windy, podziemnego parkingu, stacji kolejowej lub pewnego miejsca w jednym z pozostałych cylindrów mogą nazajutrz prowadzić do zupełnie innego cylindra lub ku litej skale. Z dnia na dzień, a nawet – w warunkach stanu podwyższonej gotowości – z godziny na godzinę tę skrzynię przekładniową z obracającymi się bębnowi można przemieszczać albo na chybił trafił, albo zgodnie ze skomplikowanym zakodowanym wzorem, zupełnie dezorganizując planowanie jakiegokolwiek ucieczki i jej realizację. Informacje niezbędne do odszyfrowania tych nieprzewidzianych transformacji udzielane są policji i personelowi wyłącznie w razie uzasadnionej potrzeby, tak że nikt nie wie, jaką nową konfigurację przyjął złożony podziemny kompleks; tylko najwyżsi rangą i najbardziej zaufani urzędnicy mają dostęp do maszyn, które nadzorują owe rotacje, a mechanizmy i elektronika będące ich mięśniami i nerwami są skonstruowane w taki sposób, by żaden inżynier czy elektryk naprawiający dowolny defekt lub zakłócenie nie mógł uzyskać choćby ogólnego wyobrażenia całego systemu.

Gdy facet opisuje mi to wszystko, jego oczy są jasne i szeroko otwarte. Boli mnie głowa, widzę jak przez mgłę i muszę się wysikać, ale zupełnie szczerze przyznaję, że to spore osiągnięcie inżynieryjne.

–Nie rozumiesz? – pyta. – Nie rozumiesz, co to jest, czego jest wyobrażeniem?

Przyznaję, że nie wiem; dzwoni mi w uszach.

–Zamka! – oświadcza triumfalnie, z błyskiem w oczach. To poemat; pieśń zawarta w metalu i skale. Idealne, rzeczywiste wyobrażenie swego celu: zamek, sejf, zestaw urządzeń unieruchamiających; bezpieczne miejsce do przechowywania zła.

Rozumiem, co chce przez to powiedzieć. Tętni mi w skroniach.

Tracę przytomność.

Gdy się budzę, znów siedzę w pociągu i mam mokro w spodniach.

Miocen

–Wersje prawdy rozsiewanej, Jak plastikowe odłamki stada, Zachodzącej większości za skórę, I działającej niektórym na nerwy... Kolejna stróżyna starej blastomy, Kolejny objaw systemu; Kwiat i kloaka naszego cukrzycowego materializmu.

Chodź i przeproś nas, Wyjaśnij, dlaczego zrobiłeś to, co musiałeś zrobić; Powiedz nam o tym, jaki ból sprawia ci bycie uprzejmym. Mówisz o: Krwawych Niedzielach, Czarnych Wrześniach, I cały czas niszczysz.

Będziemy się uśmiechać, udawać, Badać teren pod barykady. Liczyć broń, koszty operacji, A tymczasem mamroc: „Sądzę, że to tak właśnie się stało. Jestem pewien, że jest dokładnie tak, jak mówisz”.

–...No cóż, bardzo radykalne. Sporo w tym dobrego wyczucia sytuacji. – Stewart potwierdził skinieniem głowy. – Zawsze mówiłem, że dobry wiersz jest wart tysiąca kałasznikowów. – Znowu kiwnął głową i napił się ze swojej szklanki.

–Słuchaj, dupku, powiedz mi tylko, czy masz coś przeciwko temu fragmentowi o „cukrzycowym materializmie”.

Stewart wzruszył ramionami i sięgnął po następną butelkę pilsa.

–Nie przeszkadza mi, przyjacielu. Recytuj dalej. To nowy wiersz?

–Nie, stary jak świat. Ale sądzę, że mógłbym spróbować parę wydrukować. Myślałem, że możesz się poczuć urażony.

Stewart roześmiał się.

–Boże, czasem zachowujesz się jak stuknięty sukinsyn, wiesz o tym?

–Wiem.

Znawali się w domu Stewarta i Shony w Dunfermline. Shona zawiozła dzieci na sobotę i niedzielę do Inverness; on przyjechał zostawić

prezenty bożonarodzeniowe i porozmawiać ze Stewartem. Musiał z kimś porozmawiać. Otworzył następną puszkę eksportu i dorzucił blaszkę wieczka do sporej jeź sterty w popielniczce.

Stewart nalał sobie pilsa do szklanki i podszedł do aparatury hi-fi. Ostatnia płyta skończyła się przed paroma minutami.

–Może odrobina rozrywki z dawnych lat?

–Dobra, pograjmy się w nostalgii. Czemu nie.

Usadowił się w fotelu i obserwował, jak Stewart wertuje płyty ze swojej kolekcji; żałował, że nie zdołał wymyślić na prezent dla chłopców czegoś bardziej fantastycznego niż bony na płyty. No cóż, o to właśnie obaj prosili. Dziesięć i dwanaście lat; pamiętał, że pierwszy singiel kupił na swoje szesnaste urodziny. Oni już mieli swoje zbiory płyt długogrających. No cóż.

–Chryste Panie – mruknął Stewart, wyciągając niebiesko-szarą okładkę; sprawiał wrażenie lekko zaszokowanego. – Czy ja naprawdę kupiłem „Deep Purple in Rock”?

–Musiałeś być nieźle nawalony – odparł.

Stewart odwrócił się i mrugnął do niego, wyjmując płytę.

–Czyżby? Nie było w tym przebłysku inteligencji?

–Zaledwie iskierka. Nastaw wreszcie tę cholerną płytę.

–Nie odtwarzałem jej dość długo, pozwól, że ją wyczyszczę...

Stewart wyczyścił płytę i puścił „Can't Stand The Rezillos”.

Mój Boże, pomyślał, nagrali ją w 1978. To rzeczywiście rozrywka z dawnych lat.

Stewart kiwał przez chwilę głową w takt muzyki, po czym usiadł w swoim fotelu.

–Lubię te subtelne melodyjne piosenki – zawołał.

Ścieżka, na której położył igłę adapteru, zawierała „Somebo-dy's Gonna Get Their Head Kicked In Tonight”. Uniósł swą puszkę ku Stewartowi.

–Boże Wszechmogący, toż to siedem lat!

Stewart pochylił się do przodu, z dłonią przyłożoną do ucha. On pokazał na tarczę gramofonu i krzyknął:

–Powiedziałem: siedem lat... – Skinął głową w kierunku aparatury

hi-fi. – Pomyśleć tylko, siedemdziesiąty ósmy.

Stewart wyprostował się w fotelu, z emfazą kiwając głową.

–E tam, siedem – zawołał. – Trzydzieści trzy i jedna trzecia!

Doszło do tego, że zarabiam na chleb opowiadaniem historii.

Najeżdżam moje sny w poszukiwaniu smakowitych kąsków dla zazdrosnego Marszałka Polnego i zgrai jego krwiożerczych aż do znudzenia podwładnych. Siedzimy w kucki dokoła ogniska z opadłych flag i bia-

łych kruków, płomienie błyskają na bandolierach i bagnetach; jemy ludzkie mięso i pijemy samogon; Marszałek Polny chełpi się słynnymi bitwami, które wygrał, wszystkimi kobietami, które zerznął, a potem, gdy nie potrafi już wymyślić następnych kłamstw, żąda, bym mu opowiedział jakąś historię. Opowiadam mu jedną o małym chłopcu, którego tato miał gołębnik i który jako mężczyzna nigdy nie czuł się szczęśliwszy niż wtedy, gdy dostał kosza na szczycie monstrualnego gołębnika.

Marszałek Polny sprawia wrażenie niewzruszonego, więc wracam do początku.

Nim doszedłem do siebie po melodramatycznym. omdleniu w gabinecie siwowłosego mężczyzny ze stukającym kluczem i szarym biurkiem, pociąg, w którym się znajdowałem, przejechał resztę Republiki, dotarł groblą na drugi brzeg prawie idealnie okrągłego morza i przebył kawałek mroźnej tundry.

Miałem na sobie kolejny nowy ubiór; uniform członka załogi pociągu. Leżałem w małym podnoszonym łóżku i zsiakałem się w spodnie. Czułem się okropnie; tętniło mi w skroniach, odczuwałem ból w różnych miejscach ciała, powrócił kolisty ucisk w klatce piersiowej. Pociąg przemieszczał się z turkotem.

Miałem być kelnerem; kimś, kto czekał i usługiwał. W pociągu znajdowali się rozmaici oficjele z Republiki, jadący z misją pokojową – nigdy nie odkryłem, kim dokładnie są ani jakiego rodzaju pokój planują zawrzeć – a ja wraz z doświadczonym głównym stewardem miałem im usługiwać w wagonie restauracyjnym, serwując napoje, przyjmując zamówienia i przynosząc potrawy. Na szczęście ci starzejący się biurokraci byli prawie przez cały czas pijani i moje początkowe gafy w trakcie szkolenia przeszły nie zauważone. Od czasu do czasu musiałem także ścielić łóżka albo zamiatać, odkurzać i pastować podłogi w przedziałach sypialnych i wagonach osobowych.

Jeśli to jest kara, myślałem sobie, to bardzo łagodna. Później się dowiedziałem, że od znacznie gorszego losu uchronił mnie fakt, że dla tych ludzi byłem głupim i głuchym analfabetą. Ponieważ nie mogłem zrozumieć żadnych rozmów ani przeczytać żadnych gazet porozkładanych w wagonach, można mnie było obdarzyć zaufaniem i wykorzystać. Oczywiście nauczyłem się trochę ich języka, lecz moje słownictwo ograniczało się niemal zupełnie do spraw związanych z podawaniem do stołu oraz rozszyfrowywaniem napisów w rodzaju *Nie przeszkadzać*. Robiłem, co do mnie należało. Pociąg toczył się przez wietrzną tundrę, mijając miasta o niskiej zabudowie, obozy i posterunki wojskowe.

Gdy oddaliśmy się od Republiki, pijacki luz oficjeli zmienił się w pijackie napięcie; na

horyzoncie wznosiły się czarne słupy dymu i od czasu do czasu w kierunku pociągu nagle i z przeraźliwym gwizdem pikowała eskadra myśliwców. Gdy samoloty śmigaly nad nami, oficjele przy stolikach odruchowo schylali głowy, po czym wybuchali śmiechem, rozpinali kołnierzyki i z uznaniem kiwali głowami w stronę szybko oddalających się cętek eskadry. Po chwili zauważali moją obecność i strzelali majestatycznie palcami, żądając następnych porcji alkoholu.

Skład pociągu ulegał w trakcie podróży zmianom. Początkowo mieliśmy parę platform z dwoma czterolufowymi działami przeciwlotniczymi, jednym tuż przed lokomotywą i drugim za wagonem służbowym, potem wagon mieszczący załogi dział oraz opancerzony wagon pełen dodatkowej amunicji. Wojskowi nie ruszali się ze swoich wagonów, a mnie nie wzywano do ich obsługi.

Później w małym mieście, gdzie w oddali wyły syreny i klaksony, a w pobliżu stacji szalał wielki pożar, odczepiono część wagonów osobowych. Zastąpiono je opancerzonymi wagonami z oddziałami wojska. Oficerowie zajęli niektóre z wagonów sypialnych.

Pogoda zmieniła się; spadł śnieg. Przejeżdżaliśmy wzdłuż szutrowych dróg, przy których w rowach leżały spalone ciężarówki; ich nawierzchnia i pobocze toru były zryte lejami po pociskach. Pojawiły się kolumny żołnierzy i ubogo wyglądających cywilów, pchających dziecinne wózki załadowane sprzętami domowymi; żołnierze zmierzali w obydwu kierunkach, cywile tylko w jednym – przeciwnym niż my. Kilka razy zatrzymywaliśmy się bez widocznego powodu i wtedy widziałem z bocznic, jak mijają nas pociąg wiozący szyny oraz dźwigi, ciągnący wagony pełne tłuczni. Mosty nad pokrytą śniegiem tundrą często były wznoszone na ruinach dawnych mostów i obsadzone saperami. Nasz pociąg przejeżdżał przez nie w żółwym tempie; wysiadałem i siedłem wzdłuż toru, by rozprostować nogi, trzęsąc się z zimna w mojej cienkiej kelnerskiej marynarce.

Zanim zdałem sobie sprawę, co się dzieje, w pociągu nie było już cywilów -jedynie oficerowie, żołnierze i załoga. Zostały też wyłącznie wagony wojskowe; mieliśmy trzy lokomotywy spalinowe z przodu i jeszcze dwie z tyłu, co trzy bądź cztery wagony rozmieszczono platformy z działkami przeciwlotniczymi i z zamaskowanymi działami polowymi i haubicami; poza tym w składzie znajdował się wagon-radiostacja z własnym generatorem, kilka platform z czołgami, samochodami sztabowymi i ciągnikami artyleryjskimi, wiele wagonów bydłych wypeł-

nionych poborowymi oraz z tuzin wagonów pełnych beczek z olejem napędowym.

Teraz obsługiwałem wyłącznie oficerów. Pili więcej niż tamci i mieli skłonność do niszczenia wszystkiego, ale raczej nie rzucali sztućcami, gdy ktoś upuścił brudne talerze.

Światło słońca stało się mniej intensywne, wiatry chłodniejsze, chmury ciemniejsze i gęstsze. Nie mijaliśmy już uchodźców, a tylko ruiny miast i wsi; wyglądały jak szkice węglem: czerń pokrytych sadzą kamieni i pusta biel lepkiego śniegu. Widziałem wojskowe obozy, bocznicę zastawioną pociągami takimi jak nasz, składy z setkami czołgów na platformach bądź olbrzymie działa na wieloosiowych wagonach przegubowych, trzy razy dłuższych od normalnych.

Zostaliśmy zaatakowani przez samoloty; z platform z działkami przeciwlotniczymi dolatywały hałaśliwie trzaski, a kłęby gryzącego dymu snuły się wzdłuż pociągu. Samoloty ostrzeliwały nas z broni pokładowej, rozbijając szyby, a bomby wybuchały ledwie o sto metrów obok. Leżałem na podłodze w kuchni razem z głównym stewardem, obejmując pudełko z przepięknymi kieliszkami z kryształu, podczas gdy wokół nas rozpryskiwały się szyby okien. Obaj patrzyliśmy z przerażeniem, jak spod drzwi kuchni wypływa fala czerwonej cieczy; sądziliśmy, że trafiony został jeden z naszych kuchmistrzów. Na szczęście było to tylko wino.

Uszkodzenia zostały naprawione i pociąg potoczył się dalej między niskimi wzgórzami, pod ciemnymi zwałami chmur. Miejscami wiatr zwał ze szczytów śnieg i choć słońce nie wschodziło wysoko, powietrze stało się cieplejsze. Wydawało mi się, że czuję oddech oceanu; czasem pachniało siarką. Obozy wojskowe wyraźnie się rozrastały. Wzgórza stopniowo przeistoczyły się w góry i pewnej nocy, podając kolację, ujrzałem pierwszy wulkan; skutki jego działania wziąłem mylnie za jakiś straszliwy nocny atak w oddali. Żołnierze omietli tylko widok spojrzeniami i powiedzieli, że bym nie rozlewał zupy.

Teraz już przez cały czas słyhać było odległe wybuchy; czasem wulkanów, czasem spowodowane przez ludzi. Pociąg toczył się z jękiem po świeżo naprawionym torze, mijając w żółtym tempie długie kolumny mężczyzn o szarych twarzach, niosących młoty kowalskie i długie łopaty.

Uciekaliśmy przed atakującym samolotami, pędząc po prostych odcinkach, mknąc z łoskotem na zakrętach – wagony przechylały się wtedy pod przyprawiającym o mdłości kątem – a potem wpadając do tune-

li i gwałtownie hamując; wszystko brzęczało i upadało z trzaskiem, a ściany tunelu błyskały od iskier pryskających spod piszczących hamulców.

Wyładowywaliśmy czołgi i samochody sztabowe, zabieraliśmy rannych; wojenne gruzby były rozrzucone po wzgórzach i dolinach niczym gnijące owoce w opuszczonym sadzie. Kiedyś nocą widziałem żarzące się resztki czołgów uwieczonych w rubinowym strumieniu. Lawa spływała w dolinę u naszych stóp, jak płonące błoto; rozbite czołgi – z rozprutymi gąsienicami, z lufami zadartymi szaleńczo ku niebu – były niesione tym rozżarzone nurtem, jak dziwne produkty samej ziemi; piekielne przeciwciała w tym czerwonym strumieniu.

Nadal serwowałem oficerom posiłki, aczkolwiek zabrakło nam już wina, a nasze zapasy stopniały do nędznych resztek. Wielu oficerów, którzy wsiedli do pociągu po wjeździe do strefy walk, gapiło się na swoje talerze całymi minutami, spoglądając z niedowierzaniem na to, co postawiliśmy im przed nosem; byli tak zmieszani i zaniepokojeni, jakbyśmy im nałożyli chochlą na talerze stertę nakrętek i śrub.

Światła w naszym pociągu paliły się przez całą dobę; ciemne chmury, ogromne bałwany wulkanicznego dymu i pyłu, nisko zawieszona słońce, bez widoku którego musieliśmy się obywać całymi dniami – wszystko to razem spowodowało, że usiane wrakami góry i r⁴ Miny zmieniły się w krainę wiecznej nocy. Nic już nie było pewne. W Mszy pas na horyzoncie mógł być chmurą deszczową lub dynu» bieli na zboczu wzgórza lub równinie mogła być śniegiem k, 'm; pożary nad nami – płonącymi twierdzami na wzgórzach lu i wyziewami wielkich wulkanów. Podróżowaliśmy przez cień i śmierć. Po pewnym czasie zaczęło się to nam wydawać zupełnie.

Sądzę, że gdybyśmy jechali dalej, na dachach wagonów – oprysi.-nych lawą, oblepionych pyłem, pogiętych i połatanych – nagromadziłoby się tyle zastygłej lawy, że nasz pociąg z góry wyglądałby jak naturalna skalna zasłona, druga skóra, ochronna warstwa wyrosła w tym nieprzyjemnym miejscu, jak gdyby metale przegubowego cielska pociągu spontanicznie powracały do pierwotnej postaci.

Atak nastąpił pośród ognia i pary.

Pociąg zjeżdżał z przełęczy. Po jednej stronie płytkiej doliny płynął rwący strumień uwolnionej lawy, niemal dotrzymujący nam tempa. Gdy dojeżdżaliśmy do tunelu pod skalnym szczytem, przed nami podniosła się rozległa zasłona z pary, a huk przypominający grzmot ogrom-

nego wodospadu zagłuszył hałas pociągu. Wyjechawszy z wypełnionego mgłą tunelu, zobaczyliśmy, że lodowiec blokuje przepływ lawy: zanieczyszczona woda z tafli topiącego się lodu zasilala rozległe jezioro. Spływała do niego także lawa, pchając przed sobą wielką fałdę schłodzonego wodą gruzu.

Pociąg toczył się niepewnie ku następnemu wałowi gęstej mgły. Właśnie ścieliłem łóżka w jednym z wagonów sypialnych, gdy ze zbocza góry zaczęły się staczać pierwsze, jeszcze małe kamienie; przeszedłem na drugą stronę wagonu i obserwowałem przez otwarte drzwi, jak coraz większe głazy toczą się z łoskotem po zasnutym mgłą zboczu w stronę pociągu i odbite od ziemi wpadają przez okna lub uderzają o ściany wagonów. Jeden olbrzymi głaz zmierzał prosto na mnie; uciekłem w głąb korytarza. Powietrzem targały trzaski, głuche stuki oraz huk odległych, chaotycznych wystrzałów armatnich. Poczułem wstrząs, po czym straszliwy wybuch zagłuszył wszystkie inne hałasy -lawy zmieniającej wody jeziora w parę, wystrzałów armatnich, drobnych skał walących w ściany i dach. Cały wagon przechylił się, ciskając mną o okno, a potem, gdy zamigotały i zgasły światła, przewracając na plecy. Trzask i łomot wydawały się dolatywać ze wszystkich stron naraz, a ja objąłem się jak piłka między wyginającym się dachem wagonu a jego ścianami.

Później stwierdziłem, że wagon oderwał się od reszty bombardowanego głazami pociągu i stoczył po osypisku ku gotującym się wodom jeziora. Ludzie Marszałka Polnego, plądrujący wagony, natknęli się na mnie we wraku, mamroczącego do siebie, i – tak twierdzą, ale mogą gadać, co im ślina na język przyniesie – próbującego przytwierdzić głowę głównego stewarda do tego, co zostało z jego ramion. Do ust wetknąłem mu podobno jabłko.

I znowu uratował mnie język: oni mówią tym samym co ja. Zaprowadzili mnie do Marszałka Polnego, który znajdował się w krótkim pociągu stojącym odrobinę dalej.

Marszałek Polny jest bardzo wysoki i ociężały, ma nieproporcjonalnie długie nogi, wielki tyłek, okrągłą twarz i proste, farbowane na czarno włosy. Preferuje krzykliwe mundury o bardzo wysokim albedo. Gdy zaprowadzono mnie, wciąż na wpół przytomnego, przed jego oblicze, siedział przy biurku w swoim wagonie, słuchając muzyki z radia i zajadając kandyzowane pigwy z małego talerza. Zapytał, skąd przyjechałem; pamiętam jak przez mgłę, że powiedziałem mu prawdę, którą uznał za niezwykle zabawną.

•Ł.

–Będziesz moim lokajem – powiedział. – Lubię posłuchać ciekawej opowieści przy obiedzie.

Gdy ludzie Marszałka kończyli grabić i mordować, siedziałem zamknięty w małej celi w jednym z wagonów. Kiedy mnie przeszukiwali, zabrali chusteczkę. Parę dni później widziałem Marszałka wycierającego sobie w nią nos.

Obserwowałem, jak zbrukani krwią żołnierze Marszałka wracają z mojego pociągu, niosąc broń i kosztowności; nadciągnął wiatr i przerzedził parę w kotle doliny. Jezioro wyschło prawie całkowicie; strumień lawy i lodowiec zetknęły się w końcu,

wywołując szereg potężnych eksplozji, które wyrzucały kawałki lodu i skały na dziesiątki metrów w powietrze. Nasz mały pociąg uciekł, brzęcząc i stukocząc, od wraku na torze i kataklizmu w dolinie.

Pociąg Marszałka Polnego był krótszy i gorzej wyposażony niż ten, który jego ludzie wciągnęli w zasadzkę. Jeżeli nie mieliśmy osłony gęstych chmur, podróżowaliśmy tylko nocą, za dnia ukrywając się w tunelach lub nakrywając lokomotywę i wagony siatką maskującą. Przez parę pierwszych dni w pociągu panowało napięcie, lecz potem, mimo ucieczki w ostatniej chwili przed bombami myśliwca bombardującego i jeżącego włos na głowie przejazdu po wielkim zakrzywionym wiadukcie, który był już uszkodzony i znajdował się pod ciągłym ostrzałem ciężkiej artylerii, w miarę oddalania się od miejsca zasadzki niepokój hałastry w pstrokatych mundurach wyraźnie zmaleł.

Osłabła również aktywność wulkanów; teraz mijaliśmy jedynie fu-marole, gejzery i jeziora z gotującym się błotem, zdradzające istnienie otchłani ognia pod tymi mroźnymi ziemiami.

To Marszałek Polny wpadł na pomysł zakwaterowania około tuzina swoich świń we wspaniałych salonkach; jednocześnie kazał umieścić jeńców w paru pełnych gnoju bydlęcych wagonach z tyłu pociągu. Świnie kąpano co tydzień w marszałkowskim basenie z wirami wodnymi, który zajmował dużą część jego wagonu. Dwaj żołnierze zostali na stałe odkomenderowani do opieki nad trzodą, trudniąc się utrzymaniem czystości w gniazdach z prześcieradeł i koców, które zwierzęta umościły sobie w swoich łóżkach, przynoszeniem im posiłków -jadły to samo co my – i ogólnie dbając o ich pomyślność.

Wrzucanie schwytanych żołnierzy do sadzawek z gotującym się błotem było na porządku dziennym, robiono to po prostu dla rozrywki. Mar-

szątek Polny wiedział, że te praktyki wzbudzają we mnie wielki niepokój.

–Ore – mówił (tak właśnie wymawiał moje nazwisko) – czyżbyś nie lubił naszych niewinnych zabaw?

Uśmiechałem się, skrywając prawdziwe uczucia.

Dni stały się jaśniejsze, uspięne wulkany ustąpiły miejsca niskim wzgórzom i sawannie. Marszałek Polny, pozbawiony swojego wrzącego błota, wymyślił nową rozrywkę: zawiązywał krótką linę na szyi jeńca i zmuszał go do biegu przed pociągiem. Sam przejął stery i chichotał, operując dźwigniami i ścigając swoją zwierzynę. Jeńcy zwykle wytrzymywali mniej więcej osiemset metrów, nim potykali się i upadali na podkłady bądź próbowali uskoczyć w bok; w takim wypadku Marszałek po prostu przyśpieszał i włókł ich wzdłuż toru.

Nad ostatnią sadzawką z wrzącym błotem kazał owinąć ofiarę liną, wrzucić, a gdy już się ugotowała, wyciągnąć. Potem rozkazał swoim ludziom narzucić łopatami więcej błota na skręconą postać, a gdy już wyschło, zostawić zdeformowany posąg na popielistym brzegu słonego, cuchnącego morza.

Jechaliśmy po dnie osuszonego morza do miasta położonego na wielkim, kolistym urwisku, gdy na niebie pojawiły się bombowce. Pociąg przyśpieszył, zmierzając do tunelu usytuowanego pod zrujnowanym miastem; na sze nieliczne działa przeciwlotnicze zostały obsadzone ludźmi. /

Trzy bombowce średniej wielkości leciały ku nam wzdłuż toru/ pełna trzydzieści metrów nad szynami. Gdy znajdowały się er metrów od nas, zaczęły zrzucać bomby – ostatni samolot ; szy. Przyglądałem się temu z wypukłego pleksiglasowe?'

nu obserwacyjnego Marszałka, gdzie otwierałem butelk Ma-

szynista zahamował i rzuciło nami do przodu. Marszałek, iy precisnął się obok mnie, kopniakiem otworzył wyjście awaryjne i wyskoczył z pociągu. Skoczyłem za nim, uderzając z głuchym jękiem w zbocze pokrytego pyłem nasypu w chwili, gdy seria bomb zadudniła po wagonach niczym buty żołnierzy po betonie podczas musztry. Wał podskakiwał jak trampolina; z nieba spadł grad kamieni i kawałków pociągu. Leżałem skulony, zatykając uszy palcami.

Znajdujemy się teraz w opuszczonym mieście – Marszałek Polny, ja i dziesięciu żołnierzy; wszyscy, którzy przeżyli. Mamy trochę broni i jed-

ną świnię. Ruiny pełne są odbijających echo, obwieszonych flagami sal i kamiennych iglic; obozujemy w bibliotece, ponieważ to jedyne miejsce, w którym możemy znaleźć opał. Miasto jest zbudowane z kamienia i ciemnego, ciężkiego drewna, które tylko żarzy się bladoczerwono i nic więcej, nawet podsypane prochem wydobytym z nabojów. Wodę czerpiemy z zardzewiałego zbiornika na dachu biblioteki, chwytamy też i zjadamy niektóre z bladokórych nocnych zwierząt, które przemykają niczym zjawy wśród ruin, szukając czegoś, czego, jak się wydaje, nigdy nie znajdują. Żołnierze narzekają, że te płochliwe, ale i łatwowierne stworzenia nie nadają się na obiekt prawdziwych polowań. Kończymy posiłek. Dłubią w zębach bagnetami; jeden z nich podchodzi do wyłożonej książkami ściany i ściąga z jej urodzajnej powierzchni parę starych tomów. Przynosi je do ogniska, skręcając okładki i marszcząc strony, żeby się lepiej paliły.

Opowiadam Marszałkowi o barbarzyńcy i zaczarowanej wieży, zauszniku, czarnoksiężniku, królowej-wiedźmie i okaleczonych kobietach; podoba mu się.

Potem Marszałek wychodzi z dwoma swoimi ludźmi i ostatnią świnią do swojego pokoju. Myję naczynia i słucham żołnierzy skarżących się na monotonne wyżywienie i nieciekawe rozrywki. Wkrótce mogą się zbuntować; Marszałek Polny nie ma jednak ciekawych pomysłów na przyszłość.

Zostaję wezwany do marszałkowskiej kwatery, przypuszczalnie dawnego gabinetu. Mieści się w nim wiele stołów i jedno łóżko. Żołnierze wychodzą, szczerząc do mnie zęby w uśmiechu. Zamykają drzwi.

–Włóż ją – mówi Marszałek z uśmiechem.

To suknia; czarna suknia. Potrząsa nią, wycierając jednocześnie nos w chusteczkę, którą zabrał mi, gdy zostałem schwytany.

–Włóż ją – powtarza.

Świnia leży na jego łóżku, brzuchem do dołu, parszcząc i kwicząc, z nogami przywiązanymi liną do czterech słupków łóżka. W powietrzu czuć woń perfum.

–Wkładaj – nakazuje Marszałek.

Przyglądam się, jak odkłada moją chusteczkę. Wkładam sukienkę. Świnia chrząka.

Marszałek rozbiera się; wrzuca swój mundur do starego kufra. Ściąga duży karabin maszynowy z pokrytego książkami stołu i wciska mi do rąk. Podnosi taśmę z nabojami, jakby to był gruby złoty naszyjnik, pasujący do mojej długiej sukni.

–Spójrz na te kule – (spoglądam na kule). – To nie są ślepaki,

widzisz? Zobacz, jak bardzo ci ufam, Ore. Rób, co ci mówię.

Jego szeroka twarz jest gładka od potu; ma cuchnący oddech.

Mam mu wpychać lufę karabinu między pośladki w czasie, gdy będzie dosiadał świnie; tego właśnie chce. Już jest podniecony – na samą myśl o tym. Smaruje jedną rękę smarem karabinowym, wspina się na kwiczącą świnie i klepie ją tłustą dłonią w zad. Stoję u stóp łóżka z karabinem w ręku.

Ten człowiek mnie mierzi. Żaden z nas nie jest jednak głupcem. Na kołnierzykach mosiężnych naboji widzę słabe regularne nacięcia; trzymano je w szczękach klucza, otworzono i opróżniono z prochu. Prawdopodobnie wypalono także spłonki.

Przy łbie świni leży poduszka. Marszałek Polny pochyla się nad zwierzęciem;

chrząkają oboje. Jego ręka spoczywa w pobliżu poduszki. Myślę, że leży pod nią jeszcze jeden karabin.

–Teraz – mówi, chrząkając.

Chwytam lufę karabinu obiema rękami, podnoszę nad głową i tym samym ruchem opuszczam go niczym kowalski młot na głowę Marszałka. Moje ręce, ramiona i uszy mówią mi, że nie żyje, zanim jeszcze powiedzą mi to moje oczy. Nigdy przedtem nie czułem ani nie słyszałem, jak pęka czaszka, ale metal karabinu i przesycone zapachem perfum powietrze w pokoju przeniosły ten sygnał zupełnie wyraźnie.

Ciało Marszałka wciąż się rusza, ale tylko dlatego, że świnia szarpie się pod nim. Zaglądam pod poduszkę, gdzie ludzka krew miesza się ze świńską plwociną, i znajduję tam długi, bardzo ostry nóż. Biorę go i otwieram kufer, do którego Marszałek włożył swój mundur; zabieram rewolwer z kolbą z masy perłowej i trochę amunicji, sprawdzam, czy drzwi są zamknięte na klucz, po czym przebieram się z powrotem w swój kelnerski uniform. Zabieram również jedną z opończy Marszałka, a następnie podchodzę do okna.

Jego zardzewiała rama pizczy, nie tak głośno jednak jak świnia. Stoję już na parapecie, gdy sobie przypominam o chusteczce i ją także wyciągam z munduru nieboszczyka.

W mieście jest mroczno; jego skołowani, błakający się mieszkańcy czmychają w poszukiwaniu schronienia, gdy biegnę cicho wśród ruin.

(pliocen

Wróciła. Wróciła też pani Cramond, wyglądająca na drobniejszą i starszą. Spodziewał się, że sprzeda dom, ale tego nie zrobiła; za to Andrea wprowadziła się do niej, sprzedawszy mieszkanie na Comely Bank, które przez te lata wynajmowała studentom. Matka i córka żyły ze sobą w niezwykłej zgodzie. Dom był rzecz jasna dostatecznie duży dla nich obu. Dużą suterенę sprzedały jako mieszkanie z osobnym wejściem.

Po powrocie Andrei nastaly dobre czasy. Przestał zamartwiać się swoją łysiną, w pracy wszystko szło dobrze – wciąż myślał o dołączeniu do spółki pozostałych dwóch kolegów – a jego ojciec był chyba szczęśliwy na zachodnim wybrzeżu, spędzając czas głównie w klubie dla emerytów, w którym najwyraźniej zwrócił uwagę kilku wdów (z wielkim bólem serca dawał się namówić na wyjazd do Edynburga choćby na weekend, a gdy się tam znalazł, wciąż spoglądał na zegarek i skarżył się, że teraz właśnie omija go gra w karty z chłopakami, a teraz bingo, a teraz staromodne tańce. Spoglądał pogardliwie na wykwintne dania, najlepsze, jakich mogli dostarczyć czołowi edynburscy kuchmistrze, i wymownie wzdychał z tęsknoty

za leguminą i tanimi potrawami, które będą jedli tamci).

A Edynburg mógł znowu stać się stolicą, aczkolwiek w ograniczonym sensie tego słowa. Zanosiło się na decentralizację.

Zauważył, że ma lekką nadwagę; po prostu drobne drżenie ciała w pasie i na piersiach, ilekroć wbiegał po schodach; trzeba było się z nim uporać, zaczął więc grać w squash. Nie lubił jednak tego. Tłumaczył, że woli mieć swoje własne pole w grze. Poza tym Andrea stale z nim wygrywała. Przystawił się więc na badmintona; pływał też

w Commonwealth Pool dwa lub trzy razy w tygodniu. Nie chciał jednak biegać; wszystko miało swoje granice.

Chodził na koncerty. Andrea wróciła z Paryża z katolickimi upodobaniami. Ciągnęła go do Usher Hall, żeby słuchać Bacha i Mozarta, puszczała płyty Jacques'a Brela, gdy zatrzymywał się w domu przy Moray Place, kupowała mu w prezencie albumy Bessie Smith. On wolał muzykę Motels i Pretenders, Marthę Davis śpiewającą „Total Control” i Chrissie Hynde wołającą: „ffUCKoff!” Uważał, że muzyka klasyczna w ogóle na niego nie działa, dopóki pewnego dnia nie przyłapał się na tym, że usiłuje zagwizdać uverturę do „Wesela Figara”. Rozwinął w sobie upodobanie do skomplikowanych utworów na klawesyn; dobrze nadawały się do słuchania podczas jazdy samochodem, o ile odtwarzało się wystarczająco głośno. Po raz pierwszy wysłuchał „Warren Ze-von” i żałował, że nie usłyszał albumu tego gościa wtedy, gdy się ukazał. Łapał się również na tym, że na przyjęciach podskakuje jak nastolatek i tańczy pogo do muzyki Rezillos.

–Co takiego? – zapytała Andrea.

–Mam zamiar kupić lotnię.

–Skręcisz sobie kark.

–Co mi tam. To wygląda na niezłą zabawę.

–Co, leżenie w respiratorze?

Nie kupił lotni; doszedł do wniosku, że nie są jeszcze wystarczająco bezpieczne. Zamiast tego skakał ze spadochronem.

Andrea spędziła parę miesięcy odnawiając dom przy Moray Place, nadzorując malarzy i stolarzy i malując wiele rzeczy własnoręcznie. Lubił jej w tym pomagać, pracować do późna w nocy w starym ubraniu poplamionym farbą, słuchając jej gwizdania w drugim pokoju lub rozmawiając, gdy oboje malowali. Przeżyli jedną noc panicznego strachu, gdy wyczuł maleńki guz w jej piersi, ale okazało się, że jest

niezszkodliwy. Czasami w pracy męczył mu się wzrok od wpatrywania się w plany i rysunki. Wizytę u okulisty odkładał, gdyż podejrzewał, że usłyszy, iż potrzebuje okularów.

Stewart miał krótki romans na uniwersytecie z jakąś studentką, o którym dowiedziała się Shona. Mówiła o odejściu od Stewarta, praktycznie wyrzuciła go z domu. Stewart, zmartwiony i skruszony, przyjechał przenocować w jego domu. On pojechał do Dunfermline, żeby zobaczyć się z Shoną i spróbować załagodzić kryzys, opisać rozr-

wartą i to, jak sam zawsze ich podziwiał, a nawet zazdrościł aury spokojnej, trwałej miłości, którą razem emanowali. Czuł się dziwnie, siedząc i próbując przekonać Shonę, by nie opuszczała swojego męża tylko dlatego, że przespał się z inną kobietą, chwilami było to prawie nierzeczywiste, komiczne niemal. Wydawało mu się to absurdalne; tamten weekend Andrea spędzała w Paryżu, zapewne razem z Gustavem, a on tej nocy miał się spotkać w Edynburgu z wysoką jasnowłosą spadochroniarką. Czy to świstek papieru stanowił różnicę, wspólne zamieszkanie, dzieci, czy po prostu wiara w solenne przyrzeczenia, instytucję, zasady religii?

Jakoś zażegnali ten kryzys – przypuszczalnie nie dzięki niemu. Sho-na wspominała o tym tylko od czasu do czasu, gdy była pijana i z coraz mniejszą goryczą. Mimo to on przekonał się, jak kruchy będzie nawet najtrwalszy z pozoru związek, jeżeli człowiek naruszy uzgodnione reguły.

Raz kozie śmierć, pomyślał i wszedł w spółkę z pozostałą dwójką. Oni znaleźli pomieszczenia biurowe w Pilrig, a on musiał znaleźć księgowego. Wstąpił do Partii Pracy; brał udział w kampaniach pisania listów dla Amnesty International. Sprzedał saaba i kupił rocznego golfa GTi; obciążył hipotekę mieszkania.

Gdy mył saaba przed odstawieniem go do salonu, znalazł biały jedwabny szalik, którego używali tamtego dnia na wieży. Nie chciał go zostawiać jakiemuś przypadkowemu znalazcy, więc gdy zeszli wtedy na dół, wypłukał go w potoku, potem jednak zgubił; przypuszczał, że szalik wypadł z samochodu.

Odnalazł się, wymięty i brudny, pod fotelem pasażera. Wyprał go i zdołał usunąć wszystkie ślady stóp, ale plama krwi, zaschniętej w postaci nierównego koła niczym efekt nieudolnego farbowania, nie chciała zejść. Nie bacząc na to, oddał go Andrei. Powiedziała, by go zatrzymał, po czym rozmyśliła się, zabrała szalik i tydzień później zwróciła mu go bez plamy, prawie jak nowy, i z wyszytymi jego inicjałami. Zrobiło to na nim wrażenie. Nie chciała mu zdradzić, jak go razem z matką wyczyściły. Powiedziała, że to rodzinna tajemnica. Dbał o niego i nigdy nie wkładał, gdy wiedział, że się upije, żeby przypadkiem nie zostawić go w jakimś barze.

–Fetyszysta – stwierdziła Andrea.

Legendarne referendum pod hasłem „Podejmij decyzję” zostało skutecznie zmanipulowane. Mnóstwo prac ciesielskich w starym gimnazjum poszło na marne.

Andrea tłumaczyła teksty z rosyjskiego i pisała artykuły o literaturze rosyjskiej dla czasopism. On nie miał o tym pojęcia, dopóki nie przeczytał w „Edinburgh Review” długiego artykułu o Zofii Tołstoj i Nadziezdie Mandelsztam. Był zażenowany, oszołomiony niemal, gdy go studiował; to musiała być ta sama Andrea Cramond; pisała w ten sam sposób, jak mówiła, i czytając wydrukowane słowa, słyszał rytm jej mowy.

–Czemu mi nie powiedziałaś? – zapytał, czując się zraniony.

Uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i odparła, że nie chciała się

chwalić. Napisała też parę artykułów dla czasopism w Paryżu. Tak na marginesie. Znowu brała lekcje gry na fortepianie – zarzuciła je w szkole średniej – i chodziła na wieczorne zajęcia z rysunku i malarstwa.

Była również w swego rodzaju spółce: zainwestowała trochę pieniędzy w feministyczną księgarnię, którą otworzyło parę jej starych znajomych. Do przedsięwzięcia dołączyły inne kobiety i teraz było ich w sumie siedem. Jej brat uważał, że to finansowe szaleństwo. Andrea czasem pomagała w księgarni; on chodził tam w pierwszej kolejności, ilekroć chciał kupić konkretną książkę, ale zawsze czuł się w tym miejscu dość nieswojo i rzadko tam wpadał. Jedna z kobiet zadenuncjowała Andreę na zebraniu za pocałowanie go na pożegnanie, po tym jak kupił parę książek; Andrea po prostu wyśmiała ją, potem jednak poczuła, że postąpiła w sposób niegodny siostry. Przeprosiła za śmiech, ale nie za pocałunek. Odkąd mu o tym opowiedziała, odwiedzając księgarnię, uważał, by nie całować ani nie dotykać Andrei.

–Cholera jasna – mruknął, gdy we wczesnych godzinach rannych, siedząc w łóżku, oglądali w telewizji kolejne przybliżenia wyników wyborów. Andrea pokręciła głową i sięgnęła po butelkę, stojącą na szafce przy łóżku.

–Nie przejmuj się, chłopcze. Napij się whisky i spróbuj nie myśleć o tym. Pomyśl o swojej najwyższej stawce podatkowej.

–Pierdolić stawkę podatkową. Wolałbym mieć czyste sumienie niż dodatnie saldo na rachunku bankowym.

–Ejże, bo twój księgowy będzie się przewracał w swojej szafie do akt.

Kolejny powracający do studia urzędnik obwieścił zwycięstwo kolejnego torysa; rozległy się zwierzęce ryki entuzjazmu. Pokręcił głową.

–Ten kraj naprawdę schodzi na psy – powiedział szeptem.

–Z pewnością dostał się w ręce suki – zauważyła Andrea, mieszając

whisky w swojej szklance i ze zmarszczonym czołem patrząc przez nią na ekran telewizora.

–No cóż... przynajmniej jest kobietą – odparł ponuro.

–Może i jest kobietą, ale nie jest, kurwa, siostrą.

Szkocja głosowała na laburzystów, z SNP* na trzecim miejscu tuż za torysami, ale i tak otrzymała czcigodną posłankę Margaret Thatcher.

Znowu pokręcił głową.

–Cholera jasna.

Firma dobrze funkcjonowała: musieli odprawiać zleceniodawców z kwitkiem. Po niespełna roku jego księgowy namawiał go do kupna większego domu i większego samochodu.

–Aleja lubię moje małe mieszkanie – skarżył się Andrei.

–Więc je zatrzymaj, ale kup dom – odparła.

–Przecież nie mogę mieszkać w obu naraz! A zresztą, zawsze uważałem, że posiadanie dwóch domów w sytuacji, gdy ludzie tracą dach nad głową, jest niemoralne.

–Więc pozwól, by ktoś zamieszkał w mieszkaniu albo w tym domu, który kupisz, ale pamiętaj, kto dostanie wszystkie te dodatkowe pieniądze, które będziesz płacił, jeżeli nie zrobisz tego, co radzi twój księgowy.

–Och.

Sprzedził mieszkanie i kupił dom w Leith, koło Links, z widokiem na Forth z najwyższego piętra. Miał pięć sypialni i duży podwójny garaż: kupił nowego golfa GTi i rangę rovera, żeby uszczęśliwić swojego księgowego i zapełnić garaż; napęd na cztery koła przydawał się w podróżach służbowych, gdy musieli odwiedzać place budowy. Tamtego roku sporo współpracowali z firmami z Aberdeen, więc mógł wpadać do rodziny Stewarta. Podczas kolejnej podróży wylądował w łóżku z jego siostrą, rozwiedzioną nauczycielką. Nigdy nie powiedział o tym Stewartowi, nie do końca pewny, czy tamten nie miałby coś przeciwko temu. Powiedział natomiast Andrei.

–Nauczycielka – stwierdziła z szerokim uśmiechem. – Pouczające doświadczenie?

Powiedział jej o swej niechęci do wyjawienia prawdy Stewartowi.

–Chłopcze – odparła, chwytając go za podbródek i patrząc nań bardzo poważnie – jesteś idiotą.

*** Scottish National Party – Szkocka Partia Narodowa (przyp. tłum.)**

Pomogła mu odmalować dom i zmusiła do zupełnie nowego doboru kolorów.

Pewnego wieczoru stał na drabinie, malując wyszukaną gipsową różę na suficie, gdy poczuł nagły, oszałamiający przyptyw *deja vu*. Odłożył pędzel. Andrea była w sąsiednim pokoju i gwizdała pod nosem. Rozpoznał melodię: „The River”. Stał na drabinie w pustym, odbijającym echo pomieszczeniu i wspominał, jak rok wcześniej, ubrany w identyczne poplamione farbą ubranie, stał w szerokim pokoju pełnym okrytych prześcieradłami mebli w domu przy Moray Place, słuchając jak ona gwizdże w drugim pokoju i czując się ogromnie, tak po prostu, szczęśliwy. Jestem szczęśliwym sukinsynem, pomyślał. Mam tak wiele, otacza mnie tyle dobrych rzeczy. Wciąż chcę więcej, przypuszczalnie chcę więcej, niż mógłbym wykorzystać. W rzeczywistości pragnę rzeczy, które uczyniłyby mnie tylko nieszczęśliwym, gdybym je miał. Ale nawet to jest OK, to także składa się na zadowolenie.

Gdyby moje życie było filmem, pomyślał, puściłbym teraz napisy końcowe. Stopniowo zanikający obraz tego błęgiego uśmiechu, mężczyzny na drabinie w pustym pokoju, czyniącego wszystko lepszym, odnawiającego, udoskonalającego. Cięcie. Koniec filmu.

No cóż, powiedział sobie w duchu, to nie film, chłopcze. Przepeliła go fala czystej radości, prostego zachwycenia tym, że jest tam, gdzie jest, i tym, kim jest, i że zna ludzi, których zna. Rzucił pędzel w kąt pokoju, zeskoczył z drabiny i pobiegł do Andrei. Właśnie rozprawiała wałkiem farbę na ścianie.

–Boże, myślałam, że spadłeś z drabiny. Co tak zęby szczerzysz?

–Właśnie sobie przypominałem – odparł, wyjmując jej z ręki wałek i ciskając go za siebie – że jeszcze nie ochrzciliśmy tego pokoju.

–No cóż, my też nie. Muszę zapamiętać, że zapach farby tak na ciebie działa.

Tym razem dla odmiany kochali się pod ścianą. Koszula przykleiła się Andrei do świeżej farby; śmiała się do łez.

Stał się kinomanem. W czasie ostatniego festiwalu oboje obejrzeli więcej filmów niż sztuk i koncertów i wtedy nagle uświadomił sobie, że nie widział setek filmów, o których słyszał i które chciał zobaczyć. Zapisał się do towarzystwa miłośników filmu, kupił magnetowid i chodził po wypożyczalniach wideo w poszukiwaniu kaset. Ilekroć sprawy służbowe wiodły go do Londynu, starał się znaleźć czas na jak najwięcej wizyt w kinie. Podobało mu się prawie wszystko; po prostu lubił chodzić do kina.

Szkocka grupa Tourists wyłansowała parę przebojów; ich wokalistka została potem żeńską połową zespołu Eurythmics. Ludzie pytali, czy jest z nią spokrewniony.

–Takiego szczęścia to ja nie mam – odpowiadał, wzdychając.

Słyszał słodkie głosy, widział zgrabne tyłki. Andrea robiła skoki

w bok, a on próbował nie być zazdrosny. To nie zazdrość, mówił sobie; już raczej zawiść. I strach. Jeden z nich może okazać się miłszym, życzliwszym i lepszym człowiekiem ode mnie i bardziej oddanym.

Kiedyś Andrea nie kontaktowała się z nikim przez prawie dwa tygodnie, nawiązawszy z młodym wykładowcą z Heriot Watt szalony romans, który na przestrzeni dwunastu dni przeszedł od miłości-od-pierwszego-wejrzenia do stadium trzaskania drzwiami, rzucania bibelotami i tłuczenia szyb w oknach. Gdy to wszystko się działo, on tęsknił za Andrea. W drugim tygodniu wziął wolne i pojechał na północny zachód. Rangę rover i GTi zostały uzupełnione przez motocykl ducatti; miał ze sobą jed-nosobowy namiot, śpiwór do wysokogórskiej wspinaczki i cały sprzęt wycieczkowy najwyższej klasy. Z rykiem silnika ruszył w góry zachodniej Szkocji i spędzał całe dni na samotnych wędrówkach. Gdy wrócił, Andrea zakończyła już romans z wykładowcą. Rozmawiał z nią przez telefon, ale wyglądało na to, że dziwnie nie ma ochoty się z nim zobaczyć; zadręczał się tym, źle sypiał. Kiedy wreszcie po tygodniu ją zobaczył, wokół lewego oka miała zanikającą żółtą plamę. Zauważył to tylko dlatego, że przez zapomnienie Andrea zdjęła w pubie ciemne okulary.

–Czy dlatego właśnie nie chciałaś się ze mną zobaczyć? – zapytał.

–Proszę, nic nie rób – odparła. – To już skończone i z radością bym go udusiła, ale tknij go palcem, a już nigdy się do ciebie nie odezwę.

–Nie wszyscy z nas – wyjaśnił oziębłe – tak szybko uciekają się do przemocy. Mogłaś mi zaufać. Przez ostatni tydzień byłem chory z niepokoju.

Potem żałował, że to powiedział, gdyż Andrea załamała się, objęła go i wybuchnęła płaczem. Zdał sobie sprawę, przez co musiała przejść; czuł, że przysporzenie jej dodatkowej zgryzoty było nikczemne i samolubne. Gdy szlochała na jego piersi, gładził ją po włosach.

–Chodź do domu, dziewczyno.

W góry i na wyspy wyjeżdżał jeszcze parę razy, wyrывая się z Edynburga przy okazji jej podróży do Paryża i zatrzymując się po drodze w obie strony u swego ojca. Pewnego dnia biwakował o zachodzie słońca na zboczach Beinn a' Chaisgein Mor – w pobliżu stała chata, ale przy dobrej pogodzie wolał rozbić namiot – spoglądając na Fionn Loch i na

małą groblę, po której przejedzie nazajutrz ku górom po drugiej stronie, gdy nagle pomyślał, że przez te wszystkie lata tak jak on nigdy nie był w Paryżu, tak Gustave nigdy nie odwiedził Edynburga.

Ech! Może były to tylko skutki działania ostatniego skręta, ale w tej sekundzie, chociaż odgradzało ich tysiąc mil oraz wszystkie te nie dzielone z sobą lata, poczuł się dziwnie bliski temu Francuzowi, którego nigdy nie poznał. Posłał śmiech w chłodne górskie powietrze; wiatr poruszał ścianami namiotu niczym oddech.

Jednym z jego najwcześniejszych wspomnień było wspomnienie gór i wyspy. Razem z rodzicami i najmłodszą siostrą pojechali na wakacje na Arran; miał wtedy trzy lata. Gdy parowiec, przebijając łopatkami koła wodnego, płynął po iskrzącej się rzece ku odległej sinej bryle wyspy, ojciec zwrócił mu uwagę na Śpiącego Rycerza, pasmo górskie na północnym krańcu wyspy, przypominające spoczywającego żołnierza w hełmie, potężnego, lecz pokonanego. Nigdy nie zapomniał tego widoku ani mieszaniny towarzyszących mu dźwięków: krzyku rybitw, plaśnięć łopatek koła wodnego parowca, muzyki zespołu akordeonistów grającego gdzieś na pokładzie, śmiechu ludzi. Zawdzięczał mu także swój pierwszy nocny koszmar: mama musiała go zbudzić w łóżku, które dzielił z siostrą w pensjonacie, gdyż płakał i pisał. W jego śnie wielki kamienny rycerz przebudził się i zbliżał powoli, straszliwie, miażdżąc wszystko po drodze, by zabić jego rodziców.

Pani i panna Cramond wykorzystywały swój duży dom do maksimum: urządzały wieczory towarzyskie, przyjmowały gości. Ich przyjęcia stały się dość głośnie. Udzielały gościny różnym ludziom: poetom czytającym swe wiersze na uniwersytecie, malarzowi próbującemu sprzedać jakieś dzieło miejscowej galerii, pisarzowi, którego księgarnia zaprosiła na podpisywanie nowej książki. W niektóre wieczory w ich domu znajdowała się cała grupa ludzi, których nie znał; zazwyczaj wyglądali na mniej zamożnych niż znajomi Andrei, mieli znacznie większy apetyt i skłonności do picia. Podejrzewał, że pani Cramond spędza pół dnia piekąc ciasta, *quiches i chleb. Obawiał się, że nawet we wdowim stanie spędza życie w kuchni, szykując potrawy dla gości, ale Andrea powiedziała, żeby nie był idiotą; jej matka uwielbiała patrzeć, jak innym smakuje coś, co sama zrobiła. Pogodził się z tym, lecz części przelotnych**

*** *Quiche* – fr., placek lotaryński, ciasto zapiekane z boczkiem, szynką, tartym serem**

i jajami (przyp. red.)

gości tego domu, tym wpychającym ciastka i nadliczbowe butelki wina do kieszeni płaszczy, przyglądał się z przeświadczeniem, że jest świadkiem wyzysku rekompensacyjnego.

–Ci ludzie to intelektualiści – powiedział kiedyś Andrei. – Zakładasz tu salon, stajesz się przeklętą sawantką!

Tylko się uśmiechnęła.

Andrea kupiła od znajomej cztery syjamskie kotki. Jeden zdechł; dwóm samczykom nadała imiona Franklin i Phineas, a smukłej kotce – Tłusta Freddie; on uważał, że to przejaw przekłetej nostalgii. Ktoś dał pani Cramond spaniela wabiącego się Król Karol; nazywała go Cromwellem.

Same przygotowania do wizyty w ich domu wystarczały, by dobrze się poczuł; jazda tam przyprawiała go o niemal dziecienny dreszcz emocji; to miejsce było jego drugim domem, przytulnym i gościnnym. Czasami, zwłaszcza gdy już zdążył opróżnić parę kieliszków, musiał zwalczać w sobie nedorzeczną ckliwość na myśl o więzi łączącej matkę z córką.

Dodał citroena CX do rangę rovera i GTi, po czym sprzedał wszystkie trzy i kupił audi ąattro. Wyjechał służbowo do Jemenu. Stał pośród ruin dawnego Mocha, portu na wybrzeżu Morza Czerwonego; widział, jak ciepły wiatr znad Afryki przemieszcza ziarnka piasku wokół jego stóp i czuł niezmienną i surową obojętność pustyni, jej spokojne trwanie, ducha tych starożytnych ziem. Gładził dłonią zniszczone, dziobate ze starości kamienie i przyglądał się, jak tam, gdzie spadały fale, niebieskie, eksplodujące bielą pięści grzmiały na otwartej złocistej dłoni brzegu.

Wszystko toczyło się swoim torem; Lennon padł od kul, Dylan popadł w bigoterię. Nigdy nie potrafił rozstrzygnąć, co go bardziej przygnębiło. Pracował w Jemenie, gdy Izraelczycy najechali południowy Liban, ponieważ w Londynie zastrzelono jakiegoś człowieka, oraz wtedy, gdy Argentyńczycy zeszli na ląd w Port Stanley. O tym, że jego brat, Sam-my, służy w oddziałach specjalnych, dowiedział się dopiero wtedy, gdy tamten popłynął na Falklandy. Wróciwszy do Edynburga, pokłócił się z przyjaciółmi: jego zdaniem Argentyńczycy powinni oczywiście zatrzymać te cholerne wyspy, ale nie mógł zrozumieć, jak lewicujące partie mogą popierać imperializm faszystowskiej junty. Dlaczego zawsze słuszność musiała być po którejś stronie? Czemu po prostu nie powiedzieć: przekleństwo waszemu i naszemu domowi?

Jego brat powrócił zdrów i cały. On nadal sprzeczał się o tę wojnę: z Sammym, swoim tatą i przyjaciółmi radykałami. Gdy nadeszły wybory, zaczął myśleć, że jego koledzy mieli jednak rację.

–No nie! – zawołał w rozpaczy. Kolejny raz zdrowa większość labu-rzystowska zniwelowana, głosy przechwycone przez SDP,* kolejna zaskakująca wygrana konserwatystów. Eksperti przewidywali, że torysi zdobędą mniej głosów niż ostatnio, ale powiększą stan posiadania o sto mandatów, a może i więcej. – O kurwa!

–To się już staje nudne – zauważyła Andrea, sięgając po whisky. Na ekranie telewizora pojawiła się rozpromieniona zwycięstwem Margaret Thatcher.

–Precz! – zawołał, chowając się pod pościel. Andrea uderzyła w przycisk pilota; ekran zgasł. – O Boże – jęknął spod kołdry. – I nie mów mi o mojej najwyższej stawce podatkowej.

–Przesłyszałeś się, chłopcze.

–Powiedz, że to tylko zły sen.

–To tylko zły sen.

–Naprawdę?

–Diabła tam, to rzeczywistość. Mówiłam ci po prostu to, co chciałeś usłyszeć.

–Ci kretyni! – wołał gniewnie do Stewarta. – Kolejne cztery lata z tą wariatką u władzy! Chryste kurewsko-wszechmogący! Zgrzybiały błazen w spódnicy otoczony przez zgraję ksenofobijnych reakcjonistów!

–Nie wybranych ksenofobijnych reakcjonistów – zauważył Stewart.

Ronald Reagan właśnie został wybrany na następną kadencję; połowa ludzi, którzy mogli wziąć udział w wyborach, nie głosowała.

–Dlaczego nie głosują na mnie? – pieniał się ze złości. – Mój tato mieszka o rzut beretem od Coulport, Faslane i Holy Loch. Jeśli upstrzony plamami wątrobowymi palec tego pyszałka naciśnie guzik, mój stary zginie. Przypuszczalnie zginiemy wszyscy: ty, ja, Andrea, Sho-na i dzieci. Wszyscy, których kocham... Więc dlaczego, do kurwy nędzy, nie głosują na mnie?

–Nie dla anihilacji bez reprezentacji – stwierdził Stewart z zadumą, po czym zapytał: – Skoro już mowa o nie wybranych reakcjonistach, to czym, twoim zdaniem, jest Politbiuro?

*** Social Democratic Party (przyp. tłum.)**

–Czymś, kurwa, o niebo odpowiedzialniejszym od tej ekipy szowinistycznych bezmózgowców.

–Co prawda, to prawda. Punkt dla ciebie.

Dom przy Moray Place, rezydencja pani i panny Cramond, był teraz dość popularny, szczególnie w czasie festiwalu. Nie można było do niego wejść, nie potykając się o jakiegoś dobrze zapowiadającego się artystę lub nowy głos w szkockim powieściopisarstwie albo paru markotnych pryszczatych chłopaków, którzy całymi dniami wączali klej, zażywali AMP we wszystkich pokojach i rekwirowali revoxa. Nazywał to Salonem Ostatniej Szansy. Andrea zaczęła żyć uregulowanym trybem, który uznała za z gruntu wspianiały, nadal pracując w księgarni, tłumacząc rosyjskie książki, pisząc artykuły, grywając na fortepianie, rysując i malując, obcując z ludźmi i urządzając przyjęcia, odwiedzając przyjaciół, wczasując się w Paryżu, chodząc z nim na filmy, koncerty i sztuki oraz na przedstawienia operowe i baletowe ze swą matką.

Obserwował ją pewnego dnia na lotnisku, po kolejnym wypadzie do Paryża; pewnym krokiem, z podniesioną głową wychodziła ze stanowiska kontroli celnej. Była ubrana w szeroki jasnoczerwony kapelusz, ja-skrawoniebieski żakiet, czerwoną spódnicę, niebieskie pończochy i czerwone buty z błyszczącej skóry. Oczy miała roziskrzone, skórę rumianą; gdy go ujrzała, rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu. Miała trzydzieści trzy lata i wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Poczł wówczas dziwny amalgamat uczuć; na pewno miłość, ale też przyprawiony zazdrością podziw. Zazdrościł Andrei jej szczęścia, pewności siebie, spokoju, z jakim podchodziła do życiowych problemów i udręk, umiejętności traktowania wszystkiego tak, jak można by traktować dziecko wymyślające historyjki, w które samo naprawdę wierzy – nie protekcjonalnie, lecz z tym samym, niby poważnym zmarszczeniem czoła, z identyczną mieszaniną ironicznej obojętności i serdeczności, miłości wręcz. Przypomnił sobie swoje rozmowy z mecenasem i dostrzegł w Andrei coś z osobowości jej ojca.

Jesteś szczęściara, pomyślał, gdy wzięła go pod ramię w hali przylotów. Nie z powodu mnie i pod jednym względem nie aż taką szczęściarą jak ja, ponieważ poświęcasz mi więcej czasu niż komukolwiek innemu, ale poza tym... Niech to trwa, pomyślał. Nie pozwól, by jacyś idioci wysadzili świat w powietrze, i nie pozwól, by stało się coś równie strasznego. Spokojnie, chłopcze; do kogo ta mowa?

Niedługo potem sprzedał motocykl.

Tamtej zimy jego ojciec upadł i złamał kość biodrową. W szpitalu sprawiał wrażenie bardzo drobnego i wątłego, i znacznie starszego niż dotąd. Wiosną musiał przejść operację przepukliny; tuż po wyjściu ze szpitala znowu się przewrócił. Złamał nogę i obojczyk. „Muszę tylko dolewać do niej więcej wody” – wyjaśnił synowi i odrzucił propozycję zamieszkania z nim w Edynburgu, ponieważ to tutaj miał przyjaciół. Morąg i jej mąż także zaproponowali, że go wezmą do siebie, a Jimmy pytał w liście z Australii, czyby nie przyjechał na parę miesięcy, ale stary nie chciał ruszać się ze swojego miejsca. Tym razem był w szpitalu dłużej, a gdy puścili go do domu, nie

potrafił odzyskać utraconej wagi. Każdego rana przychodziła do niego pomoc domowa. Pewnego dnia znalazła go, na pozór śpiącego, z bladym uśmiechem na twarzy, przed kominkiem. Miał również problemy z sercem. Lekarz powiedział, że prawdopodobnie nic nie czuł.

Wszystkim zajął się sam, co nie znaczy, że było dużo do zrobienia. Wszyscy jego bracia i siostry zdołali przyjechać na pogrzeb, nawet Sam-my – po uzyskaniu urlopu okolicznościowego – oraz Jimmy, aż z Darwin. Zapytał Andreę, czy mogłaby zostać w domu. Odparła, że nie ma nic przeciwko temu; zrozumiała. Gdy było już po wszystkim, z przyjemnością wrócił do niej, do Edynburga i pracy. Nigdy do końca nie wyzbył się uczucia odrętwienia, które go nachodziło, gdy myślał o ojcu, i choć nie ronił łez, wiedział, że go kochał, i nie czuł się winny z powodu tego oszczędnego żalu.

–Mój biedny sieroto – powiedziała Andrea i dała mu ukojenie.

Firma rozrosła się; zatrudnili więcej ludzi. Kupili wspaniałe nowe biura na Nowym Mieście. Spierał się z pozostałymi wspólnikami o zarobki pracowników. Powiedział, że wszyscy powinni mieć udział w zyskach; wszyscy powinni być wspólnikami.

–Spółki pracowniczej ci się zachciewa? – zapytali pozostali dwaj. Uśmiechali się wyrozumiale.

–Czemuż by nie, u diabła?

Obaj tamci byli zwolennikami SDP; udział pracowników w zyskach był jedną z ulubionych idei Związku. Nie zgodzili się, ale wprowadzili system premiowy.

I wtedy pewnego dnia Andrea wysiadła z samolotu z Paryża z poważną miną, a on poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. O nie, pomyślał. O co chodzi? Co się stało?

Cokolwiek było powodem, nie chciała o tym rozmawiać. Powiedziała, że wszystko jest w porządku, ale pozostała poważna i zadumana, śmiała się rzadko i często unosiła roztargnione spojrzenie, przeproszała i trzeba było powtarzać jej swoje ostatnie słowa. Martwił się. Myślał o tym, żeby zadzwonić do Gustave'a do Paryża i zapytać, co u licha z nią jest, co się tam stało.

Nie zadzwonił. Niepokoił się i próbował zabawić Andreę, zabierając ją na obiad, do kina bądź w odwiedziny do Stewarta i Shony; starał się urządzać romantyczny wieczór, z kolacją w Loon Fung, koło swojego dawnego mieszkania w Canonmills, a potem jazdą taksówką do Canny Man's, ale nic nie pomagało. Nie potrafił dociec, o co chodzi. Martwili się wspólnie z panią Cramond i każde na własną rękę usiłowało

wydobyć prawdę z Andrei. I właśnie matce się udało, aczkolwiek dopiero po trzech miesiącach i kolejnych dwóch wizytach w Paryżu. Andrea wyjaśniła matce, o co chodzi, po czym znowu wróciła do Francji. Pani Cramond zatelefonowała do niego.

–SM – powiedziała.

Gustave miał stwardnienie rozsiane.

–Czemu mi nie powiedziałaś? – zapytał Andreę.

–Nie wiem – odparła apatycznie. – Nie wiem. I nie wiem, co robić. On nie ma nikogo, kto mógłby się nim właściwie zaopiekować...

Te słowa go zmroziły. Biedak, pomyślał szczerze, zaraz jednak przyłapał się na refleksji: To taki powolny proces, dlaczego nie mógłby umrzeć szybko? Znienawidził się za tę myśl.

Kolejna sprzeczka: w czasie strajku 84 roku nie chciał przekroczyć linii górniczych pikiet. Firma straciła kontrakt.

Andrea spędzała coraz więcej czasu w Paryżu. Do domu przy Mo-ray Place przychodziło teraz mniej ludzi. Ilekroć wracała z Francji, wyglądała na zmęczoną i choć nadal była nieskora do gniewu i wciąż wyrozumiała dla ludzi, nie była również skora do śmiechu i wzbraniała się przed przyjemnościami dla samej przyjemności. Gdy się kochali, wydawało mu się, że wyczuwa w niej dodatkową czułość, świadomość wielkiej wartości i nietrwałości takich chwil. Ich współzycie było mniej radosne niż dawniej, lecz nabrało jakoś dodatkowej treści, samo w sobie stało się czymś w rodzaju języka.

Czasami, gdy Andrea przebywała w Paryżu, siedząc sam jeden w dużym domu, czytając lub oglądając telewizję, lub pracując przy desce kreślarskiej, czuł się osamotniony; jeżeli był dostatecznie trzeźwy, wypro-

wadzał audi quattro z garażu i jechał do North Queensferry, by usiąść pod wielkim mrocznym mostem i słuchać, jak woda pluska o kamienie i z łoskotem przejeżdżają pociągi. Zapalał skręta lub po prostu oddychał świeżym powietrzem. Jeżeli litował się nad samym sobą, to tylko nieśmiało, tytułem próby; drugą częścią swej osobowości przypominał jastrzębia bądź orła – głodnego, okrutnego i o fanatycznym, bystrym spojrzeniu. Litość nad samym sobą trwała tylko sekundy; potem spadał na nią drapieżny ptak i rozszarpywał na strzępy.

Ów ptak był prawdziwym światem, najemnikiem wysłanym przez jego zażenowane sumienie, gniewnym głosem wszystkich ludzi na świecie, tej ogromnej większości, której wiodło się gorzej niż jemu; był po prostu zdrowym rozsądkiem.

Ku swemu słusznemu niemal przerażeniu człowieka znajdującego się na rzeczy odkrył, że mostu nie malowano w całości przez okres trzech lat. Robiono to po kawałku i cały cykl trwał od czterech do sześciu lat. Upada jeszcze jeden mit, pomyślał; można się było tego spodziewać.

Andrea spędzała teraz w Paryżu prawie połowę czasu. Prowadziła tam drugie życie, miała drugi komplet przyjaciół; część z nich poznał, gdy przyjeżdżali do Edynburga; wydawca czasopisma, kobieta, która pracowała w UNESCO, wykładowca z Sorbony. Sympatyczni ludzie. Wszyscy oni byli również przyjaciółmi Gustave'a. Powiniennem tam pojechać, ganił siebie w duchu, powiniennem pojechać, zaprzyjaźnić się. Za późno. Czemu jestem taki głupi? Potrafię zaprojektować budowlę wytrzymującą trzydziestometrowe fale przez trzydzieści lat lub dłużej i uczynić ją równie mocną i bezpieczną jak konstrukcja dowolnego innego projektanta o tej samej masie i zbudowana za te same pieniądze, ale jestem ślepy jak kret, gdy chodzi o rozsądne postępowanie w moim własnym życiu. Jeżeli istnieje projekt mojej egzystencji, to umyka mojej uwadze. Jaki tytuł nosiła ta stara piosenka Family? „Odpowiedź tkacza”. Tak... A gdzie twoja odpowiedź, łomie?

Kupił toyotę MR2 oraz najnowszy model audi ąattro, rozpoczął kurs latania, nabył aparaturę dźwiękową złożoną ze szkockich podzespołów, sprawił sobie minoltę 7000, gdy tylko pojawiła się na rynku, uzupełnił sprzęt hi-fi odtwarzaczem płyt kompaktowych i myślał o kupnie motorówki. Z paroma z dawnych przyjaciół Andrei wypływał z basenu jachtowego w Port Edgar na południowym brzegu zatoki Forth i żeglował w górę rzeki do dwóch wielkich mostów.

Zaczął tracić cierpliwość do ąattro i MR2. Zawsze był jakiś lepszy samochód: ferrari, aston martin, lamborghini albo porsche z krótkiej serii bądź jakkolwiek inny wóz... Postanowił zaprzestać eksperymentów i wybrał ponadczasową elegancję. Sprzedał audi i toyotę i dzięki lokalnemu pośrednikowi znalazł zadbanego jaguara MK II 3.8.

Kazał w nim zrobić nową tapicerkę z czerwonej skóry. Specjaliści przemontowali silnik, zmienili krzywki, tłoki, zawory i gaźnik oraz zamontowali elektroniczny zapłon; całkowicie zmienili zawieszenie, zamontowali mocniejsze hamulce, nowe felgi z asymetrycznymi oponami i nową skrzynię biegów, zdolną przenieść zwiększony moment obrotowy. Wyposażył go w nowe pasy bezpieczeństwa, klejoną szybę przednią, silniejsze reflektory, elektrycznie opuszczane szyby z przyciemnionego szkła, otwierany dach oraz urządzenia antywiamaniowe, którym powierzyłby także sejf główny (o czym jednak stale zapominał). Potem samochód spędził następne trzy dni w kolejnej firmie, otrzymując nową aparaturę dźwiękową z odtwarzaczem płyt kompaktowych włącznie. Opowiadał wszystkim, że potrafi poprzebijać bębunki i że nie znalazł jeszcze nawet wszystkich głośników.

–Wygląda na to, że połowę bagażnika zajmuje wzmacniacz. Nie wiem, co pierwsze

stracę pod wpływem drgań: słuch czy lakier na karoserii – powiedział Stewartowi. (Kazał ją zabezpieczyć przed rdzą i przemalować – dwanaście ręcznie nakładanych warstw).

–Chryste Panie – mruknął Stewart, gdy usłyszał, ile kosztowało zainstalowanie nowych podzespołów silnika. – Można by za to kupić nowy samochód.

–Wiem – przyznał. – Nowy samochód można kupić także za cenę rocznego ubezpieczenia oraz kompletu nowych opon do tej maszyny. Mam więcej forsy niż oleju w głowie.

Okazało się, że nic nie działa jak należy. Samochód wydawał denerwujące stuki, w domowym odtwarzaczu płyt kompaktowych od czasu do czasu występowało jakieś zwarcie, aparat fotograficzny trzeba było w ogóle wymienić, prawie wszystkie kupione przez niego płyty miały chyba rysy na powierzchni, a zmywarka do naczyń stale zalewała kuchnię. Przyłapał się na tym, że staje się zapalczywy, a uliczne korki doprowadzały go do furii; miał wrażenie, że przepelnia go narastające zniecierpliwienie i nie potrafi unikać gruboskórności. Owszem, dał pieniądze na pomoc dla głodującej Etiopii, ale gdy usłyszał o płycie Band Aid, przyszło mu na myśl powiedzenie radykałów, przyrównujące datki na cele dobroczynne w kapitalizmie do leczenia nowotworu plastrem.

Festiwal 1985 roku nie zdołał tchnąć weń nowego ducha. Andrea uczestniczyła w części imprez, ale nawet wtedy gdy była przy nim, w fotelu obok w sali koncertowej lub kinie, albo w samochodzie, czy też u jego boku w łóżku, nie była z nim naprawdę, nie całą sobą. Część jej myśli pozostawała dla niego zakryta, nie miał do nich dostępu. Andrea nadal nie chciała o tym rozmawiać. Okrężną drogą dowiedział się, że w chorobie Gustave'a nastąpiły powikłania; próbował poruszyć ten temat, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Oburzał go fakt, że są rzeczy, o których nie mogą mówić. Sam był sobie winien, nigdy nie chciał rozmawiać o Gustavie. Teraz nic już nie dało się zrobić.

Śnił o umierającym mężczyźnie w innym mieście i czasem wydawało mu się, że widzi go, leżącego w szpitalnym łóżku otoczonego aparaturą.

W połowie festiwalu Andrea wróciła do Paryża. Sam nie był w stanie stawić czoła kulturalnemu odpowiednikowi nalotu tysiąca bombowców, więc pożyczył bonneville'a od znajomego i poleciał na Skye.

Padła deszcz.

Firma rosła w siłę, ale on zaczął tracić nią zainteresowanie. No bo co ja w sumie robię? – pytał samego siebie. Jeszcze jedna pieprzona cegła w murze, jeszcze jeden tryb w maszynie, co najwyżej trochę lepiej naoliwiony niż większość. Tłukę szmal dla

spółek naftowych, ich akcjonariuszy i dla rządów wydających go na broń, która może nas wszystkich zabić tysiąc razy zamiast tylko pięćset. Nawet nie funkcjonuję na poziomie zwykłego porządnego robotnika, jak mój tato. Jestem pieprzonym szefem, zatrudniam ludzi, jestem (a raczej byłem) naprawdę przedsiębiorczy i pełen inicjatywy. W rzeczywistości sprawiam tylko, że to wszystko funkcjonuje odrobinę lepiej, niż mogłoby funkcjonować, gdyby mnie tu nie było.

Przestał pić whisky, przez pewien czas ograniczał się do wody mineralnej. Ze środków pobudzających zrezygnował niemal całkowicie, gdy uświadomił sobie, że już go to nie bawi. Palił jedynie wtedy, gdy jeździł zobaczyć się ze Stewartem. Wtedy było jak za dawnych czasów.

Zaczął regularnie zażywać kokainę; stało się to porannym poniedziałkowym rytuałem i naturalnym początkiem wieczoru spędzanego poza domem i trwało do czasu, aż pewnej nocy przed wyjściem do baru – przygotowywał sobie parę obfitych porcji – zobaczył w wiadomościach telewizyjnych reportaż o głodzie w Afryce. Odwrócił spojrzenie od widoku dziecka o martwych oczach i skórze jak skrzydło nietope-

rza; spojrzął na lustro na stoliku, nad którym przykucnął, i zobaczył własne oczy patrzące przez lśniące kryształki białego proszku. W zeszłym tygodniu wpakował sobie do nosa towar wart trzysta funtów. Odrzucił brzytwę na blat.

–Cholera – mruknął pod nosem.

Kiepski rok, dodał w duchu. Jeszcze jeden kiepski rok. Znów zaczął palić papierosy. W końcu pogodził się z tym, że potrzebuje okularów. Łysina na jego głowie osiągnęła wielkość korka do wanny. Miał wrażenie, że czuje młodzieńcze zubożenie a zarazem ostatnie pilne potrzeby starości. Miał trzydzieści sześć lat, ale czuł się jak osiemnastolatek zbliżający się do siedemdziesiątki.

W listopadzie Andrea powiedziała mu, że myśli o tym, by zostać w Paryżu i opiekować się Gustave'em. Gdyby jego rodzina nalegała, być może musieliby wziąć ślub. Miała nadzieję, że on to rozumie.

–Przykro mi, kochanie – powiedziała zdławionym głosem.

–Tak – odparł. – Mnie też.

O cholera, chyba naprawdę nie mogę narzekać. Miałem ciekawe życie i wogle, ale nie mam ochoty zrezygnować z tego wszystkiego akurat teraz. Szermierz chyba na zawsze pozostanie szermierzem. Cholernie niewielu dożywa tego wieku, wierzcie mi. Jestem wyjontkowy. To fakt. Przypuszczalnie nie udałoby mi się to bez tego małego próżniaka na moim ramieniu, ale nie mówcie mu tego. Nie muszę wbijać go w jeszcze większą durne – i bez tego jest wystarczająco zarozumiały. A jednak nie znalazł

rozwiązania naszego małego problemu, znaczy starzeje się. Mały gnojek nie był aż tak cwany.

Tak czy owak oto jestem, siedzę w łóżku, obserwuje monitory szpitalnej telewizji i snuje brzytkie myśli, usiłując doprowadzić do tego, żeby mi stanął. Wspominam Angharienne i to co robiliśmy. Numery, które wykręcaliśmy! Nie dalibyście chyba wiary, ale gdy człowiek jest młody, chce wszystkiego skosztować. No cóż, jak to mówią, młodym jest się tylko raz (mały zausznik nie zgadza się z tym, ale musi jeszcze dowieść, że jest inaczej). Sądzę, że trzysta lat z okładem to niezły wynik, ale nadal nie czuję się gotowy umrzeć, psiakrew. Wygląda jednak na to, że nie pozostaje mi nic innego. Zausznik próbował paru sztuczek (on też nie ma wyboru, jest skazany na mnie), ale jak dotąd żadna nie podziałała i wydaje mi się, że małemu sukinsynowi zabrakło pomysłów. Sądzę, że teraz, gdy naprawdę przydałaby mi się jego pomoc, on wszystko spieprzy. Twierdzi, że nadal trzyma parę srok za ogon, cokolwiek ma to znaczyć. Albo naukę latania, albo torturowanie kogoś. Mały darmozjad siedzi na stoliku przy moim łóżku. Jest pomarszczony i szary

na gębie. Nie siedział na moim ramieniu od czasu, gdy zdobyliśmy latający zamek (nazywa go statkiem, ale on lubi wszystko gmatwać. Sypialnię nazywa mostkiem kapitańskim). Otóż wróciliśmy do czarnoksiężnika, który pomógł mi dostać się w Zaświaty, i oni dwaj – czarnoksiężnik i małeńki zausznik – stoczyli bitwę. Walczyli na młoty i szczypce, a ja musiałem się przyglądać z kąta, unieruchomiony jakimś urokiem, który rzucił na nas cholerny kurdupel. W końcu zausznik wygrał, ale potem, akurat wtedy, gdy mogłbym się pozbyć małego darmozjada, ten stwierdził, że nie potrafi zrobić tego, co chciał zrobić, czyli zająć ciała czarnoksiężnika. Okazało się, że to niemożliwe, wbrew zasadom; coś takiego. Mogłem wynieść go z Zaświatów, ale on nie mógł zająć żywego ciała, musiał zostać w obiekcie nieożywionym. Był tym bezgranicznie oburzony i oszołomiony. Został podstępnie uwięziony w ciele małego zausznika i nic na to nie mógł porazić. Zdenerwował się mocno i zaczął demolować magiczną piwnicę czarnoksiężnika. Myślałem przez chwilę, że może dobrać się i do mnie, ale tego nie zrobił. Po pewnym czasie uspokoił się, wrócił na moje ramię i zdjął ze mnie urok. Już wyjaśniłem, że naprawdę byliśmy związani ze sobą na dobre i złe i tym razem obaj po prostu musieliśmy to wykorzystać do maksimum.

Być może tak było najlepiej, nigdy nie wiadomo. Wątpię, czy przeżyłbym tak długo bez niego. Niektóre z jego pomysłów były całkiem niezłe. Pierwszym były odwiedziny u tej młodej czarownicy, z którą załatwiałem interes na krótko przedtem, zanim wyratowałem zausznika z Hadesu. Angharienne – tak miała na imię. Zausznik uważał, że mogłbym dojść z nią do jakiegoś porozumienia. Ona z początku była dość niezdecydowana, myślała, że zausznik stara się ją wykołować, zamierza zająć jej ciało lub coś takiego, ale odbyli tę piekielnie skomplikowaną rozmowę i oboje rzucali jakieś czary i wpadli w ten swój trans (było to cholernie nudne). Ocknęli się rozpromienieni i w najlepszej zgodzie. Zausznik wyjaśnił mi, że zawrzemy próbne trójstronne porozumienie. W każdym razie chyba w ten sposób zostałem starym

szermierzem.

–Co ty wyprawiasz? Próbujesz wskrzesić umarlaka?

–Milcz, ty... To nie twoja sprawa.

–Oczywiście, że moja. A jeśli dostaniesz zawału lub czegoś podobnego?

–Czemu więc nie wyczarować dla mnie jakiejś kurwy?

–Wykluczone. Wtedy na pewno byś wykorkował. Przestań, to takie niestosowne u mężczyzny w twoim wieku. Umysłowo możesz być nadal cofnięty w rozwoju, ale wiekowo jesteś zaawansowany.

–To mój wacuś i moje życie.

–Moje również! I nie możesz igrać z jednym, jeżeli to zarazem oznacza granie z drugim. Miej poczucie proporcji, człowieku.

–Och, ja wcale nie chcę go walić, chcę jedynie zobaczyć, czy potrafię go jeszcze postawić. No dalej, pokaż nam jakiś nieprzyzwoity film, dobra?

–Nie. Obserwuj monitory.

–Po co?

–Po prostu obserwuj. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Jeszcze nie wszystko stracone.

–Powinniśmy byli poszukać tego Źródła Młodości i tyle.

–Ach... prawdopodobnie byś się do niego po prostu zeszczął.

–O kurwa – mówię i leżę tam z założonymi rękami, użalając się nad sobą.

Latający zamek stoi na stoku. Wylądowaliśmy nim tutaj przed wieloma tygodniami, odwiedziwszy wcześniej planetę, na której twierdzą, że potrafią sprawić, by ludzie żyli wiecznie. Cokolwiek zrobili, nie podziałało to na mnie i małego zausznika (powiedzieli, że nie mają doświadczenia z czymś takim jak my, szermierzem i zausznikiem). Chciałem pojechać do jednego z tych fantastycznych miast tu, na Ziemi, i zażyć niektóre z magicznych narkotyków, które obecnie się stosuje. Parę tygodni radosnego palenia jak w młodości, potem szybko i bezboleśnie wyciągasz kopyta, a jeszcze po drodze masz ubaw po pachy... Zausznik nie bawił się jednak tak jak trzeba. Skierował zamek tutaj, na środek pustkowia, na to zimne i wietrzne zbocze wzgórza, i odprawił wszystkich wartowników, służących i w ogóle, a nawet przepędził parę pra-wnucząt i rozdał połowę magicznych przyborów, jakie mieliśmy:

kryształowych kulek, które przepowiadają przyszłość, zaczarowanych pistoletów maszynowych, magicznych pocisków i tego rodzaju rzeczy. Chyba chciał wywołać we wszystkich wrażenie, że gotujemy się na śmierć, ale nie oddał wszystkich porządnych rzeczy. Zachował sam latający zamek oraz parę drobiazgów, takich jak żakiet, który fruwa, Uniwersalnego Tłumacza oraz parę ton niewidzialnej platyny pod pokładem. Znalazł nawet parę nowych baterii do starego sztyletu – „pocisku nożowego”, jak go nazywa. Jego baterie wyczerpały się około stu lat temu i potem był tylko dość tępym nożem, który trzymałem przez sentyment. Maleńki zausznik był wtedy na niego zły jak osa. „Mówiłem ci, że to tylko marna kopia” – przypomniał, ale ostatnio znalazł do niego nowe baterie i uczynił odpowiedzialnym za bezpieczeństwo straż-

nikiem u drzwi latającego zamku. Chuj jeden wie dlaczego. Być może dziwaczeje na starość.

Nadal nie potrafię przestać myśleć o mojej żonie. Ukatrupiłem ją prawie pół wieku temu, ale wciąż widzę jej urodziwą twarz, jakby wyki-towała dopiero wczoraj. Okazało się, że nie była taka młoda, na jaką wyglądała. Nigdy nie odkryłem, ile naprawdę miała lat, ale zausznik uważa, że co najmniej tysiąc. Nie starzała się powoli, jak nawet więdźmy powinny się starzeć. Zaczarowałem ją tak, że do samej śmierci wyglądała jak dwudziestolatka. Wypaliła się przez to. Trudno powiedzieć, że ją winiłem, ale w końcu to człowieka dopada. Stała się posążkiem, maleńką rzeźbą z ciemnego drewna, twardą, ponurą i starą. Zostawiłem instrukcje, by zasadzono ją w tym lesie w pobliżu miejsca, w którym się urodziła; niebawem wyrosło z niej tam maleńkie drzewo. Zausznik twierdzi, że prawdopodobnie zmieni się ono z małego i pomarszczonego w duże, wysokie i młodsze, a potem się skurczy, jakby cofało się w przeszłość, aż stanie się nasieniem, a potem nawet on nie wie, co będzie. Ma smutną minę, mówiąc mi to wszystko, gdyż wie, że kiedy umrę – gdy obaj umrzemy, ponieważ on nie potrafi żyć beze mnie – po prostu rozsypie się w proch i tyle. Po śmierci nie czeka go nawet egzystencja w Zaświatach. Ma biedak pecha. Prawdopodobnie nie wpuszczą go nawet do piekła po tym, co się stało, gdy byłem tam ostatnim razem. Mały zausznik wciąż chichocze, gdy wspominamy dawne dzieje i to, jak go ratowałem. Chyba musieli tam zmienić cały system rządzenia, odkąd ten typ Charon zmienił się w kamień; dwójka bohaterów zwanych Wirgiliusz i Dantek chwilowo przejęła władzę; wciąż tam są. Cholera wie, jakie zgotują mi przyjęcie, gdy zjawię się u niebezpiecznych bram czy co tam teraz mają. Prawdopodobnie wpuszczą mnie bez problemu, ale założę się, że przygotowali coś naprawdę paskudnego. W każdym razie teraz już rozumiecie, dlaczego nie mam specjalnej ochoty kopnąć w kalendarz.

–A-ha.

–A-ha co?

–Wydawało mi się, że masz obserwować monitory.

–Obserwuję, obserwuję, tylko że... Chwilunia! Kto to, kurwa, jest?

–Na pewno nikt taki, kto nam dobrze życzy.

–O psiakrew!

Ze stoku schodzi muskularny blondyn z kurewsko wielkim mieczem. Jest cholernie szeroki w ramionach, ma coś w rodzaju metalowych pasków na całym ciele, wielkie buty i wążutką przepaskę na biodra. Na głowie coś jakby hełm z głową warczącego chyba wilka. Podno-

szę się w łóżku, już teraz czując strach. Jestem ostatnio sztywny jak kołek (z wyjątkiem miejsca, w którym chciałbym być sztywny) i z moim reumatyzmem, i w ogóle, z drżącą ręką, słabym wzrokiem i tak dalej, naprawdę nie wyobrażam sobie załatwiania porachunków z jakimś młodym, wyćwiczonym wojownikiem z paskudnie wielkim mieczem.

–Co się stało z tą pieprzoną strefą zakazaną? Myślałem, że ludzie powinni zapadać w sen, gdy spróbują się zbliżyć do latającego zamku!

–Hm, to pewnie przez ten jego hełm – odpowiada zausznik. – Prawdopodobnie zawiera jakieś ekranowanie neuralne. Zobaczmy, czy laser zdoła sobie poradzić z tym facetem.

Wielki umięśniony niedźwiedź maszeruje po zboczu, beczelnie wpatrując się w zamek, ze ściągniętymi wielkimi jasnymi brwiami, napinającymi się pod skórą muskularni, wymachując ogromnym mieczem. Nagle robi zaskoczoną minę i zaczyna nim wymachiwać jeszcze szybciej, tak że otaczają go rozmazane smugi. Chwilę później następuje błysk i monitor gaśnie.

–No nie! Co teraz?

Próbuję zejść z łóżka, ale moje stare mięśnie zmieniły się chyba w galaretę lub coś w tym rodzaju i pocę się jak tłusty wieprz. Monitor znowu ożywa, pokazując drzwi zamku od środka.

–Hmm – mruczy mały zausznik, jak gdyby był diabelnie przejęty. – Nieźle. Zaręczam, że posiada pewną ograniczoną zdolność przewidywania: wiedział, że laser wystrzeli do niego. Przypuszczalnie tylko z pa-rosekundowym wyprzedzeniem, ale wystarczająco wcześnie. Trudno będzie go powstrzymać. Ta sztuczka z laserem też była ładna, prawdopodobnie ma w mieczu jakieś pole zwierciadlane. Odbicie światła z powrotem w kierunku kamer mogło być przypadkowe, ale jeśli nie było, to tupeciarz z niego. Prawdziwy przeciwnik. Słucham?

–Nie mogę się ruszyć! Zrób coś! Pierdol rolę wspaniałego przeciwnika. Zabierz nas daleko od tego sukinsyna! Wpraw zamek w ruch!

–Niestety, mamy za mało czasu – odpowiada mały zausznik, zupełnie spokojny. – Zobaczymy, czy pocisk nożowy zdoła go zatrzymać.

–Pięknie, kurwa! Czy to cała nasza obrona?

–Niestety, tak. On oraz parę niezbyt inteligentnych i szczelnych komór powietrznych.

–To wszystko? Ty głupi sukinsynu. Dlaczego, do kurwy nędzy, pozwoliłeś odejść wszystkim wartownikom i...

–Błąd w ocenie, jak przypuszczam, łobuzie – stwierdza zausznik, ziewając.

Wskakuje mi na ramię i obaj obserwujemy drzwi zamku. Spod metalowej powierzchni wylania się ostrze miecza i wycina w nich koło. Blaszana tarcza spada na posadzkę i wielki jasnowłosy sukinsyn przechodzi przez otwór.

–Pola – cicho mówi zausznik, kiwając mi głową przy uchu. – Te drzwi komory powietrznej były zbrojone włóknami. Przecięcie ich bez przygotowania wymagało użycia paru porządnych pól wspomagających brzeszczot. Ten chłopak wyposażył się w broń nie lada... Choć oczywiście mogło być zupełnie inaczej.

–Gdzie się podział ten skubany sztylet?! – krzyczę; jestem kompletnie sparaliżowany, gotowy zesrać się do łóżka.

Wielki syukinsyn ciężko stąpa korytarzem zamku. Wygląda na diabelnie ostrożnego, lecz zdecydowanego i wymachuje mieczem, jakby miał poważne zamiary. Posyła w bok groźne spojrzenie.

Małeńki sztylet zbliża się do niego, ale robi to stanowczo za wolno, prawie tak, jakby się wahał. Blondas wciąż patrzy na niego groźne. Sztylet zatrzymuje się w locie, a potem po prostu spada na podłogę i toczy się w kąt.

–No nie! – wrzeszczę.

–Mówiłem ci, że to tandetna imitacja. Na pewno wyposażyli go w obwód IFF.* Przypuszczalnie miecz naszego przyjaciela dostarczył mu fałszywego sygnału „swój”. Autentyki to wolni strzelcy, wystarczająco sprytni, by samodzielnie podejmować decyzje i właśnie dlatego, rzecz jasna, są zupełnie nieprzydatni dla takich jak ty czy ja.

–Przestań głądzić jak jakiś pieprzony handlarz bronią i zrób coś! – krzyczę na

małego zausznika, ale on tylko wzrusza drobnymi szarymi ramionami i wzdycha.

–Obawiam się, że już za późno, koleś.

–Ty się obawiasz! - krzyczę mu prosto w twarz. – To nie na ciebie czekają w Hadesie, przyjacielu. Trzysta lat. Na pewno wymyślili dla mnie coś naprawdę bolesnego i okropnego. Trzysta lat, kurwa!

–Uspokój się, człowieku. Nie potrafisz stawić czoła śmierci z godnością?

–Pieprzę godność! Ja chcę żyć!

–Hmm. Dobrze – stwierdza mały zausznik, gdy wielki sukinsyn znika z ekranu. Gdzieś za drzwiami sypialni rozlega się łomot i drży podłoga.

* Identification, friend or foe; rozpoznawanie swój-wróg (przyp. tłum.)

–No nie! – Moczę łóżko, tak po prostu, nie mogę się powstrzymać.

–Mamusiu, tatusiu!

Drzwi otwierają się z hukiem. Wielki jasnowłosy sukinsyn stoi w progu, wypełniając sobą cały otwór. Jest jeszcze większy, niż wyglądał na monitorze. Jego pieprzony miecz jest prawie taki długi jak ja. Kurczę się w łóżku i dygoczę cały. Wojownik musi pochylić głowę, gdy przechodzi przez próg, by uniknąć uderzenia hełmem z głową wilka w sufit.

–W...w... w czym problem, dryblasie? – pytam tego typa.

–W niczym, mój synu – odpowiada i podchodzi do łóżka. Prawdziwy człowiek-góra. Unosi nade mną miecz.

–Błagam, daj mi jeszcze jedną szansę, kolego. Możesz mieć wszystko, co...

Chlast.

Wstrząs, jakiego jeszcze nigdy nie czułem; jakby Bóg uderzył mnie w twarz albo przepłynął przeze mnie prąd o napięciu miliarda woltów. Gwiazdy, światło i zawroty głowy. Widzę, że miecz spada na mnie, błyskając w świetle, widzę wyraz malujący się na twarzy wielkiego skubań-ca i słyszę cichutki pisk przy uchu – cichutki dziwny odgłos, przypominający chichot. Mógłbym przysiąc... jak chichot, naprawdę.

Stary oferma w urzku nie rzyu. Czaszka rozłópana jak gnijoncy kokos. Te maue stwożenie na jego ramienic znikneuo w kuembie dymó. Za-krenciuo mi sie w guowie i zobaczuem gwiazdy. Mugbym przysionc, że facet w łurzku wyglondau inaczej nirz wtedy gdy wszeduem do pokojó. Jego wuosy nie byuy takie szaroblond, prawda?

–No cóż... Na szczęście zadziałało to cholerne przenoszenie. Jak

się czujesz, rycerzu?

To cheum sie odezwau. Usiaduem na urzku i zdiouem go, rzeby spojżeć na guowe wilka.

–Trohe dziwnie - odparuem.

–Nieswojo – powiedziau cheum, a malótka guowa wilka pokiwaua do mnie i wyszczeżyua zemby w ósmiechu. – Trudno się dziwić. Przyjdiesz do siebie. Mój wielki intelekt przetrwał transkrypcję zupełnie nie naruszony, więc nie przypuszczam, by po wiernym przesłaniu tak ogromnej biblioteki umysłu była choćby minimalna szansa na uszkodzenie broszury twojej świadomości. A teraz do rzeczy. Obwody statku w końcu uświadomiły sobie fakt, że na pokładzie znajduje się intruz. Nie pogodzą się z tym, że jesteś prawowitym właścicielem, a ja potrze-

buję jeszcze trochę czasu, by przestawić obwody telepatyczne w tym komicznym hełmie, więc zjeżdżajmy stąd, zanim statek zwieje. O ile pamiętam, to pociąga za sobą wybuch termojądrowy, a wątpię, bym nawet ja lub ten cudowny miecz, który trzymasz w rękach, zdołał ochronić cię przed nim, więc pora iść.

–Rozómie, pszyjacielu – odpowiadam i wstaje zakuadajonc cheum spowrotem. Czouem sie świetnie, jeśli nie liczyć mojej guowy. Tak jakbym miau sen i wuaśnie sie obódził, rozomiesz? Coś o tym, że byuem starym czuowiekiem. Jak ten w urzku. Mniejsza o to. Wykombinóje to puźniej. Lepiej wydostać sie z zamkó, skoro guowa wilka tak muwi. Podniosuem muj miecz i pobieguem do dźwi wyjściowych. Znowó, kór-wa, bez skarbó, ale pszecierz nie morzna zdobyć wszyskiego. Nie ma bidy. Jest jeszcze caua masa innych zamkuf, czarodziejuf i staryh barba-żyńcuf i wszelkih...

Rzyć nie ómierać, co?

Czwartorzęd

–Wyobraź sobie, że miałem tę cholerną płytę przez trzy lata, zanim zdałem sobie sprawę, że Fay Fife* to kalambur. No wiesz, „Skąd jesteś?” „Jestem z hrabstwa Fife” – wyznał Stewartowi, kręcąc głową.

–Kapuję – odparł Stewart.

–Boże, czasami jestem takim głupcem – powiedział szeptem, przyglądając się ze smutkiem swojej puszce exportu.

–Kapuję – powtórzył Stewart, pokiwał głową i wstał, by obrócić płytę na drugą stronę.

Wyrzwał przez okno na miasto i odległe drzewa w górskiej dolinie. Jego zegarek wskazywał 2:16. Robiło się już ciemno. Przypuszczalnie byli blisko przesilenia zimowego. Pociągnął następny łyk.

Wypił już pięć lub sześć puszek i wyglądało na to, że będzie musiał przenocować u Stewarta lub wrócić do Edynburga pociągiem. Pociąg, pomyślał. Od lat nie jechał koleją. Byłoby fajnie pojechać pociągiem z Dunfermline i przejechać po starym moście; mógłby wyrzucić monetę i zapragnąć, by Gustave skończył ze sobą albo żeby Andrea zaszła w ciążę i chciała wychować swoje dziecko w Szkocji, albo... Przestań, idioto, upomniał siebie w duchu. Stewart znowu usiadł. Rozmawiali o polityce. Zgodzili się, że gdyby naprawdę zależało im na tym, w co ponoć wierzyli, byłiby teraz w Nikaragui, walcząc za sandinistów. Rozmawiali o dawnych czasach, dawnej muzyce, dawnych znajomych, nigdy jednak o niej. Rozmawiali o programie gwiazdnych wojen, do którego realizacji właśnie przystąpiła Wielka Brytania. Nie był to dla nich

* Dosł. Fay Fajara lub Fay z hrabstwa Fife (przyp. tłum.)

abstrakcyjny temat; obaj znali naukowców, którzy pracowali nad komputerowymi układami optycznymi; Pentagon interesował się ich badaniami.

Rozmawiali o nowej katedrze parapsychologii na uniwersytecie oraz o programie na temat śnienia na jawie, który obaj widzieli w telewizji parę tygodni wcześniej (powiedział, że oczywiście był interesujący, ale pamiętał czasy, gdy teorie Danikena też były „interesujące”).

Rozmawiali o historii, przytaczanej w ubiegłym tygodniu w telewizji i w prasie, o rosyjskim inżynierze – emigrancie politycznym mieszkającym we Francji, który rozbił samochód w Anglii; znaleziono w nim sporo pieniędzy i podejrzewano, że Rosjanin popełnił we Francji jakieś przestępstwo. Najwyraźniej zapadł w śpiączkę, ale wyglądało na to, że zdaniem lekarzy symuluje.

–My, inżynierowie, jesteśmy przebiegłymi sukinsynami – powie

dział Stewartowi.

Rozmawiali w istocie niemal o wszystkim, oprócz tego, o czym naprawdę chciałby rozmawiać. Stewart próbował poruszyć ten temat, ale on za każdym razem przyłapywał się na tym, że ucieka od niego; program o śnieniu na jawie wypłynął w ich rozmowie, ponieważ był ostatnią rzeczą, o którą posprzeczał się z Andrea. Stewart nie naciskał go. Może po prostu musiał porozmawiać, o czymkolwiek.

–Jak tam wasze dzieciaki? – zapytał.

Stewart miał w domu coś do jedzenia i zapytał, czy nie zechciałby czegoś

przegryźć, ale on nie czuł się głodny. Wypalili kolejnego skręta, on opróżnił kolejną puszkę; rozmawiali. Popołudniowy mrok gęstniał coraz bardziej. Po pewnym czasie Stewart poczuł się zmęczony i stwierdził, że utnie sobie drzemkę. Nastawi budzik i wstanie, by zrobić herbatę. Po zjedzeniu jakiegoś posiłku mogliby pójść na piwo.

Słuchał starych nagrań Jefferson Airplane przez słuchawki, ale płyta była porysowana. Przejrzał księgozbiór swojego przyjaciela, popijając z puszki i dopalając resztki skręta. W końcu podszedł do okna i stał przy nim, spoglądając nad łupkowymi dachówkami na park, górską dolinę, zrujnowany pałac i opactwo.

Światło powoli zniknęło z zachmurzonego nieba. Palily się uliczne latarnie, a drogi były zapchane zaparkowanymi lub powoli poruszającymi się samochodami, niewątpliwie pełnymi amatorów świątecznych zakupów. Wyprane ze światła niebo wisiało ciężko nad doliną. Zastanawiał się, jak wyglądało to miejsce, gdy pałac był jeszcze siedzibą królów.

I Królestwo Fife. Obecnie niewielki obszar, wtedy jednak wystarczająco rozległy. Rzym też był mały na początku, ale to go nie powstrzymało; jak wyglądałby świat, gdyby jakaś część Szkocji – zanim jeszcze zaistniało państwo o tej nazwie – rozkwitła tak jak dawniej Rzym. Nie, wtedy nie było tutaj przeszłości, spuścizny historycznej. Ateny, Rzym, Aleksandria miały biblioteki, gdy my mieliśmy jedynie forty. Nie byliśmy dzikusami, ale też daleko było nam do miana cywilizowanych. Gdy staliśmy się gotowi odegrać swoją rolę, było już za późno; zawsze działaliśmy za wcześnie albo byliśmy spóźnieni, a najlepsze rzeczy zrobiliśmy dla innych.

Czuł, że przemawia przez niego sentymentalny szkocki nacjonalizm. Może lepiej kształtować świadomość klasową? No cóż, rzeczywiście.

Jak ona mogła to zrobić? Mniejsza o fakt, że to był jej dom – tu właśnie mieszkała jej matka, jej pierwsi przyjaciele, tutaj ukształtowało się tyle jej najwcześniejszych wspomnień i jej charakter – jak mogła zostawić to, co miała? Mniejsza o niego; chętnie pominąłby siebie w tym równaniu, ale ona miała tyle – do zrobienia i do przeżycia... Jak mogła to zrobić?

Poświęcenie się, kobieta w cieniu mężczyzny, dbająca o niego, stawiająca się na drugim miejscu: było to sprzeczne ze wszystkim, w co wierzyła Andrea.

On nadal nie potrafił rozmawiać z nią o tym w należyty sposób. Serce zabiło mu szybciej; odstawił puszkę, rozmyślając. Tak naprawdę nie wiedział, co takiego chce powiedzieć, wiedział jedynie, że chce z nią rozmawiać, trzymać w ramionach, po prostu być z nią i wyrazić wszystko, co do niej czuje. Powinien wyznać jej wszystkie swoje uczucia, to, co myślał o Gustavie, o niej, o sobie. Było to ważne, psia krew.

Opróżnił puszkę, wrzucił do niej peta, po czym starannie zgniótł czerwoną blachę.

Ze zgiętego aluminiowego narożnika skapnęło na jego dłoń trochę piwa. Wylał rękę. Powiniennem jej powiedzieć. Powiniennem porozmawiać z nią teraz. Co robiła tego wieczoru? Były w domu, prawda? Tak, są obie. Jakaś impreza, na którą zostałem zaproszony, ale chciałem się zobaczyć ze Stewartem. Zadzwonię do niej. Poszedł do telefonu.

Zajęty. Prawdopodobnie kolejna godzinna rozmowa z Gustave'em; nawet gdy była tutaj, wydawało się, że połowę czasu spędza z nim. Odłożył telefon i z wałącym sercem i pocącymi się dłońmi chodził po pokoju. Musiał się wysikać. Poszedł do łazienki, a potem umył ręce, wypłukał usta jakimś płynem. Nie czuł się nawet oszołomiony ani pi-

jany. Znowu spróbował uzyskać połączenie; identyczny sygnał. Stał przy oknie. Gdyby przysunął się do szyby i popatrzył prosto w dół, ujrzałby swojego jaguara. Biała obła zjawa na ciemnej ulicy. Znowu spojrzął na zegarek. Czuł się świetnie: całkowicie trzeźwy. Gotów do jazdy.

Czemu nie? – pomyślał. Wystartować białym juguarem w zmierzchu, pojechać na autostradę i zalać most drogowy hałasem zwiększającego obroty silnika; arogancki uśmiech i bolesny ryk w uszach biednego sukinsyna pobierającego od ciebie opłatę... Cholera; pełne strachu i obrzydzenia, bardzo thompsonowskie.* Trzymaj, chłopcze. Lektura tej choleryjnej książki zawsze sprawiała, że potem jechało się odrobinę szybciej. Ponosisz winę za słuchanie „White Rabbit” przed paroma minutami. To właśnie przebrało miarę. Nie, daj sobie spokój z jazdą. Zbyt dużo wypieś.

Diabła tam. Wszyscy to robią o tej porze roku. Psiakrew, lepiej jeźdź po pijanemu niż większość ludzi na trzeźwo. Po prostu nie przejmuj się, dasz sobie radę. Przecież znasz drogę. W mieście jedź bardzo ostrożnie, na wypadek, gdyby jakiś dzieciak wybiegł na jezdnię, masz przecież spowolnione reakcje, a potem spokojnie autostradą. Z dozwoloną prędkością lub nawet wolniej, żadnego przeganiania miejscowego rajdowca-małolata w fordzie capri ani robienia brzydkich niespodzianek okularnikom w BMW. Po prostu nie daj się zastraszyć, po prostu zachowaj skupienie, nie myśl o Czerwonych Rekinach czy Walach Białych, wypróbuj zawieszenie na betonowych murkach bądź sztucznych zaspach na bezkolizyjnych skrzyżowaniach. Po prostu nie przejmuj się, słuchaj muzyki. Może cioci Joanie. Czegoś kojącego. Nie usypiającego, lecz spokojnego, nie za bardzo ekscytującego, niczego takiego, co prawa stopa słyszy i zaraz dociska pedał do deski. Nic w tym guście... Ostatni raz spróbował się dodzwonić. Potem poszedł odwiedzić Stewarta, który spał spokojnie i tylko obrócił się na drugi bok, gdy on zaglądał do sypialni, z dala od blasku światła w korytarzu. Skreślił parę słów do przyjaciela i zostawił kartkę przy budziku. Zabrał swoją starą kurtkę motocyklową i szalik z monogramem i opuścił mieszkanie.

Wydostanie się z miasta zajęło mu trochę czasu. Wcześniej spadł przelotny deszcz; ulice były mokre. Gdy przemykał się jaguarem wśród

* Nawiązanie do „Fear and Loathing” Huntera S. Thompsona (przyp.tłum.)

samochodów, puścił „Steeltown” Big Country; miał wrażenie, że pasuje do miejsca narodzin Carnegiego.* Nadal czuł się świetnie. Wiedział, że nie powinien prowadzić i wolał nie myśleć, co wykazałby alkomat, ale przecież jedna – trzeźwa – część jego świadomości obserwowała i oceniała jego poczynania; i dojechałby, poradziłby sobie, gdyby się nie zdekoncentrował i nie miał pecha. Gdy zmierzając do autostrady, zobaczył przed sobą pusty odcinek drogi, obiecał sobie, że więcej tego nie robi. Tylko ten raz, bo przecież to ważne.

I będę bardzo ostrożny.

W tym miejscu jezdnia miała dwa pasma; pozwolił, by samochód dał susa naprzód, i wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy siła bezwładności wcisnęła go w fotel.

–Uwielbiam słuchać warczenia tego silnika – mruknął pod nosem.

Wyciągnął kasetę z nagraniami Big Country z japońskiego odtwarzacza, bocząc się na siebie za przekroczenie dozwolonej prędkości. Pozwolił, by przód auta opadł; zwolnił.

Coś niezbyt wrzaskliwego i ekscytującego na dojazd i przejazd przez wielki szary most. „Bridge Over Troubled Water”? – pomyślał, uśmiechając się szeroko. Nie miałem tego w samochodzie od wieków, żołnierzu.

Miał natomiast nagrania Lone Justice i „How Will the Wolf Survi-ve?”** Los Lobos na drugiej stronie taśmy; podniósł kasetę i rzucił na nią okiem, gdy zbliżał się do autostrady. Nie, pragnął usłyszeć Meksy-kanów z Teksasu natychmiast, a nie chciał czekać, aż taśma się przewinie. W takim razie pozostają tylko Pogues. „Rum Sodomy cholernie fajne melodie do monotonnej jazdy. Nie szkodzi, że z odrobiną wrzasków. Przynajmniej nie pozwalają człowiekowi zasnąć. Tylko nie próbuj dostosowywać tempa jazdy do muzyki. No, proszę...

Wjechał na M90 i skierował się na południe. Niebo nad pstrokatymi chmurami było ciemnoniebieskie. Bardzo łagodny wieczór; prawie nie czuł chłodu. Jezdnia wciąż była mokra. Śpiewał razem z Pogues i starał się nie jechać zbyt szybko. Poczł pragnienie; w kieszeni drzwi leżała zwykle puszka coca-coli lub im bru, ale tym razem nic nie znalazł; zapomniał włożyć nową. Ostatnio zapominał o zbyt wielu rzeczach. Po tym, jak paru kierowców błysnęło mu ostrzegawczo, włączył światła mijania.

* Andrew Carnegie (1835-1919), amerykański producent stali i filantrop pochodzący ze Szkocji, inicjator budowy stynnej Carnegie Hall, w znacznej też mierze jej fundator

(przyp. tłum.)

**** Jak przeżyje wilk? (przyp. tłum.)**

Wjechał na wzgórze między Inverkeithing a Rosyth i zobaczył światła obrysowe mostu drogowego: nagle białe błyski na iglicach dwóch wielkich wież. Widok naprawdę żenujący; wołał stare czerwone światła. Zjechał na lewy pas, by przepuścić forda sierrę i obserwował, jak znikają jego tylne światła. Normalnie nie puściłbym ci tego płazem, kolego – pomyślał.

Rozparł się w fotelu i uderzał palcami w kierownicę w takt muzyki. Droga zmierzała ku schodkowemu wycięciu w skałach; w światłach reflektorów błysnął znak wskazujący drogę do North Queensferry. Mógł tam zjechać, znowu stanąć pod mostem kolejowym, ale przedłużanie tej podróży nie miało sensu; byłoby kuszeniem losu.

Po co ja to robię? – zastanawiał się. Czy to naprawdę coś zmieni? Nie znoszę ludzi, którzy jeżdżą po pijanemu, więc czemu u diabła sam to robię?

Pomyślał, by zawrócić, pojechać jednak drogą do North Queensfer-ry. Znajdował się tam dworzec kolejowy; mógłby zaparkować, wsiąść od pociągu w dowolną stronę... ale minął już ostatni zjazd przed mostem. Do diabła z tym. Może zatrzyma się po drugiej stronie, w Dalme-ny, i zaparkuje tam, zamiast ryzykować kosztowne malowanie karoserii po stłuczce w godzinach przedświątecznego szczytu w Edynburgu. Wróci po przeklęty wóz rano. I nie zapomni o włączeniu wszystkich alarmów.

Droga opuściła skalny przełom. Zobaczył South Queensferry, przystań jachtową w Port Edgar, szyld z napisem VAT 69 tamtejszej destylarni, światła fabryki Hewlett Packarda oraz most kolejowy, ciemny w resztkach światła odbitego przez zwierciadło nieba. Za nim następne światła: port przeładunkowy ropy naftowej Hound Point, którego podwykonawcami zostali i, jeszcze dalej, światła Leith. Puste metalowe kości starego mostu kolejowego przypominały barwą zaschniętą krew.

Ty pieprzona królewno, pomyślał. Wspaniała z ciebie konstrukcja. Tak delikatna z tej odległości, tak masywna i silna z bliska. Wdzięk i elegancja; doskonałość formy. Most wysokiej klasy; granitowe filary, najlepsza stal okrętowa i nie kończące się malowanie... Rzucił okiem na jezdnię mostu, łagodnie wznoszącą się ku podwieszonemu szczytowi. Nawierzchnia była nieco wilgotna, ale nie widział powodów do niepokoju. Żadnych problemów. Tak czy owak, nie jechał zbyt szybko; trzymał się lewego pasa i zerkał na most kolejowy w dole rzeki. Na przewciwległym krańcu wysepki pod jego środkowym segmentem mrugnęło jakieś światło.

Pewnego dnia jednak nawet ty przestaniesz istnieć. Nic nie trwa wiecznie. Może

właśnie to chcę powiedzieć Andrei. Być może pragnę powiedzieć: „Nie, oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. Musisz jechać. Nie mogę mu tego skąpić. To samo zrobiłabyś dla mnie, a ja dla ciebie. Tylko że szkoda, to wszystko. Jedź. Wszyscy jakoś to przeżyjemy. Może dobra...”

Uzmysłowił sobie, że jadąca przed nim ciężarówka zjeżdża nagle na prawy pas i ujrzał przed sobą jakiś samochód. Stał, porzucony na lewym pasie. Wstrzymał oddech i nadepnął na pedał hamulca, próbując jednocześnie skręcić, ale było już za późno.

Nigdy się nie dowiedział, jak długo trwała ta chwila, zdążył tylko zrozumieć, że samochód przed nim to MG i że nikogo w nim nie ma - drobna fala ulgi na tsunami przerażenia – i że uderzy weń, i to mocno. Dostrzegł w przelocie tablicę rejestracyjną: VS coś tam. Czyżby numer z zachodniego wybrzeża? Ośmiokątny symbol MG na bagażniku zepsutego auta płynął ku pozbawionemu maskotki-emblematu pyskowi jaguara, gdy ten przechylił się, wbił w jego karoserię i jednocześnie zaczął się ślizgać. On próbował zwiotczeć, rozluźnić się i po prostu poddać się sile bezwładności, ale ze stopą dociskającą pedał hamulca do podłogi nie było to możliwe. Pomyślał: Ty głup...

Wykończony na zamówienie biały jaguar, numer rejestracyjny 233FS, uderzył w bagażnik MG. Mężczyzna kierujący jaguarem został rzucony do przodu i w górę, gdy jego samochód przekoziółkował. Pas bezpieczeństwa wytrzymał, ale małe koło kierownicy uderzyło go w klatkę piersiową niczym młot kowalski.

Niskie faliste wzgórza pod ciemnym niebem; dolna powierzchnia obniżających się czerwonych chmur wydaje się powtarzać łagodne kontury ziemi. Powietrze jest gęste i ciężkie; pachnie krwią.

Podłoże jest rozmokłe, ale nie od wody. Jakąkolwiek wielką bitwę stoczono tutaj, na tych wzgórzach, które wydają się ciągnąć bez końca, ziemia została skąpana we krwi. Wszędzie leżą ciała – wszystkich gatunków zwierząt i ludzi wszystkich kolorów skóry i ras. W końcu natrafiam na niskiego, ciemnowłosego mężczyznę zajmującego się zwłokami.

Ma na sobie łachmany. Ostatnim razem spotkaliśmy się w... Moc-ca? (Occam? Coś w tym rodzaju), gdy chłostał fale swoim żelaznym batogiem. Teraz chodzi o ciała. Martwe ciała; sto smagnięć każde, jeżeli jeszcze jest co chłostać. Obserwuję go przez pewien czas.

Jest spokojny i metodyczny, bije każdego trupa dokładnie sto razy, zanim przejdzie do następnego. Nie preferuje żadnego gatunku, płci,

wielkości ani koloru skóry; każde zwłoki okłada z taką samą determinacją i siłą. O

ile to możliwe, po plecach, ale poza tym tak, jak leżą. Jedynie wtedy, gdy są w pełnej zbroi, dotyka ich, pochylając się sztywno, żeby ściągnąć przyłbicę lub rozpiąć pasek na piersi.

–Cześć – mówi.

Stoję w pewnej odległości, na wypadek gdyby miał rozkaz wychłostać wszystkich na polu bitwy – bez względu na okoliczności.

–Pamiętasz mnie? – pytam. Gładzi swój cholerny bicz.

–Tego nie mogę powiedzieć – odpowiada. Mówię mu o mieście nad morzem. Kręci głową.

–Nie, to nie ja.

Przez chwilę grzebie niemrawo w swoich brudnych szatach, po czym wyciąga małą kartę. Wycierają strzępem swojego ubrania, a następnie wysuwa do mnie rękę. Z duszą na ramieniu robię krok naprzód.

–Weź ją – mówi, kiwając głową. – Miałem ci ją dać. Proszę. Pochyla się do przodu. Biorę kartę i cofam się. To trójka karo.

–Do czego służy? – pytam.

Wzrusza ramionami i wyciera dłoń trzymającą bicz o postrzępiony rękaw.

–Nie wiem.

–Kto ci ją dał? Skąd wiedzieli...

–Czy naprawdę musisz zadawać wszystkie te pytania? – pyta, kręcąc głową.

Jest mi wstyd.

–Chyba nie. – Unoszę kartę do góry. – Dziękuję.

–Nie ma za co.

Już zapomniałem, jak łagodnie brzmiał jego głos. Odwracam się, by odejść, po czym oglądam się na niego.

–Jeszcze jedno. – Ruchem głowy wskazuję na ciała zaśmiecające

ziemię jak opadłe liście. – Co tu się wydarzyło? Co się stało z tymi

wszystkimi ludźmi?

Wzrusza ramionami.

–Nie słuchali swoich snów – odpowiada i powraca do swojego za

dania.

Znowu ruszam ku odległej linii światła, która wypełnia horyzont niczym żyła białego złota.

Opuściłem miasto w niecce wyschniętego morza; oddalałem się od niego po torze kolejowym w tym samym kierunku co pociąg Marszałka Polnego, zanim został zaatakowany. Pościgu nie było, ale gdy szedłem, słyszałem odgłosy wystrzałów armatnich dochodzące z miasta.

Krajobraz stopniowo stawał się mniej surowy. Natrafiłem na wodę, a po pewnym czasie i drzewa owocowe. Klimat ocieplił się. Czasem widywałem ludzi, podróżujących samotnie, jak ja, bądź w grupach. Trzymałem się od nich z daleka, a oni unikali mnie. Gdy stwierdziłem, że mogę bezpiecznie chodzić i znajdować żywność i wodę, sny pojawiały się każdej nocy.

Zawsze chodziło o tego samego bezimiennego mężczyznę i to miasto. Sny pojawiały się i znikaly. Widziałem wiele, niczego jednak wyraźnie. Wydaje mi się, że dwa razy omal nie przypomniałem sobie imienia mężczyzny. Zacząłem sądzić, że moje sny są rzeczywistością i każdego rana budziłem się pod drzewem lub jakimiś skałami, oczekując przebudzenia w następnym wcieleniu, innym życiu; na początek wystarczyłoby czyste szpitalne łóżko... Ale nie. Zawsze byłem tutaj, na umiarkowanie ciepłych nizinach, które w końcu zmieniły się w pole bitwy i na których dopiero co spotkałem człowieka z biczem.

Na horyzoncie widzę światło.

Zmierzam ku niemu. Przypomina słońce schowane za brzeg chmur deszczowych; długie, przesłonięte powieką oko ze złota. Ze szczytu wzgórza spoglądam na niskiego, pokrzywionego człowieka. Wciąż tam jest, batoży jakiegoś padłego w boju rycerza. Może powinienem się położyć i pozwolić, żeby mnie też wysmagał; czy to możliwe, by śmierć była jedynym sposobem przebudzenia się z tego straszego snu?

To wymagałoby wiary. Nie wierzę w wiarę. Sądzę, że istnieje, ale nie sądzę, by działała. Nie wiem, jakie obowiązują tu reguły. Nie mogę ryzykować zaangażowania się bez reszty w niepewne przedsięwzięcie.

Dochodzę do miejsca, gdzie kończą się chmury, a ciemne zбочza ustępują miejsca niskiemu urwisku. Dalej jest piasek.

Nienaturalne miejsce, myślę sobie, spoglądając na brzeg ciemnej chmury. Jest zbyt wyraźne, zbyt jednolite, a granica pomiędzy cienistymi spadkami terenu z armiami zabitych i złotym piaszczystym nieużytkiem zbyt dokładnie określona. Gorący podmuch od strony piasku porywa intensywną woń stęchlizny znad pola bitwy. Mam przy sobie butelkę wody i trochę owoców. Moja kelnerska marynarka jest cienka, dawny płaszcz Marszałka Polnego brudny. Nadal mam chusteczkę, trzymam ją jak glejt.

Skaczę z ostatniego wzgórza na złocistą skarpe, rozbryzgując gorący piasek i ześlizgując się na dno pustyni. Powietrze jest gorące i suche, wolne od zapachów pola bitewnego, lecz pełne śmierci innego rodzaju; niesie jej zapowiedź w samej swej jałowości, przepływając nad miejscem, gdzie nie ma wody, strawy ani cienia.

Ruszam dalej.

Raz wydawało mi się, że umieram. Szedłem i czołgałem się, nie znajdując nigdzie cienia. W końcu upadłem na osuwające się zbocze wydmy. Wiedziałem, że nie zdołam się podnieść bez wody, bez płynu, bez czegoś do picia. Słońce tworzyło białą dziurę w niebie tak intensywnie błękitnym, że aż bezbarwnym. Na próżno czekałem, aż nadciągną chmury. W końcu pojawiły się ciemne, szerokoskrzydłe ptaki. Krążyły nade mną, wznosząc się wraz z niewidocznym prądem termicznym, wyczekując.

Obserwowałem je przez na wpół sklejone powieki. Wzlatywały wielką spiralą nad pustynię, jak gdyby nad moją głową wisiała jakaś ogromna, niewidzialna śruba, a one były po prostu skrawkami czarnego jedwabiu przyklejonymi do jej gwintu, obracającymi się wolno wraz z wielkim walcowatym trzonem.

I wtedy spostrzegam, że na szczycie wydmy pojawia się jeszcze jeden człowiek. Jest wysoki, muskularny i ma na sobie lekką zbroję; złociste ramiona i nogi barbarzyńcy są nagie. Niesie olbrzymi miecz i zdobiony hełm, który trzyma w zagięciu ramienia. Mimo swych rozmiarów wydaje się przezroczysty i nierealny. Przenikam wzrokiem jego ciało; może to duch? Miecz połyskuje w świetle słońca, lecz jest to stłumiony blask. Rycerz chwieje się; nie widzi mnie. Drżącym ruchem przykłada rękę do czoła, a potem wydaje się rozmawiać z hełmem. Słaniając się, schodzi ku mnie; jego obute stopy zagłębiają się w piekącym piasku. Nadal sprawia wrażenie, że mnie nie dostrzega. Włosy ma pobielale od słońca; skóra na jego twarzy, ramionach i nogach łuszczy się. Miecz ciągnie teraz za sobą po piasku. Zatrzymuje się przy moich stopach, wpatrzony w dal. Chwieje się. Czyżby przyszedł mnie zabić tym wielkim mieczem? Może przynajmniej czeka mnie szybka śmierć.

Stoi, wciąż się chwiejąc, ze wzrokiem utkwionym w mglistą dal. Mógłbym przysiąc,

że stoi zbyt blisko mnie, za blisko moich stóp, jak gdyby jego stopy w jakiś niewytłumaczony sposób znalazły się w moich. Leżę i czekam. On stoi nade mną, usiłując utrzymać się na nogach; gdy tak próbuje zachować równowagę, nagle wysuwa w bok rękę. Hełm

spoczywający w zagięciu ramienia spada na piasek. Rozlega się krzyk zdołanej go wilczej głowy.

Wojownik przewraca oczami, błyskają ich białka. Zgina się wpół. Zamykam oczy, przygotowany na to, że przygniecie mnie, padając.

Nic nie czuję. Nic też nie słyszę; barbarzyńca nie upada na piasek obok mnie, a gdy otwieram oczy, nie ma śladu ani po nim, ani po hełmie, który upuścił. Znowu gapię się w niebo, na splątaną podwójną spiralę krążących ptaków, zwiastunów śmierci.

Ostatkiem sił zrzuciłem z siebie opończę i marynarkę i obnażyłem klatkę piersiową przed niewidzialną, obracającą się śrubą na niebie. Przez pewien czas leżałem na wydmie z rozpostartymi rękami i nogami; nieopodal wylądowały dwa ptaki. Nie poruszyłem się.

Jeden z nich uderzył mnie haczykowatym dziobem w rękę, a potem odskoczył do tyłu. Leżałem nieruchomo, czekając.

Gdy rzuciły mi się do oczu, chwyciłem je za szyje. Ich krew była gęsta i słona, ale mnie przypominała smakiem życie.

Widzę most. Z początku jestem przekonany, że mam halucynacje. Potem wydaje mi się, że to fatamorgana, coś, co wygląda jak most odbity w powietrzu i tylko w moich spieczonych, opętanych oczach przybiera jego postać. Podchodzę bliżej, po zboczach pokrytych Ignącymi do stóp, układającymi się w fałdy kryształkami i przez bijący od nich żar. Na głowie mam chusteczkę chroniącą głowę przed słońcem. Most – długa, nierówna linia stalowych wierzchołków – iskrzy się w oddali.

Przez cały dzień powoli zbliżam się doń, odpoczywając tylko przez krótki czas, gdy słońce jest w zenicie. Czasami wspinam się na szczyt długiej wydmy, by sprawdzić, czy most nadal tam jest. Dzieli mnie od niego parę mil, gdy moje omamione oczy dopuszczają wreszcie do mnie prawdę: most jest w ruinie.

Główne segmenty w większości są nienaruszone, ale elementy łączące, owe przęsła, owe mostki w obrębie mostu zawały się bądź zostały zniszczone, a wraz z nimi zniknęła część okalających je budowli. Most bardziej przypomina zbiór odizolowanych ośmioboków niż ciąg spłaszczonych sześciokątów. Jego stopy nadal stoją, kości wciąż się wznoszą, lecz ramiona łączące zniknęły.

Nie widzę żadnego ruchu, żadnych błysków światła. Wiatr rozdmuchuje piasek nad

wydmami, ale od wysokiego ochrowego szkieletu mo-

stu nie dociera żaden dźwięk. Stoi w piasku – poblady, wychudzony i poszczerbiony – a powolne złociste fale otulają granitowe cokoły jego podpór i dolne budynki.

W końcu, wdzięczny losowi, wkraczam w cień mostu. Pałący wiatr z jękiem przelatuje między wysokimi dźwigarami. Natrafiam na schody i wspinam się po nich. Jest gorąco i znowu czuję pragnienie.

Poznaję to miejsce. Wiem, gdzie jestem.

Nigdzie nie ma ludzi. Nie widzę wprawdzie szkieletów, ale też nie znajduję nikogo, kto przeżył. Na pomoście kolejowym dostrzegam parę starych, przyrdzewiałych do szyn wagonów i lokomotyw; w końcu stały się częścią mostu. Piasek doleciał nawet tutaj, kładąc się żółtozłotym cieniem przy szynach i zwrotnicach.

Moja dawna spelunka, a jakże. U Dissy Pitton. Lokal uległ zniszczeniu; liny, którymi przymocowano do sufitu stoły i krzesła, w większości zostały poprzecinane. Kanapy, fotele i stoły leżą na zakurzonej podłodze niczym zwłoki z odległej przeszłości. Parę zwisa jeszcze krzywo na linach przyczepionych w dwóch lub jednym narożu; kaleki wśród nieboszczyków. Idę do Sali z Widokiem na Morze.

Kiedyś siedziałem tu razem z Brookiem. Dokładnie w tym miejscu. Wyglądaliśmy przez okno, a on skarżył się na balony zaporowe; wtedy przeleciały samoloty. Pustynia błyszcząca teraz w jaskrawym słońcu.

Gabinet doktora Joyce'a; nie, nie jego. Nie poznaję żadnego mebla, ale z drugiej strony on stale się przeprowadzał. Żaluzje, nadymające się delikatnie w rozbitych oknach, wyglądają identycznie.

Długi spacer prowadzi mnie do opuszczonego letniego mieszkania Arrolów. Jest do połowy zanurzone w piasku. Drzwi stoją otworem. Widać jedynie wierzchołki wciąż przykrytych prześcieradłami mebli. Kominek skrył się pod falami piachu; łóżko również.

Powoli wchodzę z powrotem na pomost kolejowy i stojąc, spoglądam na iskrzące się piaski wokół mostu. U moich stóp leży pusta butelka. Chwytam ją za szyjkę i zrzucam z pomostu. Opada łukiem na piasek, obracając się w locie i migocząc w świetle słońca.

Później nadciąga wiatr; przelatuje ze świstem przez most, omiata mnie i smaga. Tulę się w kącie, obserwując, jak ostrze wiatru zlizuje farbę z blach niczym jakiś bezkresny jęzor. – Poddaję się – mówię mu.

Piasek zdaje się wypełniać mi mózg. Czuję się tak, jakby moja czaszka była dnem klepsydry.

–Poddaję się. Nie wiem. Rzecz lub miejsce. Ty mi to powiedz.

To chyba mój własny głos. Wiatr się wzmaga. Nie słyszę, co mówię, ale wiem, co próbuję powiedzieć. Nagle nabieram pewności, że śmierć ma dźwięk – słowo, które każdy może wypowiedzieć i które przyniesie mu wieczny spoczynek. Staram się przypomnieć sobie to słowo, gdy nagle coś zgrzyta i obraca się w oddali i czyjeś ręce wnoszą mnie z tego miejsca.

Wyjaśnijmy jedną rzecz do końca: to wszystko sen. Pod każdym, dowolnym względem. Obaj o tym wiemy. Tyle że ty nie masz wyboru.

Znajduję się w długim, pustym, odbijającym echo pomieszczeniu; leżę w łóżku. Podłączono mnie do kroplówek. Od czasu do czasu przychodzą i przyglądają mi się jacyś ludzie. Powierzchnia sufitu przypomina czasami biały tynk, czasami szary metal, czasami czerwoną cegłę, a czasami nitowane arkusze stali pomalowane na kolor krwi. W końcu uświadamiam sobie gdzie jestem: wewnątrz mostu, w środku jego wydrążonych metalowych kości.

Jakiś płyn sączy się do mego ciała przez nos i wypływa cewnikiem. Czuję się bardziej jak roślina niż jak zwierzę, ssak, mała, człowiek. Część maszyny. Wszystkie procesy uległy spowolnieniu. Muszę znaleźć drogę powrotu – rozwalić zbiorniki, pociągnąć za sznurek, zamknąć przepustnicę?

Niektórzy z tych ludzi wyglądają znajomo.

Jest tutaj doktor Joyce. Nosi białą marynarkę i zapisuje uwagi w clipboardzie. Jestem pewien, że przed chwilą ujrzałem przelotnie Ab-berlaine Arrol, ale była w stroju pielęgniarki.

To pomieszczenie jest długie i odbija echo. Czasem czuję woń żelaza i rdzy oraz farby i lekarstw. Zabrali mi kartę, którą dostałem w prezencie i szalik... To znaczy chusteczkę.

Wracamy do przytomności, co? Doktor Joyce uśmiecha się do mnie. Unoszę na niego wzrok: Kim i gdzie jestem? Co się ze mną dzieje?

Opracowaliśmy nową terapię, mówi doktor jak do szczególnie tępego dziecka. Chciałby pan, żebyśmy ją wypróbowali? Chciałby pan? Mogłaby poprawić pana stan. Proszę to podpisać.

Dawaj, dawaj. Jeśli chcesz, podpiszę własną krwią. Duszę bym ci oddał, gdybym sądził, że ją mam, ale nie przejmuj się. A może płat mó-

zgu z paroma miliardami neuronów? Porządnie dotarty, doktorku. Pierwszy troskliwy właściciel (chrząknięcie). Nawet nie brałem go do kościoła w niedziele...

Sukinsyny; to przecież maszyna.

Muszę opowiedzieć wszystko, co pamiętam, maszynie, która wygląda jak metalowa walizka na smukłym wózku.

Trochę to trwa.

Sam na sam z maszyną. Przez pewien czas był tu chłopak o ziemistej cerze, pielęgniarka, a nawet poczciwy stary doktor, ale już sobie poszli. Zostałem tylko ja i ta maszyna. Zaczyna mówić.

–No cóż – stwierdza...

Posłuchaj, każdy może się pomylić. Czy to nie ma być sezon... Nie, mniejsza o to. Już wszystko w porządku. Byłem w błędzie. Mea culpa, do cholery. Jestem Joe Contrite.* Chcesz mojej krwi?

–No cóż – stwierdza maszyna – twoje sny na końcu były prawidłowe. Te ostatnie, po twoim wyjeździe. To naprawdę jesteś ty.

–Nie wierzę ci – odpowiadam.

–Uwierzysz.

–Czemu?

–Ponieważ jestem maszyną, a ty ufasz maszynom, rozumiesz je, a one cię nie przerażają. Na ludzi reagujesz inaczej.

Zastanawiam się nad tym, po czym zadaję kolejne pytanie:

–Gdzie jestem?

Maszyna odpowiada:

–Twoje prawdziwe ja, twoje ciało znajduje się obecnie na oddziale neurochirurgicznym Southern General Hospital w Glasgow. Zostałeś przeniesiony z Royal Infirmary w Edynburgu... jakiś czas temu.

Maszyna sprawia wrażenie niepewnej.

–Nie wiesz? – pytam.

–To ty nie wiesz – odpowiada. – Przenieśli cię. To wszystko, co oboje wiemy. Może przed trzema miesiącami, może przed pięcioma lub nawet sześcioma. Kiedykolwiek. – W twoim śnie stanowiło to około dwóch trzecich drogi. Terapie i lekarstwa, które na tobie wypróbowywali, zaburzyły twoje poczucie czasu.

*** Skruszony Józio (przyp. dum.)**

–Czy masz... czy ja... mam pojęcie, jaki dziś dzień? Jak długo byłem nieprzytomny?

–To już trochę łatwiejsze pytanie. Siedem miesięcy. Gdy Andrea Cramond odwiedziła cię ostatnim razem, wspomniała coś o tym, że za tydzień są jej urodziny i jeżeli masz się przebudzić, byłby to najlepszy...

–OK – mówię do maszyny. – To oznacza początek lipca. Jej urodziny wypadają dziesiątego.

–Więc już wiesz.

–Hm. I pewnie nie znasz mojego nazwiska, co?

–Zgadza się. Milczę przez chwilę.

–Czy w takim razie masz zamiar się przebudzić? – pyta.

–Nie wiem. Czy są inne możliwości? Jaki mam wybór?

–Zostać pod powierzchnią lub się wynurzyć – wyjaśnia maszyna. – Proste jak drut.

–Ale w jaki sposób? Próbowałem to zrobić w drodze tutaj, zanim dotarłem na pustynię. Próbowałem obudzić się w...

–Wiem. Niestety, w tym nie mogę ci pomóc. Nie wiem, jak to zrobisz, wiem tylko, że potrafisz, jeśli zechcesz.

–Psiakrew, sam nie wiem. Czyja naprawdę tego chcę?

–Trudno tu cokolwiek powiedzieć – zauważa maszyna.

Nie wiem, czym mnie faszerują, ale w tej chwili wszystko jest mgliste. Maszyna wydaje się rzeczywista, gdy tutaj jest, ale ludzie nie sprawiają takiego wrażenia. Tak jakby moje oczy zasnuły się mgłą, jakby ciało szkliste pociemniało, jakby w końcu się zamuliły. Reszta moich zmysłów została zaatakowana w podobny sposób: wszystko, co słyszę, brzmi nedorzeczenie, jest zniekształcone, nic nie ma wyraźnego zapachu ani smaku. Chyba nawet moje myśli biegną wolniej. Leżę -słaby człowiek o płytkim

oddechu, usiłujący sięgnąć głęboko myślami.

Po pewnym czasie, nicość. Żadnych ludzi, żadnej maszyny, żadnego widoku, dźwięku, smaku, zapachu ani dotyku, żadnej świadomości własnego ciała. Wszędzie szarość. Tylko wspomnienia. Zasypiam.

Budzę się w pokoiku z jednymi drzwiami; w jednej ścianie osadzono ekran. Pokój ma kształt sześcianu, jest pomalowany na szaro i pozbawiony okien. Siedzę w dużym skórzanym fotelu. Fotel wygląda znajo-

mo; w domu w Leith, w gabinecie, znajduje się podobny. Na prawej poręczy, w miejscu gdzie spadł kawałek spopielonego skręta, powinna być wypalona maleńka dziurka... Nie, tam jej nie ma. To pewnie nowy fotel. Spoglądam na swoje ręce. Na prawej widać drobną bliznę. Mam na sobie buty firmy Mephisto, dżinsy firmy Lee i koszulę w kratkę. Nie mam brody. Czuję się chudszy niż kiedykolwiek.

Wstaję i rozglądam się po pokoju. Sam ekran; brak regulatorów. Pod sufitem ukryte oświetlenie. Ściany z szarego betonu, ciepłego w dotyku. Na jego powierzchni brak pęknięć; całkiem niezłe wylany. Zastanawiam się nieprzytomnie, kto był wykonawcą. Drzwi są zwyczajne, zrobione z drewna. Otwieram je.

Za progiem znajduje się podobny pokój. Nie ma w nim ekranu ani fotela; jedynie łóżko. To łóżko szpitalne; puste – sztywne białe prześcieradła i szary koc odwinięty w jednym rogu, niczym zaproszenie.

Z pokoju, z którego dopiero co wyszedłem, dochodzi jakiś hałas.

Jeżeli tam wejdę, myślę, i znajdę jakiegoś starca, który wygląda jak ja, jakoś się stamtąd wydostanę, odnajdę tę maszynę i złożę skargę.

Przechodzę do pokoju z fotelem. Nie znajduję ucharakteryzowanego Keira Dullei. Pokój jest pusty, ale ekran monitora ożył. Siadam w fotelu i oglądam.

To znowu ten mężczyzna w łóżku. Tyle że tym razem wszystko jest w kolorze; lepiej go teraz widzę. Dla odmiany leży na brzuchu, w innym łóżku, w innym pokoju. W rzeczywistości to mała sala z trzema łóżkami; dwa z nich zajmują starsi mężczyźni z obandażowanymi głowami. Wokół łóżka mojego człowieka rozstawiono parawan, ale ja jestem nad nim i patrzę z góry. Wyraźnie widać jego łysinę. Sięgam dłonią do mojej głowy: łysy płat. Oczywiście włosy na moich rękach nie są czarne, lecz ciemnobrązowe. Cholera.

Wszystko to wygląda przytulniej niż dawniej. Na małej szafce przy łóżku stoją żółte kwiaty w wazonie. Nie ma wykresu na poręczy łóżka; może już tego nie praktykują. Nadgarstek mężczyzny otacza plastikowa bransoletka. Nie potrafię odczytać, co na niej jest napisane.

Odgłosy w oddali; rozmawiający ludzie, śmiech jakiejś kobiety, brzęk butelek lub czegoś metalowego oraz coś, co mogłoby być skrzypieniem kół toczących się po podłodze. Pojawiają się dwie pielęgniarki; wchodzi za parawan i odwracają mężczyznę na plecy. Strzepują poduszki i podnoszą go trochę wyżej, trajkocząc do siebie niemal bez przerwy. Ku mojej wściekłości nie słyszę, co mówią.

Pielęgniarki wychodzą. Na obrazie monitora zaczynają się gromadzić ludzie podchodzący do pozostałych zajętych łóżek; zwyczajni ludzie: młode małżeństwo odwiedzające starszego mężczyznę, starsza kobieta rozmawiająca z drugim staruszkiem. Na razie nie ma nikogo do mojego człowieka. Nie wygląda jednak na to, by się tym przejmował.

Potem pojawia się Andrea Cramond. Z tego podniesionego punktu obserwacyjnego wygląda dziwnie, ale to na pewno ona. Ma na sobie białe spodnie z jedwabnej surówki, czerwone buty na wysokich obcasach i czerwoną jedwabną bluzkę. Kładzie żakiet – czy przypadkiem nie kupiłem go jej u Jennera w zeszłym roku? – na poręczu łóżka, po czym podchodzi do mężczyzny i schyla się, żeby go pocałować – najpierw w czoło, a następnie lekko w usta; chwilę zatrzymuje dłoń na jego głowie, odgarniając mu włosy z czoła. Siada na krześle z boku, z nogą założoną na nogę, łokciem wspartym na udzie i podbródkiem na dłoni. Patrzy na mężczyznę. Ja spoglądam na nią.

Na tej opanowanej, lecz zatroskanej twarzy zarysowało się parę nowych bruzd; tak mi się wydaje. Drobne zmarszczki pod oczyma pozostały, teraz jednak widać pod nimi lekkie cienie. Włosy ma dłuższe niż dawniej. Oczu nie widzę wyraźnie, widzę za to te kości policzkowe, ten wspaniały nos, szerokie brwi, mocną szczękę i delikatne usta.

Andrea pochyla się i chwyta mężczyznę za rękę, nadal się weń wpatrując. Czemu jest tutaj? Czemu nie jest w Paryżu?

Wybacz, że zapytam, kochanie. Czensto tu psychodzisz?

(Czy to dzieje się teraz, czy w przeszłości?)

Po chwili, nadal trzymając go za rękę i wpatrując się w jego bladą, pozbawioną wyrazu twarz, Andrea powoli opuszcza głowę na białe, założone prześcieradło koło ręki mężczyzny i skrywa twarz w jego wy-krochmalonej bieli. Drżą jej ramiona – raz, dwa razy.

Ekran w pokoju ciemnieje, a potem gasną światła. Światła w sąsiednim pokoju z łóżkiem w środku pozostają włączone.

Podejrzewam, że to moja podświadomość próbuje mi coś powiedzieć. Subtelność nigdy nie była jej silną stroną. Wzdycham, opieram dłonie na poręczach skózanego

fotela i powoli wstaję.

Rzucam ubranie na podłogę przy łóżku. Na poduszce leży krótką, zawiązywaną z tyłu koszula nocna. Wkładam ją, wchodzę do łóżka i zasypiam.

Koda

Głupcze! Idioto! Co ty u diabła wyprawiasz? Byłeś tam szczęśliwy! Pomyśl o władzy, rozrywce, możliwościach! I do czego zamierzasz wracać? Przypuszczalnie usunięty ze spółki, z pewnością sądzony za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym (na pewien czas koniec z efektownymi samochodami, chłopcze), starzejący się i z każdą chwilą coraz mniej szczęśliwy; tracący ją dla innej choroby, innego łoża bóleści. Zawsze robiłeś to, czego chciała. To ona cię wykorzystwała, a nie ty ją. Nastąpiło zupełne odwrócenie ról, zostałeś wykiwany. Nie zapominaj, że odrzuciła twoje oświadczenia, dała ci kosza. Stale to robiła i jeżeli zobaczy, że wyzdrowiałeś, znowu odejdzie. Nie rób tego, idioto!

A co innego mogę zrobić? Po pierwsze, mogą mnie po prostu odłączyć. Mój mózg niewątpliwie daje znaki życia, więc wiedzą, że nie obumarł, ale jeżeli będę tu leżał, nie wykazując żadnych innych oznak życia, mogą zdecydować się zabrać kroplówki, odciąć dopływ wody i pokarmów w płynie i pozwolić mi umrzeć.

A więc w samoobronie. Czyż nie powinna ona być naczelną zasadą?

Tak czy owak, nie możesz zostawić jej w taki sposób. Nie możesz tego zrobić tej kobiecie. Nie zasłużyła sobie na to. Nikt nie zasłużył. Ty nie należysz do niej, a ona nie należy do ciebie, ale każde z was jest częścią drugiego. Gdyby teraz wstała i odeszła i gdybyście nigdy więcej się nie zobaczyli, a ty przez następnych pięćdziesiąt lat wiódłbyś normalne życie na jawie, to i tak na łożu śmierci wiedziałbyś, że ona jest częścią ciebie.

Odcisnęliście na sobie swoje piętna, ukształtowaliście się wzajemnie. Każde z was nadało życiu drugiego charakter, którego nigdy do końca nie straci, bez względu na wszystko.

Ona poświęca ci więcej uwagi niż tamtemu, tylko dopóki jesteś bliższy śmierci niż on. Jeżeli wyzdrowiejesz, może spokojnie wrócić do niego. Cóż, masz pecha. Naprawdę postanowiłeś, że nie będziesz mu tego skąpił, czy tylko tak gadałeś po pijanemu?

Nie, to... Głośniej.

Powiedziałem, że to nie było pijackie ga... Nadal cię nie słyszę, stary. Mów głośniej.

OK! Mówiłem szczerze! Mówiłem szczerze!

I równie szczerze tego żałuję. I jeszcze jedno: ona wciąż uważa, że nieszczęścia chodzą trójkami. Zaczęło się od jej ojca, umierającego w samochodzie, potem był Gustave, z wyrokiem, powoli podupadający na zdrowiu, a potem ja. Kolejny samochód, kolejna kraksa. Kolejny mężczyzna, którego kochała. Och, teraz nie wątpię, że Gustave i ja jesteśmy bardzo podobni i że moglibyśmy się polubić. Jestem również pewien, że on byłby z mecenasem na równie dobrej stopie jak ja i z tego samego powodu, ale jeśli mogę przestać wyliczać podobieństwa, Bóg mi świadkiem, że to zrobię. Nie będę tym trzecim mężczyzną! (Blade palce unoszą się z czarnej siatki celownika, drżąc na nocnym wietrze niczym białe bulwy... To cholerstwo znowu się zacięło; czarno-biały obraz łuszczy się i wybucha, z tyłu widać białe światło. Znowu za późno, snajper najpierw dostrzega, potem celuje, następnie strzela i trzeci...)

Nie, ta krótka sekwencja kończy się na dwóch, o ile mam z nią cokolwiek wspólnego. (Teraz, gdy zdałem sobie sprawę, jak bardzo mogliśmy być podobni do siebie, przychodzi mi do głowy jeszcze jedna, nieco ukradkowa myśl: wiem, co bym powiedział Andrei, gdybym to ja powoli podupadał na zdrowiu, a ona chciała się zadręczać, opiekując się mną...)

Pojadę do tego drugiego miasta. Zawsze chciałem pojechać, naprawdę. Chcę poznać tego człowieka. Psiakrew, chcę robić wszystko co się da! Chcę podróżować koleją transsyberyjską, pojechać do Indii, stanąć na Ayers Rock, przemoknąć do suchej nitki w Machu Piechu! Chcę uprawiać surfing! Sprawię sobie lotnię. Chcę wrócić do Wielkiego Kanionu i tym razem dotrzeć dalej niż tylko do skraju płaskowyżu, chcę zobaczyć zorzę polarną ze Spitsbergenu lub Grenlandii, chcę zobaczyć zaćmienie całkowite, chcę świadkować narodzinom skał pirogeniczych, chcę przejść tunelem z zastygłej lawy, chcę ujrzeć Ziemię z przestrzeni kosmicznej, chcę wypić *ciang w Ladakhu, chcę odbyć rejs w dół**

*** Himalajskie piwo (przyp. tłum.)**

Amazonki i w górę Jangcy oraz przejść po Wielkim Murze. Chcę zwiedzić Azanię! Chcę się znowu przyglądać, jak helikoptery startują z lotniskowców! Chcę znaleźć się w łóżku z trzema kobietami naraz!

O Boże, powrót do thatcherowskiej Wielkiej Brytanii i reaganowskiego świata, powrót do całego tego gówna. Most był przynajmniej przewidywalny w swojej osobliwości, przynajmniej był stosunkowo bezpieczny. Zresztą, może i nie. Sam nie wiem.

Ale wiem jedno: nie potrzebuję, żeby maszyna mówiła mi, co mam wybrać. Nie wybieramy między snem a rzeczywistością, tylko pomiędzy różnymi snami.

Jeden jest moim snem; most i wszystko to, co z niego uczyniłem. Drugi to nasz wspólny sen, nasze zbiorowe wyobrażenia. Przeżywamy sen; nazwijcie go amerykańskim, nazwijcie go zachodnim, nazwijcie go północnym lub po prostu snem wszystkich nas – ludzi, snem całego życia. Stanowiłem część tego snu, na dobre i złe, był on na wpół koszmarny i pozwoliłem niemal, żeby mnie uśmiercił, ale nie zrobił tego. Jak dotąd, w każdym razie.

Co się zmieniło?

Nie sam sen, nie skutki naszych snów, które nazywamy światem, nie nasze stechniczowane życie. Więc to ja się zmieniłem? Może. Kto wie; tu w środku wszystko mogło ulec zmianie. Nie będę w stanie powiedzieć, dopóki nie wydobstanę się z powrotem na zewnątrz i nie zacznę przeżywać wspólnego snu, porzucając mój własny – o rzeczy przeistoczonej w miejsce, o środkach przekształconych w cel, o drodze przemienionej w miejsce przeznaczenia... Trójka karo, faktycznie, i most wysokiej klasy, wieczny, nigdy-ten-sam, z bezustannie liniejącym i wymienianym wielkim rudym korpusem, niczym wąż stale zrzucający skórę, przepoczwarzający się owad, który jest swoim własnym kokonem, i zawsze się zmieniający...

Te wszystkie pociągi. W przyszłości znajdę się w paru następnych. Z pewnością odbiorą mi prawo jazdy. Głupi sukinsyn. Skasowanie samochodu, jazda po pijanemu tuż przed Bożym Narodzeniem -jakże zenująca jest konieczność wracania do tego. Przynajmniej nie uczestniczył w tym nikt więcej, tylko ja i dwa auta. Nie jestem pewien, czy chciałbym wracać, gdybym kogoś zabił lub nawet poważnie zranił. Mam nadzieję, że ktokolwiek był właścicielem tego MG, nie miał fioła na jego punkcie. Biedny jaguar. Po poświęceniu takiej ilości czasu

i wpakowaniu weń tylu pieniędzy, po całej tej kunsztownej pracy, którą włożyli ci ludzie. Może i dobrze się stało, że nie miałem go zbyt długo, zanim rozbiłem doszczętnie. Mógłbym jeszcze obdarzyć go uczuciem, mógłbym zacząć coś czuć do niego („Bardzo był pan przywiązany do tego samochodu, panie X?” „Przywiązany? Byłem uwięziony we wnętrzu tego drania przez trzy godziny”).

A ten most, most... Muszę pójść do niego z pielgrzymką, gdy tylko wydobrzeję. O ile będę mógł. Przejść nad wodą (zakładając, że mogę chodzić), przebyć rzekę, wrzucić monetę na szczęście, ha, ha.

Segmenty trzy; pierwszy drugi trzeci Forth Firth*... wariat ze mnie, wariat... W wieżach mostu drogowego również były wielkie szare ikсы. Teraz sobie przypominam. Trzy duże ikсы jeden nad drugim, niczym galony lub wstążki... a także... a także... Co jeszcze? A właśnie, nie do-słuchałem do końca taśmy z nagraniami Pogues. Przegapiłem „A Man You Don't Meet Every Day”.** Pionty kawalek, zaśpiewaj go, chłopcze... Na drugiej stronie miałem Eurythmics – ot tak, dla małego kontrastu. Młoda Annie daje czadu z ciotunią Arethą, robiom to dla ciebie, bo

i czemu nie? I śpiewają „Better To Have Lost In Love (Than Never To Have Loved At AU)”.* Więc to wyświechtany frazes? Wyświechtane frazesy też mają uczucia.**

Chcę wrócić. Czy mogę?

piip piip piip tu automat zgłoszeniowy; twojej świadomości nie ma teraz w domu, gdybyś jednak zechciał... trzask

Mogę? Czy mogę? Chcę wrócić. Teraz. Teraz próba. Śpij. Obudź się. A teraz zrób to.

Chodźmy tam.

Już za chwilę; przebudzenie. A przedtem słowo od naszych sponsorów. Najpierw jednak jedna mała gwiazdka:



Pewnego deszczowego i niezbyt ciepłego lata znalazłem się na plaży w Valtos. Byłem razem z nią, rozbiliśmy namiot i zażyliśmy prochy, które zmieniały rzeczywistość. Deszcz szemrał delikatnie na brezencie

* Nieprzetłumaczalna gra słów: Forth to nazwa zatoki zbliżona brzmieniem do słowa *four* – cztery, natomiast Firth, szkockie określenie zatoki, przypomina słowo *five* – pięć. (przyp. tłum.)

** Mężczyzna, jakiego nie spotyka się codziennie (przyp. tłum.) *** Lepiej zagubić się w miłości (niż nigdy nie kochać) (przyp. tłum.)

namiotu; ona chciała zostać w środku i oglądać album z obrazami Da-lego, ale nie miała nic przeciwko temu, żebym wyszedł.

Spacerowałem wygiętym w łuk brzegiem rozkołysanego morza, w miejscu gdzie fale wgrzyzały się w złocisty półksiężyc piasku; byłem sam na sam z ciepłą, wilgotną bryzą i jedną, może dwiema milami plaży, deszcz kropił z ciągnących się szarą wstęgą chmur. Natrafiałem na muszle nożeńców przypominające kawałki stłuczonej tęczy i obserwowałem, jak niesione wiatrem krople deszczu spadają na suchy jeszcze piasek; cała plaża wydawała się falować i płynąć jak żywa. Pamiętam mój dziecinny zachwyty, z jakim dotykałem piasku i ciemnych plam na jego powierzchni.

Znajdowałem się na obrzeżu Wysp Zewnętrznych, na wzburzonym morzu, w drodze do Kanady, na Grenlandię i Islandię, oraz na obracającej się lodowej czapie nad biegunem północnym; tam, na końcu Długiej Wyspy, którą tworzy wiele wysp, na łuku przerywanego lądu, leżącego na tle morza niczym kręgosłup, niczym wykwit mózgu nad układem ośrodkowym. Mój umysł był tą Wyspą, odsłoniętą na gwałtowne uderzenia morza, wiatru, deszczu i słońca przez nóż narkotyku; z dala od nieszczęścia.

Wydawało mi się, że wtedy ujrzałem to wszystko: sposób, w jaki mózg rozkwita na końcu swojej połączonej stawami łodygi, sposób, w jaki – zakorzenieni w glebie – rośniemy i stajemy się. Wówczas znaczyło to wszystko i nic, i nadal tyle właśnie znaczy.

A sobie powiedziałem, że byłem daleko od domu... ponieważ byłem moim własnym ojcem i moim własnym dzieckiem, i wyjechałem na pewien czas, ale potem wróciłem. Dziecko, twój ojciec był daleko od domu. To właśnie sobie powiedziałem, gdy zmierzałem z powrotem: Dziecko, twój ojciec był daleko od domu.

...Tak, oczywiście, ale to było dawno temu. A teraz? Boże święty, mówię o sześciu miesiącach bez alkoholu i papierosa! Przypuszczalnie byłem zdrowszy, leżąc tutaj

bez przytomności, niż przez resztę mojego dorosłego życia; ćwiczeń może i było niewiele, ale do trawienia nie miałem nic bardziej szkodliwego niż to, co pakują mi tą rurką do nosa, cokolwiek to jest. Jak, u diabła, moje ciało przetrwało sześć miesięcy bez alkoholu i narkotyków?

Może stanę się bohaterem powieści zawróconym z drogi zła, może przestanę pić i nigdy więcej niczego nie zapalę, nie powącham i nie przeżuję, a gdy już zwrócą mi prawo jazdy, nigdy nie przekroczę dozwolonej

prędkości i w przyszłości nigdy, ale to nigdy nie powiem nic nieprzyzwoitego o naszych legalnie i demokratycznie wybranych przedstawicielach ani o przedstawicielach naszych sojuszników i będę miał więcej cierpliwości i szacunku dla poglądów innych ludzi, bez względu na to, jak kretyńskie one...

Nie, gdybym zamierzała to robić, po co zawracać sobie głowę powrotem? Chromolę to. Mam zamiar robić to wszystko w dwójnasób, gdy tylko będę mógł. Po prostu w przyszłości będę trochę ostrożniejszy.

Dziecko, twój ojciec... Wiem, wiem. Tak słyszeliśmy. Chyba otrzymaliśmy tę wiadomość, dziękuję. Ktoś jeszcze?...

Skończyły się nasze popijawy (dzięki billowi)

Te obrady są zamknięte (dla Maca)

Brammer budzi się... (możemy to powtórzyć?)

Brahma budzi się (dziękuję)

Spoko (milcz i dalej rób swoje).

Czerń.

Nie, nie czerń... Coś. Ciemna, brązowa niemal czerwień. Wszędzie. Próbuję odwrócić wzrok, ale nie potrafię, więc nie chodzi jedynie o kolor ściany bądź sufitu. Czy to się dzieje za moimi oczyma? Nie wiem. Nie rozumiem.

Dźwięk; coś słyszę. Przypomina mi ponowne wypływanie na powierzchnię po zanurkowaniu do basenu; ów dźwięk, coś w rodzaju bulgoczącego szumu, powoli zmieniający częstotliwość z bardzo niskiej na wysoką i pękający jak bańka... Rozmowa, śmiejąca się kobieta. Brzęk i grzechotanie, pisk koła lub nogi krzesła.

Zapach; o tak. Bardzo szpitalny. Nie ma wątpliwości, gdzie teraz jesteśmy. Również coś kwiecistego. Wyczuwam tu jeszcze dwie wonie. Jedną ostrą, lecz świeżą, i jedną... o wiele bardziej... sam nie wiem. Nie potrafię jej opisać... Aha, pierwsza to

pewnie zapach kwiatów przy łóżku; tych w wazonie na szafce. Druga to jej zapach. Okazuje się, że wciąż używa perfum Joy. To na pewno ona; te perfumy nie pachną tak na nikim innym, nawet na jej matce. Ona jest tutaj!

Czy to ten sam dzień? Czy ją zobaczę? Och, nie odchodź jeszcze! Zostań. Nie idź!

Porusz czymś. No dalej, przesuń.

Kompletne rozprężenie. Niczego, cholera, nie widzę. Jestem jak zaspany lalkarz przyłapany na drzemce, potykający się za kulisami w pró-

bie znalezienia właściwej długości sznurka, płaczący wszystko. Ramiona? Nogi? Stopy? Który kawałek porusza czym? Gdzie się podziała instrukcja obsługi?... O Boże, chyba nie będziemy musieli uczyć się tego wszystkiego na nowo, prawda?

Oczy; otwórz, psiakrew!

Zaciśnij, ręce!

Stopy; no, róbcie, co do was należy!

...Ktoś? Ktokolwiek?

Nie przejmuj się. Leż i myśl o Szkocji. Po prostu uspokój się, chłopcze. Oddychaj, poczuj ciężar zawiniętego pod materac koca i prześcieradeł, poczuj łaskotanie w miejscu, gdzie rurka przechodzi przez twój nos... Wszyscy są tam. Nie słyszę nikogo, kto by rozmawiał w pobliżu. Jedynie stłumione dudnienie budynku i gwar miasta. Lekka bryza porwała zapach perfum Andrei... Prawdopodobnie w ogóle jej tu nie ma. Wciąż widać kolor zaschniętej krwi za tym... Znowu lekki przeciąg; zabawne muśnięcie na policzku i skórze między nosem a wargą. W tych miejscach, okrytych przez te wszystkie lata brodą, nie czułem wiatru od rozpoczęcia studiów... Jeżeli kiedyś wydam się stąd, zapuszczę ją na nowo...

Wzdycham.

Naprawdę wzdycham; czuję opór zawiniętej pod materac pościeli, gdy moja pierś unosi się wyżej niż normalnie. Rurka, która wchodzi we mnie przez nozdrze, ślizga się po tkaninie koszuli na moim ramieniu, a potem wraca, gdy rozluźnię mięśnie i robię wydech. Westchnąłem!

Jestem tak zaskoczony, że otwieram oczy. Lewa powieka drży, zlepiona, po czym się podnosi. W ciągu paru sekund wszystko nieruchomieje, choć przez chwilę wydawało się trochę drżące i jaskrawe.

Andrea siedzi niespełna metr dalej, z nogami schowanymi pod małe krzesło. Jedna

jej ręka spoczywa na udzie, drugą trzyma styropianowy kubek przy rozsuniętych wargach. Widzę jej zęby. Wpatruje się we mnie. Mrugam powiekami. Ona też. Poruszam palcami nóg i – spoglądając na koniec łóżka – widzę, jak biały żakiet porusza się w górę i w dół wraz z nimi.

Zginam ręce; mają tu cholernie szorstkie koce. Jestem głodny.

Andrea odstawia kubek i nachyla się trochę, jak gdyby nie dowierzała własnym oczom; przenosi spojrzenie z jednego mojego oka na drugie, najwyraźniej szukając w nich obu oznak przytomności umysłu (przyznam, że to uzasadniony środek ostrożności).

Andrea rozluźnia się. Kiedyś przyglądałem się, jak szyfonowa chusta wypadła jej z rąk, i nie przypominam sobie, by płynęła w powietrzu z większą gracją, niż teraz wiotczeje jej ciało. W ten sam sposób jej twarz traci całą warstwę troski. Jestem – właśnie przypomniałem sobie moje nazwisko – niemal zażenowany. Andrea powoli kiwa głową.

–Serdecznie witam – mówię, ściągając się.

Czyżby?

•*••' fJ

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/